DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom XII.

LWÓW,

Nakład i druk E. Winiarza.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie XII.

I. Żywoty świętych, legendy i rozmaite historye święte:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historji polskiej:

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

VI. Różności:

Tom XII. Nr. 1.

1. stycznia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nowy rok 1865!

Szkolarze z Medyki zeszli się do szkoły i po nauce zaczęli sobie kolędować, aż się okna trzęsły a szyby dzwoniły. A to spiewali na prośbę, aby przez świętą całe chodzić po dworach i po chałupach i kolędować przeróżne stare i nowe kolędy, a co sobie zbiorą za to, aby sobie kupić albo jaką książkę do czytania, albo jaki obraz królów lub patronów polskich do szkoły na ścianę. I gdy tak śpiewali, wchodzę ja na to i pytam:

— A to na co takie krzyki straszne? A oni mi powiadają co prawda, że sobie próbują z pamięci kolędy różne, aby w kościele na chórze nie mylić przy śpiewaniu, a potem nie porobić bałamutów jakich, gdy pójdą po wsi kolędować.

— No! to dobrze wszystko — powiadam na to — a czy macie jakie wiersze, aby na nowy rok gadać po domach oracye jakie?

A oni powiedzieli:

— Mamy i to przeróżne!

A ja zapytałem szkolarza jednego:

— Powiedzno mi, mój Franusiu! na jaką to pamiątkę ten nowy rok?

A on mi pali jak z bicza zaraz:

— Nowy rok to pamiątka pobożna i święta, jak to dnia ósmego po Bożem Narodzeuiu został obrzezany Pan Jezus maleńki, i jak go odtąd nazywali wszyscy ludzie po imieniu, jakiego od początku świata nikt a nikt na ziemi nie dostał i do końca świata nikt tem imieniem ochrzczony nie będzie.

A ja mówię mu na to:

— Dobrześ frafił mój Franusiu, i widać uczysz się nie źle katechizmu, a czytaj sobie zawsze katechizm, abyś do śmierci nie zapomniał, czegoś się za młodu nauczył i abyś i drugich nauczył tego wszystkiego.

Ale zapytałem go znowu:

— A czyto u żydów było to obrzezanie takie samo, co u nas chrześcian chrzest św.?

On mi na to tak:

— Żydzi i wszyscy ludzie na ziemi nie mieli chrztu św. jeno u żydów było nakazane to obrzezanie dla małych chłopaczków, przy czem dawano im takie imię, jakie ojcowie sami obierali i potem zapisywano dziecko do takiej księgi, jak to u nas są metryki kościelne. Żydzi nie chrzcili wtedy, jak i do dziś dnia nie mają chrztu św., jeno my chrześcianie sami na całym świecie mamy chrzest św. od pana Jezusa, i od chrztu św. zowiemy się chrześcianami, bo ochrzczeni wierzymy w to, czego nas nauczył.

Ja. na to mu powiadam:

— I toś dobrze i dokumentnie trafił — ale powiedzno mi, ktoż dał Panu Jezusowi to imię: Jezus! czy to Matka Boża czy opiekun?

A on mi tak powiedział:

— To imię najświętsze: Jezus! objawił sam Bóg ludziom przez Anioła, dla tego też jest to imię z samego nieba dane, i żaden Anioł, ani żaden święty, ani żaden grzeszny człowiek nie może go nosić.

— Tak jest! — powiadam mu — i widzicie dzieci, że to imię: Jezus! jest tak święte i cudowne, że kto go wymówił

z nabożeństwem, to doznał nie raz cudu wielkiego, a i dziś kto go wymawia uczciwie i pobożnie, doznaje nie raz pomocy i ratunku z nieba. Gdy się rodzimy, dostajemy na chrzcie św. imię jakiego patrona, a gdy umieramy malują nam na trumnie znak rubryką albo i węglem, przez co wyraża imię: Jezus! Otoż nowy rok u nas chrześcian jest pamiątką pobożną, jakto sam Pan Jezus w ten sam dzień był obrzeżany i Jezusem nazwany — bo od Bożego Narodzenia aż do nowego roku nazywali go pobożni ludzie jeno dzieciątkiem świętem, dzieciątkiem bożem, a po nowym roku nazywali i wołali go wszyscy Jezuskiem maleńkim i Jezusem.

A drugi szkolarz Łucio pyta mię:

— Naco to było u żydów samiutkich takie obrzezanie, kiedy to nie to samo, co chrzest św.?

Ja mu w ten sens powiadam:

— To obrzezanie postanowił Bóg na to u żydów, aby oni sami jedni nie robili takich wielkich grzechów, jakie robili po tamte czasy wszyscy poganie, aby byli w sercu i duszy i w całem życiu najpobożniejszymi i najlepszymi ludźmi, aby dochowali Bogu wiary i nie zostali poganami. Otoż to obrzezanie było nauką i przypomnieniem dla nich, jakimi to ludźmi dobrymi, czystymi, pobożnymi i Bogu zawsze i wszędzie wiernymi być mieli żydzi. Dla nas chrześcian każdy nowy rok jest przypomnieniem, jakieto święte było całe życie Pana Jezusa od obrzezania aż do skonania; toż każdy nowy rok nam nauką, abyśmy chrześcianie byli zawsze pobożni, w sumieniu czyści, w sercu niewinni, w mowie wstydliwi, w uczynkach dobrzy, a w całem naszem życiu od chrztu św. aż do skonania nie mieli na sobie krzywdy cudzej ani żadnego wielkiego grzechu; abyśmy dochowali Panu Jezusowi zawsze i wszędzie tej wiary, w której zostaliśmy ochrzczeni w kościele jego, abyśmy wszędzie po miastach i po wsiach w pałacu i chałupinie byli zawsze Panu Jezusowi wiernymi Polakami i katolikami, a tak pobożnymi, miłosiernymi, zgodliwymi i jeden za drugim stojącymi Polakami, jak to byli nasi dziadkowie i nasze babki. Widzicie też moje dzieci! że nowy rok jest dla nas pamiątką świętą z życia samego Pana Jezusa a znowu jest

dla nas nauką, jakimi to my Polakami i katolikami być mamy, aby się od nas Żydzi, Turki, i wszyscy inni poganie mogli nauczyć, co to dobre i jakto trza na szczęście i zbawienie zarabiać w tem życiu.

A teraz powie mi Józio:

— Na co to ludziska tną sobie oracye po domach jak się zejdą jeden z drugim na nowy rok?

A on mi zaraz rąbie jak ostrą siekierą:

— Bo to pierwszy dzień nowego roku, toż dziś na cały rok przyszły, nito na dobry zaczątek i dobry koniec całego roku, życzą sobie Polacy wszystkiego dobrego: zdrowia, szczęścia, fortuny i w niebie korony!

— Dobrześ trafił — mówię ja — ale ja wam moje dzieci gadam, abyście sobie i drugim życzyli zawsze dobrze, a co najlepiej, abyście sobie nie robili cały rok nic złego, ale jak najlepiej, abyście byli jeden dla drugiego bez obłudy szczerymi: chłop szczerym dla xiędza i pana, xiądz szczerym dla pana i chłopa, a pan znowu szczerym dla xiędza i chłopa — a co jeszcze powiem, że zdrowie i chleb są nam potrzebne, ale najpotrzebniejsze niebo i wieczna korona. Otoż życzcie sobie tego wszystkiego, ale dbajcie i uważajcie na to zdrowie, aby go nie popsuć żadnemi grzechami; uważajcie na chleb boży, aby go nie marnować na durniczki i na obrazę Boga; uważajcie na wasze własne szczęście, abyście mieli dobry rozum i poznanie, a rozumu nabędziecie w kościele, szkole i w obejściu z takimi, co to znają i druk i pisma i stare książki i umią opowiadać prawdę świętą. A na koronę wieczną zarabiajcie sobie bojaźnią bożą, pobożnością, dobrem życiem jak na Polaków i katolików przynależy.

A szkolarze mię zapytali:

— Naco to prosimy Jegomości, są szczodraki i bochnaki na Nowy rok?

— Opowiem wam i to, gadam im.

Widzicie moje dzieci! już to od samego początku świata mieli ludzie roki, miesiące, tygodnie i każdy dzień przezwany. Toż i poganie mieli roki swoje i był u nich nowy i stary rok. Jak nastał nowy rok u nich, to mieli taki zwyk starodawny,

że jeden gazda posyłał drugiemu jaki podarunek a ten znowu jemu posyłał. Ci co te podarunki przynosili, dostawali za to zawsze co do ręki, czy to jaki krajcar, czy kawałek chleba. Otoż i my Chrześcianie mamy z dawien dawna taki sam zwyk, że na nowy rok dajemy jeden drugiemu co na Kolendę. Jeno u nas jest to pamiątka święta, jakto maleńkiemu i ubogiemu Panu Jezusowi znosili pobożni ludzie do szopki różne podarunki — otoż i my do dziś dajemy ubogim dziadkom i chłopaczkom szczodraki bochnaki, abyśmy się nauczyli miłosierdzia dla drugich. Dawni Polacy sprawiali od Wilii św. aż do 3 królów takie obiady dla ubogich, aby takiem miłosierdziem uszanować Pana Jezusa, co sam powiedział tak:

„Cobyście zrobili w imię moje jednemu ubogiemu i maluczkiemu, to tak przyjmę, jakbyście to mnie samemu zrobili.“

Toż dawniej w całym polskim kraju były po plebaniach, dworach i u bogaczów przez połowę miesiąca takie obiady pobożne, gdzie dziadkowie z babkami kolędowali, paciorki odmawiali, a przy odchodnem dostawali taki grajcar do ręki albo bochnaki do torbiny. Dziś taki dobry zwyk ustaje, a gazdowie pieką jeno w starym roku małe bocheneczki i te rozdają na Nowy rok.

Otoż macie teraz na wyrozumienie, że Nowy rok jest wielkiem świętem u nas, najpierw: aby ten rok zaczynać z Bogiem i od Boga, to na to mamy nabożeństwo i święto uroczyste, a potem mamy w ten dzień pamiątkę obrzezania i imienia Jezusa Chrystusa; dalej mamy przypomnienie, abyśmy jeden dla drugiego byli życzliwymi, uczynnymi, miłosiernymi, a przedewszystkiem pobożnymi katolikami i Polakami na cały świat, co się zowie! A mamy naukę także, abyśmy starodawny zwyk polski zachowali zawsze po domach naszych, abyśmy sprawiali obiady nito wilię pańską dla ubogich i to w imieniu samego Pana Jezusa, a jak nie stać na to, abyśmy przynajmniej nie żałowali szczodraków i bochnaków dla sierotek i wdów.

A w końcu dodałem:

— A wy szkolarze moi podajcie także wszystkim szkolarzom na Nowy rok takie życzenia, aby się doskonale uczyli,

zostali dobrymi Polakami na ziemi i doczekali się nagrody w niebie.

A szkolarze moi na to:

— Otoż życzymy wszystkim naszym braciom starym i młodym i maleńkim, aby na Nowy rok dał Bóg zdrowie, rozum, poznanie, szczęście i Niebo, Amen.

I ja też wasz xiądz, wasz rodak, katolik i Polak jak wy wszyscy, życzę wam na ten Nowy rok: zdrowia, bojaźni bożej, pobożności, rozumu i dobrej zwagi na wszystko, szczęścia i królestwa niebieskiego! Żyjcie w zgodzie i miłości z kościołem i dworem, z mieszczanami, chłopami i nawet z żydami!

Niech nam wszystkim da Bóg, co jego święta sprawiedliwość i miłosierdzie pozwolą wasz rodak

Xiądz Wojciech z Medyki.

Na zdrowie, na szczęście!

Hej panowie gospodarze, ukochani kmiecie,
Już nam znowu roczek minął na tym bożym świecie,
Już nam znowu roczek minął i nigdy nie wróci,
O rok jeden znów na świecie będziemy żyć króciej!

Hej panowie gospodarze po dawnym zwyczaju,
Ludzie sobie dziś winszują w całym polskim kraju —
A i ja też wasz przyjaciel, szlę wam winszowanie,
By tak było, jak wam życzę, daj Wszechmocny Panie!

Daj nam Boże dożyć w zdrowiu, aby Polska miła,
Nasza matka ukochana, raz szczęśliwą była,
By się od niej odczepiły raz już wszystkie licha,
Aby kwitła w Bożej łasce radośna i cicha!

Aby Polsce za cierpienia Bóg nie szczędził płacy,
W jasnej doli, w dobrej woli, by żyli Polacy,
Kędy nasze pola kwitną, nasze rzeki płyną,
Niech tam wszędzie utrapienia przepadną i zginą!

Wam panowie gospodarze życzę złotej doli,
Szczęścia w chacie, grosza w kabzie i chleba na roli,
Niech wam zboże, rośnie hoże w nieprzebrane ziarna,
Niech wam praca wciąż popłaca, niech nie będzie marna!

Byście na wiek zapomnieli smutku i zgryzoty,
Aby nędzy nic nie było a dużo ochoty,
Dużo szczęścia, dużo zdrowia i nie skąpo chleba,
Rozum w głowie, Pan Bóg w sercu — czegoż więcej trzeba?...

By wam dziatki się chowały zdrowiutkie i całe,
Wam w starości na pociechę a Bogu na chwałę,
Wam w starości na pociechę, na pomoc w siwiźnie,
Na pożytek dobrym ludziom, ratunek Ojczyźnie!

Niech was Jezus błogosławi nowonarodzony
Za co chwała niech Mu będzie zawsze z waszej strony,
By nie było lepszych w świecie, jak polscy rolnicy:
Życzy z serca głębokiego

Wojtek ze Smolnicy.

Somosierra.

Czemu mój dziad to słowo zawsze wspominali?

Pamiętam, jak wczoraj, dziadka mego Krzysztofa, świeć Panie nad jego duszą, choć to jeszcze małem chłopięciem byłem, kiedy go Bóg powołał do swojej najświętszej chwały. Był też bo sobie dziad mój dziwny starowina, jakiego już dziś nie tak łatwo odszukać na świecie.

Miał już górą lat 60, ale zawsze był jeszcze zdrów i wesół jak ryba, choć głowę miał bielutką jak śnieg, a twarz mu wyschła i pożółkła od starości, to trzymał się prosto i chwacko, jakby jaki smyk dwudziestoletni, a w rękach miał jeszcze tyle siły, żeby się jej i najtęższy chłop nie był powstydził.

Był zaś przytem dziad mój Krzysztof bardzo zacny i pobożny, a choć mu wiek już niedopisywał, boć to zwyczajnie starość nie radość, toć przecież nie lubiał siedzieć z założonemi rękami, jeno zawsze wynalazł sobie jakąś robotę i zawsze coś w kącie dłubał starowina. Miał w alkierzu łóżko, a nad łóżkiem wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a koło świętego obrazu wisiała znowu stara, duża szabla i dwa pistolety ze skałką.

Kochałem bardzo mego dziada, bo on mnie też serdecznie kochał i pozwalał mi nieraz bawić się jego szablą, która choć już była taka stara, jak sam dziadek, to zawsze była czysta i biała, a świeciła się jak źwierciadło. Ale bywało nieraz, mój dziadek się zamyśli i zasumuje, chodzi dużemi krokami po izbie, staje przed łóżkiem i patrzy w szablę zadumany. Wtedy widziałem dobrze, jak mu nieraz w oczach łzy się pokazały i jak targał rękami swój wąs długi i siwy. W takim razie wzdychał mój dziad głęboko i mówił takie słowo:

— *Somosierra!...*

Mnie się to słowo bardzo dziwnem zdawało, bo też i na prawdę jest dziwne, bo w naszej polskiej mowie niema takiego żadnego a człek nawet nie może odgadnąć, coby to takiego znaczyło. Byłem też okrutnie ciekawy, coby to znaczyć mogło *Somosierra*, ale choć się pytałem tego i owego, to nikt nie umiał mi dokumentnie wytłumaczyć. Zaś samego dziadka o to pytać się bałem, bo zawsze, kiedy to cudackie słowo wymawiał, to był taki chmurny i niby gniewny, tak wąs djable kręcił i tak mu się oczy iskrzyły, że mnie strach zbierał i ani słówka pisnąć nie śmiałem.

Ale razu jednego jakoś dziadek był wesoły i mowny, a ja się podsunąłem do niego i pokazując palcem na szablę, zapytałem:

— Czy dużo było krwi na tej szabli, kiedy dziadunio był wojakiem?

Dziadek popatrzył na mnie z ukosa, uśmiechnął się, pokręcił wąsa i odpowiedział:

— Ho! ho! chłopcze, czy dużo na niej krwi bywało? A juściż nie była ona taka czysta i błyszcząca, a kiedy człek był wojakiem, to nieraz aż szczerby w niej porobił na łbach nieprzyjacielskich!

— A jakichże to dziadunio nieprzyjaciół rąbał tą szablą? — Zapytałem dalej ciekawie.

— Jakich? — zawołał dziadunio — Oj nie z jednym karkiem zdybała się ta szabla! Skakała ona różnym ludziom po grzbiecie, Moskalom, Prusakom, Hiszpanom, Anglikom!

— A kiedyż to było dziaduniu? — odezwałem się nato.

— Kiedy było chłopcze? — prawił mój dziadek — było to wtedy, kiedy człek był polskim wojakiem pod cesarzem Napoleonem i bił się po całym szerokim świecie!

Kiedy już poznałem, że dziadek jakiś wesoły i rozmowny, więc też zapytałem go zaraz śmiało:

— A proszę dziadka, kto też to był ten pan Somosierra!

Jak dziad to usłyszał, popatrzył na mnie bystro i począł się potem śmiać z całego gardła.

— Pan Somosierra! — zawołał — cha, cha, cha! Co ty pleciesz chłopcze: pan Somosierra! A gdzie to Somosierra był pan jaki?...

— A cóż to było dziaduniu? — zapytałem

— Co to było? Somosierra! — prawił na to mój dziadek — a toć wy nie wiecie nawet co to było Somosierra?! Hej, hej, mocny Boże! dziś już nawet nikt nie wie co to było Somosierra! Oj wstyd, wstyd! aż starego wojaka serce boli!

— A cóż ja winien dziaduniu — odpowiedziałem — kiedy mi nikt nie wytłómaczył, co to słowo oznacza. Wszyscy mi mówili, abym się zapytał dziadka, bo dziadek o tem wiedzą najlepiej!

— A dziad mój na to:

— Ma się rozumieć, że wiem najlepiej. A któżby inny miał o tem lepiej wiedzieć, jak ja, co tam byłem.

— To dziadunio był w tem Somosierra? Alboż to miasto jakie? — zapytałem.

— A lichać tam miasta, chłopcze — odpowiedział dziadek — góry to okrutne, wysokie i spadziste jak mur, że się i kotowi trudno na nie wydrapać.

— A gdzież te góry leżą, w jakim kraju? — odezwałem się znowu.

— Oj w dalekim, bardzo dalekim kraju, w Hiszpanii, co to jest daleko na południe, nad samem morzem.

— A cóż tam dziadunio robił w Hiszpanii i w Somosierra? — pytałem się znowu, miląc się do starego, aby mi opowiedział wszystko.

Dziad pokręcił wąsa, popatrzył na szablę, a potem poklepał mnie po ramieniu i mówi:

— Czekajże chłopcze, ja ci to rozpowiem, tylko słuchaj uważnie, bo jak ja umrę, to kto wie, czy znajdziesz na świecie już człowieka, co był sam pod Somosierrą i mógł ci rozpowiedzieć wszystko tak, jak na własne oczy widział.

Ja się przysunąłem do dziadka i począłem słuchać z uwagą, a dziadek tak rozpowiadał:

— Kiedyśmy z Napoleonem poszli do Hiszpanji, a była nas Polaków garść tęga, musieliśmy się bić prawie za każdym krokiem, bo Hiszpanie lud bardzo zaciekły, i jak już nam nie mógł zaszkodzić w otwartem polu, to cichaczem na nas napadał, strzelał na nas z ukrycia, i rozmaite robił na nas zasadzki! Ale co to im pomogło, kiedy nad nami dowodził taki wielki wojownik jak cesarz Napoleon!

— A co za jeden był ten Napoleon? — zapytałem dziadunia.

— Co za jeden był Napoleon! — zawołał dziad Krzysztof — kroć sto tysięcy miljonów kul, bomb i granatów! A toś mi mądry chłopcze! Toć nie wiesz kto był Napoleon! Ho ho! był to cesarz i wojownik, jakiego świat jeszcze nie miał a może i mieć nie będzie! Jak dorośniesz i będziesz umiał czytać, to się dopiero nie będziesz mógł o tym Napoleonie do syta naczytać. A ja ci powiem po krótkości: Napoleon był to cesarz francuski, taki dzielny i waleczny, że nic się przed jego potęgą i szablą nie ostało! Był on synem ubogich rodziców, pono jakiegoś pisarza w Korsyce, co jest wyspą na morzu, ale jak wstąpił do wojska, tak zaraz został oficerem, z oficera jenerałem, a z jenerała cesarzem, jak z bicza trzasł. Inni monarchowie to się sami rodzą na tronie, a Napoleon to z ubogiego chłopaka wyszedł na monarchę. Napoleon ten miał wielkie wojsko, w którem byli i Polacy, a on też sam był żołnierzem całą duszą a umiał tak dowodzić i bić się z swymi nieprzyjaciołmi, że na kogo tylko uderzył, to w proch go rozbił. Anglików, Niemców, Moskali, Hiszpanów — wszystko to rozgromił swojemi wojskami, odbierał królom ich kraje, zawojował świat cały, a wszystko co żyło, bało go się jak ognia!

Pod nim to i prosty żołnierz dorobić się mógł korony i zostać monarchą. Bo to Napoleonowi wszystko było jedno, czy szewc, czy krawiec, czy chłop, byle dobrym był wojakiem i szedł na armatnie kule jak na śniadanie a miał przytem olej w głowie, to go zaraz zrobił jenerałem, księciem, a w końcu dał mu kraj cały i zrobił monarchą. Zaś żołnierzy lubiał jak braci, a sam ubierał się, jakby jaki chudzina, w szaraczkową kapotę i wysokie buty, choć był pierwszym mocarzem i wojownikiem na cały świat szeroki!

Tu stary dziadunio odsapnął trochę i mówił potem dalej:

— Otoż pod tym cesarzem Napoleonem wojowali także Polacy i byli z nim razem w Hiszpanji. Jak ci już powiedziałem, robili na nas Hiszpani zasadzki i chowali się nieustannie w wysokie góry, bo nic na otwartem polu wskórać nie mogli. Owo wojując tak w Hiszpanji podmaszerowaliśmy raz pod okrutne góry, w których się zasadziło wojsko hiszpańskie. W środku tych gór, była jedna strasznie stroma i przepadzista, a cała była wyszpikowana armatami i żołnierzami hiszpańskimi. A do tej góry szedł okropny jar skalisty. Owoż w tym górskim wąwozie, co prowadził do hiszpańskiego wojska, nastawili Hiszpanie moc armat, z których okrutnie strzelali, aby się nikt do nich nie dostał. Wąwóz ten przepaścisty nazywał się Somosierra.

— Somosierra! — zawołałem, aby sobie to cudackie słowo dobrze spamiętać.

— Tak, tak! Somosierra! pamiętaj sobie chłopcze to słowo, bo w tej Somosierze Polacy takiego cudu dokazali, że sam Napoleon dziwował się okrutnie i mówił, że niema na ziemi siarczystszych chwatów i odważniejszych żołnierzy jak Polacy. Słuchajże dalej. Jak Napoleon przyszedł z swem wojskiem pod te góry, to chciał koniecznie zdobyć najpierw ten wąwóz Somosierra, bo inaczej byłby nie doszedł do ładu z Hiszpanami. Ale zdobądź że piekło! Somosierra zaś to było istotne piekło, bo kto się tylko w ten jar zapuścił, zaraz padł jak mucha od kul hiszpańskich. A tu koniecznie trzeba było, aby przez ten wąwóz dostać się do Hiszpanów. Co tu robić? Trudna rada. Napoleon wyséła francuskich żołnierzy, aby sztur-

mem zdobyli ten wąwóz Somosierra, ale cóż!... Ledwie się żołnierze posuną na kilka kroków, to padają jak wróble i dalej już nawet iść nie chcą, bo gdzie się ruszysz jeno, to armaty cię wezmą w krzyżowy ogień, że jeno ducha Bogu polecaj! Wysełają wojsko i wysełają, ale zawsze wraca z kwitkiem i darmo się tylko krew leje, bo ani rusz wąwozu tego zdobyć nie można. Napoleon gniewa się okrutnie, zachodzi w głowę, łaje jenerałów, ale jak nie pomaga tak nie pomaga. Nareszcie powiadają mu, że tym wąwozem nikt się na górę nie dostanie. Wtedy Napoleon przypomniał sobie, że ma polskich ułanów, co z nich każdy taki chwat, że w piekło by skoczył i djabłu rogi urwał.

— Kiedy wy tego dokazać nie możecie — zawołał Napoleon — to Polacy tego pewnie się nie zlękną i duchem tam tym Hiszpanom wsiądą na karki!

I zakomenderował:

— Polacy naprzód! Rozpędzić mi tych hultajów hiszpańskich i zdobyć ten wąwóz przeklęty!

Wtedy nasz pułkownik zawołał do ataku, a my jak nie spniemy konie ostrogami, jak nie popędzimy wichrem na wąwóz Somosierra, aż nam się z pod ziemi odezwało. Hiszpanie strzelili do nas z wszystkich armat, kule świszczą i jak deszcz gęsto lecą, huk okrutny, że aż góry się trzęsą, a tu jeden po drugim z naszych ułanów spada z konia jak gruszka i umiera od kuli. Ale my na to nie pytamy! Hurra! Jezus Marja! Niech żyje Polska! wołamy i pędzimy dalej przez wąwoz i co kilkadziesiąt kroków odbieramy Hiszpanom nastawione na nas armaty. Hiszpanie strzelają na nas jak wściekli, nasi ułanie giną strasznie od kul armatnich — ale wiara polska nic nie pyta, hurra naprzód i naprzód! Zabieramy armaty po armatach, sieczemy i kłujemy — i tak za chwil kilka zdobyliśmy ten straszny wąwóz Somosierra. Wielu tęgich polskich ułanów zostało po drodze, bo ich kule hiszpańskie pozabijały, ale my dokazaliśmy przecie tego, czegoby nikt nie potrafił, jeno Polacy! Pamiętaj chłopcze, pamiętaj: Polacy zdobyli Somosierra!

Dziad Krzysztof aż się umęczył, tak mi to ogniście opowiadał i aż poczerwieniał na twarzy, a ja aż dech zaparłem w sobie, z taką ciekawością go słuchałem.

— Jak Napoleon zobaczył, żeśmy zdobyli wąwóz Somosierra — mówił po chwili znowu dziad mój — aż podskoczył na koniu z radości i zawołał do swoich jenerałów:

— A co nie mówiłem, że Polacy tego dokażą! i zażył z wielkiej wesołości aż trzy razy, raz po razu tabaki i potrzepując palcami wołał:

— Polacy to mi chwaty! to mi chwaty!

Ale bo też i było za co chwalić, jak mi Bóg miły. Anu czy dokaże kto dzisiaj tego, aby pędził szturmem na taki wąwóz? Z lewego boku okrutna góra, z drugiego także, co kilka kroków armaty, a na górze trzynaście tysięcy Hiszpanów! Kroć sto tysięcy! To mi była sztuka i kawałek! A toć sam Napoleon mówił, że gdyby nie Polacy, przepadłby z kretesem, bo by się był nie dostał dalej, jeno całą wojnę przegrał! Ale też znowu aż żal człeku serce kraje, kiedy sobie wspomni, ile to tam polskiej krwi się przelało! Oj niejeden dzielny Polak zginął w tem piekle hiszpańskiem pod Somosierra! Ot naprzykład, komendant mego szwadronu, Kozietulski, Panie świeć nad jego duszą, umarł z ran niedługo po bitwie, a innych to już nawet niepomnę. Albo pan rotmistrz Niegolewski, co także już nie żyje, miał trzydzieście dwie ran, słuchaj, chłopcze trzydzieście dwie ran! od hiszpańskich bagnetów, ale twarda w nim była dusza i nic mu nie było.

— A dziaduniowi nic się tam nie stało? — zapytałem.

— I stało i nie stało! — odpowiedział mój dziadek — nie stało mi się nic, bo widzisz, że się człeku jeszcze oczy świecą i po bożej ziemi się włóczy, a stało się znowu, bo mam pięć dziur w ciele od kul hiszpańskich! Powiadam ci chłopcze, że się te kule koło mnie jak groch sypały! W szturmie pod Somosierra miałem przez ramię mój płaszcz zwinięty — a jak go później rozwinąłem, to dziur w nim było tyle od tych kul hiszpańskich, że cały płaszcz na nic i jenom sobie z niego rękawice mógł wystrzydz! Nie brakowało tam wiele, a byłbym

kłapnął sobie i ani murknął, ale mnie Najświętsza Panna cudem uratowała!...

— A to jak? — zapytałem.

Dziadek mój sięgnął pod koszulę i wydobył srebrny medalik Najświętszej Panny Marji królowej polskiej. Pokazał mi go, jaki był rozbity i spłaszczony i mówił:

— Oto patrz w same serce trafiła mnie była kula i byłbym już nie żył pewnie, ale odbiła się tak od wizerunku Najwiętszej Panny, jak piórko! Ale choć życie moje wisiało w tej strasznej bitwie na włosku, to też i radość potem była wielka. Dostałem zaraz krzyż legji honorowej!

— A cóż to za krzyż? — zapytałem.

— Co za krzyż? — prawił dziadek — to był taki order złoty, który cesarz Napoleon dawał samym najwaleczniejszym wojakom w nagrodę! Hej, hej! minęły te czasy! Przepłynęły jak woda! Gdyby się choć wróciły raz jeszcze!

— Jakto? — zapytałem — toby dziadek nie bali się drugi raz szturmować na Hiszpanów pod Somosierra!

— Jakto, jabym się miał bać? Alboż ja nie Polak sprawiedliwy? — odpowiedział dziadek. — Gdyby takich dziesięć Somosierr było, pędziłbym na każdą, byle tylko bić się o dobrą sprawę!

I stary dziadek zadumał się czegoś i patrzył ciągle na pistolety i szablę, co wisiały nad łóżkiem. A ja podziękowałem dziadkowi memu za opowiadkę i już nie dziwowałem się potem, kiedy stary mówił sam do siebie to słowo *Somosierra.* A i wam to spisałem, co mi mój dziad Krzysztof opowiadał, abyście wiedzieli, jak to się nasi ojcowie tęgo bijali na wojence.

Wojtek ze Smolnicy.

RÓŻNOŚCI.

Kara Boża. Nieraz się to zdarza między ludźmi, że gdy ich kiedy sąd powoła na świadków, to świadczą fałszywie i umyślnie przekręcają prawdę, aby zrobić krzywdę niewinnemu. Wielki to grzech, bo Pan Bóg wyraźnie nakazuje w dziesięciorgu przykazań: „Nie będziesz mówił fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu;“ a kto przeciw temu przyka-

zaniu grzeszy, tego prędzej czy później kara Boża nie minie. Zaś na dowód tego opowiem wam, jak Pan Bóg skarał zaraz jednego takiego fałszywego świadka. A jest to prawdziwy przytrafunek, który się stał kilka miesięcy temu i na który ludzie własnemi oczyma patrzyli. W Bytomiu na Szlązku, w którym żyją także Polacy pod pruskiem panowaniem, procesował się jeden karczmarz z kupcem o 200 talarów. Za świadka zawołał sąd robotnika od huty żelaznej, co tam jest w pobliżu, nazwiskiem Rudolfa H. Otoż ten Rudolf H. dał kłamliwe świadectwo przed sądem, a gdy mu mówili, że na krzywdę ludzką mówi nieprawdę i sąd durzy, to on odpowiedział:

— Niech mi Pan Bóg nogi połamie, jeżeli kłamię.

A nie myślał pewnie bezbożnik, że boska kara wisi na włosku nad każdym złym człowiekiem. Sąd kazał temu robotnikowi zaprzysiądz, i ano patrzcie, przysiągł hultaj na kłamstwo, jakby na najświętszą prawdę! Ale zaledwie wyszedł z izby sądowej na ulicę, aż tam konie jakieś, co stały bez furmana, spłoszyły się, i nadleciały na tego krzywoprzysiężcę, tak, że go wóz przejechał i obie nogi połamał mu koło kolan! Tak to sobie ten niegodziwiec sam wywróżył boską karę. Zaś cały ten przytrafunek stał się w dzień jarmarkowy, tak, że wszyscy ludzie widzieć mogli to pokaranie sprawiedliwe.

Stare i młode ptaki. Pożal się Boże, kiedy się widzi i słyszy, jak to nieraz złe i niegodziwe dzieci ze swoim starym ojcem i ze swoją starą matką się obchodzą! Dopóki u ojca i u matki czują grosze, dopóki ojciec i matka nie zapiszą im gospodarstwa, to ciągle im nadskakują i powtarzają:

— Kochany ojcze, ja was tak bardzo kocham, najdroższa matko, jabym was ozłocił.

Ale skoro poczciwi rodzice swoją krwawą pracę oddadzą dzieciom w ręce, wnet wtenczas inaczej słyszeć można:

— Ty stary dziadu, ty stara babo, daremnie zawadzacie nam tylko, lepiej żebyście już raz pomarli.

Często niestety jeszcze gorzej się dzieje, ale wolę już zamilczeć o takich okropnościach i nie powiem wcale o tem, jak to nieraz starego ojca i schorzałą matkę dzieci z domu wypychają, jak staruszkowie tę samą rękę, która ciężko na dzieci pracowała, muszą do obcych ludzi wyciągać, prosząc o chleba kawałek! Opowiem tu tylko, jak zrobił stary ale i mądry Grzela poczciwy. Wyposażył on wszystkie swoje dzieci i to wyposażył co się zowie, ale zatrzymał też dla siebie tyle grosza przez cały wiek swój zapracowanego i oszczędzonego, ile mu potrzeba było i na uczciwe wyżywienie i na poratowanie biednego i na ofiarę Panu Jezusowi, jaką składał od czasu do czasu. Dzieci ten jego majątek bardzo żgał w oczy, chętnieby były go między siebie podzieliły i tak mu tedy przekładały:

— Bodaj ojca, czy to kochanemu ojcu potrzeba na starość się tam jeszcze kłopotać i mozolić. Podziel nas ojcze resztą majątku, nie będzie miał ojciec kłopotu, bo my będziemy się starali o ojca.

Tak dzieci przekładały a stary Grzela na to:

— Razu pewnego zmęczony usiadłem sobie pod jabłonką, którą to jeszcze mój nieboszczyk ojciec, Panie świeć nad jego duszą, zasadził i tak siedząc przypatrywałem się, jak stare ptaki swym młodym żywność przynosiły i w dzióbki podawały. Czyniły to bez ustanku i z wielką jak widziałem ochotą. Przyszła mi tedy myśl do głowy, czy i młode ptaki również swym starym takby nosiły żywność, czyli też pozwoliłyby im z głodu umrzeć? Złapałem więc na sidełka stare, wsadziłem je do klatki i powiesiłem na tem samem drzewie, na którem młode od starych karmione były. Młode tymczasem już się były wypierzyły, wyleciały z gniazda i same sobie pożywienie szukać mogły. Zamknięte stare litościwie wołały z głodu o żywność. Młode przylatywały do klatki, dziwiły się im, ale na tem się też skończyło, żywności nie przyniosły starym. To widząc pomyślałem sobie, że i mnie tak samo a może i gorzej jeszcze mogłoby pójść gdybym resztę majątku między was rozdzielił.

Potwarcy i podżegacze. Żal się Boże, że pomiędzy wami, kochani wieśniacy, znajduje się jeszcze dużo ludzi złych i bezbożnych, co za nic sobie nie mają ani Boga ani cnotę, spotwarzają poczciwych ludzi, dybią na ich sławę i wyrządzają im ciężką krzywdę. Alboż to jedna wieś ma takich potwarców i podżegaczy, co skoro im się kto niepodoba, zaraz ci na niego najrozmaitsze rzeczy wymyślają i wygadują, obmawiają i czernią, przed sądem niesprawiedliwie oskarzają a jeszcze drugich ludzi podburzają i podżegają. Od takich ludzi nikt nie jest pewny, choćby był poczciwy i zacny jak święty, bo już to tak na świecie, że każdy zły człowiek nienawidzi dobrych. Przed takimi podżegaczami i potwarcami powinniście się strzedz jak przed ogniem, uszy przed nimi zatykać i poły urzynać, bo was zawsze na złe namawiają, do procesów i gwałtów was judzą i do nędzy i grzechu ciężkiego wiodą. Ale też takim potwarcom, co drugich ludzi krzywdzą, nigdy to na dobre nie wyjdzie, bo prawda wyjdzie na wierzch, jak szydło z worka. Ot np. w Grodzisku, we wsi co leży w rzeszowskim cyrkule, znaleźli się tacy ludzie, co własnego proboszcza, staruszka pobożnego, księdza Dziedzica, za to oczernili przed sądem, że chciał szkółkę zaprowadzić we wsi. Powymyślali na niego najrozmaitsze potwarze przed sądem i Bóg wie co tam za skargi na niego powywodzili, tak, że księdza Dziedzica do więzienia zamknęli. Ale sąd wnet poznał gdzie prawda, to też i wymierzył księdzu z Grodziska sprawiedliwość jak się patrzy, i uwolnił go jako niewinnego całkowicie. Czyż można mieć serce, moiście wy kochani, tak dybać na krzywdę czyją bez przyczyny i kogoś wtrącić w nieszczęście za to, że chce aby dzieciaki się czegoś ludzkiego nauczyły i nie żyły jak bydlęta?...

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: **E. Winiarz.**

Tom XII. Nr. 2.

11. stycznia 1865.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

OJCOWIE TRYNITARZE.

W kościele żurawieckim, co jak ludzie opowiadają, już z jakich trzysta lat okrągłych stoi, jest duża i piękna zakrystya. W zakrystyi tej mnóstwo jest ksiąg starych, uczonych i nabożnych, i rozmaitych sprzętów i zabytków kościelnych co niemiara. Ale co już najpiękniejsze i najciekawsze, to owe stare, ogromne obrazy, co wiszą na wszystkich czterech ścianach zakrystyi.

Otóż przed temi obrazami stawali zawsze żurawieccy gospodarze i chłopcy, i przypatrywali się z wielką ciekawością rozmaitym historyom, co na nich były wymalowane. Szkolarze żurawieccy bywało po całych godzinach oglądają te malowania, ale nie każdy wiedział, co też one oznaczać mają.

Ale razu jednego rano dwóch najlepszych szkolarzy z Żurawca, Staś Ględa i Michaś Łagoda służyli xiędzu proboszczowi do mszy, a kiedy już służba boża się ukończyła i xiądz rozbierał się w zakrystyi, stanęli obaj przed jednym dużym obrazem, co prawie pół ściany zakrywał. Stanęli i patrzą a

patrzą, odpatrzyć się nie mogą, bo na tym obrazie jakaś bardzo piękna i dziwna historya była wymalowana.

Co zaś było na tem dużem malowaniu, to wam tu opiszę. Oto najpierw było po wszystkich bokach tego obrazu wymalowano mnóstwo ludu, mieszczanie, wieśniaków i wielkich panów w złocie i przy szablach, że wszystko to takie, że jeno aby się ruszyło, a przysiągłbyś, że to żywe.

Zaś po środku tego ludu namalowano było coś gdyby procesya. Bo to najpierw szli kościelni z chorągwiami i z krzyżem, a za nimi jacyś księża bosy, widać zakonnicy, w białych habitach, na których znowu wymalowane były niebieską i czerwoną farbą krzyże. A tak to było na tym obrazie uszykowane, że najpierw szło po dwóch takich zakonników w białych habitach a za nimi dwóch jakichś starców z siwemi brodami, ubranych ubogo i z wynędzniałemi twarzami, a potem znowu po dwóch zakonników, a za nimi znowu jacyś biedni ludzie i kobiety w rzędzie, i tak było to wymalowane na obrazie aż po drewniane ramy. A zaś wszyscy ci ludzie, co szli w parach za tymi zakonnikami w białych habitach, ubrani byli w jakieś obszarpane zamorskie suknie, i wyglądali tak, jakby z dalekiego świata wędrowali a z oczu im jakaś wielka radość patrzyła.

Owoż Staś i Michaś, jak wlepili oczy w ten obraz, tak patrzali i patrzali, aż xiądz proboszcz rozebrał się z szat kapłańskich i zapytał ich:

— A co wy tam tak oglądacie chłopcy?...

A oni na to:

— A proszę xiędza dobrodzieja, ten obraz, co na nim coś takiego wymalowane, gdyby procesya, jeno żeśmy jeszcze takich xięży nie widzieli, coby byli tak ubrani.

— A toć wy pewnie nie wiecie, co ten obraz przedstawia? — pyta xiądz proboszcz.

A chłopcy sobie:

— A jużci że nie, a proszę księdza dobrodzieja, radzibyśmy bardzo wiedzieć, co to takiego.

— Otóż ja wam opowiem — odpowiedział xiądz proboszcz — jeno posłuchajcie pilnie, abyście nie tylko sami wiedzieli,

ale i drugim na rozum wyłożyli, jak was się kto o to będą pytać. Ci xięża w białych habitach z czerwonemi i niebieskiemi krzyżami, to są ojcowie Trynitarze.

— A co to za ojcowie Trynitarze? — zapytali chłopcy.

— To tyle znaczy po polsku, co zakonnicy świętej Trójcy — mówi na to xiądz proboszcz. Byli to tacy sami xięża i zakonnicy, jak OO. Bernadyni, Franciszkanie albo inni, jeno że za dawnych czasów mieli oprócz modlitwy i chwały Bożej także inne, bardzo ważne zatrudnienie.

— A cóż oni robili? — zapytali chłopcy.

A xiądz proboszcz mówi:

— Dawnemi czasami, kiedy jeszcze Turcy i Tatarzy napadali na naszą Polskę, i dużo z sobą biednych ludzi wlekli w niewolę, to ci zakonnicy chodzili w kraje pogańskie i wybawiali z ciężkiej niewoli tych biedaków. A tu na tym obrazie akuratnie jest wymalowane, jak Ojcowie Trynitarze wracają z ziemi pogańskiej do Lwowa i prowadzą z sobą tych niewolników z ciężkiej nędzy na tatarskiej i tureckiej ziemi. Oto patrzcie na ten obraz, te biedne ludziska, co idą za tymi zakonnikami w białych habitach, a tak nędznie wyglądają i taki dziwny, zamorski ubior mają na sobie, to są ci wyratowani przez xięży Trynitarzy niewolnicy polscy.

A chłopcy pytają:

— To xięża Trynitarze umyślnie chodzili w kraje pogańskie za tymi biedakami?

— A nie inaczej — mówi na to xiądz proboszcz — całe życie obracali Trynitarze na to, aby uwalniać Chrześcian z mocy pogańskiej. Toć słyszeliście już nieraz, że dawnemi czasami Turcy i Tatarzy napadali często naszą ziemię polską, palili i mordowali, a jak na nich wojsko polskie uderzyło, to uciekali co prędzej i pędzili jak wiatr po polu a po drodze zabierali z wsi i miast polskich gospodarzy i kobiety, chłopców i dziewczęta, i tam potem w swoim kraju w wielkiej nędzy i biedzie trzymali. Otóż dla tego był ten zakon św. Trójcy, czyli xięża Trynitarze, aby potem chodzić w pogańskie kraje i ratować tych nieszczęśliwych Chrześcian polskich z niewoli.

*

A chłopcy zapytali znowu:

— A czy poganie tym xiężom Trynitarzom wydawali dobrowolnie połapanych Polaków, tak jeno za dobre słowo?

— Oj nie tak to bywało — mówi na to xiądz proboszcz — xięża Trynitarze mieli z poganami ciężką biedę. Bo to poganie jak jakiego Chrześcijanina w swą moc dostali, to już go do śmierci puścić nie chcieli. To też xięża Trynitarze, jak szli w te kraje, gdzie Turek siedzi, to brali z sobą dużo pieniędzy i wykupywali za wielki grosz tych polskich niewolników, i o każdego targować się musieli dobrze z takim Tatarem lub Turkiem, nim się poganin na pieniądz złakomił i Chrześcijan xiężom odsprzedał. Za niejednego Polaka co go Turcy w swych pogańskich rękach, jak w szponach djabelskich trzymali, to ci zakonnicy zapłacić musieli nieraz i sześćset złotych.

— A zkądże oni tyle pieniędzy brali? — zapytali chłopcy.

A xiądz proboszcz na to:

— Dawali im te pieniądze królowie polscy i rozmaici polscy panowie.

— A jakże się oni rozmawiali z poganami, kiedy ani Tatarzy ani Turcy po polsku gadać nie umieli? — pytają chłopcy.

— Ojcowie Trynitarze — rzecze na to xiądz proboszcz — umieli dokumentnie gadać po pogańsku, to jest po turecku i tatarsku, i rozmówili się z każdym bisurmanem tak gładko, jakby z własnym krajanem.

— A czy często chodzili ci zakonnicy w pogańskie kraje i czy dużo ztamtąd przyprowadzali połapanych Polaków? — pytali chłopcy.

— Ojcowie Trynitarze — odpowiedział xiądz proboszcz — chodzili tam co kilka lat i zawsze wykupywali po kilkadziesiąt takich biedaków od Turka, ile im tylko grosza starczyło, bo to jak wam już mówiłem, poganie kazali sobie okrutnie płacić za niewolników.

— A kto też to proszę xiędza dobrodzieja, ustanowił w Polsce zakon Ojców Trynitarzy? — zagadnęli chłopcy.

A xiądz proboszcz na to:

— Zakon Trynitarzy ustanowił w naszej Polsce sławny król polski, o którym już nie raz i nie dwa razy słyszeliście,

król Jan III Sobieski. Kiedy ten sławny król polski wyratował Wiedeń od Turków i tłuszcze pogańskie rozprószył jak plewę, że się to potem nigdy na ludzkie nieszczęście nie zebrało, to wysłał potem zaraz kilku panów polskich w poselstwie do Rzymu, do Ojca świętego, co się zwał Innocenty, aby mu dać wiadomość dokumentną o tem swojem wielkiem zwycięztwie i o wyratowaniu Niemców i chrześciaństwa od plagi pogańskiej i aby mu posłać w podarunku wielką chorągiew pogańską, co ją Turcy mieli za świętą, a którą nasz król Jan im odebrał. Otóż kiedy ci posłowie polscy przyjechali do Rzymu, to już tam istniał taki zakon trynitarski do wykupywania Chrześcian z niewoli pogańskiej. To się bardzo panom polskim podobało i zaraz im przyszło do głowy, żeby się tacy zakonnicy przydali bardzo dla Polaków, aby także ratowali tych biednych Chrześcian z polskiego kraju, co popadli w ręce tatarskie albo tureckie. Zaś ci Trynitarze, co byli w Rzymie, pochodzili z bardzo dalekiego kraju, aż z Hiszpanii. Panowie polscy zaraz o tem dali znać królowi Sobieskiemu, a ten kazał kilku takich xięży sprowadzić do Polski. Zaraz też przyjechali a król Sobieski fundował im klasztor we Lwowie. Potem przystało do tego zakonu wiele naszych Polaków, i ci Ojcowie Trynitarze pobudowali sobie potem dużo klasztorów w Polsce a już to najbardziej w tych stronach, gdzie najwięcej napadali poganie, to jest między Rusinami.

— A czemu to teraz nie ma u nas Ojców Trynitarzy? — zapytali chłopcy.

— Bo to widzicie — prawił na to xiądz proboszcz — od czasu kiedy król Jan Sobieski zniszczył pod Wiedniem wojska tureckie, to już potem poganie nie pchali się tak na ochrzczoną ziemię. Więc też ustały rozboje i napady tureckie i tatarskie i już nikt nie popadał w niewolę pogańską. To też już coraz mniej fundowało się klasztorów trynitarskich, ale zawsze ich jeszcze kilka zostało. Kiedy jednak Polska dostała się pod obce panowanie, to te klasztory Ojców Trynitarzów pokasowano wszędzie i już ich teraz nie ma. A teraz już wiecie, co na tym obrazie namalowane, i co byli za jedni ci xięża Trynitarze, pamiętajcież to sobie i rozpowiedzcie i drugim, jeśliby kto o to pytał.

Obaj szkolarze pocałowali xiędza proboszcza w rękę i podziękowali pięknie za rozpowiadkę, a gdy wrócili do domu, to opowiadali to ojcom i innym ludziom, co słyszeli o zakonnikach, co się zwali Trynitarze.

Wojtek ze Smolnicy.

Pieśń do Bogarodzicy.

(Na nótę „Bądź pozdrowiona, Panienko Marya".)

Bogarodzico! Najświętsza Marya!
Niechaj Twa łaska prośbie naszej sprzyja,
Ciebie o Pani naród polski wzywa,
Tyś jego matka, matka litościwa!

Królowo Polski! Tyś ją ukochała,
Tyś na nią zdroje łask swoich wylała,
Z nad Częstochowy, Poczajowa, Wilna,
Zawsze ją strzegła Twoja ręka silna.

I dziś o wejrzyj na ziemię kochaną,
Rozmaitemi klęskami nękaną,
Nie puść jej, nie puść z twej świętej opieki,
Jak królowałaś tak króluj na wieki!

Daj, by lud polski był cnotliwy, prawy,
Aby strzegł zawsze Twojej świętej sławy.
Użycz mu dawnej ducha pobożności,
I ducha wiary i bratniej miłości.

Niech zawsze w niebo do Ciebie spogląda,
I Twej pomocy o Matko wygląda,
Niech nie popada w żadne powątpienie,
Wlej weń nadzieję, cierpliwości tchnienie

Uzbrój go Panno męztwem i stałością,
By walczył śmiało z wszelką przeciwnością,
By jako pierwej duszą mężną słynął,
Za wiarę świętą krew dawał i ginął.

Daj, by się nigdy nie kalał grzechami,
By cnotliwemi szedł zawsze drogami;
Użycz mu światła konieczne poznanie
Nieprzyjaciołom daj opamiętanie.

Wstawiaj się za nas, o Matko jedyna!
U Boga Ojca i u Twego Syna,
A gdy skończymy ten żywot niestały,
Przyjmij nas, przyjmij do niebieskiej chwały! Amen.

Wincenty z Podkamienia.

Historya o Bazylim i jego ukaraniu.

Opowiedział Józef z Bochni.

Przed dwoma miesiącami pojechałem ci ja do tych gór ślicznych, które się Karpatami nazywają. Napatrzyłem się różnym potokom górskim, co w wielkim na ziemię spadają pędzie; samotnym wioseczkom, których domki czasem na niedostępnych zdaje się stoją skarpach i urwiskach, przekonałem się jak tam mozolnie muszą uprawiać ludzie swoje pola, a i tak nędzne prowadzą życie.

Powracając już do domu, zajechałem przed wieczorem do jednej wioski, która jakoś niedaleko leży od Krynicy, gdzie to chorzy jeżdżą ludzie, aby pokrzepić swoje zdrowie.

Kiedy wjeżdżałem do onej wioski, zdumiałem się cokolwiek, gdym obaczył piękną kapliczkę przy drodze i zaraz mię ciekawość zebrała dowiedzieć się kto ją to postawił?

Na moje szczęście gdym sobie chodził około kaplicy i dumał nad nią, nadszedł ku mnie jakiś gazda nieznajomy, więc go zaraz pozdrawiam po chrześciańsku i pytam:

— A nie wiecie wy też, kto to postawił tę kapliczkę?

Na to powie góral z uśmiechem:

— Oj toć przecie w naszem siele wie o niej każde dziecko a dlaczegożby i ja nie miał wiedzieć? Ale o niej także długa jest historya, więc ją trudno tak na poczekaniu opowiedzieć.

Rozciekawił mię gazda jeszcze bardziej, owoż zaraz powiadam do niego:

— Jeśli żałujecie mitręgi, to wam za to dam na tytoń, a opowiedzcie mi co wiecie o tej kapliczce, a może będzie coś takiego, z czego się człek czegoś nauczyć może. Przecież tego nie powinniście odmawiać nikomu, tem bardziej kto ma wiedzieć ochotę.

A góral odpowie:

— A toć usiądźmy sobie tu pod tą lipą, a ja wam opowiadać będę, i spodziewam się że i drugim opowiecie to zdarzenie.

Tu schował góral fajeczkę do torby przy boku wiszącej, odkrząknął sobie, poprawił kapelusza na głowie i długich swych włosów, i tak jął mi opowiadać:

Przed niewielu laty, bo nawet ja, choć nie bardzo jestem stary, pamiętam sobie dobrze, jak w naszej wiosce żył Bazyli Kutrzeba. Był ci sobie z niego chłop smagły jak jodła a bitnik jakichby daleko szukać potrzeba. Nie było wesela, na którymby nie był Bazyli, boć też i zaśpiewać umiał od ucha, a niejednej dziewusze tak umiał zajechać do serca, że duchem lgnęła do niego jak nieprzymierzając mała ptaszyna do lepu. Ale nie było także żadnej w karczmie muzyki, nie było napitku po jarmarku, żeby na nim nie był Bazyli; a gdy sobie nalał w pałkę, zaraz łamał stoły i stołki, wszczynał istną bójkę i rzadko poszedł bez sińców i guzów do chaty.

Różne też włóczęgi byli jego kompanami, co go w takich przytrafunkach popierali, a on im za to płacił gorzałkę i częstował ich słoniną, którą mu zawsze na drogę wyładowała torbę jego poczciwa żona.

— I to on miał żonę? — zapytałem gazdę.

— O miał ci żonę, ale do tego jaką żonę! — powiedział na to gazda — kobiecisko to po całych dniach pracowało w domu, zaglądało do każdego kącika, krzątało się koło chaty — ale cóż pomoże praca biednej żony jak mąż także swoich rąk nie dołoży i do tego niszczy każdy grosz przysporzony!

Bazyli nie dbał o to zupełnie, odchodził sobie żony, odchodził małego chłopca, którym Bóg pobłogosławił jego chatę, i nieraz to go i tydzień nie było w domu.

Kiedy zaś nigdzie nie wychodził, Bazylowa myśląc że już statkować zaczyna, przychodziła ku niemu i mówi do niego z przymileniem:

— Moj Bazylku kochany! pocóż będziesz jeszcze chodził po tych karczmach i spijał to obrzydłe wódczysko?... Widzisz jak to miło siedzieć w domu, a daleko będzie milej jak się weźmiesz do roboty, narobisz dzwon, podkulków i okleszczyn, sprzedasz na jarmarku, to i bieda jakoś odleci i będziemy sobie żyć spokojnie.

— A to sobie tam rób sama dzwona i podkulki — odfuknie Bazyli — ja cię mam od tego, abyś robiła w chacie, a mnie wolno robić, co mi się podoba!

Na to powie Bazylowa łagodnie:

— A tak, tak, robota w karczmie to ci się podoba! poschodzą się włóczykije, spijecie się jak bydlęta, a potem robicie swary i kłótnie. Ja ci powiadam, że tobie kiedy wygarbują skórę, że ruskie nie zapomnisz lato.

— Ja się ani piętnastu chłopów nie boję — odmruknął Bazyli — alboż to nie znasz mojej ręki?... Jak gwizdnę — tobym chłopem karczmę przerzucił, więc takie gadanie schowaj sobie do torby i kwita!

— Ej mój drogi — przemówi znowu żona — nie tacy byli na świecie, a przyszło im na koniec; a cóż to już nad ciebie nie ma być nikogo?... Nie bądź takim zarozumiałym, weź się lepiej do pracy, kiedy masz takie siły, bo przecież i dla Pawełka będzie potrzeba. Może go oddamy gdzie do ludzi, a może i do szkoły go poszlemy.

— A stulże już gębę, przeklęta gaduło! — wrzasnął Bazyli — a daj mi już spokój, bo mi twoje brzęczenie bokiem wyłazi!

Trzasnął drzwiami i wybiegł przed chatę, przed którą wzdłuż leżało grube drzewo. Usiadł sobie na nim i zaczął dumać o różnych rzeczach. Księżyc powoli sunął się po niebie, gwiazdki błyszczały przyjemnie, cichy wietrzyk szeleścił listkami, toć też nie długo Bazylemu zrobiło się jakoś markotno i wnet westchnął sobie po cichu:

— Prawda!... dobrze mówi moja żona, trzeba koniecznie zabrać się do jakiej pracy, bo takie życie nudzi mię po trosze, a jakże to będzie na potem, kiedy nie stanie dobytku i...

Wtem zaszczekał pies koło stajni, Bazyli zerwał się prędko z siedzenia i poszedł do chaty.

Raniutko ledwie słońce rozwidniło świat Boży, przychodzi Bazyli do swojej żony i tak jej powiada:

— Rozważyłem dobrze twoje wczorajsze gadania i dla tego myślę od dziś dnia odmienić moje życie. Nim człowiek na nowo nawyknie do pracy koło chaty, muszę się tymczasem wziąć do innego interesu. Umyśliłem więc tak zrobić jak robią Jaśko Pietrosza, Migas i Kiryło. Wiesz ile oni to zarabiają na orzechach, kasztanach, bryndzy i innych drobiazgach, które z Węgier tutaj przywożą i po targach w różnych miastach sprzedają. Więc daj mi te czterdzieści reńskich, które mamy na schowku, a w krótkim czasie przybędzie drugie tyle, kupi się znowu gratów do gospodarstwa, ja się wezmę do roboty i dobytek wstanie na nogi!

Bazylowa aże podrygała z radości, że jej perswazye tak trafiły do serca Bazylego, owoż z wielką ochotą wyjmuje ze skrzynki zawinięte pieniądze i oddaje je mężowi.

Bazyli co rychlej ubrał się w drogę, Bazylowa zaraz go błogosławi i mówi:

— A pamiętaj zaś nie zrobić mi zmartwienia, spraw wszystko jak najlepiej, a ja cię kochać nie przestanę do zawarcia moich powiek. Pamiętaj, gdybyś miał bez niczego powracać do domu — to lepiej nie pokazuj się na moje oczy. Oto dziecię nasze... dla niego przysparzaj grosza, ono nam kiedyś odpłaci te nasze trudy, i zabiegi; idź więc niech cię Bóg prowadzi i szczęście na drodze!

Roztkliwił się Bazyli na te słowa, czule niby rozstał się z żoną — ale wyszedłszy za chatę jak poczuł, że ma pieniądze w pasie, raźniej mu się uginały nogi, które go też szczęśliwie zaniosły do jednego z jego znajomych, który miał z nim iść do Węgier.

— A co gotóweś już do drogi? — zapytał Bazyli — Patrz, mnie już kobieta wyprawiła uczciwie z chaty... będzie też przekąska i napitek w drodze...

— O to wyśmienicie! — przerwał Onufry, kompan Bazylego — będzie nam dziarsko ubywało drogi. Poczekaj tylko niech swoje graty zawiążę w tobołek!

I sprawił się nie długo Onufry i poszedł w drogę.

— A dokąd to tak suniecie? — zapytał ich jakiś gazda.

— A do Węgier na kupno — odpowiedział ogniście uszczęśliwiony Onufry.

A gazda zaraz na to:

— A tak, tak, do Węgier właśnie wyborna taka wyprawa! A gdzie wózek, gdzie konie, hę?

— Nie mać to u nas siły? — odparli spekulanci — Jak ta jakich szkapiąt będzie nam potrzeba, nie wielkie ceregiele wynająć od kogo.. I jeszcze nad tem łamalibyśmy sobie głowy!... Chodź Onufry, co mamy długo gadać!

— Dobrze, dobrze, idźcież sobie spokojnie — rzeknie gazda — a patrzcie końca!

Spekulanci ani pisnęli na to, szli wielkim krokiem i myślałby nie jeden że po jakim ważnym idą interesie. Aż tu ledwie uszli ze cztery mile, przystanął Onufry i powiada do Bazylego:

— Wiesz co, wstąpmy oto do karczmy, przejemy po kęsie chleba, ta i łykniemy po kieliszku gorzałki. Zmęczyliśmy się i tak co prawda doskonale, a na cóż mamy mieć do tego puste żołądki...

— Aj dobrze — odpowie Bazyli — przecież czasu mamy na tyle a dnia jeszcze spory kawał, nie zawadzi wstąpić.

I wstąpili do karczmy, żyd ich przywitał, a nawet Bazylego zaraz wójtem nazwał.

— I cóż mam podawać panie wójcie — zagada żyd — mam piwko i wódkę przepyszną, co warta gęby, a i jajka na twardo gotowane mam świeże i gęsinę prosto z rożna zdjętą — cóż pan wójt rozkaże?

— A czy cię biesi opętali obmierzły żydzie — zawołał Onufry — dawaj po kieliszku sznapy a nie bełkocz nam za uszami, bo cię palnę tą oto lagą!

— A witam, jak się macie moiściewy kochani! Zkądże to idziecie? Jużem was kopę lat nie widział — odezwał się do nich jakiś zawalidroga z za stołu co stał przy oknie.

— Ta to Bigaj Bazylku! — wykrzyknął znowu radośnie Onufry — a chodźmyż do niego, siądźmy sobie razem, a pogwarzymy dobre słówko....

I jak zaczęli gwarzyć, opowiadać, całować i ściskać, Bazyli na piękne zapomniał o drodze do Węgier, płacił wódkę i przekąski jedną po drugiej i nareszcie popili się jak niebo-skie stworzenia. Nowy przyjaciel spadł pod ławę, Onufry na stole zasnął snem słodkim, a Bazyli wyszedłszy na pole, przewrócił się przed stajnią i leżał jak bez duszy.

Przyszedł też jakiś rzezimieszek niby na ratunek ku niemu, a widząc że pieniądze leżą koło niego, pozbierał je prędziutko, niebawem zajrzał i do torby i wybrał mu co do grosza. Było to jakoś przed wieczorem.

Bazyli obudził się po chwili, idzie zaraz do karczmy, patrzy, a tu Onnfry leży w bajurze, taki obabrany błotem, że mu samemu niedobrze się zrobiło na języku.

Ocucił Onufrego i zabierają się w drogę. Naraz zagląda Bazyli do torby, a gdy nie znalazł pieniędzy, wrzasnął na całe gardło.

— O Matko Boska! cóż ja teraz pocznę sobie nieszczęśliwy!

Potem zaczął robić hałasy, przeklinał na czem świat stoi, ale któż winien, że mu ktoś ukradł pieniądze. Żyd czując, że ani Bazyli ani Onufry nie mają pieniędzy, wypędził ich z karczmy.

Na drodze powiada Bazyli do Onufrego:

— Nie wiem co mi przyjdzie teraz zrobić. Jak przyjdę do domu bez niczego, nie pokażę ani pieniędzy ani kupna, żona się zamęczy, a ja przyobiecałem jej poprawę!

— Wiecie co, kochany Bazylku! — powie Onufry — musimy tak sobie postąpić; a dobrze zrobisz, gdy usłuchasz mojej rady. Otoż wiem ja o jednym kościele, w którym różne są kosztowności, chodźmy więc do niego, zabierzmy co nam się uda, jutro żydom sprzedamy i ani pies nie dowie się o tem.

Zadumał się Bazyli, wreszcie przystał na gadanie Onufrego i poszedł za nim.

Jużcić nie trzeba gadać, że Onufry ladaco będąc już z profesyi zdybem, znał wszystkie przesmyki i wykręty. Zaprowadził Bazylego do kościoła, pokradli co mogli i uciekli czemprędzej nocą do jakiegoś miasteczka i żydom pozbyli one skradzione rzeczy. Podzielili się kradzieżą na połowy i powrócili nazad do swojego sioła.

— A to dopiero miał twarde sumienie ten Bazyli — powiedziałem ja do gazdy.

— Ale coż to wszystko znaczy — odrzekł gazda — kiedy sprawiedliwa ręka Boska wcześniej czy później dosięgnie niegodziwca.

Tu odpoczął sobie gazda, westchnął głęboko i jął mi dalej opowiadać:

Gdy Bazyli przyszedł do domu, żona zadziwiona nie widząc niczego, zaraz go pyta:

— A cóż to mój Bazylku znaczy, żeś tak prędko powrócił? Czy cię co spotkało w drodze? Czy ci przypadkiem nie zginęły pieniądze?

I różne zadawała mu pytania, a Bazyli jakoś niespokojny i nie w swoim sosie poskrobał się w głowę i powiedział:

— Ej pieniądze mi nie zginęły, ale widzisz moja kochana, w drodze usłyszałem, że na Węgrach teraz bardzo drogo, więc nie opłaci się iść za towarami, bo człowiek może na nich stracić, a na cóż jeszcze mitręga i fatyga?..

I zmyślał jak mógł Bazyli przed dobrą żoną, która też wszystkiemu uwierzyła i pyta go znowu:

— A gdzież pieniądze, coś wziął na kupno?

A Bazyli kiwnął głową, sięgnął do kieszeni i powiada:

— Ta masz twoje pieniądze! — a kiedy je podawał swojej żonie, podrygnęła mu się ręka i pieniądze się rozsypały.

A żona zaraz na to:

— Ej to jakaś wróżba niedobra, a dziwi mię co się tobie stało?...

— I cóżby mi się stało?... takie to te pieniądze djabelskie — odmruknął Bazyli i wyszedł do ogrodu.

I od tego czasu na nowo żył sobie po dawnemu. Żona pracowała, Pawełek jej pomagał, a Bazyli z kompanami spędzał dni i nocy w karczmie i Bóg wie w jakich miejscach. I nie długo potrafiła tak pracować miła kobiecina, rozniemogła się jednego dnia na piękne i ani myśli o prędkiem wstaniu.

Jużcić na taki sposób gospodarstwo bez gospodarza i gospodyni upadało z dnia na dzień coraz bardziej, grosz z kalety wychodził do apteki, sługi nie robiły jak się patrzy, pa-

robek poszedł sobie na cztery wiatry, za nim Magda i Reśka, została się tylko sama żona i mały Pawełek.

Nie długo zwąchał Bazyli, że to słuszna kara Boska jego chatę nawidzać zaczyna, boć sprowadził niebłogosławieństwo Boże, i nie mogąc znieść wyrzutów sumienia, stracił się cichaczem z rodzinnego sioła i nie pokazał się już więcej.

Co się dalej stało, opowiemy wam w drugim numerku.

Piękne przykłady.

Gromada Grodowicka.

Każdy czyn piękny, czy on był zrobiony dawno czy teraz, czy na polu chwały, to jest na wojnie, czyli w zaciszu strzechy, czy to jednego człowieka, czy całej gromady — powinien być wspominany i swoją pochwałę odebrać.

Otoż taki czyn piękny zrobiła przed parą latami gromada we wsi Grodowicach, w cyrkule Samborskim, co tak było:

W tej wsi był bardzo dobry dziedzic, który zeszedł nagłą śmiercią, zostawiwszy kilka już wydanych córek. Ale jak to wiecie, u państwa bywa, że jedna córka pójdzie za mąż w tę stronę, druga w tamtą. Tak też i tu było, jedna panienka poszła za mąż aż za Kraków; a musiała być bardzo dobra pani, bo ją gromada wielce kochała

Otoż jak się te siostry po śmierci ojca do domu zjechały, to po długiej naradzie umyśliły, aby chcąc się majątkiem podzielić,· co na nie spada, aby mówię tę wieś sprzedać.

Jak się gromada o tem dowiedziała, to jej się bardzo żal zrobiło, że już nie będzie mieć u siebie rodziny tych dobrych panów swoich. Zebrali się więc co starsi z gromady i przyszli do tej pani z za Krakowa i jęli ją prosić, aby ich też nie odstępowała i wzięła wieś na siebie; a kiedy ona się wymawiała, że ją na tyle nie stać, aby swoją mocą rodzinę spłaciła i gospodarstwo prowadziła, to oni dobrzy ludkowie powiedzieli jej, że jeżeli ona pozwoli, to oni się na nią złożą, czem będą mogli.

— Ta cóż wy byście mi, moi poczciwi ludzie, pomogli? kiedyście sami biedni! — spytała się pani.

— Ot nie turbujcie się pani — odrzekli -- damy co mamy. Nie będziemy mogli pieniądzmi, to damy dobytkiem. Jeden da konia, drugi krowę, tamten jałówkę, a kto już nie ma i tego, to choć kur parę, i tak zapomożemy panią, byleś jeno przy nas została.

Na taką mowę poczciwych ludzi rozpłakała się pani z czułości i podziękowała im pięknie, nie przyjęła jednakże tych ich darów, bo jej interesa nie pozwoliły tam pozostać i musiała powrócić za Kraków, gdzie jej małżonek objął inną gospodarkę ale ta dobra chęć i dobre serce poczciwych chłopków wiecznie w jej pamięci pozostaną.

O, ta chęć dobra tej gromady, jest ona tam zapisana i u Pana Jezusa w niebie, bo nic tak Bóg nie lubi, i za nic takiego hojnego nie zlewa błogosławieństwa, jak za to, kiedy się tu ludzie między sobą kochają. O wierzcie mi, wierzcie, moi kochani, gdyby ta miłość nasza ku bliźnim była doskonałą, była taką, jaką jej Pan Bóg od nas wymaga, już tu mielibyśmy raj; a nawet nasza ziemia, to by nam po 10 kłosków na jednem zdzieble wydawała, jak to mówią, że był przed laty taki czas, co się zwał złoty, co się takie kłóski rodziły dla tego, że była miłość wspólna między wszystkimi ludźmi, a więc błogosławieństwo Boże na całą ziemię spadało!

Ludka z Myślenic.

RÓŻNOŚCI.

Niedźwiedzie księcia Radziwiłła. Kiedy w Polsce ostatni król polski panował, żył na Litwie wielki pan, co miał niezmierne majątki, książę Radziwiłł, co go ludzie nazwali Panie kochanku, bo te słowa zwykł był zawsze powtarzać, jeśli co opowiadał lub do kogo mówił. Owóż ten książę Radziwiłł lubił bardzo polowanie, a osobliwie żywe niedźwiedzie, których na swoim dworze mnóstwo trzymał. A były to same uczone niedźwiedzie, co nikomu nic złego nie zrobiły, jeno tak nieraz posługiwały gdyby ludzie, bo też książę założył był osobną szkołę w Smorgoniu, gdzie tych niedźwiedzi rozmaitych sztuk wyuczano. A bywało niemało

napłatał książę Radziwiłł figli temi niedźwiedziami. Kiedy jakiego Niemca z zamorza spodziewał się u siebie, zaraz w oznaczonym czasie, gdy wiedziano, że się zbliża, służba dworska i czeladź znikała. W bramie stało dwóch niedźwiedzi ogromnych białoszyjków z wielkiemi pałkami, na ganku i w sieniach toż samo. Zdarzyło się w on czas, że zaprosił do siebie sławnego Włocha doktora. Włoszysko, co nigdy nie widziało naszych niedźwiedzi, ledwie wjechało w bramę, aż tu zamrukną niedźwiedziska, podniosą się na dwóch łapach z pałkami. Pan Włoch mało nie umarł. Idą dalej: nikogo z ludzi nie widać, doktor się żegna i modli. Wchodzą na wyniosły ganek, stoją niedźwiedzie — do sieni — tu rzędem dwanaście stoi — to było dla Włocha za wiele. Zbladł jak Piotrowin z grobu, a dworzanin wniósł go prawie do komnaty.

— Panie kochanku — rzekł książę Radziwiłł do Włocha, ja innej służby nie mam; u mnie wszystko zastępują niedźwiedzie, służą za czeladź i jeżdżę niemi.

Zaledwie Włoch ochłonął nieco i orzeźwił dobrem winem, dano do stołu. Pan wojewoda zasadził doktora przy sobie i po pierwszem daniu radzi mu książę Radziwiłł odmienić talerz. — Włoch obraca się z nim, i widzi wielkiego niedźwiedzia stojącego na dwóch łapach za krzesłem z talerzem czystym pod pachą

To go dobiło, zbladł i zemglał — długo mu nos kręcono, nim przyszedł do siebie. Od onej doby już więcej tam nie zajrzał. Miał ten książę Radziwiłł także powóz, który cztery niedźwiedzie ciągnęły, a jak gdzie niemi pojechał, to było strachu, a potem śmiechu i dziwowiska, co niemiara.

Żywego djabła, kosmatego i z rogami, oprowadzano niedawno w mieście Rawiczu w Poznańskiem i osadzono w areszcie. Przyszedł on o północy do pewnego chłopa we wsi Górce, i chciał wziąć dziecko jego niechrzczone. Był cały obrosły i miał ogon krowi i rogi wołowe. Gdy rodzice się wylękli i o dziecko prosili, zażądał pieniędzy. Ojciec dał co miał, lecz djabel nie kontent, żądał więcej. Ponieważ reszta była na górze schowana, więc tam wyszli ojciec z djabłem przy latarni. Ale właśnie nadjechał żandarm i myśląc, że ogień pod dachem, przybrawszy kogoś wszedł do domu i prosto udał się na górę. Ujrzawszy owego rogacza, pyta, kto on jest? Ten mu odpowiada, że djabeł z piekła. Żandarm do niego, lecz ten się odsadzi i rogami uderzy żandarma, tak iż go wywrócił. Żandarm przecież natarł na djabła pałaszem i w ramię go skaleczył. Kiedy djabła złapali, pokazało się, że to sąsiad tego chłopa tak się przestroił, żeby mu wydrzeć pieniądze. Związano go i jak był w wołową skórę obszyty z rogami, zaprowadzono do Rawicza, gdzie go po mieście za białego dnia oprowadzali, a potem sądowi oddali i do więzienia wsadzili.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: **E. Winiarz.**

Tom XII. Nr. 3.

21. stycznia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kmieca dola — dobra dola.

Nabywał ja się dosyć między ludźmi i nasłuchał przeróżnych gadań co niemiara, ale przekonałem się, że nic tak rzadkiego na świecie, jak to, aby człowiek kiedy był rad ze swego stanu. Zawszeć się tam każdy skarzy i lamentuje: „Źle mnie na świecie, bodajto być w takiej doli, jak Józef albo Tomasz albo Grzegorz!“ I zawsze jeden drugiemu zazdrości — a nie zważy, że każdy człowiek i każdy stan ma swoje frasunki i utrapienia. Oj niejeden, co zazdrości drugiemu, nie zazdrościłby pewnie, gdyby wiedział, jakie ten człowiek ma ciężkie umartwienia. A już to najwięcej my kmiecie, ludzie od pługa i pracy, wyrzekamy na nasz stan i gotowiśmy przysiądz, że kto tylko ma czarną surducinę, to już korcami ma szczęścia w życiu. Alboż to nie jeden z nas nic nie ma w gębie, jeno zawsze to głupie gadanie: „Czemu ja się panem nie urodził, toć ja taki dobry jak drugi, czemu ja muszę pracować, a pan sobie żyje w rozkoszy.“ A toć najpierw powiem ci na to, że to czysta zazdrość i kwita. A każda zazdrość grzechem jest. Kiedy

ci pan Bóg kazał się rodzić wieśniakiem, to bądź wieśniakiem. Zacny to stan, ten kmiecy stan, i ani na honorze ani na uczciwości żadnemu pańskiemu nie ustąpi. Alboż to pan nie pracuje, albo nie ma kłopotów? Ej bratku, ano kto wie, czy byś się z nim pomieniał, gdybyś wiedział, jaka to ciężka nieraz praca i jakie ciężkie utrapienia tego pana, co mu zazdrościsz?...

To też ja i scierpieć nie mogę takiego gadania i nieraz już nie jednemu na rozum wyłożyłem, że się nikomu zazdrościć nie godzi. A jedną taką rozmowę powtórzę wam tu całkowicie. Jestem sobie furman i najmuję się z często na daleką jazdę, toć i po drodze człek z niejednymi ludźmi się spotyka.

Razu jednego jechałem przez wieś jedną i aby koniom wytchnąć stanąłem pod karczmą. Wszedłem do izby i pochwaliłem jak się godzi Pana Jezusa po polsku. W karczmie było kilka gospodarzy i parobczaków. Powitali się ze mną po ludzku a jeden mnie zapytał:

— A zkąd Bóg prowadzi? bo widzę po ubiorze i uprzęży że zdaleka.

— Opowiedziałem, zkądem z rodu i z zamieszkania, i siadłem z gospodarzami do stołu. Kazałem sobie zagrzać piwa i dać kartofli ze śledziem, bo to była sobota, którą zawsze nawet w drodze obserwuję na cześć Najświętszej Maryi Panny.

— I cóż tam słychać gospodarzu? — zapytał mnie włościanin mający jak mi się widzi około lat pięćdziesięciu, bo już dobrze był szpakowaty — co u nas, to kiepsko, pracuj i pracuj a zawsze bieda. Choć to człowiek teraz więcej niby ma niż się spodziać mógł a i tak jakoś jeszcze niekoniecznie dobrze. Spojrz na pana, to aże zazdrość, nic nie robi, a ma i dziś jeszcze wszystko od złota i srebra.

Spostrzegłszy że mam z gadułą do czynienia, co się wygadać potrzebuje, milczałem, on zaś ciągnął rzecz dalej w ten sens:

— Nieraz się to człowiek nasłucha w kościele, że wszyscy równi przed Bogiem, a za kościołem wcale co innego, ten w bławatach ów w płachcie, ten w karecie ów na wozie, albo gorzej bo piechotą; ten przy pługu, tamten na wygodnem krześle przed kawałkiem papieru się rozsiada skrobiąc po nim

piórem, i tyle jego roboty! Żebym jeno mógł, to jabym tu wcale inny porządek zaprowadzi!

Widząc, że narzekania mojego sąsiąda zaczynają się wyczerpywać i że nie przeszkodziwszy mu, mogę się ozwać, tak zacząłem.

— Jać bracie nie tutejszy, rozumu was uczyć nie przyjechałem, ale każdemu się godzi myśl swoją, jeżeli nie grzeszna, wydawać; więc wam powiem, że nieraz ja sobie nad tem głowę suszyłem i nie z jednym się o tej rzeczy gawędziło, ale najlepiej mnie jakoś uspokoił stary ogrodnik będący na łaskawym chlebie w naszym dworze, który mi nieraz powtarzał: że ponieważ Bóg wszystko widzi i każdą rzecz na dobro człowieka obraca, więc też wszystko co się na świecie dzieje, prędzej czy później ludziom na dobre wyjść musi, a sprawiedliwość także nie chybi, bo ją Bóg ludziom wyrządzi. Mając tę prawdę raz już w głowie, zacząłem myśleć i wyszukiwać tego obiecanego dobra, bo mi się ta mowa ogrodnika Macieja jakoś nie zupełnie zdawała prawdziwa, i zrazu pomyślałem sobie, że dziadowina na starość bredzi; ale widocznie, że jak Pan Bóg chce kogo oświecić to mu poda sposobność do tego, tak też i mnie, wiele razy bieda lub kłopot przycisnął, tyle razy słowa Macieja na myśl stanęły. Nieraz też i wypadki same tak rzecz jasno przed oczy stawiły, że już myśleć nad nią nie potrzebowałem, tylko bez medytacyi zrozumiałem od razu, że wszyscy jednakowo mieć nie mogą na świecie, kiedy nawet w niebie równości takiej nie ma; bo powiedzcież gospodarzu, czy wam się widzi, że Święci Pańscy mają też władzę i toż samo znaczenie co i sam Pan Bóg?

— Ba! gdzież tam znowu — ozwało się kilka głosów naraz — toć wiadomo że Pan Bóg wszystko może, a Święci dopiero wstawiają się do niego za nami.

Ja im znów na to:

— Między Świętymi jeszcze są tacy, co więcej Panu Bogu zasłużyli, a drudzy co mniej. Bo Pan Bóg najsprawiedliwszy wynagrodzi każdego podług wielkości jego cnót i mnogości dobrych uczynków — i różne stopnie przeznacza w chwale swojej świętej.

*

Kiedy więc w samem niebie równości nie ma, jakżeż jej chcecie na ziemi? Jużcić żeśmy równi przed Bogiem, to jest prawda, bo ta równość o której xiądz mówi, nie zasadza się na tem, żebyśmy wszyscy jednakowo jedli i jednakowe suknie nosili, tylko o to idzie, żebyśmy wszyscy starali się zasługiwać na Królestwo Niebieskie, bo wszyscy jednakowo dostąpić go możemy, chociaż się każdy innym sposobem o nie starać musi, według tego jak mu Bóg przeznaczył....

— Ba! przerwał mi szpakowaty gospodarz — wolałby ja, żeby mnie Pan Bóg był przezaczył być wielkim panem, niżli tak jako dziś jestem, co grosz grosza goni, dorabiać się Królestwa Bożego.

Ja mu na to:

— Oj nie gadajcie gospodarzu, nie gadajcie! muszę wam aż chyba co na podobę powiedzieć, bo jak wam powiem prosto, że to wszystko na jedno wychodzi, czy być chłopem, czy sługą, czy panem, to mi nie dacie wiary. Oto posłuchajcie jak mnie się to widzi: kiedy wy waszej kobiecie żytnej mąki w żarnach zmielecie, toć od niej z tego nie wymagacie wielkanocnych placków; uda się chleb, to dobrze, a nie uda, to mrukniecie pod nosem: kobieta chleb drugi lepiej upiecze, a tamtego mała szkoda, krótki żal. Ale niechno wyście pięknej pszenicy młynarzowi spytlować kazali, a żona wam zamiast pięknych drożdżowych placków zakalczyste pagaje wyjęła z pieca, miałażby dopiero uczesaną głowę! Tak to pójdzie u Pana Boga. Co człeku dał, z tego też i rachować będzie; bo za dużo darów, wiele Bogu i ludziom oddać trzeba. Z niewiela łatwiejszy rachunek. Kiedy żem się rozgadał, to już będę prawił, a na wszystko wam odgadywał; macie powiedzieć za jedno, żem sprzeka, powiedzcież za więcej. Mówiliście gospodarzu: że pan w karecie a chłop na wozie; otóż ja wam powiem na to przysłowie, które mi się jakoś na prędce złożyło.

„Jedzie chłop i wesoły, choć u woza twarde koły,
A pana gniecie, choć w miękkiej karecie.“

Niechżeby który z nas wlazł w karetę, toć się w niej omało nie zadusi, i pocóż tam leźć gdzie nie dobrze? Niechże

pan jedzie na wozie to się z niego mało dusza nie wytrzęsie, że mu aż nieraz doktór radzić musi. A więc, kiedy nam dobrze na wozie, to na wóz nie narzekajmy, bo wóz przy zdrowiu więcej wart niż kareta przy chorobie. I na piękne przystrojenie przywodzę sobie na pamięć takie rzeczy, co i was przy pomocy Bożej przekonam. Bo to człowiek, widzicie, młodym będąc, jak sługiwał dworsko przy koniach, to się napatrzył różnych rzeczy co teraz na myśl przychodzą, jak się ku temu sposobność przydarzy. Nieraz w Mięsopusty swawoli było niemało, państwo się weselili sobie, a my sobie. Otoż była przy dworze dla panienek do posługi Baśka, jak złota dziewczyna, którą sobie później za żonę pojąłem Jak bywało Baśka włożyła modrą spodnicę a pąsowy gorset, kiedy kosę uplotła a w niej wstążek bez liku, toć człowiek oczy za nią gubił, a hoża, a wesoła, że aż czasem zanadto. Raz państwo wyjechali na zabawę w sąsiedztwo, a Baśka po koncept do głowy, i dalej się przebierać w sukienki pańskie. Namówiła też sobie Franka lokajczyka do takiego samego konceptu. I on też przestroił się w kusy tużurek, w okrągłą czapkę i w rękawiczki panicza i tak oboje pobiegli na folwark. Śmiechu też było śmiechu! ażeśwa się za boki trzymali; rychtyg małpy poprzebierane co widziałem w Krakowie u Miemców w małych szafeczkach, z któremi oni po mieście chodzą. Jak pierwsza wesołość minęła, a ja się Basi przyjrzał, aż mi się serce ścisnęło, jakby nie ta sama. A że już wtedy miałem władzę nad nią, bo to już wtedy było między nami po zrękowinach, więc jej zapowiedziałem, żeby mi się nie ważyła już nigdy takiego licha z siebie przestrajać, jeśli chce żebym ją pojął za żonę. Przyznam się nawet, żem się potem namyślił jeszcze trochę, czy warto takie dziewczę brać, co mu chodzą po głowie rzeczy do których nie stworzona; ale szczerze do niej przywiązany będąc i widząc że to tylko chwilowa wesołość, a nie żadna płochość, nie zmieniłem zamiaru. Albo to i z paniami nie takoż? to i u was muszą się także we dworze wyprawiać krakowskie wesela?

— Ba! ozwał się jeden z przysłuchujących się parobków. Czwarty rok temu było się i u nas czemu przypatrzyć, jak się zaczęli zjeżdżać do naszego państwa, to tacy panowie jeden

nad drugiego, wszystko jak nie w kierezyach to w nowiusieńkich sukmanach.

— No, rzekłem, a nie poznałbyś go choćby przy robocie, choćby w lesie, że to pan?

— O! juści natychmiast, bo to mina, że choćby najzuchwalszy parobek to takiej nie ma.

— Więc ja wam powiem — wtrącił podeszły już w lata gospodarz — Widział ja, będzie temu lat ze dwadzieścia, w Jaśle, gdzie bardzo często jeździłem, bardzo dziwnego człowieka, który był kościelnym przy tamtejszym kościele parafialnym. Robił ci on wszystko jak inni kościelni, i z ludźmi nie pyszny, uchowaj Boże, i proboszczowi we wszystkiem jak najuleglejszy, ale takiego cosi już w nim było, żeś jeno spojrzał, toś w nim pana poznał. To też się potem pokazało, że z jakiejś aprensyi ślubował sobie tak Panu Bogu służyć w pokorze i w poniżeniu, ale że był jakiś pan, który majętność oddał biednym, a sam się przy kościele umieścił. Powiadali nawet ludzie, że razu jednego zajechał ktoś przed kościół koczem i z lokajem, i stanął, żeby się trochę pomodlić, bo kościół był otwarty, a kiedy zobaczył owego kościelnego, to go strasznie wyściskał a ten mu się wcale nie wzdragał i owszem ściskał go także jakby równego.

— To tedy — zapytałem — mówicie gospodarzu, że był z niego kiedyś pan, a majętności pozbył się, i dla ulżenia ciężkiego smutku wolał w ubóstwie życie pędzić? No! to ten przykład jest najwymowniejszy, że i bogatym ciężko na świecie być musi, kiedy niektóry zamieni bogactwo na ubóstwo i woli biedę a pracę w spokojności, niż skarby i próżności w troskach i nudach. A zresztą alboż wy jeden z drugim nie możecie zostać panem, albo wasz syn nie może nim być? Niech się jeno chłopak kmiecy uczy, niech chodzi do szkoły, a może zostać xiędzem, doktorem, urzędnikiem, a z czasem nawet wielkim panem. Alboż to za królów polskich kmiecy synowie nie dochodzili do sławy i majątku i honoru? A toć może z was który czytał książeczkę co się zwie L u d z i e z p o d s ł o m i a n e j s t r z e c h y. Toć tam wypisano dokumentnie, ile to chłopków wyszło na sławnych ludzi i panów przez naukę albo przez

waleczność na wojnie? Otóż nie zazdroszczcie, nie zawidzcie, ale pracujcie w poczciwości, a będzie wam lepiej na roli, niż panom w pałacu.

Po chwili milżzenia, starszyzna pokiwała głową i jaki taki bąknął:

Kto w lecie pracuje, ma w zimie dość chleba,
Kto na świecie boleje, dokupi się Nieba.

Jeden zaś z wesołych chłopaków zaczął podśpiewywać:

Hej jak jest, hej jak będzie,
Miejmy cnotę na względzie.
A gdy Pan Bóg pozwoli,
Przejdzie życie powoli,
I w ostatnej godzinie
Wszystka bieda przeminie;
Lecz gdy kończy bogaty,
Ciężko rzucać bławaty,
Ciężko rzucać uciechy
Dla niepewnej pociechy.

Chleb polski.

Święć się wielki Boże w niebie,
A na ziemi polski chlebie!
Tobą to się kmieć obdzieli,
Od niedzieli do niedzieli!

Pierwszy kąsek dla matusi
Przewybornej wart gębusi,
A dla dziatwy kąsek drugi —
Nużc w koło stańcie sługi!

Na ci Bartku lepski chłopie!
A nie poleń się przy snopie!
Na ci Maćku nieboraku,
A pamiętaj o koniaku!

Ba i Kachnie
Widzę pachnie,
I Marynie
Przy kominie!

Na i tobie psie kudłaty,
A breszże mi koło chaty!

Resztę niechaj mać przysporzy,
Jeźli czeladź nie dołoży.
Święć się wielki Boże w niebie!
A na ziemi polski chlebie!

Wincenty Pol.

Historya o Bazylim i jego ukaraniu.

Opowiedział Józef z Bochni.

(Dokończenie.)

Gdzieś daleko od nas służył Bazyli za pomagacza w gorzelni! Za kilka szóstek na miesiąc pracował ciężko, bo mu głód dokuczać zaczął. Do wioski radby był wrócić, ale sumienie mu nie dało. Nosił wodę latem i zimą, a zawsze boso, bo nie było za co kupić obuwia. Przeziębił nogi, które mu się chwiały jak listki osikowe, a jednego poranku, gdy miał wstawać do roboty — nie mógł się ruszyć z miejsca. Nogi mu tak ztwardniały jakby z drzewa zrobione, to też nie czuł w nich żadnej władzy; niebawem może w tygodniu uschły mu jak badyle i nie było ratunku, aby się na nie podniósł kiedy Bazyli. I smarowali mu ludzie różnemi maściami one nogi, moczyli i cuda wydziwiali, ale to nic nie pomogło — opadły z ciała jeszcze bardziej, a w kolanach zrobiły mu się wielkie gule.

Rzewnemi łzami zalewał się Bazyli, przypomniał sobie złote słowa swojej żony, która mu mówiła, że nie tacy jak on byli na świecie a przyszło im na koniec — a już to widać z dopuszczenia Boskiego.

Właściciel gorzelni wydalił go ze służby, owoż Bazyli pod kościołem prosił o jałmużnę i z datków tylko miłosiernych ludzi utrzymywał się. Sumienie ani tu nie dało mu spokoju: wyspowiadał się nareszcie i postanowił jeździć po odpustach, aby przebłagać zagniewanego Boga.

Kupił sobie mały wózek, namówił małego chłopaka, który go ciągnął, bo sam byłby sobie nic nie poradził. Gdy jechali

pod górę, Bazyli długą, okutą laską odpychał wózek i tak pomagał biednemu chłopcu.

I był też Bazyli nie w jednem cudownem miejscu i nie tysiąc zmówił pacierzy, a gdzie tylko przyjechał, ciekawi ludzie obstępowali jego wózek do koła i przypatrywali się mu jakby iście widzieli, że na nim widać prawdziwe skaranie Boże.

I patrzyli ludzie na niego, a on siedział na wózku zapłakany, bo na ziemię zleźć nie potrafił; suchemi nogami klepał po drabinkach, a nie czuł bolu ani odrobiny, bo na nich na palec nie było ciała. Z kolan ciekła mu przebrzydła ropa, usta wykrzywiło mu nieznoście, a włosy na głowie miał zwite w paskudne kudły a inne jak istna szczeć stały do góry.

— O, mój Boże! — wołał kaleka — a pókiż ja jeszcze będę znosił takie męki, póki ja żyć muszę na tej ziemi!...

— A zkądeściewy dziadku? — pytali ludzie — cóż to stało się wam w nogi, że chodzić nie możecie?

A Bazyli jęknął bolesnym głosem i powiada:

— Oj nie potrzebujecie się mnie pytać co mnie w moje nogi, bo widzicie dokumentnie pokaranie Boskie.

A ludzie ciekawi raz się dopytują:

— A za cóż to skarał was Pan Jezus sprawiedliwy? toście wy jakiś grzesznik okrutny, kiedy na was taka przyszła kara!

A Bazyli zaraz odpowie:

— Oj grzesznik ci ja nie mały, toć i piekło dla mnie nie wystarczy. Posłuchajcie więc moiściewy, to ja wam o wszystkiem rozpowiem, a wyjdzie wam to na zbudowanie, mnie zaś na ulżenie mojego cierpienia. Oto widzicie, byłem ja przedtem silny jak niedźwiedź, zdrów i krzepki, żebym i dziesięciu pokonał. Miałem i dobytek ładny, ale kiedy wzrosła we mnie chętka do pijaństwa namnożyło się też kompanów koło mnie bez liku i oni to przywiedli mnie do takiego nieszczęścia.

— A gadajcież nam dziadku — wołali ludzie — jakim to stało się sposobem, bo nam się to w głowie pomieścić nie może!

A Bazyli tak im na to gadał z płaczem:

— Otóż siedząc zawsze w karczmie, takem się nakoniec spróżniaczył, że mi nic a nic robić się nie chciało. Chciałem

sobie łekkim potem żyć chlebem, wziąłem od żony pieniądze na kupno do Węgier, przemarnowałem je do grosza, a żebym bez niczego nie wrócił do chaty, z kompanem moim okradłem jeden dom Boży i za to tak mię okropnie upośledził Pan Jezus.

Głowa moja wygląda jak u świni, bo nie zdjąłem czapki w świątyni Pańskiej, nogi mię nie chcą słuchać, bo one mię zaniosły do onego świętego miejsca, gdzie popełniłem taką okrutną zbrodnię; i bolą mię teraz kości, kurcze łamią moje ciało, spać nigdy nie mogę, sumienie jakby ogniem pali mię ustawicznie, a we śnie i na jawie stoi mi przed oczyma żona moja i dziecko moje, których pokrzywdziłem, odleciałem od nich.... a kto wie co się z niemi dzieje do dnia dzisiejszego?...

I lamentował dziad Bazyli, jęczał i stękał, ludziom się ścisnęły serca, każdy westchnął i poszedł pomodlić się do kościoła, a kiedy Bazyli nazbierał grajcarków i namodlił się do sytości, kazał jechać młodemu chłopcu, bo sobie zrobił przyrzeczenie przyjechać do rodzinnej wioski i przebłagać żonę i dowiedzieć się, co się dzieje z jego synem.

I stanął Bazyli pod rodzinną wioską. Serce jakby dzwonem biło mu w piersi a na pamięć przyszły dawne czasy. Był sobie gospodarzem, panem swojego dobytku a teraz ukarany za łajdackie życie ani chodzić nie może po świętej ziemi ani weselić się jak cnotliwi ludzie. Zaćmiło mu się w oczach, toć ta piękna wioska, te śliczne góry i kościółek nad rzeką, wydały mu się jakby grobową płachtą okryte, wszystko zdawało się smucić nad jego dolą.

Wnet nadszedł ku niemu góral staruszek, a Bazyli zaraz go się dopytuje:

— Nie wiecie wy też przypadkiem czy w tem oto siole żyje jeszcze niejaka Bazylowa, po mężu Kutrzebina?

— Ale co wam się człowieku zdaje — odpowie góral — tać ona już dawno po tylu mękach spokojnie odpoczywa w grobie....

— A jakież to ona miała męki — przerwał Bazyli — powiedzcież mi moi kochani?

A góral na to chętnie odpowiedział:

— Przecież wiadomo całemu siołu jakiego ona to miała męża hultaja i łajdaka, który zniszczył cały dobytek i uciekł

gdzieś za dziesiątą górę i do dzisiaj ani słychu dychu nie ma o nim.... A czyż to pociecha mieć takiego męża?... Potem nieboraczka wycierpiała się długie czasy w okrutnych chorobach, nagryzła się Bóg wie jak wiele o swojego syna, a nareszcie za niegodziwego męża spuścił Pan Jezus srogą na nią plagę.

Kiedy jednego wieczora niebezpiecznie chora leżała w łóżku, spadła z gór ogromna bryła śniegu i do szczętu prawie zgruchotała jej chałupkę. Powała poraniła ją okropnym sposobem, owoż biedaczka jeszcze bardziej rozniemogła i niebawem umarła na łożu u swojego sąsiada. Został tylko Pawełek i żyje z łaski między ludźmi....

Po tych słowach rozdzierającym płaczem buchnął Bazyli i bezsilnie rzucił się na swój wózek.

— A co wam to dla Boga! — zawołał góral — Mnie duchem się zdaje, że to wy musicie być onym Bazylim.... O sprawiedliwy sądzie Boga! Uspokójcie się, przecież niebo pełne jest litości i dobroci.

Ale Bazyli ani słowa długi czas nie mógł wymówić, więc góral dalej poszedł swoją drogą — a potem Bazyli ruszył także do wioski.

Zajechał do wójta, a wójt zaraz wykrzyknął:

— O Matko Boska! toście wy Bazyli tego dosłużyli się w waszem życiu?

A Bazyli zamiast odpowiedzieć na to, wyjmuje z zanadrza szmatę, rozwija, daje wójtowi uskładane papierki i powiada:

— Macie tu dobry wójcie ofiary pobożnych ludzi, postawcie za nie w waszej wiosce kapliczkę jaką, niech się modlą w niej ludzie, aby im Bóg dał upamiętanie, iżby tak nie robili jak ja dawniejszemi laty, bo cierpieć srodze będą musieli.

Nie za długo zniknął Bazyli, nie pożegnał się ani ze swoim synem i odtąd nikt o nim nie słyszał — przepadł jak kamień we wodzie.

Gromada dołożyła do onych pieniędzy co nieco, wystawiła więc tę murowaną kapliczkę, umieściła w niej frasobliwego Pana Jezusa, a wszyscy modlą się tu teraz gorąco, toć też pijaństwa, rozpusty i kradzieży nie uświadczysz między naszym ludem.... Owoż taka to historya o tej kaplicy.

Próba przyjaciela,

czyli

Jak Maciej umierał — a Jacek do skrzyni się dobierał.

Nie ma nic gorszego nad fałszywego przyjaciela, co to udaje, że człeku z całego serca jest życzliwy, a po prawdzie to na to tylko dybie, aby zysk jaki zarwał od tych, co mu zawierzą. Ale taki obłudny przyjaciel zawsze się z czasem zdradzi i odbierze za swoje. Bo stara to prawda i święta, że wszystko złe, choćby Bóg wie, jak się ukrywało, wyjdzie na wierzch i pokaranem będzie.

A jak takiego jednego albo drugiego obłudnika napotka kara i wstyd, to go i żałować nie ma co, bo fałszywy przyjaciel gorszy od otwartego wroga, bo tego człek się zawsze ustrzedz może, a tamten łasi się i schlebia a fałsz ma w sercu.

Opowiem wam jak stary Maciej zrobił z jednym takim fałszywym przyjacielem. Ten Maciej to był bardzo bogaty kmieć, miał grosza i dobytku jakby dziedzic jaki, ale miał jeszcze coś takiego, co sto razy więcej warta od majątku — miał rozum w głowie nielada.

Owoż Maciej miał sąsiada Jacka, człeka bardzo chciwego i chytrego, co tylko tem sobie głowę smażył, jakby tu gdzie coś wydrzeć i wytumanić od poczciwych ludzi. Jacek wiedział dobrze, że Maciej sobie gospodarz bogaty i dla tego zachodził koło niego, jak kot koło sadła, i pochlebiał mu jak tylko mógł.

— Ja wasz najlepszy przyjaciel — mówił zawsze Jacek do Macieja — nikt wam tak dobrze nie życzy, jak ja który was kocham jak rodzonego ojca!

I nie ma co mówić, Jacek kochał jak rodzonego ojca, ale nie Macieja, jeno jego pieniądze. A trzeba wiedzieć, że Maciej był wdowcem a nie miał ani dzieci ani krewnych, więc sobie Jacek myślał, że jak mu się będzie pochlebiał, to mu Maciej majątek przy śmierci zapisze.

Ale źle się wybrał brzydki obłudnik. Maciej nie w ciemię był bity, poznał on od razu, że te wszystkie słodkie słówka Jacka, to fałsz i obłuda a nic więcej, i tak sobie myślał:

— Poczekajno fałszywy Judaszu, zajdę ja cię z mańki, że mnie wspominać będziesz póki żyjesz!

Więc też Maciej nie wydawał się przed Jackiem, że zna dobrze jego fałszywe serce, ale umyślnie tak udawał, jakby Jackowi wierzył na ślepo i miał go za prawdziwego przyjaciela. Jacek też myślał sobie na pewno, że mu Maciej wierzy jak najlepszemu przyjacielowi i mówił nieraz sam do siebie:

— Chwała Bogu, że ten stary Maciej taki dureń. Przysiągłby na wszystko, że ja mu najżyczliwszy — a jak kłapnie i zejdzie z tego świata, to kto wie czy mi się niedostaną jego grunta i pieniądze!

Tak jakiś czas trwało, aż nareszcie sprzykrzyła się Maciejowi ta fałszywość i obłuda Jacka — i oto posłuchajcie, co mu zrobił.

Razu jednego położył się Maciej w łóżko, zawołał cyrulika i udawał, że okrutnie słaby. Jęczał i stękał strasznie, jakby go już śmiertelna choroba zachwyciła. Wysłał parobka do Jacka, aby coprędzej przyszedł go odwidzić.

Jacek, jak się tylko dowiedział, że Maciej ciężko zaniemógł, uradował się okrutnie i pomyślał sobie:

— Pewnie stary zadrze nogi a kto wie, czy mi swego majątku nie zapisze!...

I mając takie grzeszne i chciwe myśli w sercu, udawał na pozór, że się strasznie strapił chorobą Macieja. Lamentuje tedy fałszywiec przed parobkiem, że biedny Maciej tak ciężko zaniemógł i bieży co tchu do jego chaty.

Przychodzi do izby, a tu Maciej leży na łóżku i stęka okrutnie, aż się serce kraje.

— A na Boga świętego, co wam Macieju? — zawołał Jacek i udawał strapionego a tymczasem radował się w duchu.

— Oj! oj! miły sąsiedzie — odpowiedział Maciej cichym głosem — już nie pożyję na świecie jak kilka godzin! Oj! oj! oj! jak mię boli pod sercem! Oj! oj! nie wytrzymam!

— Ej nie gadajcie tak, nie gadajcie miły sąsiedzie, bo mi serce pęknie z żałości. Toć gdzie ja znajdę takiego przyjaciela, jak wy! A cóż ja pocznę, jakby wy niedaj Boże umarli! Oj jabym nie długo bez was wytrzymał na świecie!... — lamentuje obłudny Judasz Jacek i niby sobie łzy z oczu obciera!

A Maciej stęka i jęczy okropnie, i mówi do Jacka:

— Oj! oj! Gwałtu! Ja wam wierzę, och! och! że wy mój dobry przyjaciel, aj! aj! i dla tego was tu zawołałem aby.... aby.... och! aj! sssy! dech mi zapiera!...

— Mówcie! mówcie! — woła Jacek — ja wszystko wypełnię, coby ja dla was niezrobił!

— Otóż widzicie, drogi sąsiedzie — mówi coraz słabszym głosem Maciej — ja już umieram! oj! oj! ach! ach! Nie mam dzieci, aj, gwałtu! ani krewnych, och! ach! W tej skrzyni pod piecem są moje pieniądze och! ach! uf! aj! oj! Ja przed rokiem jeszcze spisałem testament... ale nim go urząd dostanie do swych rąk, ach! oj! ach! to gotowi mi z skrzyni sługi wykraść wszystko. Nie mam się na kogo spuścić! Oj, aj! ginę! Oto macie klucze od skrzyni, pilnujcie ją! aż urząd odczyta mój testament.... Oj, aj, aj, aj! Bą-bą-bą-dź — bą-bądźcie zdro-o-o-wi!...

I Maciej stęknął raz jeszcze, dał klucze Jackowi, wstrząsł się cały, drgnął i umarł...

Jacek jak to zobaczył, był pewnym tego, że Maciej nie żyje.

— Aha — zawołał — przecie raz! Już ja twojej skrzyni i pieniędzy popilnuję!

I chwycił za klucze, popatrzył raz jeszcze na Macieja, a widząc, że leży akuratnie jak trup, posunął się do skrzyni, otworzył ją i począł przewracać w skrzyni co prędzej za pieniądzmi. Nareszcie domacał ich na samym dole pod kożuchem i sukmanami. Był to cały pęk papierów, a same piękne dziesięcioreńskówki, aż miło!... Chwycił więc te pieniądze i już miał je chować do kieszeni, kiedy naraz Maciej porwał się z łóżka i począł wołać:

— Złodziej! złodziej! hej ludzie! łapcie złodzieja!

I Maciej nagle stał się zdrowy jak ryba — a na krzyk jego zbiegli się parobki i schwycili na gorącym uczynku Jacka, który z okrutnego przestrachu ledwo już dyszał! Zaraz go związali i na podwórze wywlekli, a Maciej, co był zdrowiuteńki, ubrał się rychło i wyszedłszy za nim, mówi:

— A widzisz Judaszu! choć ty chytry, to i ja nie głupi! Otóż masz teraz wstyd za twój fałsz i obłudę! My-

ślałeś, że ja umarł na prawdę a aniś mi oczu nie zamknął, tylkoś się zaraz do skrzyni dobierał! Otóż taki ty przyjaciel! Ale trafiłeś na swego. Teraz już ludzi zwodzić nie będziesz! Mógłbym cię oddać do sądu, ale daruję ci jeszcze, dość ci na wstydzie i na pośmiewisku!

I kazał rozwiązać i puścić Jacka, który jak pobiegł do domu, tak przez cały miesiąc nie wychodził na świat boży ze wstydu. A nie tylko cała gromada ale i na kilka mil w około wszyscy się śmieli z tego figla, co go mądry Maciej spłatał fałszywemu swemu przyjacielowi.

Stary Maciej, choć tak dobrze umiał udawać umarłego, żył w zdrowiu długie jeszcze lata, a kiedy umarł na prawdę, to zapisał cały swój majątek na szkółkę i szpital gromadzki.

Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie. Był to mądry człek nie lada, kiedy sobie tak szykownie zadrwił z chciwego obłudnika!

Wojtek ze Smolnicy.

RÓŻNOŚCI.

Jako papież ogłasza jednego Polaka męczennika za świętego. Z Rzymu, gdzie Ojciec św. mieszka, stała się dla polskiego narodu i kościoła katolickiego ważna nowina. Oto Ojciec św. zabiera się do kanonizacyi, to jest do uznania za świętego jednego z patronów kraju naszego, błogosławionego Józafata Koncewicza, arcybiskupa polockiego i męczennika. Ten święty syn ojczyzny naszej żwł przed dwustu sześćdziesiąt laty. Urodził się roku 1584 w mieście Włodzimierzu na Rusi polskiej

Opowiadają, że kiedy był jeszcze mały, z wizerunku Zbawiciela padła iskra na jego piersi, jak żeby go miłością Bożą zapalić. Doszedłszy do lat, wstąpił Józafat do zakonu Bazylianów; a był to zasłużony zakon obrządku unickiego i obfitujący w ludzi świętobliwych. Obrządek zaś unicki, to obrządek Rusinów polskich, którzy dawniej przed wieki byli dobrymi katolikami, potem dali się obałamucić przez syzmatyków, czyli odszczepionych od kościoła Moskali a w końcu za króla polskiego Zygmunta III., wtedy kiedy Józafat był jeszcze małem dziecięciem, unię, to jest jedność ze Stolicą Apostolską uczynili w ten sposób, że uznali papieża zwierzchnikiem swoim a papież im pozwolił nabożeństwo po rusku odprawiać.

Wtedy gdy Józafat został zakonnikiem, rządził kościołem unickim w Polsce bardzo pobożny i uczony arcybiskup, nazwiskiem Welamin Rudzki. Starał się on gorliwie, aby jak najwięcej syzmatyków pogodzić ze świętym rzymskim kościołem. Pomagał mu Józafat z całego serca, a Pan Bóg obu błogosławił. Józafat

tylu syzmatyków nawrócił, że go zatwardziali syzmatycy nazywali porywaczem dusz. W roku 1617 Józafat wielbiony powszechnie został arcybiskupem połockim. Ciągle on w winnicy pańskiej pracował, o siebie się nie troszcząc.

Nie mogli tego ścierpieć źli ludzie i jak żydzi za poduszczeniem Szawła umęczyli świętego Szczepana, tak syzmatycy umęczyli okrutnie arcybiskupa Józafata za namową Melecego Smotrzyckiego. Stało się to w roku 1623 w mieście Witebsku, należącem do dyecezyi połockiej.

Ale jak Szczepan uprosił sobie u Pana Boga, że Szaweł zmienił się się w Pawła św., tak i męczennik Józafat w okup krwi swojej męczeńskiej otrzymał, że Smotrzycki został potem najgorliwszym katolikiem, wybranem narzędziem Bożem.

Arcybiskup Józafat poniósł śmierć męczeńską dnia 12. listopada. Ciało jego wrzucono w rzekę Dźwinę. Odszukano je później i pochowano w katedrze połockiej a papież Urban VII. żyjący naówczas policzył go w poczet błogosławionych męczenników w roku 1642. Ciało błogosławionego długo spoczywało w Połocku, wywieziono je potem do Białej w podlaskie, gdzie spoczywa spokojnie do dziś dnia nie zepsute w kościele Ojców Bazylianów.

Klasztor tych Bazylianów Moskale teraz zabrali i ani przewidzieć, co się stanie ze świętemi relikwiami. Ale drogi Boże przedziwne. Właśnie kiedy rząd moskiewski poznosił klasztory w Polsce, w Rzymie za sprawą Ducha świętego czyniono starania, aby błogosławionego męczennika Józafata świętym uznać.

A taka jest różnica między błogosławionymi i świętymi, że kiedy błogosławionych tylko w kraju, w któżym żyli, albo w zakonie, do którego należeli, czcić wolno, świętych z rozkazania Stolicy Apostolskiej czci cały kościół katolicki. Więc o to chodzi, że Stolica Apostolska ma naszego Józafata świętym ogłosić. Przygotowania już się czynią.

W tych dniach we wtorek 10go stycznia miało się odbyć w Rzymie w obecności Ojca św. zgromadzenie kardynałów i księży, którzy należą do kongregacyi Obrzędów. A ta kongregacya to jest jakby sąd duchowny i zajmuje się sprawami kanonizacyi świętych. Mieli tam stanąć przed Piusem IX dwaj postulatorowie, niby obrońcy sprawy błogosławionego Józafata. Jeden Polak, Ojciec Michał Dąbrowski, starszy zakonu Bazyliańskiego, który lat temu dwadzieścia musiał uciec przed prześladowaniem moskiewskiem, a od osiemnastu lat mieszka w Rzymie przy kościele N. Panny Żyrowickiej i jest człowiek pobożny a wielkiej zasługi przed Bogiem i przed ludźmi, i drugi Włoch Ojciec Michał Contieri także starszy bazyliański z klasztoru Irota Feratta pod Rzymem, gdzie znowu są Bazylianie greccy nie polscy i oba ci duchowni mieli prosić Ojca św., aby ogłosił błogosławionego Józafata świętym i pozwolił uroczyście kanonizacyą, to jest obrząd ogłoszenia w przesławnym kościele św. Piotra obchodzić. Papież w takich przypadkach dopiero w dni kilka, a modli się ciągle przez ten czas, wyrok, o jaki go proszą, wydaje. Wszelako możemy się spodziewać, że wyrok taki niezawodnie nastąpi. I tak liczba świętych polskich znowu się o jednego świętego pomnoży, co będzie prosił u Boga za naszą Polską!

Sz. Niedz.

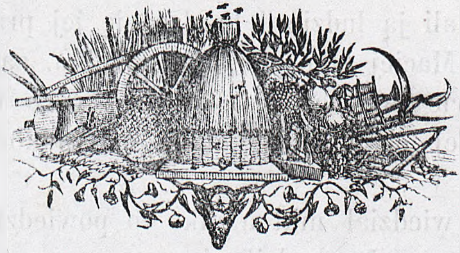
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 4.

1. lutego 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

GROMNICA.

We wsi Majowce był gazda Kuba Kołek, ale to gazda pobożny, pracowity, dla całej gromady plenipotent co się zowie, ale miał on też i główkę nie makówkę, a w tej główce rozumu więcej niż w beczce oleju. Co jeno gromada miała dobrego, że tam była szkoła, że się zgodzono z dworem o pastwiska pięknie i ładnie, że były wszędzie dobre mostki i drzewka koło drogi, że były drogi wysypane piaskiem, że wszystkie sprawy odbywały się w chałupie u wójta a nigdy w arendzie, że nie było muzyki w święto na wsi, że był porządek jak się patrzy, co jeno dobrego było, to wszystko zrobił rozumny i pobożny plenipotent Kuba Kołek.

Ale na każdego jest godzina śmierci i sąd Boży! otóż przyszła ostatnia godzina i na Kubę pobożnego. Cała wieś obstąpiła chałupę, a kiedy się Kuba wyspowiadał i już był konający, podano mu do prawej ręki zapaloną gromnicę, a ludzie poklękli i mówili paciorek za jego duszę, bo go bardzo szanowali dla jego rozumu i pobożnego życia. Gdy Kuba

pomarł, wyjęli mu gromnicę z ręki, a była to gromnica na jakie półtora łokcia długa, a biała jak śnieg i dopiero łońskiego roku poświęcona, a Kuba dopiero pierwszy miał ją konający w ręce. Oglądali ją ludzie i bardzo się jej przypatrywali, aż stryjeczny brat Maciej tego pomarłego Kołka, zapytał się ludzi:

— A wiecie wy też moi drodzy! poco to są gromnice prawie w każdej chałupie u katolików Polaków i kto to tak ustanowił?

Na to nie wiedział nikt a nikt co powiedzieć, aż Maciej, co to był piśmienny i schodził się zawsze co niedziela z profesorem i czytali sobie tam różne gazety i stare książki, odezwał się i powiada:

— Widać! że mało macie ciekawości do nauki, bo nawet o świętych rzeczach nie możecie nic dobrego pogadać, otóż o gromnicach święconych ja wam tu opowiem co nieco:

— Przed narodzeniem Pana Jezusa mieli żydzi prócz 10 przykazań bożych i jeszcze inne przykazy, nawet co do nabożeństwa. Otóż kazał im Bóg przez Mojżesza taki zwyk na zawsze zachować, aby każda matka po narodzeniu małego dziecka nie ważyła się z chałupy zaraz wychodzić, jeno musiała ona dobre pięć niedziel w chałupie cicho koło dziecka siedzieć, a dopiero czterdziestego dnia miała pójść do kościoła z małym chłopaczkiem i tam dawała na ofiarę Bogu, na co ją było stać — jak była bogata to ofiarowała baranka, a jeźli uboga, to dała dwa gołąbki, a jak się to ofiarowało Bogu, to matka klęczała i trzymając synaczka na rękach, modliła się do Boga, dziękując mu za zdrowie i życie swoje i dziecka i prosząc Go o dalszą łaskę, a najbardziej o to, aby Bóg dopomagał wychować to dziecko pobożnie, w dobrej nauce, w dobrych przykładach na człowieka, jak się patrzy.

Ale jedna gazdzina przerwała to gadanie Macieja i powiada mu na to:

— A gdzieby ta która dobra gospodyni wytrzymała aż pięć niedziel w chałupie przy dziecku bez wychodu na świat boży!

A mądry Maciej tnie jej do razu:

— To też bardzo dużo matek idzie marnie z tego świata, a dzieci zostają sierotami przez to, że matki polskie nie uwa-

żają na ten przykaz starodawny, jeno się zaraz zrywają do roboty, to też nie jedna umiera przez to, a drugie chorują zato całe życie. A cóż ci po wszystkiem, jak ci Bóg zabiera zdrowie dla tego, żeś nierozumna i nie chesz usłuchać Boga? Raz uchodzi to nie jednej matce, jak się prędko zerwie z pościeli, ale drugi raz przepłaci to chorobą, a może i śmiercią!

A wszystkie gospodynie kiwnęły głowami na to:

— Oj! co prawda, to prawda! ta choćby jedna i druga matka nie potrzebowała leżeć aż pięć niedziel, to koniecznie powinna cicho leżeć i nie zrywać się do żadnej roboty choćby jeno jakie dziesięć dni.

A Maciej mówi na to:

— Na upartego nie ma kija ani prawa! Ale miarkujcie sobie to dobrze, że sama Najświętsza Panna, ta matka wszystkich ludzi, dała dobry przykład wszystkim matkom, bo ona po narodzeniu Pana Jezusa dopiero czterdziestego dnia zaniosła go na swych rączkach do kościoła i tam ofiarowała Bogu, na co ją było stać. Toż na tę pamiątkę wieczną, jak to Najświętsza Panna usłuchała sama przykazu bożego i dopiero za pięć niedziel wyszła z domu pierwszy raz do kościoła, mamy też wielkie święto na zaczątku lutego, co się zowie: Oczyszczenie Najświętszej Panny, a u nas Polaków po naszemu zowie się: Gromniczną. Otóż ta Gromniczna Najświętsza Panna jest nam pamiątką pobożną, jak to była Najświętsza Panna z maleńkim Jezuseczkiem na ofiarę w kościele a potem jest dla wszystkich matek nauką, aby szły za przykładem Najświętszej Panny i uważały na przykaz boży, by nie leciały zaraz po narodzeniu dziecka i po chrzcie św. za kilka dni na wywód do kościoła, ale aż będą zupełnie zdrowe i mocne, aż dopiero gdzie w pięć albo cztery niedziel po chrzcinach.

Ale zapytał się jeden gazda:

— A gdzie to stoi zapisane, że dopiero w pięć niedziel była Najświętsza Panna z Panem Jezusem na ofiarę w kościele?

A Maciej gada:

— To stoi w św. Ewanielii, co się czyta na Gromniczną na wyrozumienie dla każdego — bo rachujcie sobie w głowie dobrze, to macie od 25. grudnia kiedy było Boże Narodzenie,

aż do 2. lutego, kiedy przypada Gromniczna, akuratnie jak uciął czterdzieści dni, a znowu te czterdzieści dni to cały miesiąc i jeszcze z drugiego dziesięć dni, toż wypadnie pięć niedziel całych! Otóż macie jak na dłoni, że Bóg przykazał matkom aż wtedy chodzić do wywodu z małemi dziećmi, kiedy będą zdrowe i mocne, a jaka to mądrość i dobroć Boża w tym przykazie, to każdy namaca jak palcem na stole, bo to przez czterdzieści dni to i każda matka może się wywczasować i wzmocnić, a znowu i jej dzieciątko umocni się tak, że wychód do wywodu nie zaszkodzi ani jednemu, ani drugiemu. Ale uważcie i to, jaki to grzech mają te matki, co to lecą, czy źle czy dobrze na świecie, zarasieńko po chrzcie św. na wywód i nie raz giną same a przez nich ginie i niejedno dzieciątko, a one nie wiedzą, że to za to trza kiedyś odpowiadać na sądzie bożym.

Potem zapytał Maciej:

— Ale kto mi z was zgadnie to, dla czego to święto Oczyszczenia Najświętszej Panny i ofiarowania Pana Jezusa, kiedy miał już pięć niedziel, zowie się u nas Gromniczną?

Na to powiada gazda jeden tak:

— Bo się święcą gromnice w ten dzień i święcą się przy mszy prawie całą mszę.

A Maciej powiada:

— Ale z jakiej to racyi wzięły się takie duże świece woskowe, co się zowią gromnicami, u nas Polaków?

Na to gazda jeden rzecze:

— Wy tam mój Macieju! grzebiecie w pismach po same łokcie, to znacie to wszystko, toż nam to opowiedzcie, a my was posłuchamy.

Maciej jął tak opowiadać:

— Otóż jest u naszego profesora książka, gdzie stoi opis o tych gromnicach taki:

W mieście Rzymie, gdzie siedzi Ojciec św., byli dawno poganiska, co to nie znali Boga naszego, jeno mieli tyle Bogów, ile rzeczy na świecie. A między nimi żyli tam już i bardzo pobożni Chrześcianie, o wiele lepsi od nas. Toć głuptaki poganiska broili różności, bankietowali, zbytkowali i grzeszyli tak, że tam była u nich Sodoma straszna, a grzeszyli

w całym roku najbardziej ku końcu miesiąca stycznia i na początku lutego, bo to o tym czasie były u nich jakieś święta weselne i rozpusty różne, nito nasze ostatnie zapusty. Na te zbytki patrzyli się pobożni Chrześcianie — ale aby nie mieli pokusy żadnej do pogańskich zbytków i do pijatyki i obżarstwa wielkiego, toż Ojciec św. ustanowił takie nabożeństwo, by wszyscy Chrześcianie szli z procesyą i gromnicami i spiewali sobie pobożne pieśni i to w te dni, kiedy poganie najbardziej dokazywali i grzeszyli po mieście i w chałupach. A jak się poganie potem upamiętali i dali się ochrzcić, toż to nabożeństwo z procesyą i gromnicami zostało potem dodane do święta: Oczyszczenia Najświętszej Panny. A znowu jak się Polacy chrzcili za królów polskich: Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego, to dał Ojciec św. całe nabożeństwo dla Polaków, a wtedy dostali nasi dziadkowie i Gromnice i mamy to święto w całej Polsce jakie od tysiąca lat.

A gazdowie podumali na to i mówią:

— Aha! to to od tych święconych gromnic, co my Polacy dajemy święcić i przez całą sumę święcimy, zowie się to święto Gromnicami — a pono i procesya koło kościoła w to święto z gromnicami jest na tę pamiątkę dawną, jak to pobożni Chrześcianie zabawiali się z Bogiem wtedy, kiedy poganie zbytkowali.

A Maciej dodał:

— To prawda! a dla nas Polaków przypadają Gromnice co rok w zapusty na to, abyśmy i w zapusty nasze polskie mieli Boga na pamięci i nie upijali się, ani objadali w te dni, ale mieli dobrą zwagę i dobre na myśli, a pamiętali sobie dobrze, że trza stanąć na sąd boży i że trza tak umierać z gromnicą w ręku, jak pomarł nasz plenipotent Kuba Kołek.

A gazdowie ciekawi pytali zaraz:

— A na co to jest prawie w każdej polskiej chałupie gromnica i chowają to ludzie do skrzyni nito jakie świętości?

Maciej im na to w ten sens:

— Gazdowie polscy mają w domu święcone ziele, którem kadzą bydło i dają pić choremu wodę wygotowaną z niego; mają święconą palmę, która palą w izbie, jak mocno grzmi i łyska się, tak też mają i te woskowe duże świece poświęcone,

które zaświecają wtedy, kiedy pioruny i grzmoty biją z nieba i temi świecami bronią się przed gromem, toż i ztąd te świece zowią się gromnicami nito świece przeciw gromom — a w końcu jak jaki Polak katolik kona, to mu podają do prawej ręki tę gromnicę na znak, że on wierzył w Boga i Pana Jezusa, że żył podług nauki jego, która jest światłością niebieską i tak z Bogiem chce umierać. Ale gązdowie są nie raz zabobonni i myślą, że samo ziele, że palma albo gromnica poświęcona ratuje od choroby, od ognia i od przypadku jakiego, a to przecie tak nie jest, bo jeno Bóg sam może to zrobić, a ludzie przez wiarę i ufność w Bogu i przez modlitwę i swój ratunek mogą otrzymać od Boga pomoc potrzebną. Ziele ma moc ratowania jeno od Boga i przez Boga, palma i gromnica święcona ma moc ochronienia od piorunu, ale jeno przez Boga — kto też pije zioła w chorobie i prosi Boga o zdrowie to mu Bóg da zdrowie, jak tego jest wart; tak też kto się kadzi dymem z gromnicy, kiedy go guziska owalą i prosi Boga i ratuje się, gdy gromnica sama nie pomaga, to mu Bóg da zdrowie, jak tego wart, albo kto kona z gromnicą w ręku ale ma żal za grzechy i spowiada się, komunikuje i krzywdę naprawi i podaruje urazy, to takiemu i gromnica da lekki skon i dobrą śmierć i zaprowadzi duszę jego do jasności wiecznej. Otóż gromnica powinna być u każdego gazdy polskiego jako rzecz święta i z boską pomocą pożyteczna na niejedno złe.

A gazdowie polscy powinni także święte rzeczy poszanować, w skrzyni albo na półce trzymać, a najlepiej nad łóżkiem w głowach, bo tak robili i nasi dziadkowie, oni patrząc na gromnicę w głowach pamiętali wstając i legając na śmierć i na sąd Boży i krzątali się koło wszystkiego dobrego, żyli z Bogiem i umierali z Bogiem, jak też rodzili i chrzcili się z Bogiem.

A gazdowie na to wszystko:

— No! to już teraz rozumiemy dokumentnie, że to święto 2. lutego jest pamiątką pobożną, jak to Najświętsza Panna była na wywód z maleńkim Jezuskiem, co był wtedy starszy nad miesiąc cały i jak to ona ubożuchna ofiarowała jeno gołąbki, a na baranka nie było ją raz jeden stać — a potem znowu

przyszła do tego później jakie czterysta roków pamiątka od Ojca św. aby była procesya z gromnicami w mieście Rzymie i po innych miastach na to, aby chrześcianie nie mieli pokusy do grzechów, które poganie w te dnie wyrabiali — a znowu całe to święto nastało w Polsce już jakie od tysiąca lat i trwa do dziś między pobożnymi Polakami. A teraz dziękujemy wam Macieju za naukę, daj Boże odpłacić wam to dobrem słowem a może dobrym uczynkiem. Zostańcie z Bogiem a dajcie znać o pogrzebie Kuby, to za darmo pójdziemy z brackiem światłem bo to był dobry i pobożny gazda, a jaki plenipotent to szukać!

I rozeszli się gazdowie, a ja wam ich pogadankę wypisuję do Dzwonka, bo wiem, że się niejednemu na coś dobrego przyda.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Bóg da!

Ucz się w szkole i kościele,
Nie pożałuj radom ucha,
Czytaj książek dobrych wiele,
Kształć bożego w sobie ducha,
Abyś poznał wszystko przecie,
Co się wiedzieć zda
Na tym wielkim, bożym świecie:
A Bóg rozum da!

Kochaj Polskę naszą miłą,
Świętą naszych ojców ziemię,
Gdzie od wieków z Bogiem żyło,
Nasze dzielne, polskie plemię!
Niechaj zawsze twoje serce,
O kraj szczerze dba,
By nie bywał w poniewierce,
A Bóg szczęście da!

Pracuj chwacko, nie pij wódki,
Nie przegniwaj dnia pod piecem,
Bądź roboczy, pilny, rzutki,
W gospodarstwie twojem kmiecem!
Pracuj w polu i oborze,
Póki dzionek trwa,
Ile ręka tylko może:
A Bóg chleba da!

Kochaj cnotę, módl się szczerze,
I bliźniego miłuj twego,
Trwaj przy świętej naszej wierze,
Zapomagaj ubogiego,
Zbrodni niechaj się nie tyka
Nigdy ręka twa,
Serce złości niech unika:
A Bóg niebo da!

Wojtek ze Smolnicy.

Piękne przykłady.

Mikołaj Michalewicz.

Rzecz którą wam dzisiaj zamierzyłem opowiedzieć, nie jest bynajmniej zmyśloną, jak różne historyjki ku zabawie służące, ale prawdziwą. Odczytanie jej powinno radość wam sprawić, najmilsi bracia, gdyż znajdziecie tu nowy przykład, jak to nauka z pomiędzy ubożuchnych ludzi wydźwiga człowieka na wysoki stopień znaczenia, a zapewnia mu poszanowanie i piękne imię zasłużonego krajowi człowieka.

Na pograniczu Podola galicyjskiego i Pokucia, nad rzeką Dniestrem, leży wieś Kopaczyńce, zamieszkała przez lud pochodzenia ruskiego. Wioska to nie wielka, ale pięknie zabudowana, a każde domostwo włościańskie ładnym otoczone sadem; nie braknie więc mieszkańcom dobrego owocu, ale owszem jest go zawsze obficie, nie tak jak po wsiach innych gdzie na nieszczęście sadownictwo bardzo jest zaniedbanem.

We wsi znajduje się drewniana cerkiewka, a przy niej proboszcz mieści się z żoną i dziatkami, opodal zaś uboga chałupka, w której mieszka diak, czyli spiewak cerkiewny.

Przed kilkudziesięciu laty dziedzic Kopaczyniec zwał się Bachmiński i mieszkał w pięknym dworze, bielutkim jak śnieg, od którego czerwony dach pięknie odbijał śród ogromnych lip, któremi dwór był otoczony, po za dworem ciągnął się wielki ogród wysadzany ulicami lipowemi, naprzeciwko dworu wznosiła się naówczas murowana kaplica, wystawiona przez dawnych a pobożnych właścicieli wsi, była też i druga na końcu jednej z ulic lipowych; w kapliczce tej znajdowało się wyobrażenie Pana Jezusa, wyrzezane z drzewa z cierniową koroną na głowie. Część ta ogrodu zawsze obfitowała w śliczne kwiaty, które szły na ozdobę ołtarzy cerkwi i obu kaplic.

Druga część ogrodu obfitowała w przeróżne drzewa owocowe, z których to najgłówniej korzystali włościanie, bo dawni dziedzice nie żałowali im młodych szczepków, a już taki zwyczaj od dawna we wsi panował, że każda para nowożeńców, zanim wzięła ślub, musiała zasadzić po cztery drzewka owo-

cowe w swym sadzie. Piękny i pożyteczny był to zwyczaj, a panował nietylko w Kopaczyńcach, ale w wielu częściach kraju, warto abyście go wznowili moi najmilsi przyjaciele.

Mój Boże jakże się od owego czasu w Kopaczyńcach zmieniło! Stary dwór chyli się ku upadkowi, piękne ulice lipowe jeden z późniejszych dziedziców kazał wyciąć i spalić w gorzelni. Lipy owe stukilkudziesięcoletnie, które cień i ochłodę dawały po pracy, poszły na ogień pod kotły, w których wypalano piekielny gorzałczany napój; kaplica murowana opustoszała, a miejsce ołtarzy, obrazów świętych, zajęły garnki z mlekiem, masło, sery a zamiast pobożnych modłów, rozlegają się klątwy niesfornej czeladzi.

Znać jednak Bóg opiekował się poczciwymi włościanami tej wioski, jako też i przyległej komisówki, bo chociaż w roku 1831 po całej okolicy cholera okrutnie grasowała, to ominęła obydwie wsie, a gdy po innych wsiach, a nawet w bliskiem miasteczku Czernelicy mnóstwo luda wymarło, to w obu wsiach powyższych ani jeden mieszkaniec nie zachorował.

Ale ja rozgadałem się o Kopaczyńcach, a zapomniałem zupełnie o Mikołaju Michalewiczu, którego żywot obiecałem wam opisać.

Ojciec Mikołaja, jak wam już opowiedziałem ubogi diak, miał oprócz niego, trzech jeszcze synów. Możecie sobie wystawić kochani bracia, jak trudno było biednemu słudze cerkiewnemu wychować czterech chłopaków, przy szczupłych dochodach i maleńkim kawałku gruntu, ale ów człek poczciwy ufał Opatrzności Bożej, która o najmniejszym robaczku myśli i miał nadzieję, że jego chłopaki nie zmarnieją, kochał ich jednakowo. Z pomiędzy jednak chłopców Mikołajka nieco nad innych przenosił, bo chłopczyna spokojny i potulny, nadzwyczaj wielką chęć do nauki okazywał; sam xiądz proboszcz dziwił się bardzo, że chłopiec w krótkim czasie nauczył się czytać i po polsku i na cerkiewnych księgach i pomagał ojcu w spiewie, a nie długo i piórem dobrze wywijał. Michalewicz miał wielką chęć posyłać syna do szkół, ale gdzież ubogiemu diakowi myśleć o oddaniu chłopca do miasta, gdzie zań mieszkanie i życie płacić, przyodziewę sprawiać i książki kupować należało.

Zdarzyło się pod ten czas, że pan Bachmiński wysełał synów swoich do Buczacza, kędy podówczas xięża Bazylianie dobre szkoły utrzymywali. Panicze a osobliwie dawniej wyjeżdżający do szkół miewali do posług chłopca, który im suknie czyścił, izby zamiatał i w piecach palał. Dziedzic właśnie miał posłać z synami parobczaka, a gdy się o tem Mikołajek dowiedział, rzekł do ojca:

— Tatku, pan dziedzic wyseła synów do szkół, a z nimi Iwasia, czybyście nie mogli jako zrobić, żebym ja z nimi pojechał?

— Więc się chcesz na fagasa kierować Mikołajku! — rzekł ojciec z gniewem — uprzykrzył ci się stan diaka i zamiast poczciwie zarobionego kawałka chleba, wolisz zlizywać półmiski i na pańskie frykasy ostrzysz zęby!

— O nie tatku, niechaj mię Pan Bóg broni od takiej myśli, ja dla tego chcę przyjąć służbę przy paniczach, abym mógł razem z nimi chodzić do szkoły w Buczaczu.

A stary pocałowawszy syna w głowę, rzekł:

— Nieźleby to było mój Mikołajku, tylko czy pan przystanie na to abyś razem z paniczami na jednej ławce siadał.

— Panicze daleko więcej umieją odemnie, więc pójdą od razu do wyższej klasy, a ja sobie zacznę od pierwszej.

— A gdy szkoły pokończą cóż wtedy będziesz robił? bo wiesz, że ja nie mogę na ciebie łożyć.

— Ej przecież do tego czasu tyle się nauczę, że potrafię na siebie zapracować.

— Ha, widno Pan Bóg natchnął cię tą myślą. Mikołajku, idę do dworu a może też i stanie się tak jak pragniesz.

Pan Bachmiński z chęcią na prośbę Michalewicza przystał, raz dla tego, że stary żadnych zasług od pana nie wymagał, tylko się przymawiał o starą suknię i niepotrzebne książki paniczom, powtóre że Mikołajek starszy od synów a stateczny, sto razy lepszym był dla nich sługą, aniżeli parobek, umiejący konie czyścić i zamiatać sień, ale nie paniczom usługiwać; zresztą Mikołajek nosił się z miejska, wolał więc takiego lokaja, aniżeli parobka, któremu dopiero należałoby suknie sprawić.

Wieleby o tem pisać trzeba, aby opowiedzieć z jakiemi trudami Mikołajek przechodził szkoły! Panicze jako młodzi a

swawolni nieraz mu dobrze nadokuczali. Często niedostawało biedakowi książek, papieru, czasem łokcie z rękawów, a palce z butów wyglądały, ale chęć do nauki przemogła te wszystkie trudności, a Mikołajek co rok do wyższej klasy przechodził; wreszcie pokończywszy szkoły w Buczaczu, a pracując usilnie, zdobył się na drogę do Lwowa, kędy umyślił dalsze nauki w akademii odbyć. Przybywszy do tego miasta, choć prawie bez grosza, nie stracił ufności w łasce Bożej i zapisał się na ucznia akademickiego. Profesorowie wkrótce poznali w nim wielką chęć do nauki i pilność niezmierną, a więc pomagali Mikołajowi jak mogli, to dając mu lekcye po domach w mieście, to znowu nastręczając roboty rozmaite. Tak więc w jednem miejscu za naukę chłopców miał mieszkanie, opał i śniadanie, w drugim obiad, w trzecim kilkanaście złotych, przepisywał innym studentom szkolne pisma, a tak mógł żyć a uczyć się dalej.

Całe dnie schodziły Mikołajowi bądź na lekcyach w akademii, bądź na nauce chłopców, to też nie mając czasu we dnie pracować dla siebie, większą część nocy przepędzał nad książkami.

W parę lat potem Michalewicz skończywszy filozofią we Lwowie, a widząc że mu jeszcze wiele nauki brakuje, zebrawszy nieco grosza z swej pracy i przy pomocy ludzi dobrych wyjechał do Wiednia, ażeby tam w wyższych doskonalić się umiejętnościach. Tu wkrótce szczęśliwym zrządzeniem znalazł opiekuna w szlachetnym hrabi Ossolińskim, który w Wiedniu był przełożonym nad cesarską biblioteką. Michalewicz nie posiadał się z radości, nietylko bowiem dostał od hrabiego dobre miejsce w bibliotece to jest: takim ogromnym zbiorze ksiąg, ale mógł z nich czerpać mądrość i doskonalić się w naukach.

Hracia Ossoliński był to pan wielkich cnót, człowiek bardzo rozumny, a wielkiego majątku nie używał na własne uciechy, ale na korzyść ziomków. Z wielkim mozołem i staraniem gromadził ksiąg mnóstwo, a wybudowawszy we Lwowie gmach, który po dziś dzień zowie się zakładem imienia Ossolińskich, umieścił w nich zebrane księgi, nakazawszy aby do nich przystęp był wszystkim wolny, aby wszyscy mający chęć do na-

uki mogli się tutaj kształcić, aby z tej wielkiej książnicy rozchodziło się światło na cały kraj.

Kustoszem czyli nadzorcą tego zakładu zrobił Michalewicza. Wkrótce staraniem hrabiego, syn diaka został pierwszym profesorem literatury polskiej w akademii Lwowskiej, gdzie dotąd nie uczono jej wcale; Michalewicz oprócz tego wydawał gazetę i był powszechnie kochanym i szanowanym dla głębokiej nauki i zacności wielkiej.

Przy takich zatrudnieniach i znacznych pensyach, przyszedł do wielkiej zamożności, ale mimo pracy i licznych zatrudnień, myśl o drogich rodzicach ciągle mu tkwiła w duszy, umyślił zatem pojechać do Kopaczyniec, aby nawiedzić staruszków, a szczęściem swojem z niemi się podzielić.

Skoro gruchnęła wieść po Lwowie, że zacny Michalewicz wybiera się do Kopaczyniec, wnet różni panowie i szlachta ofiarowali mu swoje powozy i konie dla odbycia podróży. Wymawiał się przez skromność Mikołaj, ale jeden ze znajomych panów, rzekł mu:

— Wielmożny kustoszu, tu nie idzie o to abyś się puszył z powozu i koni, gdyż wiemy że serce twe szlachetne, ma w pogardzie światowe parady, lecz powinieneś dla tego jechać powozem i czterema końmi do Kopaczyniec, aby lud wiejski widział jak to nauka wznosi człowieka wysoko, aby poruszeni twym przykładem nabierali chęci do nauki.

Powozem więc czterema końmi zaprzężonym jechał syn diaka do wsi rodzinnej, a gdy zbliżył się ku niej, zewsząd wybiegał lud i dziwił się niezmiernie, dowiedziawszy się, kto tak wspaniale jedzie do Kopaczyniec.

Nakoniec powóz wjechał do wsi, środkiem drogi szła jakaś stara niewiasta schylona, pod brzemieniem ciężkich wiader z wodą; stangret krzyknął na nią aby się usunęła, a gdy to uczyniła i ustąpiwszy na bok, patrzyła z ciekawością kto jedzie; nagle Michalewicz zawołał na stangreta ażeby stanął i wyskoczywszy z powozu pochwycił konewki od starej niewiasty i nieść je począł.

— Co jaśnie pan robi? — zawołała zadziwiona staruszka.

— O moja matko! moja serdeczna matko, pozwól niech ja dźwigam te ciężkie wiadra z wodą, pozwól mi, bo ja jestem twój syn Mikołaj.

I postawiwszy wiadra, upadł jej do nóg, objął za kolana i całować począł.

A staruszka wybuchnęła takim płaczem serdecznym, że tłum ludzi co oboje otaczał, nie mógł łez powstrzymać i wszyscy płakali ze wzruszenia i radości.

O na takie łzy Bóg z rozkoszą z wysokiego nieba pogląda!

Po chwili Michalewicz wziął znowu wiadra, mimo oporu matki, a gdy lokaj w liberyi skoczył z za powozu i chciał go wyręczyć, Mikołaj rzekł:

— Odejdźcie Pawle, ja tylko mam prawo nieść wodę za moją matkę, ja tylko jej służyć powinienem.

Radości rodziców, przywitania się rodziny nie opisuję wam, bo moje pióro temu nie podoła. Powiem to tylko, że szlachta dowiedziawszy się o przybyciu Michalewicza i jego miłości synowskiej, wyprawiła wspaniałą ucztę, na której przy stole posadzono na najpierwszem miejscu rodziców Mikołaja, a wszyscy panowie cześć im jak największą oddawali.

Mikołaj dopomógł rodzicom, a braci swych tak pokierował, że jeden został proboszczem ruskim, drugi mający ochotę do wojska wyszedł na kapitana, a potem został urzędnikiem, trzeci nakoniec nie mający ochoty do nauki diakiem jak ojciec. Sam Mikołaj żył jeszcze długo piastując godność profesora, nakoniec umarł przed 16 czy 17 laty, kochany od uczniów, a szanowany od wszystkich rodaków.

Otóż drodzy bracia moi bierzcie przykład z zacnego Michalewicza, niech jego żywot i pomyślność do pracy, a miłość synowska i poczciwość do cnoty zachęca. On człowiek z biednego stanu, kość z naszych kości, najlepszym jest wzorem do naśladowania.

Wy dziś macie otwarte do nauki wrota; ukochajcie ją i kształćcie wasze dzieciny, a chowajcie je tak, aby was czciły i kochały jak Mikołaj czcił i kochał swoich rodziców!

Kazimierz Góralczyk.

Rady gospodarskie.

O pasiekach, sadach i chmielnikach.

Jednocześnie ze zmianą i poprawą gospodarstwa, nie można także zapominać o zaprowadzeniu pasiek i zakładaniu sadów, tem więcej, że jak w pierwszych, tak i w drugich lubowali się zawsze ojcowie nasi. Najtrudniej zdobyć się na jeden ul, ale nie stojak, nie pień, w którym pszczołom ciasno i niewygodnie, lecz na ul ulepszony, w którym pszczoły wydają co rok po kilka rojów z jednego, a miód cebrami wybiera — to jak Pan Bóg poszczęści, w krótkim czasie można dojść do kilkunastu takich ulów i z nich ogromnej się nawet pasieki dochować. Ul taki zaledwie kilka złotych kosztować będzie; warto więc niejednej potrzebie własnej odmówić, niejednej zabawy, chrzcin lub wesela się wyrzec, a zapomódz w pszczoły. Dobytek to, którego utrzymanie nic prawie nie kosztuje; sam bowiem zbiera sobie pożywienie na kwiatach i drzewach; za pracę zaś nie wielką, raczej zaś za pamięć i starania koło siebie, wypłaca się wielkiemi korzyściami.

Niemniejsze też pożytki przynoszą pod każdym względem sady, czyli ogrody owocowe; albowiem upiększają i ocieniają siedziby, które będąc jak dotąd ogołocone z drzew, smutno jakoś wyglądają, podobne więcej do pustek, aniżeli do mieszkań ludzkich; ochraniają pobudynki od ognia, wydają owoce, spożywanie których wpływa na utrzymanie zdrowia ludzkiego; brak zaś pobudza częstokroć do nadużyć, do kryjomej kradzieży i naruszenia cudzej własności; nakoniec zaś sprzedaż tychże owoców, czy to w stanie naturalnym, czy też suszonych, przynosi znakomite korzyści. Krom tego dla każdej gospodyni, która myśleć musi o wyżywieniu biednej dziatwy i czeladzi, jakąż to są podporą owoce surowe i suszone, z których zawsze można zgotować smaczne i pożywne jadło.

Chcąc więc dochować się sadów owocowych, najlepiej jest rozmnażać drzewa z nasienia, biorąc owoce z gatunków najlepszych, zdrowych i nie starych. Zebrane owoce po zgniciu, rozgniatają się na miazgę w jakiem naczyniu, a nasiona wypławione wodą, sieją się na żyznych i dobrze kopanych grzędach albo zaraz w jesieni, albo też pomieszane z cokolwiek wilgotnym piaskiem przechowują się w piwnicy aż do wiosny, i w tej dopiero porze zasiewają. Pokrycie przegniłym gnojem nasienia, przerzedzanie po zejściu, i kilkakrotne w pierwszym

roku pielenie, są konieczne. Na drugi rok obrzynają się boczne gałązki, a gruszkom i jabłoniom nawet wierzchołki po nad okiem najlepiej ukształconem, niezaniedbując także plewidła. W jesieni gdy liście opadają, a łepiej na wiosnę przenoszą się wykopane płonki do szkółki sadzonek, sadząc w rzędy o łokieć odległe. Najlepiej jednak przesadzać w trzeciej wiośnie, pamiętając aby nie uszkodzić bocznych cienkich korzonków, oraz żeby przed sadzeniem oderznąć gładko do połowy korzeń macieczny. Pieniek także przycina się z góry nie zostawiając mu więcej nad kilka oczek. Ziemię naokoło sadzonek obsypać szpilkami sosnowemi, jak się zielsko puści, okopać, a wilki palcami przycierać.

Przeniesione do szkółki sadzonek drzewka, następnie albo stosują, czyli kopulizują, a co najlepiej oczkują. Drzewa ziarnowe, t. j. grusze i jabłonie, zostawiają się zazwyczaj po uszlachetnieniu w szkole szczepów do szóstego lub siódmego roku, łatwiej się bowiem przesadzone potem przyjmują. Najpewniej udaje się przesadzenie, kiedy pnie dojdą grubości palca wielkiego; dopełnia się zaś w jesieni, lub co najlepiej na wiosnę w końcu marca i początkach kwietnia, na dwie do trzy stóp szerokie i takiejże głębokości; rozumie się w ziemi dobrej, liniami piętnaście do dwadzieścia łokci od siebie odległemi w położeniu ogrodu skośnem a naprzemian w położeniu prostem. W miejscach wyższych sadzić potrzeba grusze i wiśnie, w niższych jabłonie i śliwy.

Rozmnażając w ten sposób drzewa owocowe, nie tylko wprędce dochowamy się pięknych sadów, ale i drogi nasze nieocienione, na których latem kurz i spiekota do żywego dokuczają bydlętom i ludziom; — będziemy także mogli wysadzać temiż drzewami owocowemi. Wtedy nauczymy się oszczędzać i szanować młode drzewiny więcej niż dotąd, i nie będziemy pochopni do łamania onych, obdzierania z kory, wycinania na biczyska i t. p. A jakaż to miła i pożyteczna praca ogrodnika?... Warto więc szczerze przyłożyć ręki, by się nią za życia nacieszyć, a dzieciom i wnukom zostawić po sobie pamiątkę; kiedy bowiem już ani prochu z kości naszych nie będzie, oni patrząc na sady ręką ojców wypielęgnowane, nieraz wspomną sobie: te drzewa to mój rodzic jeszcze albo dziaduś sadzili.... a przy tem wspomnieniu, westchnąwszy szczerze do Boga, nieraz odmówią za spokój dusz naszych „wieczny odpoczynek.“

Dalej opowiemy wam w przyszłym numerku Dzwonka.

RÓŻNOŚCI.

Żołnierska sztuka Kiedy jeszcze było wojsko polskie, co to temu już dobrych trzydzieści lat górą, przymaszerowała jedna kompania do pewnego miasteczka. Tu się wojacy rozeszli po kwaterach, i wszystkim było dobrze po domach, jeno jednemu nie, co stał na kwaterze u żyda. Żydzisko wojakowi nie chciał ani mięsa porządnie uwarzyć, ani dać słomy świeżej na pościel — zgoła nic a nic. Wojaka gniew bierze okrutny, bo choć krzyczy i prosi, prosi i krzyczy, żyd ani rusz nie chce się poprawić. Widząc to tedy nasz wojak, że z żydem prostą drogą do końca nie trafi, taki sobie nareszcie sposób ucieszny wymyślił, bo już to żadnych gwałtów i termedyj nie chciał jako polski żołnierz wyrabiać.

Idzie sobie więc za miasteczko, wyszukał ogromnego koła dębowego, a potem umaczał ten kół w jatkach krwią z woła, wrócił pod swoją kwaterę i czekał, aż żyd przyjdzie. Gdy żyd był w izbie, wtedy nasz wojak wchodzi z kołem, stawia kół krwią zamazany w kącie, marszczy strasznie czoło, sroży okrutnie wąsy i ściskając pięści, tak mówi do tego kołu:

— Słuchaj ty kole dębowy! Jak ja powrócę, a nie będzie tu na stole przynajmniej kwaterki wódki, chleba z masłem albo z serem, a na obiad znowu rosołu, kawałka mięsa i jakiego dodatku, to ja ciebie znowu będę zmuszony tak bić, jak oto teraz z tobą zrobiłem, że krew z ciebie pociekła, a może cię i w kawałki o czyjś łeb potłukę!!

I nagroziwszy tak kołowi głośno wyszedł z izby. Żyd się okrutnie przeląkł na to straszne gadanie wojaka i biegnie do kapitana, skarżąc się na wojaka, że tak do kołu mówił. A kapitan mu na to:

— Kiedy tobie nic nie mówił, to co to ci szkodzi, niechaj on sobie kół bije!

— Aj! waj! prosię pana kapitan! — mówi na to żyd — a jak wun zechce bić kołem o mego głów, to wun mnie zabije!

Kapitan się uśmiechnął, bo pomiarkował cały figiel starego wojaka, i z jakiej to on beczki mądrze zaszedł żyda — a żyd widząc, że nic nie wskóra, przygotował i wódkę chleb z serem i masłem, i obiad zgotował, tak, że jak wojak wrócił do domu, już wszystko zastał, jak chciał. Żyd zaś prosił go tylko pięknie, aby wyniósł ten kół z izby, bo to nie po koszernemu, co też wojak z ochotą zrobił, a zajadając smacznie śmiał się w duchu z swego figla. Zaś ten wojak zwał się Jabłoński i był grenadyerem w wojsku polskiem, a wszyscy co w tem wojsku służyli pamiętają go dobrze. Był to tęgi wojak, jakich mało, zuch siarczysty, a mądral przy tem nie lada. Spłatał on mnóstwo takich ucieszny ch figlów, które my wam potem znowu opowiemy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. **Nr. 5.**

11. lutego **1865.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wawrzyniec Knapiński,

kmieć z Lipowca, — majster snycerski.

Sprawiedliwość Boża równo rozdziela swe dary. Obsypuje Ona tak szczodrze zdolnościami ubogiego chłopka jak i bogatego pana. Często też z pod niskiej strzechy włościańskiej wychodzą znakomici mężowie, co są potem chlubą swego narodu. Niekiedy jednak zdarza się, że obdarzony zdolnościami chłopek, zamiłowawszy swój stan rolniczy, pracuje na własnej grzędzie, a w wolnych tylko chwilach oddając się tym sztukom i robotom, do których posiada dar od Pana Boga. Tacy właśnie włościanie są oczywistym dowodem łaski Bożej nad biednymi a zarazem przykładem, że w każdym stanie, nie zrucając siermięgi ojców, pracować można ku chwale Pana Boga i pożytkowi ludzkiemu.

Chcemy wam właśnie dla przykładu rozpowiedzieć kilka historyj o takich włościanach, którzy nadzwyczajnemi od Pana Boga obdarzeni zdolnościami, używali ich z pożytkiem, pozostając w skromnym chłopskim stanie, którego są prawdziwą

chlubą i ozdobą. Do takich ludzi należy kilku chłopów w Krakowskiem zajmujących się snycerstwem.

Abyście zaś wiedzieli, co to jest snycerstwo, powiem wam że jest to sztuka zręcznego wyrzynania z drzewa, kości lub na kamieniu rozmaitych pięknych postaci, czy to świętych Pańskich, ludzi lub kwiatów, drzew albo innych rzeczy. Sztuka to jest bardzo wielka i trudna, a tylko kto ma od Boga dane do niej zdolności, i to po długiej nauce poradzić jej może. Snycerze to widzicie wyrabiają różne z drzewa i kamienia figury do kościoła w ołtarzach stojące, co miłem jest Panu Bogu.

Otóż taką to sztukę umieją owi chłopi, a co tem godniejsze podziwienia, że się jej nigdy i nigdzie nie uczyli, ale tak szli za swojemi przyrodzonemi zdolnościami, i Pan Bóg pracom ich darzył.

Najsławniejszym z tych wszystkich wiejskich snycerzy był chłop nazwiskiem Wawrzyniec Knapiński, zamieszkały długi czas w wiosce Lipowcu, pod sławnem miastem Krakowem. Urodził on się w 1771 roku we wsi Płazie, niedaleko od Lipowca. Już od najpierwszej młodości okazywał wielką szykowność do strugania z drzewa różnych zabawek, figurek i tym podobnych innych sztuczek. Gdy podrósł, zajmował się robotami stolarskiemi, a wykonywał je z wielką zręcznością.

Zdarzyło się wtedy, że biskup krakowski Sołtyk ozdabiał w Krakowie swój piękny pałac. Wawrzyniec tam znalazł robotę. Jego zręczność, uczciwość, skromność, zwróciły uwagę biskupa, który polubił serdecznie młodego a tak zdolnego robotnika. Po ukończeniu przeto wszystkich prac w pałacu, zacny biskup opatrzył Wawrzyńca zapomogą i obdarzył na wieczne czasy siedzibą i kawałkiem gruntu we wsi Lipowcu.

Osiadł tu Wojciech, i orząc swoją skibę w wolnych chwilach oddał się z zamiłowaniem snycerstwu. Szczególniej piękne są jego wyroby męki Pańskiej bardzo delikatnie z drzewa wyrobione i we flaszeczce z małym otworem bardzo sztucznie umieszczone. Wyrabiał on także i innych świętych Pańskich, a ztąd ludzie nazywali go po swojemu bożkiem, bo pracował przedewszystkiem dla Boga. Nareszcie Knapiński dobrze

już podstarzały, pozostawiwszy mnóstwo pamiątek po sobie, zmarł przykładnym katolikiem w 1833 roku.

Lecz nie wygasła po nim w Lipowcu sztuka snycerska, bo Knapiński upatrzył sobie zdolnego chłopka, i nauczył go wyrabiania tego wszystkiego co sam umiał. Uczniem tym jest chłop nazwiskiem Bryłka, mieszkający obecnie we wsi Babicach pod Krakowem, gdzie ze zręcznością wielką zajmuje się wyrobami snycerskiemi, w które zaopatruje całe okolice. A kiedy już wam powiedziałem o jednym, to też powiem i o drugim takim snycerzu z chłopskiego stanu. I tak we wsi Czernichowie, także pod Krakowem, mieszkał chłop Kasper, zwany Sztuka, a tak wysoko zdolny w snycerstwie, że wykonał postacie świętych do ołtarza w kościele w Rybnem, nieopodal Krakowa położonem.

Wszyscy ci ludzi są przykładem tego, cośmy naprzód powiedzieli: że Bóg równo rozdaje swe dary tak ubogim chłopkom jak bogaczom jeno aby człek nie marnował tego daru, ale używał go w pracy i poczciwości na chwałę Pana Boga i pożytek dobrym ludziom.

Jak Kuba Bogu tak i Bóg Kubie.

Ułożył Jan Kanty Turski.

I.

Kuba był chłopem, co się nazywa:
Bo w nim i dusza była uczciwa,
I serce dobre, i obyczaje,
Że go gromada za przykład daje.
Czy popracować, czy się zabawić,
Czy przyjacielsko za kim się wstawić,
Wszędzie i zawsze Kuba najpierwszy,
Najuczynniejszy — ba! i najszczerszy,
Był też zamożny, Pan Bóg mu szczęścił,
Dobytek jego co rok się gęścił —
Co rok przybyło cielę lub jagnię —
Zgoła ma wszystko czego zapragnie.
Cieszy się zdrowiem i dobrą sławą
Rozrywa pracą, albo zabawą —

Dziewczę dorodne kocha i bierze,
I wieczną wierność przysięga szczerze.
I taki szczęśliw żyje swobodnie:
I dziatwa mała rośnie dorodnie —
A on w rodzinny dom swój pogląda
Mówiąc, że więcej szczęścia nie żąda.

II.

I czemuż Kuba taki szczęśliwy?
Czyliż w tem jakie święcą się dziwy? —
Nie jeden sąsiad pyta zazdrośnie,
Czemu tak drugim szczęście nie rośnie?
O! mój sąsiedzie — nie sąć to dziwy
Jak mi świat miły, jako Bóg żywy.
Ale najprostsza tego przyczyna:
Że na nim żadna nie cięży wina;
Że Kuba dobrze tego jest świadom,
Co winien Bogu, wiosce, sąsiadom.
Że nim do pracy wyjdzie — na progu
Najpierw oddaje cześć Panu Bogu.
I w miarę szczęścia w miarę radości
Co raz w nim więcej bożej miłości.
Więc się nie dziwcie i już na później
Niechaj z was żaden Kubie nie bluźni —
I niech pamięta, że w tym żywocie
Bóg szczęście dawa ludziom ku próbie —
I że się życie składa po cnocie:
Jak Kuba Bogu — tak i Bóg Kubie.
Tak mówił kapłan — gromadzie całej,
Gdy się na szczęście Kuby skarzyli —
I jego mienia pozazdrościli —
Tak mówił kapłan, jak gołąb biały.
A lud, co wierzył kapłana mowie,
Zrobił z słów jego świętych przysłowie:
I szło tak wsiami: szczęście ku próbie,
Jak Kuba Bogu, tak i Bóg Kubie.

III.

Oj prawda, prawda: szczęście ku próbie:
Jak Kuba Bogu tak i Bóg Kubie.
I wytrwać w cnocie aż do ostatka
Toć to największa życia zagadka
Słuchajcież dalej moi ludkowie,
To się wam resztę o Kubie powie.

Bo on nie wytrwał choć dobry taki
I wolny z razu złości wszelakiej.
Nie wytrwał w cnocie, i z nim się stało,
Co się dziś dzieje z ludźmi nie mało.
Bóg sprawiedliwy dawał mu wiele
Bo Kuba Bogu służył statecznie
W domu i w mieście ba! i w kościele
I wszędzie — wszędzie czcił Go serdecznie.
Lecz na człowieka za wielka próba
Szczęścia obfitość, ciągła, niezmienna —
Więc się znudziła praca codzienna
Pracy nie trzeba: dość już ma Kuba.
Tego na całe życie wystarczy,
Choć Bóg chorobą chatę obarczy.
Choćby i ogień wziął coś — i woda
To będzie szkoda — lecz mała szkoda - -
Z tego się jeszcze zostanie tyle
Że za nim człowiek spocznie w mogile,
To i używać może obficie
I w bezczynności przebawić życie.
O ta bezczynność to taka luba
Gdy się już dosyć napracowało:
Dosyć już pracy — dość się zebrało:
Tak myśląc.... przestał pracować Kuba.

IV.

Ale występkiem duszy nie skaził
I Boga kochał — i nie obraził:
Jedynej tylko uległ przemianie:
Polubił spokój i próżnowanie.
I moi ludzie, ani się spodział,
W jaką się zaraz skórę przyodział.
Tak się na życiu prędko odmienił,
Jakby się iście cały wylenił.
Z małego zacząć pójdzie się dalej.
Kiedy już Kuba próżniactwo chwali,
Kiedy dostatków szczodrze używa
I już nie widzi, jak ich ubywa —
Ani się spostrzegł jak z życia zmianą
Wpadał dzień po dzień w przyszłość nieznaną.
Najprzód go naszły bezecne n u d y —
Których nie zaznał nigdy poprzódy.
Więc i nie wiedział, co na to radzić,
Dał się pokusie dalej prowadzić.

Z nudów urosła chętka rozrywki....
Już nie tej słodkiej co pracę słodzi:
Lecz kompanijki, niesforne spiewki,
I to co zawsze z niemi przychodzi —
I to co zguby bywa pobudką,
Co się nazywa piekłem lub wódką.
I tak powoli — szło co raz dalej —
Z nudów się pije — z nudów się pali —
Z nudów się trwoni grosz uzbierany,
To na odpusty, to na jarmarki —
Idą uciechy, bankiety, tany —
Aż się nareszcie przebrało miarki!
I ani patrzył poczciwy Kuba,
Jaka się stała różnica gruba
Już sam nie zgadnie, zkąd się to wzięło
Że mu się nie chce modlić jak dawniej —
I już mu pacierz idzie nie wprawniej....
Ani przed krzyżem serce nie drgnęło.
Lecz jakoś jeszcze składa się życie:
Ej co tam o to, że żona płacze,
Że jedno, drugie zmarło mu dziecię....
Przecież z rozpaczy serce nie skacze: —
Przecież są jeszcze na to sposoby
Pocóż koniecznie szukać żałoby.
Tak, tak! mój Kubo.... radź sobie jeszcze,
Póki cię bieda nie weźmie w kleszcze —
A ponoć ona już dosyć blisko;
Już twoje drogie zdycha konisko,
Już się i chata sterana wali,
Już się stodółka ze zbożem pali —
Już i ty pono bledniesz, siwiejesz —
Słychać że pijesz tylko — a nie jesz —
Ej co tam Kubo!... radź sobie jeszcze
Póki cię nędza nie weźmie w kleszcze.

V.

I cóż myślicie.... czy los oszczędza? —
Nie — nie ludkowie: przyszła i nędza.
Kuba zbiedzony i schorowany.
Już nie w roskoszne puszcza się tany;
Ale w szpitalnej białej odzieży
Na miłosiernej pościeli leży....
I czeka tylko.... aż Bóg wysłucha
I z nędznej skóry wywoła ducha.

A przed skonaniem w ostatniej chwili,
Żalem i skruchą serdeczną kwili: —
Dobrzeć to mówił kapłan on biały
Dobrze i wioski z nim powtarzały:
Że dla człowieka szczęście ku próbie:
Jak Kuba Bogu, tak i Bóg Kubie.

VI.

I umarł w nędzy! Ostry sąd boski!...
Ludzie płakali z rodzinnej wioski,
A dzieciom wnukom za przykład dając
Mówili xiędza głos powtarzając:
Że dla człowieka szczęście ku próbie:
Jak Kuba Bogu, tak i Bóg Kubie.
A ja wam jeszcze słówko dołożę,
Że z życia Kuby przykład wam taki,
Że praca zawsze ludziom pomoże
I od pokusy wstrzyma wszelakiej.
Im większe szczęście płynie ci z nieba
Tem ci ochotniej pracować trzeba.
Kuba że pracę w szczęściu porzucił,
Ano i Boga w niebie zasmucił:
Bo szczęście ludziom dane ku próbie:
Jak Kuba Bogu: tak i Bóg Kubie.

Człek zamyśla a Bóg kieruje.

Wyczytałam w książce bardzo ładny przytrafunek, jaki się był stał przed laty kilkunastu w jednem naszem mieście, a że jak co ładnego wiem, to bym wam chciała zaraz to spisać, otóż i ten przytrafunek podaję jak się zdarzył.

Więc tak było: w tem naszem jednem mieście polskiem był sobie piekarz, co żył wedle Boga, i dla tego wiodło mu się nie źle, nie był ci on prawda wielki bogacz, ale też i niedostatek był od niego daleko. Do tego miał uczciwą, pracowitą żonę, z którą dał mu Pan Jezus trzech ładnych chłopaków. Żyli sobie więc ci piekarzowie w szczęściu i swobodzie, nie zdzierając nikogo, ale owszem ile możności czyniąc bliźniemu dobrze. A nie jednemu lubił przyborgować, to mu ta

i przepadło nie raz, ale on się tem nie bardzo frasował ani się na ludzi nie gniewał, tylko zwykł był mawiać, że to daje na procent Panu Jezusowi. Cała ich turbacya była jeno, aby dzieci jak się patrzy wychować, i aby im taki los i takie rzemiosło obmyśleć, coby z niego byli kontenci i szczęśliwi i Bogu i ludziom pożyteczni. Piekarz zwykł był mawiać do swojej żony, że już każdemu obmyślił czem będzie i że się tak stać musi. No i tak stały rzeczy, tylko kiedy niekiedy sama piekarzowa mawiała, że to jeno sam Pan Jezus wie i On Sam oznaczy, czem który będzie z jego synów. Kiedy tak po mału chłopczyki dorastały, chowani w uczciwości i bogobojności, to zdarzyło się, że w jakieś większe święto, piekarzowa była u spowiedzi, a przyszedłszy z kościoła, była ciężko zadumana. Po obiedzie wyszli sobie oboje na ławeczkę przed dom, i piekarz począł jej się pytać, czego by taka zadumana była?

— Może ci chodzi o to, że nam w tym miesiącu dużo u ludzi przepadło?

— Ej o to mi ta nie chodzi — odrzecze piekarka — bo Pan Jezus ma więcej niż rozdał, tylkom się tak o naszych chłopakach zamedytowała, czem też który będzie.

— A niech że cię też o to głowa nie boli — mówił piekarz — bo jakem raz postanowił czem mają być, tem będą: Antoś będzie kupcem, bo ma spryt ku temu, Franuś będzie złotnikiem, a Józio pójdzie do szkół, i będzie z niego jaki urzędnik.

— Ej, któż ta wie czy tak będzie? — rzecze znowu piekarka — bo ci powiem, że kiedy dziś po spowiedzi i komunii ofiarowałam ich Panu Jezusowi, i rzewliwie się modliłam, to tak, jakby mi jaki głos rzekł do ucha, że jeszcze dziś przed nieszporem dowiem się dokumentnie czem który będzie z twoich synów — i otóż myślę jak to się stanie? — ale pójdźmy popatrzyć się do izby, czem się teraz chłopcy zabawiają?

I weszli do izby, patrzą — a tu Józuś ubrany w infułę z papieru, i niby kapę biskupią — idzie z procesyą a bracia mu asystują i spiewają.

— Oto już masz jednego — mówi żona do męża po cichu — co ci Pan Jezus pokazał czem ma być — czekajmy dalej. I nic nie mówiąc do chłopców, i udając jakoby wcale nie uważali, na tę ich zabawkę — spoglądają z boku, co tu dalej będzie?

Tym czasem Juziu udający biskupa, zdjął z głowy infułę i usiadł, że to niby zmęczony. Natychmiast przyskoczył do niego Franuś, wziął go za puls, potem złapał pióro, i począł niby receptę biskupowi przepisywać. No, to drugi — mówi piekarzowa, cóż powiesz na to mój mężu? — oczywiście nam Pan Jezus wskazuje.

Ale jeszcze nie domówiła tych słów piekarka, kiedy trzeci chłopiec Antoś wybiegł z drugiej izby, a niosąc na przetaczku obarzanki i inne ciasteczka, począł częstować biskupa — mówiąc: „czy też nie raczy co skosztować z jego pieczywa?“ To widząc zdumieli się oboje rodzice, bo oczywiście Bóg im pokazał, że nie tem będą synowie, czem oni zamyślali, ale tem, co się Panu Jezusowi będzie podobać. I kiedy tak stali w zadziwieniu, słyszą, że prawie na nieszpory zadzwonili.

— A nie mówiłam ci — rzecze piekarzowa — że jeszcze przed nieszporami będzie nam o naszych synach wola Boska odkryta.

No, i stało się tak, jak widzieli, Antoś został piekarzem, Franuś doktorem, a Józio xiędzem. W wszystkich doczekali się rodzice wielkiej pociechy. Józio był bardzo pobożnym proboszczem, Antoś uczciwym piekarzem, a Franuś został nadwornym doktorem samego króla w Warszawie, i nie raz rosło serce ojcu, jak widział swego Antosia w złocisiej karecie jadącego obok samego króla. No widzicie moi kochani, nie jestże prawdą, że człek zamyśla, a Bóg kieruje! A dla nas taka ztąd nauka, osobliwie dla was ojców, abyście się starali, od samej maleńkości swoje dzieci poznawać, do czego też, do jakiego rzemiosła lub nauki ma które ochotę, żeby go potem nie przyniewalać do takiego stanu, do jakiego on w sobie nie ma powołania, o! bo z takiego przyniewolonego do jakiego stanu człeka, to ani kraj, ani rodzina, ani sam Pan Jezus nie ma pociechy. Na to mówiąc: czuje które z dzieci chęć do

wyższych nauk, chce być piśmiennym człowiekiem, a ty go ojcze lub matko niewolisz do gruntu, to on ci już nie będzie lubił tak gospodarki, jak pióro. Albo znowu spodoba ci się, że też to pięknie i na chwałę Boga by było, aby twój syn został xiędzem, bo by też potem i na twoje lata stare dobrze ci było przy xiędzu; i dalej niewolić dziecko do duchownego stanu, kiedy ono do tego nie czuje powołania, tylko chce sobie zostać na roli porządnym rolnikiem; o! to jeżeli go do tego przyniewolisz, to ani Panu Jezusowi chwały, ani tobie pociechy nie będzie, bo przyniewolona służba, to i Panu Bogu nie miła. Dla tego wy ojcowie miejcie na baczności, abyście wasze dzieci do żadnego stanu gwałtem nie niewolili. Wam tylko jest przykazane od Boga, dzieci wasze do cnoty, do pobożności, do miłości Boga i bliźniego i do pracy przymuszać, a stan niech sobie już sami według swego powołania obierają.

Zostańcie z Panem Jezusem!

Ludka z Myślenic.

Jak robić złoto?

Xiądz. Dobrze, mój Szymonie, żeście przyszli, mam z wami coś ważnego do pomówienia, a to się tyczy waszego szczęścia; ale wprzód muszę wiedzieć.

Szymon. A cóż takiego, proszę jegomości?

Xiądz. Umiecie trzymać język za zębami?

Szymon. O jak kamień, proszę jegomości, jak tego potrzeba, nie otworzę gęby.

Xiądz. Ale długo, bardzo długo, cały rok, trzeba milczeć, a potem zrobię was majętnym człowiekiem.

Szymon. Aż do śmierci będę milczał, bodaj mnie Bóg...

Xiądz. Nie przysięgajcie się, Szymonie, bo wam nie będę wierzył. Kto się przysięga, ten też kłamie.

Szymon. Ja już z pewnością będę milczał.

Xiądz. Tak Szymonie, macie dość, bardzo dość narobić sobie złota.

Szymon. Co? złota? Oj toby mi się przydało, bo tkwię w długach aż po uszy. Ale!...

Xiądz. Tak jest, ja umiem złoto robić i od dziś za rok pokażę wam, jak się robi!

Szymon. Ale ze mnie jegomość pewno żartuje?

Xiądz. Jakto możecie, Szymonie, tak źle o mnie myśleć?

Szymon. Oto proszę jegomości, niech się jegomość nie gniewa, bo to często jegomość powiadał: złoto robić, skarby wykopywać i t. p. to wszystko oszukaństwo i głupstwo a kto....

Xiądz. Tak jest, ja i teraz tak myślę. Jestto zwyczajnie oszukaństwo, ale z wami to rzecz zupełnie inna, rzetelna i uczciwa. Ja was pewno nie oszukam, bo pewien, którego ja dokładnie znam, co mnie nigdy nie zawiódł i pomagał mi w tysiącznych zdarzeniach, ten i wam chce dopomódz. Nie chce nic za to, ani teraz, ani później, tylko szczerej wdzięczności. Nie masz tu żadnych wydatków, tylko pewny zysk.

Szymon. Ale jeszcze coś, niech się jegomość nie gniewa, czemu jegomość dla siebie nie robi złota?

Xiądz. Ja go teraz nie potrzebuję, bo ten, który wam pomódz chce, wiele razy mi dopomagał i dotąd dopomaga. On mi wyraźnie rozkazał, żebym wam o tym sposobie, jak się złoto robi, powiedział.

Szymon. Niechże tak będzie w Imię Boże! to mi się przyda, jakby mi z nieba spadło. Jestem we wielkiej potrzebie.

Xiądz. Tak, ale Szymonie, otóż przypomina mi się coś. To z tego nic nie będzie.

Szymon. A czemuż nie?

Xiądz. Szkoda! — Wy nie zrobicie tego, co zrobić potrzeba. Idźcie sobie, żałuję, żem wam dopiero o tem powiedział. Ale nie powiadajcie tego nikomu, bo z wami nie da się już nic zrobić.

Szymon. O Jezus, Marya! Jegomość, gdy ja wszystko chcę zrobić i jegomość powiada, że ten dobrotliwy Ktoś jegomości mnie polecił.

Xiądz. Otóż widzicie. On się pytał. Jestże Szymon Drzymała uczciwy? odpowiedziałem mu — jest! — Boi się Pana Boga? — boi! jest pracowity? jest! Tedy rzekł: Idźże więc do Szymona Drzymały, powiedz mu, że go bogatym człowiekiem zrobię.

Szymon. Anu jużcić nie wiem, na czemby się jeszcze zahaczało!

Xiądz. Wy nie możecie tego zrobić, co On robić nakazał. To jest niepodobnem. Idźcie tylko. Niech wam Bóg dopomoże.

Szymon. Na rany Chrystusa! jegomość! coby tylko ktośkolwiek zrobić mógł, to ja chętnie będę robił.

Xiądz. Jakiśkolwiek? Cała parafia zrobiłaby to, czego wy nie zrobicie. To nic z tego nie będzie!

Szymon. Niechże mi jegomość powie, co mam robić, może będzie dla mnie podobnem. O z pewnością! Czy jegomość myśli, że to szczęście, które mnie czeka, odpycham nogami od siebie i nie chciałbym coś dla tego cierpieć, żeby z tej biedy wybrnąć, w której teraz jestem? Wszystko, ale wszystko zrobię!

Xiądz. Słuchajcie więc. Jeżeli chcecie umieć złoto robić, to musicie pilnie i zaraz jak rano wstaniecie i gdy spać pójdziecie, umyć sobie zimną wodą: głowę, piersi i ręce, często a szczerze do Pana Boga modlić się, musicie jak śniadanie i obiad zjecie, zaraz iść do roboty, a w niedzielę i święta nigdy nabożeństwa i kazania nie opuszczać.

Szymon. O! to są wszystko lekkie rzeczy. Modlitwa, robota i chodzenie do kościoła, do tego jestem od dziecinnych lat przyzwyczajony. Jeżeli nic więcej nie potrzeba, toć już złoto będzie moje.

Xiądz. Wy go jednak nie dostaniecie, bo czego jeszcze potrzeba, tego wy nie zrobicie!

Szymon. Niechże mi jegomość powie.

Xiądz. Nie wolno wam waszej żonie ani jednego przykrego słowa powiedzieć przez cały rok, ani na nią krzywo patrzyć. Patrzcie, toby wszyscy gospodarze w całej wsi zrobić mogli, ale wy tego nie zrobicie, a przecież to jest kobieta najuczciwsza, a wy ją bijecie i poniewieracie.

Szymon. Ta przeklęta złość! ale ja już z pewnością będę — ach gdybym tylko....

Xiądz. Wszakżem wam powiedział, że to nie pójdzie.

Szymon. Ach! że jej od dziś dnia nie będę bił, to jegomości zaręczam! Ale mój Boże, jak to łatwo czasem się słówko wyśliźnie.

Xiądz. Na to jest sposób. W pierwszym miesiącu wybaczę wam trzy słowa w złości powiedziane, ale tylko wtenczas, jeżeli potem żonę waszą przeprosicie, a ona wam odpuści; w drugim miesiącu tylko dwa, a w trzecim tylko jedno słowo, później zaś ani krzty! nigdy nie wolno wam żony uderzyć, bo wszystko byłoby za nic.

Szymon. Niechże Bogu będą dzięki! tylko na samym początku boję się, żebym nie miał coś takiego uczynić.

Xiądz. Ale wy nie macie się zapominać.

Szymon. O mój jegomość, przecież ja nie jestem dzieckiem! Ta nadzieja, że złoto będę robił, będzie mnie strzegła we dnie i w nocy.

Xiądz. Ale wy się nie wstrzymacie. Otóż wy jesteście pijakiem i upijacie się każdego wieczora, a jak się raz upijecie, to na wieki złoto stracone.

Szymon. O jakibym ja był szczęśliwy, żebym tej berbeluchy nie znał i ani jej spróbował. Ona to jest przyczyną mojego nieszczęścia, ale ja się już teraz nie mogę bez niej obejść.

Xiądz. Widzicie! wszakżem wam powiedział, że to nie pójdzie! otóż nie możecie się bez niej obejść. A dyć wy pijecie tylko jeden kieliszek, a potem znowu jeden, a potem tylko jeszcze jeden, a potem już ostatni, a potem ostatni z ostatnich i nakoniec jesteście: opilcem i waryatem, a tu złoto, któreby was rozweselało i zaspakajało przez całe życie, przepijecie je w jeden wieczorek.

Szymon. Jegomość! ja nie będę gorzałki pić, ani próbować, ani na nią patrzyć. Flaszki i kieliszki w domu potłukę i wyrzucę.

Xiądz. Patrzcie, Szymonie, ileście to razy mi obiecali i przyrzekali, a przecież nie wstrzymaliście się, a że potłuc chcecie flaszki i kieliszki, tem się nic nie naprawi. Byłoćby to dosyć, gdybyście jeden mały kieliszek przed południem, a drugi po południu wypili. Ale to nie pójdzie, bo wy się nie wstrzymacie. O! to piękne złoto, jaka też to szkoda go!

Szymon. To pójdzie proszę jegomości. O! to musi iść. Pan Bóg zlituje się nademną. Na szafie zrobię krzyż, a jak spojrzę na niego, pomyślę zaraz o złocie i nigdy jej nie otworzę. Mojej żonie oddam klucz. Powiem jej, jakbym chciał od niej klucz do gorzałki, to mi ma zawsze powiedzieć, o moje złoto, ja ci klucza nie dam. Otóż wtedy zaraz pomyślę, aha

złoto, złoto i zostawię jej klucz. Jegomość, teraz mi się dopiero oczy otwierają. Jakem był trzeźwy, tom mojej żonie ani jednego złego słowa nie powiedział. Ale proszę jegomości mojej żonie powiedzieć o gorzałce?

Xiądz. Nie, wy jej nic więcej nie macie powiedzieć jak tylko to, że na moje napomnienie odzwyczaicie się od gorzałki i ma zawsze do was mówić, ile razy z domu będziecie wychodzili: Moje drogie złoto, nie chodź mi do karczmy. Tak was też ma napominać, jak się rozzłościcie. Ja sam jeszcze z nią pomówię. Gdybyście wy tylko wytrzymali.

Szymon. O! zapewne wytrzymam. Ach jakby mi też to złoto dopomogło.

Xiądz. Ono by was zrobiło najszczęśliwszym człowiekiem w całej wsi.

Szymon. Będę się modlił, będę się we dnie i w nocy sam napominał, ach mój Boże, gdyby już nie chciało iść, to mi jegomość dopomoże.

Xiądz. Chodźcie tu do mnie często Szymonie, ja wam będę pomagał. Teraz idźcie do domu, dajcie żonie klucz od szafy, bo jak wy odemnie odejdziecie, to się już nasza ugoda zac yna. Jak jedno słowo złamiecie, już na wieki będzie złoto stracone. Czuwajcie i módlcie się, abyście nie wpadli w pokuszenie.

Szymon. Będę się modlił i czuwał każdy dzień. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Xiądz. Idzcie z Bogiem. (Dokończenie nastąpi.)

Rady gospodarskie.

O pasiekach, sadach i chmielnikach.

(Dokończenie.)

We wszystkich prawie stronach wdzięcznej naszej ziemi, chmielniki z korzyścią także zaprowadzone być mogą. Zakładają się zaś na ziemi czarnej z piaskiem zmięszanej, a zatem na pulchnej i żyznej, z warstwą spodnią przenikliwą dla wilgoci; na ziemi należycie oczyszczonej z chwastów, głęboko doprawnej i umierzwionej gnojem dobrze przegniłym, najlepiej z pod trzody chlewnej wyrzucanym. Wcześnie na wiosnę, odjęte od głównego korzenia odrośle korzeniowe, zdrowe, nie rdzewiaste, opatrzone dwoma do czterech oczek, grubości małego palca, najmniej sześć cali długie, oczyszczone z bocznych korzonków; sadzą się właściwym sposobem. Po wyrośnięciu chmielu do-

konywa się tyczenie z obrywaniem słabych łodyg; w Maju krzaki chmielowe oczyszczają się, a w czerwcu okopują, chociażby trzykrotnie w ciągu lata. Chmiel kwitnie w połowie lipca, a w czwartym lub piątym tygodniu dojrzałe szyszki zbierają się w dzień pogodny i cichy, suszą na przewiewnem miejscu, najlepiej w próżnym spichlerzu i przechowują w drewnianych fasach silnie upakowanych.

Kto ma pasiekę, sad owocowy i chmielnik, a starownie i umiejętnie koło tego wszystkiego chodzi, tému z pewnością bieda nigdy nie dokuczy.

Po wysłuchaniu tych moich rad, które jak mam nadzieję przez samych gospodarzy, pilnie i z uwagą odczytane będą — nie jedem z was, mili bracia, pomyśli sobie w duchu:

Dobreć to wszystko dla tych co mają sprzężaj, dobytek i jeszcze jaki taki grosz w skrzyni — ale co poradzi chudzina, który nic więcej nie ma tylko żonę, dzieci i zdrowe ręce?...

Otóż opowiem wam, że właśnie jeśli ma żonę zabiegłą i pracowitą, a przy zdrowych rękach szczerą chęć do poczciwej pracy — to Pan Bóg resztą dopomoże. Potrzeba tylko żyć jak najoszczędniej; unikać karczem, jarmarków, pohulanek wszelkich; żadnego dnia nie zmarnować na próżnowaniu, a jeśli w domu nie ma roboty, pójść na najem do dworu, składać grosz do grosza ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka.

Pola swoje, jeśli takowy sam nie jest w stanie należycie obrobić, może obsiewać z drugimi na spółkę i dzielić się z nimi zebranem ziarnem, nigdy zaś słomą, z goninami i plewami, które na gruncie przez dobytek zużyte być powinny. Jeśli zaś nie ma wcale tego dobytku, to kiedy się krowy wycielą a cielęta odessą — niech sobie wyprosi na odrobek dwoje, troje lub czworo cieląt po krowach mlecznych, a pracowitemu, rzetelnemu i poczciwemu człowiekowi, każdy, czy to sąsiad, czy kmotr lub krewniak, czy też pan we dworze, chętnie wygodzi i dopomoże. Wyproszone w ten sposób cielęta, niech pielęgnuje i doziera jak oka w głowie, a najdalej we trzy lata, będzie już miał dwie, trzy, lub cztery krowy i tyleż cieląt własnych; jednem słowem będzie już miał dobytek, przychówek z każdym rokiem i mierzwę. Mając zaś dobytek i mierzwę, to kiedy Pan Bóg poszczęści, reszta pójdzie już dalej jak z płatka.

(*Kmiotek.*)

RÓŻNOŚCI.

Szkoła. W pewnej wiosce, w obwodzie Rzeszowskim była kłótnia o szkołę. Jedni gospodarze mówili, że potrzeba postawić szkołę porządną, i złożyć się na utrzymanie nauczyciela, a drudzy mówili, że to ciężar na gromadę, że szkoły nie potrzeba; nie uczyli my się, a jemy chleb, to i nasze dzieci go bez pisma i nauki jeść będą. A był we wsi pewien bogacz, imieniem Szczepan Kociuba ten najwięcej mówił na szkołę i urągał się z nauk, i tak mówił:

— Nauka jeść nie da, u mnie nauka batóg! cep! siekiera! ja umiem czytać i pisać pługiem, radłem i broną po polu, i kosą po dolinie; a piórem po papierze niechaj sobie pisze kto chce.

— Dobrze bardzo nasz kum Szczepan Kociuba mówili, rzekł jeden z przeciwników, jak powyuczają się nasze dzieci, to nie zechcą robić.

I stało się na tem, że szkoły nie potrzeba. Ta gawęda odprawiała się w karczmisku u rudego Ajzyka, co to dobrze umiał z nich ciężko-zapracowany grosz wyciągać. Szczepan Kociuba za to, że większa połowa gromady na jego niby to mądrą radę przystała, częstował wszystkich gorzałką.

Na drugi dzień poschodzili się gospodarze znowu w to samo miejsce; a wójt tak prawić jął:

— Panowie gromada! Ja was tu na to zwołałem, ażebyście uradzili, aby nająć pastucha do pasienia wieprzów: już wiosna nadchodzi, kobiety zabierać się będą do sadzenia jarzyn w ogrodzie, ażeby nie było takiej biedy z wieprzami, jak w przeszłych latach; ja bym chciał by nająć pastucha żeby je pasł w kupie, to byłyby ogrody i gumna w wiosce spokojniejsze. Czy przystajecie na to, czy nie?

— Dobrze! dobrze! mówili wszyscy, lepiej zapłacić i nie mieć kłopotu i szkody, i uradzili, i zgodzili pastucha od każdej sztuki po cztery szóstek za lato. Przy tej radzie był i Andrzej Szpak, starszy brat, człowiek rozumny, że najwięcej mówił zawsze za szkołą ale, jak to bywa wszyscy go przemagali. Gdy już zgodzili pastucha, Andrzej Szpak wstaje z ławy, i mówi:

— Panowie gromada!! cicho no! ja jeszcze coś wam mam powiedzieć. I jął tak prawić: To jest bardzo a bardzo dobra rzecz, że wieprze nie będą w samopas chodzić, i że będzie taki, co ich będzie pilnować. A ja pytam się was panowie gromada co wam milsze jest, czy wieprz czy dziecię? A dzieci nasze mają także w samopas chodzić, rozpustować po wsi, za ludźmi szczuć psami, prochem rzucać za podróżnymi, w domu czas mitrężyć, po ogrodach i sadach szkodę robić, uczyć się jedno od drugiego brzydkich słów, nieposłuszeństwa, przeklinać, wszelkich zbytków, złodziejstwa i obrazy Boskiej, a nie najmiecie do nich doglądacza, któryby ich nauczył Boga chwalić i starszych szanować? A to nie śmiech panowie gromada, że na pastucha do wieprzów są pieniądze, a na doglądacza (nauczyciela) dzieci nie ma?

Na to nic odpowiedzieć nie mogli, bo Andrzej Szpak mądre słowa powiedział, jeszcze trocha przemawiali się i taki wyszło na Andrzejowe, że gromada postanowiła płacić rocznie 200 złr. na szkołę, przyjęli nauczyciela i żebyście wiedzieli, jak wyuczyły się Szczepana Kociubki dzieci pisać i czytać, to Szczepan najbardziej był rad szkole, i dodał co roku nauczycielowi, oprócz należytej płatni, jeszcze po korcu pszenicy i żyta.

M. Horoszko, szkolarz.

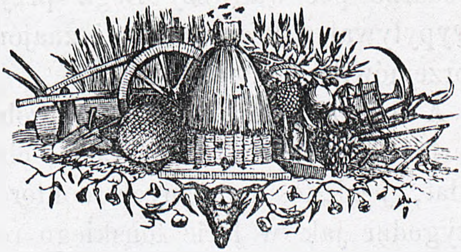
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 6.

21. lutego 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nieboszczyk xiądz proboszcz z Wierzchosławic.

Pisanie Józefa z pod Tarnowa.

Ciężkie to teraz czasy dla nas gospodarzy, zboża i mniej, i gorsze i niepopłatne i kupcy po niego nie spieszą, a wydatki przy zbiorze były wielkie, a podatki te same, a czeladkę trzeba zapłacić, więc frasunek dla nas gospodarzy nie mały — zkąd tu wziąść grosiwa na to wszystko a nie zadłużyć się u żyda. Miałem ja kilka wołków, co już pare lat robiły, podprawiłem je przeto trochę i poszedłem z niemi na jarmarek do Dąbrowy, miasteczka o dwie mile od Tarnowa odległego, i gdy tak z niemi na targowicy stoję a kupca upatruję, wysłuchałem rozmowę dwóch gospodarzy, którzy przy mnie także z swemi bydlątkami stali, a z których jeden nazywał się Jan a był gospodarzem z Wierzchosławic, wsi nad Dunajcem położonej, a drugi Kasper i także z tych Wierzchosławic rodem, ale jak zmiarkowałem z rozmowy, sługiwał po dworach i ożenił się do gruntu w którejś wsi koło Dąbrowy i tam gazdował. Że zaś ta rozmowa była piękna i dużo dobrego zawierała a mnie bardzo do serca przypadła, a nawet nieco o frasunkach

teraźniejszych zapomnieć dała, więc ją spamiętałem, i dla czytelników Dzwonka przesyłam.

Obaj gospodarze pochwaliwszy Boga przywitali się pięknie, Kasper wypytywał o krewniaków i znajomych, a potem tak do Janka przemówił:

Kasper. A toć się zmarło waszemu proboszczowi.

Jan. Zmarło się, zmarło miły bracie, chorowało to biedaczysko parę lat, jeździło do różnych doktorów, nie raz go nie było parę tygodni jak w lecie łońskiego roku; jak przyjechał, namawiali go ludzie znajomi, aby się nie narażał, w słotne dnie nie wyjeżdżał, w zimno do kościoła nie chodził, ale wszystkie te gadania były na próżno, bo on, choć tam jest xiądz wikary, wszędzie chciał być sam, i choć coraz bardziej kaszlał i słabł, nie zważał na deszcz i zimno, i na naukę po wsiach jeździł, i do kościoła chodził i kazania choć cicho zawsze mówił.

Kasper. Aleć tam słyszę kościółek nieboszczyk przybrał, że wygląda jak w wielkiem mieście; ja u was już dawno nie byłem, tylko tak słyszałem.

Jan. Kościółka naszego mój Kasprze nie poznalibyście, i warto abyście choć na któren odpust do nas przyszli, i zobaczyli, tać to w całym kościółku kamienna podłoga, że się płóciennica od cegły już na czerwono nie wala, cały kościółek tak pięknie malowany, nawet w obrazy, że mi się ładniejszy wydaje jak w Tarnowie, a jak odpust i dużo xięży się zjedzie a nawet kanonicy z Tarnowa, to wtenczas aż się oczy radują; patrząc na te bogate przybory kościelne, złociste ornaty, kapy, a jakie kielichy, monstrancye, to i w Krakowie może piękniejszych nie ma, a wszystko to prawie z małą pomocą od gromad za swoje pieniądze nieboszczyk proboszcz sprawił lub od innych panów w podarunku dostał.

Kasper. Toć to musiał być piękny pogrzeb i musiało dużo być ludu na nim, musiał być płacz i lament.

Jan. To też to, że nasz proboszcz nawet nie umarł u nas, bo jak już co raz bardziej zapadał i już mu chodzić było trudno, przyjechał do niego jakiś znajomy pan, i namówił go, aby jeszcze do Wiednia pojechał i tam jeszcze jednego doktora

spróbował. On go też usłuchał, pojechał, i tam w Wiedniu umarł. Ledwie cztery tygodnie byliśmy w niedzielę na sumie, kiedy nam xiądz wikary z ambony zapowiedział, że Pan Bóg nam zabrał naszego proboszcza. Wtenczas to był płacz i lament w kościele, a potem tak samo ludziska płakali, jak znowu w parę tygodni u nas nabożeństwo za jego duszę było, — a takiego nabożeństwa rzadko zobaczyć, xięży było mnóstwo, a mszy odrazu kilka, trwało to dobrze z południa i mowa była piękna, gdzie żywot jego był opowiedziany.

Kasper. Oj szkoda to szkoda takiego xiędza, a jeszcze większa szkoda, że on też nie na swej ziemi, nie na waszym cmentarzu leży.

Jan. Nie frasujcie się o to, nieboszczyk nasz proboszcz zawsze mawiał, że bardzo Pana Boga prosi, aby tu na polskiej ziemi i przy swym kościółku mógł leżeć, nieraz, gdy się kurować wyjeżdżał, żegnał się z bliższymi gospodarzami i mawiał: proście Pana Boga, abym powrócił, a jeżeli święta Jego wola powoła mnie do siebie, aby moje kości tu między wami spoczywały — i tak też się stanie.

Kasper. A to jakim sposobem?

Jan. Oto widzicie, nie tylko nasi ludzie ś. p. xiędza proboszcza kochali i szanowalli, ale różni panowie, boć to był człowiek bogobojny, dobry do rady, jak komu przyjaciel, to i dopomógł, biednego nie opuścił a bardzo go lubił także książę. Jak się tedy książę dowiedział, że nieboszczyk tak sobie życzył między nami spoczywać, kazał podawać do różnych urzędów i tyle wyrobił, że jego zwłoki już na przyszły tydzień koleją żelazną z Wiednia przyjadą i u nas pochowane będą.

Kasper. A to pięknie, że się to tak stanie, bo będziecie go mieli w pamięci mając go między sobą.

Jan. My go zawsze w pamięci i w sercu naszem mieć będziemy, bo jak żył poczciwie i za życia dla nas pracował, tak i umarł poczciwie i dla nas na zawsze pamiątkę zostawił.

Kasper. A to jaką mój Janie, powiedzcie mi proszę, bo to tak miło to wszystko słuchać.

Jan. Ot widzicie, opowiadał nam xiądz wikary, jaki to nieboszczyk testament zrobił, najprzód tak zapisał, że co rok

jeden z takich, co to na xiędza wychodzą, będzie pobierał 50 złr. w. a., aby za jego duszę przez rok czterdzieści mszy odprawił; potem kazał nieboszczyk, aby tysiąc reńskich złożyć w kasie u naszego księcia, a procent ma dawać książę chłopcu z naszej wsi, któren do Tarnowa do szkoły chodzić będzie, a jakby takiego chłopca nie było, to książę z naszej wsi weźmie sierotę dziewczynkę i da ją uczyć w Strusinie w tym domu, gdzie to sieroty chowają; potem tysiąc reńskich kazał złożyć w urzędzie w Sączu, bo nieboszczyk ztamtąd był rodem i znowu procent będzie brać tamtejszy chłopiec, który się dobrze uczyć będzie — 500 złr. dał na przelanie dzwona w Nowym Sączu, a 500 złr. przeznaczył na wybudowanie kaplicy na naszym cmentarzu.

Kasper. Jak też to pięknie zarządził nieboszczyk, o teraz trudno o takim xiędzu zapomnieć, boć to na wieki jakiś biedak z waszej wsi będzie miał pomoc, i kapliczkę będziecie mieli.

Jan. My to sami czujemy, co on dobrego dla nas zrobił, to też zaraz gromada radę zrobiła, aby tę wolę uszanować do niej się przyczynić, a że na tę kapliczkę nasz książę daje materyały, więc parafia cała da wszelką robociznę, i zwiezie materyały za darmo, a tak Panu Bogu na chwałę, a naszemu proboszczowi na pamiątkę piękną kaplicę mieć będziemy, a ciało nieboszczyka pod tę kaplicę pochowamy.

Kasper. Jak tylko będę mógł, muszę ja być u was i to wszystko zobaczyć, a przytem także paciorek za tego poczciwego człowieka w tej nowej kapliczce zmówię — ale i gromady dobrze sobie poradziły, że nieboszczykowi taką wdzięczność okazują.

Tyle słyszałem, tyle opisałem, to jeszcze dodam, że ten proboszcz także był mój dobry znajomy, a zwał się xiądz Medard Neronowicz, a sami czytelnicy mi przyznają, że i gromady pięknie obmyślały, że się z ochotą do spełnienia jego ostatniej woli przyczynić chcą.

Dumki kmiece.

I.

Chłopska moja ty dolo!
Z twoją godzę się wolą;
Niwo potem sprawiona,
Wróć nam setne nasiona!

Trawo moja na łące,
Z ciebie żyje chudoba;
Wnet z pnia kosą cię strącę,
Wrzucę siankiem do żłoba.

Ziemio moja rodzinna!
Mówią ludzie, żeś płynna
Miodem, mlekiem... toć może,
Lecz gdy ręki dołożę.

Jużci boża w tem wola; —
Sprawiedliwość chce boża,
Że zroszona krwią rola
Nam dostatku przysporza.

Pan bakałarz nie bajał,
Mówił słusznie, nie bredził,
Abym nie klął, nie łajał,
Gdy Bóg klęską nawiedził.

Chłopska moja, hej! dola,
Ciężkać, ciężka to praca;
Ale chłopska też wola,
Co dnia więcej popłaca.

Pan bakałarz sam przecie
Nie pogardza siermięgą,
Tylko chciałby jak wiecie
Prawd opasać nas wstęgą.

II.

Chata stoi pochyło,
Ale w chacie aż miło;
Dziatwa żywo się kręci,
A szczebiotem aż nęci.

Ba, nie głupiem paplaniem
Dziatwa k'sobie tak nęci,
Często z książki czytaniem
Chłopskie serce zasmęci.

Ciężko, prawda czasami
Na przednowku o wiośnie,
Lecz gdy wola jest z nami,
To i serca przyrośnie.

Śmiało naprzód! — to rada —
Krok za krokiem a z Bogiem
Jak xiądz pleban powiada,
A nie legniem odłogiem.

— Świat by leżał ugorem —
Czytał Jaś mój w niedzielę,
Gdyby pieniądz czcił z worem,
Gdyby każdy miał wiele.

A więc ciężka niedolo,
Ustąp miejsca wraz z biedą,
Gdy się dłonie zespolą
W pole biedę wywiedą!

III.

Rada w biedzie.

Hej, żyło się też żyło
Przez niedzielę całą;
Moc się grosza przepiło,
Aż na sól nie stało, —
Lecz gdy nam się tak wiedzie,
Przyszedł rozum przy biedzie.

Żono, odtąd w niedzielę
Z chaty krokiem nie ruszę,
Tylko będę w kościele,
By pokrzepić tam duszę,
Potem do dom się jedzie,
Bo mam rozum przy biedzie.

Potem siędę na ławie
Między dzieci z książkami;
Siędę sobie tak prawie,
Jak profesor z uczniami —
A mój Jasiek rej wiedzie;
Niech ma rozum przy biedzie.

Co tam łamać aż dłonie,
Nie wyłamiesz się z bolu,
Kiedy tyle krzywd w łonie
Co w pszenicy kąkolu;
Ot, gdy tak nas Bóg wiedzie,
Trza mieć serce przy biedzie.

Trza prócz grosza do skrzy i
Jeszcze mienia przysporzyć,
Bo źle taki chłop czyni
Co wie tylko jak spożyć —
Tylko wy tam na przedzie,
Miejcie rozum przy biedzie.

A więc wy też na czele
Miejcie serca dla kmieci,
Aż da Pan Bóg w niedzielę
Znów nam słonko zaświeci,
I już nam się powiedzie
W szczerej pracy przy biedzie!

Bogumił ze Świerza

Historya o niedobrym synie.

I.

O Marcinie, o jego rodzicach, i o jego synie.

Nie każda się piszczałeczka,
Ulini we wiośnie,
Nie każde się dziecko uda,
Chociaż gładko rośnie.

We wsi Bronowie mieszkał wieśniak Marcin ze żoną swoją Marcinową na ojcowiźnie, którą im ojciec Marcina zostawił. Nie trzeba było długo pytać do zagrody Marcina, bo każde dziecko cię do niej zaprowadziło. Bo też to zagroda Marcina różniła się bardzo od innych. Dom porządny z dylów dębowych dobrze otynkowany i pobielony, sień przedzielała go na dwie połowy, jedną dla sług, a drugą obszerniejszą dla gospodarstwa, okna chędogie, strzecha pod linię ucięta, i podwórko obszerne, czyste a gładkie, żebyś po nim jajo potoczył. Za domem piwnica dylowana pod daszkiem na nabiał. Dalej stajnia i chlewy, za niemi dwie tęgie i wielkie stodoły, i brogi pełne zboża i siana, a obok w szopie wozy mocne i kute, a w stajenkach koniki i krówki jak gałki wykarmione i wymuskane, a i uprząż na koniach porządna. Za stodołami sad a w nim jabłka, gruszki i śliwki, że u ogrodnika lepszych nie znajdzie, a pasieka, to prawdziwie pańska, kilkadziesiąt ulów,

a miodu to tyle żeś całą wieś na Boże Narodzenie obdzielił, i jeszcze wiele beczek żydzi zakupili. Taką to zagrodę zostawił Marcinowi jego ojciec Piotr, który choć dziś już i żona jego, matka Marcina nie żyją, o których wam także wspomnieć coś muszę, boć byli to ludzie bardzo uczciwi i pracowici.

Piotr i Piotrowa byli za życia swego wielce w całej wsi szanowani. W kościółku pierwsze miejsce im się należało, a na drodze wszyscy pierwsi witali ich z uszanowaniem, ustępywali z ścieżki, a gdy przez wieś przechodzili, to się dzieciska, porzucając najmilsze zabawy tak do całowania rąk Piotrowych zbiegały, że im i rąk nastarczyć nie mogli. Piotr z Piotrową starostowali na każdem weselu a mało niewszystkie dzieci były ich poschrzestnikami. Nie wzbijały te honory w dumę Piotrów, bo byli to z gruntu uczciwi ludzie, nie lenili się z pomocą nikomu, a zaniemógł kto we wsi, to nigdzie tylko do Piotrowej, bo to ona i poradziła i lekarstwa udzieliła, którego zawsze pod dostatkiem miała i dla drugich i da siebie. A byli też oboje bardzo nabożni, nigdy nie odbyła się służba Boża, żeby Piotrowie na niej nie byli, trafiło się, że ktoś umarł, to Piotrowie każdego odprowadzili na wieczny spoczynek pod kościółek i pierwsi z pomocą i pociechą dla sierót spieszyli, a i o Bogu nie zapominali, i wiele tam było sprzętów w parafialnym wiejskim kościółku ofiarowanych przez Piotrów pobożnych.

Piotrowie dziękowali Bogu za dostatek a mieli go siła, lecz nie używali go tylko sami, ale chętnie dzielili się z biednymi a nigdy jakoś niedostatku nie uczuli. Jedną tylko wadę popełnili, że jedynakowi swemu Marcinkowi wiele folgowali, a ten wyrosłszy w bucie nie uszanował starszych, ba nawet rodziców własnych.

Otóż to w rocznicę śmierci Marcinowego ojca, nieboszczyka Piotra, bo Piotrowa już dawniej w żalu i smutku świat ten pożegnała, dożywszy owoców swego folgowania Marcinkowi, kiedy to oboje starzy Marcinka ożenili i cały mu dobytek oddali, jak przewodził nad nimi w własnej ich chacie, otóż w rok po pogrzebie Piotra, stało się, a było to późnej jesieni, kiedy już wszystko uprzątnęli na polu, wyprawiali u sąsiada Marcinowego wesele, zajął się smalec w kominie, padła

iskra na stodołę Piotra i spaliło się całe obejście wraz z chatą i całym dobytkiem, który nieboszczykowie Marcinowi zostawili. Mało tylko co uratowano; a ponieważ chata, z której ogień wyszedł nie spłonęła, a obejście Marcina, choć cała wieś ratowała a wiatru nie było do szczętu zgorzało, upatrywali ludzie w tem nieszczęściu karę Bożą za jakieś wielkie przewinienie Marcina.

Zniósł Marcin to nieszczęście bez szemrania ze zdaniem się na wolę Boga, lecz odmienił się bardzo od tego czasu. Złożył butę, jaką miał dotychczas, boć łatwo to było przy takim majątku jaki mu ojciec zostawił, a wziął się szczerze do pracy. Odbudował się pomału za pomocą ludzi miłosiernych, pomnych jeszcze na dobrodziejstwa ojca i matki jego, lecz nie szło mu już odtąd nic w ład, widać nie było nad nim błogosławieństwa boskiego. Kiedy dał Bóg rok urodzajny, a innych żyto stało jak las, a pszeniczka była jak złoto, to u Marcina stokłos przygłuszył żyto a dziki groszek wykładł pszenicę, że aż żal było się patrzeć na tyle pracy i mozołu. Nie lenił się Marcin w pracy, pracował jak robak w swej ziemi i nie zażałował potu i bogdaj czy nie lepiej uprawił swą rolę jak inni, ale takie to już było zrządzenie nieba. A i chudoba choć jej Marcin lepiej dogadzał niż sobie, i chodził koło niej dniem i nocą, sam karmił i poił jakoś mu niedopisywała, nie było roku żeby mu kilka sztuk nie odeszło, choć w całej okolicy nie było żadnej zarazy, a i złodziej nigdzie lepiej nie ukradł, czy to krówkę z obory, czy konika z pastwiska, czy też połeć słoniny lub jaki przyodziewek z komory, jak u Marcina, bo go nigdy nie złapali i nigdy się szkoda nie wróciła, a chociaż ludzie nie mogli nic zarzucić Marcinowi, toć przecie mówili między sobą:

— Widocznie cięży nad chatą Marcina kara Boża za jakieś przewinienie.

A mieli Marcinowie syna jedynaka, boć reszta dzieci jeszcze poumierała i ochrzcili go Florkiem, w nadziei, że patron jego będzie ich miał w swej opiece i chatę ich od zgorzenia powtórnego uchroni.

Florek był to sobie chłopak na całą wieś i zdrowy i urodziwy, ale jak to zwykle bywa, że z jedynaka rzadko co do-

brego będzie, że rodzice wielką swą miłością sami go zepsują. Tak też stało się z Florkiem. Chwalili ludzie Florka mówiąc: choć Marcinom w czem innem Bóg nie błogosławi, to nagradza im Florkiem. Wiedział o tem Florek, nabierał dumy i nie wiele przykładał się do pracy. Kiedy Marcinowie starzy uginali się pod pracą, to Florek sobie bąki zbijał. Nie raz, kiedy już miarkę przebrał, a napominanie nie pomogło, pogroził Marcin trochę, ale go wnet Marcinowa udobruchała, mówiąc:

— Niech no trochę jeszcze podrośnie a będzie miał lepszy rozum, to się sam weźmie do pracy.

Tak rósł Florek w lata i w siłę, ale co raz więcej lenił się do pracy, a kiedy go raz Marcin naganiał do roboty a Florek mu ofuknął, byłoby mu się to nie upiekło, gdyby Marcinowa była nie zastąpiła, i skończyło się na tem, że mu Marcin pogroził, ale go przymusem przyprzągł do pracy, odtąd począł Florkowi niesmakować chleb w domu.

II.

Jako Florek niedobry przystaje na żołnierza.

> Wolę ja ci na wioszczynie
> Snopy w polu zbierać,
> Aniżeli z wojakami
> W boki się podpierać!

Zanosiło się pod ten czas na wojnę, het gdzieś tam daleko z Francuzem i Włochem. Wojska się wszystkie zbierały a urlopniki co dzień przez Bronów do swoich komend przechodzili. Jednego dnia, tak koło południa pusto było we wsi, bo wszyscy powychodzili do żniwa, Bóg dał prześliczną pogodę, tylko jeden Florek wałęsał się sam jeden, i tak pomału przywałęsał do karczmy w nadziei, że tam może znajdzie drugiego takiego leniucha jak sam do pomocy. Przed karczmą zastał konie cesarskie pouwiązywane do płota a lance ułańskie zatknięte do ziemi powiewały chorągiewkami. Florek jak każdy próżniak ciekawy, wstąpił do karczmy. Zastał tam kilkunastu ułanów, a wszyscy chłopcy jak smyki, mundury na nich ładne, miny dziarskie, wesołe, głowy podchmielone a tak zuchowato brali się do arendarza, że tenże pościągał czem prędzej flaszki i kieliszki z szynkfasu, a podawał wódkę przez okno od

alkierza. Ułani panowali w całej karczmie. Właśnie gdy Florek wstąpił do karczmy jeden z ułanów kończył jakąś piosnkę wojacką, a wszyscy wrzasnęli chórem na zakończenie:

Nie ma pana nad ułana

potem częstował ten co spiewał swoich kamratów wódką i kiedy już pił do ostatniego postrzegł Florka a że to był chłopak tęgi i urodziwy przystąpił i do niego z flaszką i zapytał zuchwale:

— A czemu ty durny chamie nie ułanem?

Florkowi samemu głupio się zrobiło na takie zapytanie, nic nie odpowiedział, ale pomyślał sobie, ta prawda, czemuż ja nie mam być ułanem, przecież to najszczęśliwszy człowiek taki ułan.

— Co ty chłopie zapomniałeś języka, napij no się z nami, to ci zaraz rozum do głowy wlezie.

Na takie zaproszenie nie było co robić. Przyjął Florek kwaterkę z wódką i wychylił duszkiem chcąc zucha pokazać przed ułanami.

Wzięli Florka między siebie i nuż dalej spiewać, podskakiwać, szabelkami pobrzękiwać.

Hulaj dusza, bez kontusza!
Kiedy dają jeść i pić,
Niech honoru nikt nie rusza,
Jakem ułan będę bić!

Po każdej spiewce szła blaszanka koleją i Florka także nie mijała. Florek na zkamratanie kazał nalać wódki i dać przekąski, słoniny, sera i chleba. Poznali po tem ułani, że to chłopak nie kiep i musi mieć grosz kiedy go tak arendarz słucha, nuż dalej mu basować, dalej podmawiać, żeby przystał do ułanów, że zaraz zostanie kapralem, jak oto ten między nimi najstarszy, a że to teraz wojna to może wyjść i na oficera. Wtrącił Florek że nie umie nic czytać ani pisać.

— E! ta to tego głupstwa, to się przy wojakach za dwa dni wyuczysz; jak tylko chcesz zaznać co dobrego w świecie, to jedź z nami, a znajdziesz tam gdzie konia w ojcowskiej stajni, a jak tylko przyjedziem do komendy to zaraz wszystko zafasujesz a swego konia sprzedasz to będziesz miał na hulankę.

Podobała się taka nauka Florkowi, hulać a nic nie robić. Nie ociągał się też długo, podał rękę na zgodę, kwaterek poszedł w koło i sprawa była skończona.

III.

Jaka zgryzota była u Marcinów.

Masz u źródła czystą wodę,
Pomnij go nie kłócić,
Masz u matki swej ochłodę,
Pomnij jej nie smucić.

Nim ułani popici dosiedli koni, już Florek wyprowadził konia ze stajni ojca, a i w chałupie posprzątał co było na doręcziu a jemu się przydało, wziął i pogonił za ułanami. Nikt we wsi nie wiedział tego, tylko jeden arendarz wiedział o wszystkiem, ale przez złość, że mu Marcinowie nie wiele dali targować na wódce, i jeszcze drugich mu odmawiali, nie powiedział zaraz Marcinom, gdzie się podział Florek, aż kiedy pod wieczór wrócili z pola a nie zastali Florka, poczęli się skwapliwie rozpytywać, ale nikt nic nie wiedział, aż tu kiedy strudzeni i zmartwieni usiedli przed chatę i poczęli po swojemu dochodzić, gdzieby to się Florek pod noc podział, przychodzi rudy Mendel, arendarz i nuż w targ z Marcinami, że on tylko jeden wie gdzie Florek, ale nie powie aż mu nie odstąpią ten kawał kartofli za sadem, co od nich chciał kupić na wiosnę. Przystała Marcinowa od razu, bo już jej dłużej nie wytrzymać bez Florka, wtedy dopiero opowiedział Mendel, jak to ułani zbuntowali Florka i jak on do nich przystał i pojechał z nimi a nie zapłacił nawet za wódkę, co u niego napili. Nie było też tej nocy w chacie Marcinów ani snu ani spoczynku. Marcinowa tylko szlochała, ślubowała różne ofiary, a wyglądała rychło nastanie dzień, by czemprędzej pojechać i odszukać Florka. Skoro tylko brzask, już się toczył wóz drogą kędy pojechał Florek, a na nim Marcin z Marcinową bardzo zmartwieni. Lecz widać była to kara Boska za wielkie folgowanie Florkowi, po dwóch dniach szukania wrócili Marcinowie ledwo żywi ze zgryzoty i fatygi bez Florka i bez żadnej wieści o nim. Byli i w komendzie, ale tam o Florku nic nie wiedzieli,

bo on z namowy ułanów inaczej się przezwał, by go tak prędko nie znaleziono.

Smutno też było odtąd w zagrodzie Marcina. Marcinowa ni jadła ni spała, ni jej się robota brała. Opuściła ręce i tylko Matkę Najświętszą i wszystkich Świętych wzywała, nie szczędząc mszy i ofiar by jej tylko Florka wrócili.

Skończyła się wojna, wracali żołnierze, ale wiele ich też brakło, co pokładli swe kości het, het, kilkaset mil od swoich. O Florku żaden wieści nie przyniósł. Jedni mówili że pewnie zginął, bo to była bardzo krwawa wojna, inni zaś pocieszali matkę jak mogli, ale gdzie tam Marcinową pocieszyć kiedy Florka jak nie widać tak nie widać. Tak minęło dwa lata, ba i trzeci już dobiegał końca jak Florek porzucił zagrodę, kiedy to jednej niedzieli ludzie tej wsi wracający pod wieczór z pobliskiego miasteczka, gdy doszli do figury Najświętszej Panny co stała za wsią przy drodze ujrzeli Marcinową klęczącą z opartą głową o figurę. Przystąpili bliżej, a że nie słyszeli pacierzy Marcinowej a że tak nieruchoma klęczała, zdjęci trwogą, poczęli pytać i wołać, a że nic im nie odpowiadała, wzięli ją za ramiona i z przerażeniem znaleźli omdlałą Marcinowę. Wzięli ją na ręce i tak niosą do wsi, aż oto w pół drogi otworzyła Marcinowa oczy i zapytała słabym głosem, „Gdzie mój Florek, kochany mój jedynak?“ Marcin nie dziwił się temu bardzo, że Marcinowa do domu nie przychodziła, gdyż często wychodziła pod figurę, długo się modliła i długo wyglądała powrotu Florka. Gdy ujrzał Marcin nowe swe nieszczęście, posłał czemprędzej po doktora do miasteczka, bo nikt we wsi pomocy jej dać nie mógł, bo i cóż tam pomogą ziela i przemawiania, gdzie dusza chora.

Kiedy doktor przyjechał już Marcinowa nie żyła, a ten obejrzawszy zimne ciało, rzekł do Marcina i zawodzących kobiet, że w niej żółć pękła z wielkiego żalu i zgryzoty. Pogrzebano po trzech dniach ciało Marcinowej, odprowadziła ją cała wieś do grobu pod kościółek, a płakały wszystkie niewiasty, boć to Marcinowa była dobra kobieta i nabożna a tak ją Bóg srodze karał. Wracając z pogrzebu rozpowiadali sobie o niej wiele dobrego, i powtarzali, że nie należy dzieciom swoim wiele folgować bo za to Bóg rodziców karze.

Marcin pochylił się o jakie dziesięć lat naprzód ku grobowi, i siły go opuściły i życie mu w samotności nie miłe a Florka jak nie ma tak nie ma. Gospodarstwo upadło, bo dobrze to powiadają, że pańskie oko konia tuczy, to też kiedy nie stało Marcinowej a Marcin dla starości, smutku i zgryzoty nie mógł wszystkiego dopatrzeć, sługi kradli co mogli a nakradłszy dosyć i służbę porzucali, boć trudno teraz o dobre sługi. Żebyć to przynajmniej wiedział że Florek powróci, w robocie go wyręczy i gdy Bóg da, oczy starcowi zamknie i do grobu odprowadzi i pomodli się kiedy nad grobem?

Co się zaś z Florkiem działo, opowiemy wam w drugim numerku.

Jak robić złoto?

(Dokończenie.)

Kiedy już rok cały akuratnie minął, zdybał xiądz proboszcz pewnego dnia Szymona.

Szymon. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Xiądz. Idźcie z Bogiem. Ale, ale Szymonie! zatrzymajcie się, bylibyśmy prawie zapomnieli.

Szymon. Zapomnieli? a cóż takiego?

Xiądz. Tylko sobie dobrze przypomnijcie!

Szymon. Ja sobie nic nie mogę przypomnieć.

Xiądz. A cóż to za dzień będzie jutro?

Szymon. Jutro jest czwartek, dwudziestego września.

Xiądz. No, a cóż to mamy zrobić?

Szymon. Jegomość ma starego Dominika pochować, a ja mam jutro żyto siać.

Xiądz. Ja wcale o czem innem myślę. A wy mielibyście o tem zapomnieć?

Szymon. A coż takiego?

Xiądz. Jutro macie się nauczyć złota robić.

Szymon. Doprawdy ja o tem zupełnie zapomniałem. A dyć to prawda. To prawdziwie dziwno mi, żem o tem mogł zapomnieć.

Xiądz. A jak to być może? przecież wy nie jesteście taki zapominalski. Czy wam się coś w głowie pokręciło? czy macie jakie zmartwienie?

Szymon. O nie! mnie się bardzo dobrze powodzi. Mnie nic nie brakuje, niech Bogu będą dzięki. Ale o złocie, jak mi się zdaje, od dawnego czasu ani nie pomyślałem.

Xiądz. Ba! inne razy to tak nie było. Na początku przeszłego roku toście o niczem innem nie rozmyślali, tylko o złocie a przy tem wyglądaliście zawsze zmartwieni i posępni.

Szymon. Proszę Jegomości, to wszystko przeszło i odmieniło się.

Xiądz. Jakim sposobem się to stało?

Szymon. Ja sobie muszę sam dopiero przypomnieć. Bodajcie, jakże się to stało? Anu już wiem. Oto jegomość: Dla biedy i długów, w których tkwiłem, to mi ogromnie szło o nauczenie się złota robić i zostać bogatym.

Xiądz. A teraz nie?

Szymon. Byłem zawsze w obawie, żebym go nie utracił i w strachu, żeby mnie szatan nie skusił do gorzałki, albo do kłótni.

Xiądz. A cóż dalej?

Szymon. O! często mnie też chętka napadała do złego. Aleć jegomość zawsze tak mądrze gadał o wszystkiem i dawał mi rady i sposoby, a tak ciężkie pokusy szczęśliwie przezwyciężyłem, a ztąd było mi coraz bardziej lżej na sercu.

Xiądz. Ale jak mogliście o złocie zapomnieć?

Szymon. Oto jegomość mnie tak wiele pięknych rzeczy nauczył, ztąd też użyłem tej nauki i ulepszałem sobie moje gospodarstwo i na tem wychodziłem coraz lepiej. Z moją Jadwigą tak żyłem, że to było jedno ciało i jedna dusza. Żniwo miałem bardzo dobre, niech Bogu będą dzięki, tak dalece, że moje długi mogłem całkowicie zapłacić. Otóż jegomość żyłem szczęśliwie i dla tego wcale mi złoto na myśl nie przyszło, zupełnie o niem zapomniałem.

Xiądz. Szymonie! mnie się wydaje, że wy jakoś już na owo złoto nie cieszycie się, jak przedtem?

Szymon. O mój jegomość, ja się cieszę! Prawdać, że ono mi teraz nie jest tak koniecznie potrzebne — tak jest, ale...

Xiądz. Cożeście chcieli powiedzieć?

Szymon. Oto, coś ciężkiego padło mi na serce.

Xiądz. No, cóż takiego?

Szymon. Oto mój jegomość, ja już często powiadałem jegomości, jakim sposobem oddałem się pijaństwu i ciągłej niezgodzie z moją Jadwigą. To była mamona, którą w spadku dostałem, ta mnie zaślepiła, serce napełniła złością, a wszędzie mnie wystawiała tak, żem myślał: mam wszystkiego zanadto, tego nie mogę przebrać i przehulać a muszę wesoło żyć z innymi hultajami, jak ja się to z nimi pić nauczyłem, a potem pić musiałem, bijatyki, procesa. Ach mój Boże, jak też to serce ludzkie zuchwałem zrobić się może, a potem o wszystkiem zwątpi — o! gdybym się znowu do takiego życia miał wrócić.

Xiądz. To się nie może stać Szymonie, drogie złoto zachowa was od tego.

Szymon. Ach mój jegomość, ja właśnie myślę, żeby ono mogło mnie do dawnego życia pewno doprowadzić.

Xiądz. Nie Szymonie, rozpatrzcie się tylko dobrze, ono na waszą zgubę nie może być przeznaczone. Gdzież je więc macie?

Szymon. Gdzie je mam? przecież jegomość ma mnie dopiero nauczyć, jak ono się robi.

Xiądz. Dobrze, zaraz zabierzemy się do tego.

Szymon. Doprawdy?

Xiądz. Nie Szymonie, wy je już umiecie robić, czyż nie domyślacie się? Tak Szymonie, w waszym domu, we waszem małżeństwie, we waszem sercu już jest złoto i skarb. Wy się już nie upijecie, wy się nie kłócicie, nie bijecie żony i długów nie macie. Jesteście umiarkowani, porządni, kontenci z waszego położenia, kontenci jesteście sami ze siebie. To jest złoto, to jest skarb, którego złodzieje nie ukradną i który mi Bóg polecił, abym wam go dał i był pomocą do nabycia go przez cały upłyniony rok, a niech Bogu będą dzięki, żeście się nauczyli robić złoto i skarby zbierać.

Szymon. No mój Boże! czy jak też kiedy byłbym się tego domyślał. Ale niech Bogu będą dzięki! Ach mój jegomość!

Jegomość jest moim wybawicielem, że sobie jegomość tak ze mną ułożył, jak widzę, było to bardzo potrzebne, bo nic na świecie nie byłoby mnie od moich nałogów odprowadziło. Niech jegomości Bóg za to zapłaci, że mnie na drogę cnotliwą naprowadził.

Xiądz. Czyż nie myślicie o tem, jakbyście się złota nauczyli robić?

Szymon. Ja się o to mam kłopotać? Wstydzić się powinienem tego, żem się już dawniej nie poprawił, ani przez świętą naukę religii, ani przez spowiedź, ale przez mamonę złota dopiero dałem się od mojego złego nałogu odprowadzić. Cieszę się, że z robienia złota nic nie będzie, byłoby ono prawdziwą zapłatą za moje bezbożne życie.

Xiądz. Szymonie! wyście wszystkie moje życzenia spełnili, ba! nawet prześcignęli. Teraz bądźcie dobrzy dla tego samego, że jest dobre i cnotliwe, dla samej cnoty.

Szymon. Ja jegomości nie będę wielu słowami dziękował, bo jegomość, jak widzę ma w sercu najlepszą za to zapłatę. Muszę wracać do mojej Jadwigi, bo bez niej jestem niespokojny, muszę wrócić do mojej komory i ukorzyć się przed Bogiem, bo moje kolana zginają się ku ziemi, a serce moje wznosi się do nieba. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

(Szkółka Niedzielna.)

Wróż.

A żebym ja znalazł
Takiego człowieka,
Coby mi powiedział
Dolę, co mnie czeka!

— Jabym ci powiedział,
Jabym ci wywrzóżył:
Takać dola czeka
Na jakąś zasłużył!

T. L.

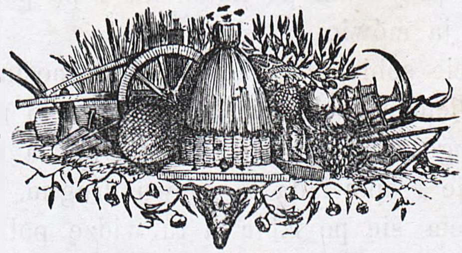
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. **Nr. 7.**

1. marca **1865.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Maciej.

Przejeżdżałem nie dawno przez wieś Makowice i chciałem koniecznie poznać jednego gospodarza Antoniego Patlę, o którym mi znajomi xięża i panowie tyle dobrego naopowiadali, żeby tego i na wołowej skórze nie spisał. Bo jużci dobrego i pobożnego człowieka poznać, to pono lepiej, niż worek ze złotem znaleźć — wszak pieniądze to marna mamona, a dusza pobożna to skarb niebieski, co zostanie na wieki wieków Amen! Otóż zaprowadzili mię ludzie do domu tego gazdy pobożnego i mądrego. Wchodzę na dziedziniec, a tu czyściutko ni to w jakim dworze, płoty wszędzie dobre, brama z tarcic, a chałupa polepiona ni to piec w izbie bieluśki, a w sieni i izbie nie widziałem ani znaku śmiecia jakiego. Ale to jeszcze nic, bo co to ja zastałem tam u niego? oto po ławeczkach po pod ściany w okoluśko siedzieli sobie ludzie młodzi i starsi, a Antoni stał koło stołu i czytał im na cały głos z kalendarza ciekawości, które spisali tam gdzieś aż w Warszawie jacyś piśmienni i xięża dla gospodarzy na wsi. Ja wchodzę do izby przez próg, zdjąłem czapkę pięknie i mówię:

— Pochwalony Jezus Chrystus! Szczęść wam tu Boże moi dobrzy ludzie do takiej roboty!

A oni mię przywitali po katolicku i po polsku i przestali czytać. Wtedy ja mówię:

— Czytajcie sobie dalej, to i ja też posłucham co nieco, a może się dowiem co dobrego od was, boć to nie ma na świecie całym nikogo, aby wiedział wszystko a wszystko, jeno każdy wie swoje i opowiada to znowu drugim.

Rozpatrzyłem się po izbie a tu widzę półkę aż koło powały, a tam leżało tyle książek ni to u jakiego xiędza — a to wszystko pokupił sobie Antoni pobożny za te grajcary, co mu zostały od podatku i od potrzeby, bo on mawiał sobie tak:

— Lepiej, że dusza wypije co dobrego z książki niż głupia gęba z kieliszka! lepiej, że się za grajcar dorobisz nieba, niż piekła strasznego, lepiej kupić sobie ciekawą książeczkę i nią się zabawić, niż wydać grosz na gorzałkę i grzechu się nabawić.

Obejrzałem te książki jego i były tam: kantyczki polskie, był Dzwonek i Nowiny ze świata, były żywoty patronów polskich, było pismo św., była jakaś książka, co pisze o dawnych królach polskich i to z obrazkami i były kalendarze różne i jeszcze inne książki starodawne. Potem siadłem sobie na stołeczku. Antoni czytał z kalendarza jaki to ma być ten cały rok czy suchy czy mokry a potem powiada tak:

— Ot te kalendarze to bajarze! cyganią jeno ludzi a mało kiedy zgadną prawdę!

— To prawda potrosze, mówię ja na to, ale to dowodzi ludziom, że oni mogą sobie gazdować w chałupie, na polu, po miastach, po wsiach, po dworach ale do nieba nic im na jeden włos, bo tam rządzi sam Bóg. Z góry daje Bóg ludziom wedle zasług. A jeźli ludzie są głuptakami i obrażają Boga, to Bóg zamyka niebo dla nich i robi sam porządki na ziemi. Skoro Bóg sam rządzi na wysokiem niebie, a ludzie nie znają tego nieba, to jużci oczywista, że nie zawsze tak się robi, jak sobie ludzie po kalendarzach piszą.

Ale kalendarze są zawsze ciekawe, boć tam macie wypisane święta, potem dnie każdego świętego, potem przeróżne

ciekawości i rady i nauki. No! na ten przykład jakżebyśmy wiedzieli, kiedy wypada św. Macieja? Kiedy rok przestępny, a kiedy nie? Kiedy przypadną inne święta, a tu jak masz kalendarz w domu, to pal prosto na półkę, bierz go do ręki, otwórz i szukaj po kartkach i wynajdziesz sobie bez myłki wszystko a wszystko, jak potrzeba.

A jeden gazda pyta mię:

— No! a w jaki to dzień tego roku wypada św. Macieja!

Ja wziąłem kalendarz od gazdy Antoniego i popatrzyłem do niego i mówię:

— Tego roku św. Macieja mamy w sam piątek przed zapustami i to 24. lutego — a potem dodałem znowu:

— Widzicie moi dobrzy ludzie! jak to dobrze, że sobie kto sam potrafi wszystko po książkach wyszukać? a na to potrzeba jeno ciekawości, a nauczysz się bodaj w pół roku doskonale — bo do nauki nie trza ani sierpa, ani cepów, ani młyna, ani wozu ani koni, ani gruntu, ani pieniędzy, jeno poturbować trochę głowę i oczy i uszy bodaj jedną niedzielę po nabożeństwie, a wyuczysz się tak samo, jak jedzenia łyżką z miski i picia wody z konewki.

A gazda Antoni poderwał moje gadanie tak:

— No! proszę jegomości! co to za jeden był ten św. Maciej? czy to on nasz krajan? czy taki sam, jak nasi św. patronowie? boć i o tym świętym powinien każdy wiedzieć z Polaków, kiedy od tego dnia zaczyna w naszym polskim kraju zima upadać, a wiosna już już za drzwiami.

Ja na to zagadanie odezwałem się do ludzi:

— Św. Maciej nie był naszym krajanem nigdy, a my Polacy dla tego go tak czcimy, że go przypada na końcu lutego, już na końcu zimy i ni to na początku wiosny — od św. Macieja do św. Józefa trafią się przymrozki, czasem i mrozy, ale zima już złamana. Dobrze to gadają gazdowie polscy: mówią oni, że raz rozmawiał się marzec z lutym i powiada mu: „Daj ty mi takie mrozy, jak ty robisz, a ja umrożę i drzewinę i ciele w krowie!“ Toż to się nigdy nie stało tak, aby marzec tak gadał do lutego, ale to dowodzi, że po św. Macieju zima zabiera się od nas dalej na północ w lasy.

A Antoni gazda odzywa się tak na to:

— Bo to, upraszam jegomości, my gazdowie polscy to sobie jeszcze inaczej gadamy o marcu i lutym! my sobie gadamy, że marzec ukradł lutemu dwa dni za to, że luty ma wielkie mrozy a marzec nie ma takich, toż ztąd luty ma jeno 28 dni, a marzec ma zawszé 31 dni.

A ja gadam na to:

— To jest jeno taka staropolska przypowiastka, ale to z innej racyi ma luty 28 dni, a czasem i 29, a wtedy przypada św. Macieja nie 24. jeno o jeden dzień poźniej to jest 25. lutego. Ale ja wam opowiem naprzód o św. Macieju a potem jeszcze co więcej, jeno słuchajcie. Wy wiecie to przecie, że Pan Jezus wybrał dwunatu Apostołów, aby na każdą stronę świata poszło ich po trzech do nauczania ludzi. Ale jeden z nich przeniewierzył się strasznie samemu Panu Jezusowi, a to był Judasz zdrajca; on podsłuchiwał jeno nauki Pana Jezusa, a potem przez łakomstwo i zaślepienie sprzedał Go za marny grosz. I on niewiara opętany, jak zrobił taki śmiertelny grzech, to nie pomyślał sobie na lepsze, jeno jeszcze na gorsze. Boć to nie trza śmiertelnie nigdy przenigdy grzeszyć, nie trza jeden drugiego zdradzać i zaprzedawać na męki jakie albo i na śmierć — a jeżli kto już zrobi jaki wielki grzech raz jeden, to niech się upamięta jak człowiek, niech się nawróci do Boga, złe naprawi i odpokutuje, to mu Bóg podaruje. Tak nas nauczył Pan Jezus! Toż głupi Judasz nie nawrócił się do Boga, jeno wziął powróz i powiesił się na gałęzi. Bo to już tak na tym świecie, że jak się komu raz noga pośliźnie, a on nie uważa, to na ślizkiej drodze kark skręci! Otóż po śmierci tego niedobrego Judasza było jeno jedenastu Apostołów, a tu trza było koniecznie dwunastu, bo tak kazał Pan Jezus. Ale kto mi z was zgadnie, z jakiej to racyi jest u nas Polaków po ogrodach takie drzewo, co ma jagody gorzkie nie do użycia i zowie się Judaszem?

A jeden młody gazda powiada:

— Bo może go Judasz nasadził w swoim ogrodzie.

A drugi mu przerywa i mówi:

— Aha! nasadził, on się prędzej na niem powiesił.

— Tak jest akuratnie! mówię ja, to drzewo Judaszowe mamy po naszych polskich ogrodach na to, abyśmy miarkowali sobie dobrze, by żaden z nas nie zdradzał drugiego, ani go zaprzedawał na męki i nieszczęście, boby przyszedł za to na taką publikę, jak Judasz i na takie potępienie u Boga i ludzi. Otóż widzicie św. Piotr poradził tak Apostołom:

— Nie ma nas jeno jedenaście, a zatem wybierzmy sobie jeszcze jednego, by się nie sprzeciwić woli samego Pana Jezusa. I było tam do wyboru takich dwóch pobożnych i wyuczonych: jeden się zwał Maciej a drugi Józef. Wtedy Piotr św. mówi:

— Zaczynajmy bracia od Boga — a gdy my grzeszni nie wiemy, jaka tam dusza w nich siedzi, boć się nikt z nas nie spodział, że i w Judaszu była taka niedobra dusza, toż zdajmy się na Boga a On nam pokaże, który z tych dwu ma być Apostołem!

— No! i jakże im Pan Bóg pokazał na Macieja? zapytał mię Antoni gazda.

A ja na to tak:

— Oto św. Piotr i wszyscy złożyli ręce, podnieśli oczy do nieba i modlili się tak razem ze łzami:

„Boże! ty sam znasz każdego człowieka, ty wiesz sam, kto co myśli, kto co ma w sercu i w duszy, ty wiesz, jakim kto był, jest i będzie na potem, otóż pokaż nam ty sam, którego my mamy wybrać na miejsce Judasza!

A że Bóg nie zawsze mówi z nieba i nie raz nie da znaku, jeno czeka, co też człowiek sam zrobi; a że Bóg dopomoże każdemu, kto na dobre ciągnie, toż i Apostołowie nie czekali na to, jeno ciągnęli losy na Macieja i Józefa, a Bóg widać wybrał Macieja na Apostoła. Otóż św. Maciej to Apostoł na miejsce Judasza! on wypełnił przykaz Pana Jezusa, opuścił dom, ojcą matkę i rolę, co na niego spadała, poszedł nauczać tego drugich ludzi, czego się sam wyuczył od Pana Jezusa i od Apostołów — on biedował, on nie dojadł ani nie dospał, jeno po nocach uczył drugich i to zadarmo — ale co więcej on się nie przeląkł ani strachu, ani groźby, ani męki żadnej, nawet nie zląkł się śmierci, gdy go poganie zabijali za Pana Jezusa.

— A gdzie też on umarł? zapytali wszyscy.

A ja na to mówię:

— Powiadają stare opowiadania i starzy nasi dziadkowie to powtarzali zawsze, że na północ, to jest gdzie dziś siedzi Moskal straszny, gdzie są Polacy i Rusini, poszło trzech Apostołów: św. Piotr, ale on nie zaszedł daleko — potem św. Maciej, ale ten się wrócił potem i poszedł het na południe do Afryki i tam zginął — a najdalej na północ zaszedł pono św. Andrzej i zginął tu.

A znowu po śmierci tych trzech Apostołów wybrał się w te strony jeden Ojciec św., co był zaraz po św. Piotrze za Ojca św. i zwał się św. Klemens, gdzie też został zabity, a ciało jego dopiero za jakie 700 lat znaleźli xięża i odesłali do Rzymu do Ojca św. I widzicie moi kochani, że naszym Apostołem na północy był św. Andrzej, co najdalej zaszedł w te strony.

— Aha! zawołali wszyscy teraz, to już sobie miarkujemy w naszych głowach, dla czego to u nas tak stoi pięknie ładnie w kalendarzu polskim, że zawsze na początku zimy przed samym św. Adwentem to mamy św. Andrzeja, a to może i dla tego, że on był Apostołem w zimnych krajach i tu życie położył za Pana Jezusa — a znowu na końcu zimy to mamy św. Macieja a to może i dla tego, że i On próbował tu nauczać, ale widać nie mógł wytrzymać mrozów i odszedł w ciepłe kraje i tam ofiarował się za Pana Jezusa.

A ja im na to rzekę:

— Po prawdzie nie ma książki tak starej, aby o tem na wyrozumienie pisała, ale tak opowiadali starzy Polacy i Rusini i my tak dotąd powtarzamy. Ale teraz kto mi to odgadnie z jakiej to racyi przypada co cztery lat św. Macieja o jeden dzień poźniej?

Na to kiwali głowami wszyscy i nie umieli nic powiedzieć, toż ja znowu mówię dalej tak:

— Widzicie moi dobrzy ludzie! że wszyscy poganie, co to nie znali prawdziwego Boga na niebie i modlili się to do słonka, to do miesiączka, to do piorunów, to do wiatrów, to do nieżywych rzeczy na ziemi i niebie, nie mieli także dobrego poznania i nie wiedzieli dokumentnie, ile jest miesięcy do roku,

ile tygodni i dni w całym roku? Otóż nasamprzód uważali oni sobie, jak to miesiączek prawie co siedm dni zmienia się na niebie — raz go nie widać nic a nic, aż na nowiu pokaże się ni to sierp, potem za siedm dni pokaże się przez pół jasny, potem znowu za siedm dni pokaże się na pełni jak denko okrągłe, cały jasny, potem na końcu pokaże się za siedm dni znowu przez drugą połowę jasny i tak pomału ubywa, aż znowu go nie widać. Otóż na każdy miesiąc zmienia się ten miesiączek cztery razy i to zawsze akuratnie bez żadnej myłki. Toż poganie rachowali sobie rok cały po miesiączku i u nich co rok pokazał się na niebie ten miesiączek dwanaście razy. Ale miesiączek jest w nowiu, pierwszej kwadrze, na pełni i w ostatniej kwadrze co miesiąc raz i potrzeba mu na to czasu 28 dni. A więc skoro poganie rachowali swoje miesiące podług zmiany miesiączka, to oczywiście miał u nich każdy miesiąc jeno 28 dni, a u nas ma każdy miesiąc o dwa lub trzy dni więcej. No! miarkujcieno sobie, o wiele to dni był u nich cały rok mniejszy od naszego.

A Antoni gazda porachował sobie na palcach i powiada tak:

— To nasz rok teraz ma o jakie 30 dni więcej; bo gdy każdy nasz miesiąc dłuższy o dwa lub trzy dni, to na dwanaście miesięcy zrobi to jakie 30 dni.

— Dobrze trafiliście, mówię ja, otóż możecie sobie pomiarkować, jakie to porobiły się bałamuty z tymi rokami u tych pogan — bo to co rok brakło im do całego roku zawsze 30 dni, albo cały nasz miesiąc, toż na sto lat mogło się im tak poplątać w głowie i rachunku, że nie mogli potem zmiarkować, kiedy zima, wiosna, lato i jesień przypadła? nie wiedzieli też, kiedy siać, orać, żąć i mieli z tego wielkie straty. Jak widzicie teraz, to poganie mieli roki swoje po miesiączku, czyli roki księżycowe.

A co wam jeszcze powiem, to to, że oni myśleli sobie, że ziemia cała to była na całym świecie ni to jaka pani wielka i że jej służyły gwiazdy, słoneczko to świecące i miesiączek. No! jak sami uważacie, to już było wielkie głupstwo! Otóż oni gadali sobie dalej tak:

— Słoneczko, miesiączek i wszystkie gwiazdy jadą sobie na wozach dobrze posmarowanych co dzień ponad ziemię, na ten przykład, jak te chmury co je wiatry gonią ponad głowami, a ziemia cała stoi sobie na miejscu i przypatruje się temu.

A jeden gazda poderwał mię i gada:

— Toż bo jegomość tak się przecie wydaje i nam.

A ja mu na to:

— Ale mój ojcze dobry! czy chcielibyście wy sami tego aby całe niebo, gdzie siedzi Bóg z Aniołami, gdzie to słoneczko i te gwiazdy są pod Jego świętemi stopami, aby to niebo służyło naszej grzesznej ziemi i aby Boga tron i Aniołowie biegali co dzień koło nas grzesznych ludzi? Wszak ziemia cała służy Bogu i my grzeszni służymy Mu, toć byłoby to i grzechem, abyśmy z ziemią żądali tego, by nam niebo służyło i na około nas latało.

— No! to prawda, mówi ten gazda, ale jakże się to robi z tą ziemią i z nami?

A ja powiadam:

— Nie moi ludzie! nasza cała ziemia ma taki przykaz od Boga od stworzenia świata, aby służyła Bogu i latała koło słonka! bo jak nie można żądać aby ul cały latał koło pszczoły, albo cała chałupa latała koło małego człowieka, ale aby pszczoła latała koło ula, a każdy chodził koło chałupy, tak też i ziemia lata koło niebieskiego słoneczka.

A jeden gazda dodał na to:

— Toć to pono lepiej na świecie i tak Bóg przykazuje, abym ja stary siedział sobie a moje drobne dzieci biegały koło mnie — a znowu byłoby to po nijakiemu, aby dziecko siedziało, a ja stary mu służył i słuchał go.

A drugi gazda odezwał się znowu tak:

— Toć i koło tronu cesarza albo króla latają ludzie poddani im — a byłoby to po nijakiemu, aby cesarz lub król z tronem swoim latał koło poddanych. Otóż prawdę świętą gadacie, mówię ja, tak i to jest taką świętą prawdą, że ziemia nasza, jako stworzenie boskie, obraca się koło niebieskiego słoneczka, a to słoneczko z gwiazdami i całym światem leci sobie koło tronu bożego, a Bóg to wszystko nad nami i pod nami utrzy-

muje w posłuchu i porządku! Jeno poganie nie znali tej prawdy. Toż gdy im się roki księżycowe poplątały i miesiące ich im się poprzekręcały tak, że w zimie przypadał im lipiec, a na lato styczeń, wtedy oni po rozum do głowy i zaczęli znowu miarkować sobie roki nie po miesiączku, ale po słoneczku. I wyrachowali sobie tak, że na cały rok świeci słoneczko 360 razy od rana do wieczora czyli ich rok miął 360 dni i nocy razem! A taki mądry król jeden pogański, co sobie siedział w Rzymie, kiedy tam jeszcze Ojca św. nie było, ułożył kalendarz na 360 dni w roku; a ten jego kalendarz zwał się Juliańskim, bo królowi temu było na imię Julian, a po przydomku Cezar.

Na to odzywa sią Antoni gazda:

— No! to mnie się tak na mój chłopski rozum zdaje, że ten kalendarz Juliański był zawsze lepszy od tamtego — bo już to lepiej uważać na słonko co świeci we dnie i przy robocie i ani ono mniejsze, ani większe, ani nie ma kwadry, jeno świeci i świeci i zawsze wschodzi i zachodzi jednakie i takusieńkie, jak pozawczoraj i dziś, jak łońskiego tak i tego roku.

— Dobrze gadacie mój Antoni, mówię ja, bo jak porachujemy dni roku księżycowego i znowu roku słonecznego, to wielka różnica. Rok księżycowy miał 336 dni, a rok słoneczny podług kalendarza Juliańskiego miał 360 dni, a więc był o cały miesiąc dłuższy. Ale i ten kalendarz nie był jeszcze dobry, bo prawdziwy rok nasz dziś nie ma ani 336 dni jak to ludzie na początku świata myśleli, ani nie ma 360 dni, jak to znowu pisał kalendarz Juliański, jeno ma 365 dni i do tego jeszcze trza dodać na przyczynek sześć godzin.

A gazda Antoni zauważył zaraz i mówi:

— To proszę jegomości! były znowu bałamuty nowe — bo brakowało znowu tym drugim do roku pono pięć dni całych i te sześć godzin.

— A jeno! że tak, mówię ja — toż widzicie moi dobrzy ludzie, że w te same czasy, kiedy się narodził Pan Jezus, mieli poganie kalendarz Juliański — a potem tak nastali chrześcianie, to także rachowali podług tego niedobrego kalendarza, aż do czasów jednego Ojca św. co się zwał Grzegorzem XIII.

Ten to Ojciec św. wiedział już dobrze o tych wszystkich bałamutach w kalendarzu i napisał listy do wszystkich piśmiennych na całym świecie by się pozjeżdżali do Rzymu i tam ułożyli raz na zawsze dobry kalendarz. A wtedy pojechali tam do Ojca św. i z naszego Krakowa bardzo mądrzy Polacy, co tam także pomagali ułożyć nowy, dobry kalendarz. I jak zaczęli rachować i rachować, to się pokazały wielkie mylki. Bo dawni chrześcianie musieli na kilka roków dokładać do roku cały jaki miesiąc, aby się im rok który nie przewrócił do góry nogami, a tych sześć godzin nie ruszali nic, toż z nich urosło dziesięć dni nowych. Toż Ojciec św. kazał potem te dziesięć dni ominąć i rachować dalej podług nowego kalendarza, który się od Ojca św. zowie kalendarzem Gregoryańskim i jest dotąd u nas.

— A jak to dawno ten kalendarz? pytał się Antoni.

Ja mu na to:

— To temu dobre 300 lat. I Polacy, nasi dziadkowie, przyjęli od Ojca św. ten kalendarz za króla Zygmunta Augusta, a my go też mamy dotąd. Jeno Moskale i Grecy nie mają go — dla tego to u Moskalów i Greków wszystkie święta idą o kilkanaście dni za nami, a my zawsze na przodzie. Ale miarkujcie sobie znowu to, że podług kalendarza Gregoryańskiego ma nasz rok 365 dni i sześć godzin. No dzień jak dzień, ale co znowu zrobić z temi godzinami, aby nie przepadły i znowu bałamutów jakich w kalendarzu nie narobiły? Otóż z tych sześć godzin urośnie zawsze za cztery roki w naszym kalendarzu jeden calutki dzień. I cóż tu zrobić? gdzie go posadzić?

A Antoni kiwa głową i gada:

— Aha! to to może ten dzień z tych godzin robi zawsze u nas rok przestępny?

— A to to samo! mówię mu — otóż co czwarty rok musi być u nas zawsze przestępny, a wtedy ma luty dni 29, a św. Macieja wypada o dzień poźniej.

A Antoni zadumał się trochę i powiada:

— No! to teraz uważam sobie dobrze te wszystkie kalendarze na świecie! To od początku świata aż do narodzenia Pana Jezusa mieli poganie kalendarz i rok podług miesiączka,

co pono i żydzi u nas mają jeszcze dziś, bo oni się lubią modlić, kiedy miesiączek świeci, i taki kalendarz i rok księżycowy był kiepski, bo mu brakło co rok jednego miesiąca i trza było go gdzie nadsztukować — a znowu od narodzenia Pana Jezusa był u pogan i chrześcian kalendarz Juliański dobre 1500 lat, ale i ten był kiepski, bo mu brakło co rok kilka dni — aż od 300 lat mamy kalendarz Gregoryański i ten jest dobry, ma 365 dni w roku i sześć godzin, z których idzie rok przestępny co czwarty. Potem rozeszliśmy się.

A ja tę pogadankę w Makowicach u Antoniego wypisuję do Dzwonka dla was moi kochani!

Xiądz Wojciech z Medyki.

Przyspiewki

dla młodych i starych.

1.

Czy też u was, jak tu u nas
Jest tasama gadka?
Że tak miła swoja chatka,
Jak rodzona matka?

A nie swoja chatka cudza
To już ani trocha,
Nie jest miła człowiekowi,
Jak gdyby macocha!

2.

A wstawajże, kiedy wstają,
Zajadajże — co ci dają,
Strzeż się tego, czego bronią,
A uważaj na co dzwonią!

3.

Hej hej! w naszej szkółce
Wielka dzieci ciżba,
Rozpychajcie ściany,
Kiedy ciasna izba.

Rozpychajcie ściany
Co siły, co siły,
Żeby się tu wszystkie,
Dziatki pomieściły!

4.

Po deszczu została,
Woda na kamieniu,
Dobrodziejstwa Boskie,
Miejmy we wspomnieniu!

5.

Robili, orali,
Leń na piecu leżał,
Do miski wołali,
On najpierwszy bieżał.

6.

Nie tam szczęście, nie tam dola,
Gdzie bogaci ludzie,
Kto poczciwy, ten szczęśliwy,
Choć w chróścianej budzie!

7.

Nie mów ludziom lada czego,
Coć się w głowie kleci,
Bo to ludzie poroznoszą,
Jako wicher śmieci!

8.
Oj cnoto ty cnoto,
Czyściejsza nad złoto,
Nie upadnijże nam,
Jak listeczek w błoto!

9.
Nie wart ten imienia,
Nosić poczciwego,
Co nie dotrzymuje,
Przyrzeczenia swego.

Teofil Lenartowicz.

Historya o niedobrym synie.

IV.

Florek wraca do domu.

Było to w póżnej jesieni wieczorem, kiedy już stary Marcin ułożył swe zbolałe kości ku spoczynku a Jewka stara sługa, co tylko jedna została jeszcze z Marcinem obchodziła całe obejście i pozapierawszy wrota i furtki, i szepcząc pacierze zamykała drzwi chaty, kiedy to Zagraj ostatni stróż domu i wierny stary przyjaciel nie zawarczy i nie posunie ku wrotom broniąc komuś cudzemu przystępu. Jewka narzekając, zwyczajem bab starych, że ktoś tam im jeszcze po nocy nie daje odpoczynku poszła ku wrotom zajrzeć kto tam taki, a przyszedłszy bliżej wykrzyknęła:

— A rany Chrystusa, ta to wy Florku, a gdzieście to tak długo przebywali, że ani słychu ani dychu o was nie było!

Otwarła wrota a Florek nie odpowiedział, bo się musiał tęgo oganiać przed Zagrajem, który to z tej to z owej zachodząc strony szarpał Florka to za nogę to za połę jak nikogo, a znał Florka dobrze przed laty, a psy nie prędko zapominają człowieka.

Wszedł nareszcie Florek do chaty Marcina a ujrzawszy ojca swego na posłaniu, rzucił się na kolana przed łożem Marcina, boć tak go nauczyli ludzie w świecie i począł to niby płakać i żałować, ale mu jakoś łzy nie szły obficie, bo nie szły od serca, tylko ot tak z potrzeby. Wyciągnął ręce ku niemu starowina i cisnął do serca, boć to zawsze ojcowskie serce inne od synowskiego. Prędko się uspokoił Florek w swoim płaczu

i nuż dalej przeklinać i tych ułanów co go to zbuntowali i wszystkich ludzi, że aż starego mróz przechodził, a stara Jewka tylko się żegnała za każdem przekleństwem. Spytał nakoniec i o matkę, a gdy mu Marcin powiedział, że umarła z wielkiego żalu po nim, pożałował ją trochę słowami boć tak wypadło i kazał Jewce, by mu dała wieczerzę. Zajadał tęgo, bo był bardzo głodny, a gdy już zjadł a nie podziękował ani ojcu ani Bogu za dar jego, ułożył się do spania bez pacierza, nie tak jak to dawniej bywało robił, nim w świat powędrował.

Bolało mocno serce Marcina, że widział przed sobą syna takiego, ale toć jeszcze może się poprawić, bo jeszcze nie stary, i cieszył się starowina, że mu powrócił jedynak. Tak mijała zima a Florek się nic nie poprawiał, nudno mu było w domu, wałęsał się po wsi i do karczmy często zaglądał, a stary Marcin wciąż sobie mówił, przyjdzie wiosna i robota w polu, to jakoś to będzie inaczej. Przyszła i wiosna ale tu znowu nie była Florkowi robota na rękę, bo czy to w pole czy z pola iść wypadło, musiał zawsze pozaglądać po za płoty dworskie i zbawić kilka godzin najlepszego czasu, bo też to tam we dworze była służąca przy pani, Franka, a było to dziewcze młode i ładne ale bardzo światowe, bo też to nie darmo najeździła się z panią swoją po różnych krajach i kąpielach, dla tego znała się doskonale na zalotach, ale nic tam ludzie o niej dobrego więcej nie wspominali. Otóż ta Franka podobała się bardzo Florkowi, ba też i on nie był już prostym chłopem, widział dość świata i ludzi wiele, widział Wenedyki i Majlandy, morza i Alpy, i różne cudatwa, widział i Niemców i Węgrów i Włochów i Francuzów, ale z tej wielkiej znajomości niewiele rozumu do domu przyniósł, a choć dobrze wiedział co *rechts* co *links* a co *gradaus* toć przecież nie położył tak prościutkiej skiby jak pierwszy lepszy parobczak, co to nie był dalej jak w najbliższem miasteczku na jarmarku lub na odpuście jakim, ale zato wiele kiepskich nałogów mu przybyło. Nie podobał mu się strój chłopski więc ubierał się na pół po cywilnemu na pół po żołniersku. Wąsy wywiksowane, krawat na szyi, holcmycka na głowie i pantalony z lampasem i surdut czarny, tak to dziwacznie ubierał się, by się odróżnił od swojaków, a zamiast

to sobie zakurzyć kiedy niekiedy po robocie fajkę z bakuniem jak to inni robili, on palił zwitki z tytoniu co to jeden więcej kosztuje niż cała paczka na tydzień, a potrzebował ich wiele boć zawsze cmokał; przebudził się to zamiast podziękować Bogu za przespaną noc, on tylko ten zwitek zapalił. A i jadło gospodarskie mu nie smakowało, kiedy wszyscy w domu jedli kaszę lub ziemniaki z mundurem, to on jadł rosół bogdaj z kury, gdy mięsa wołowego w karczmie niedostać było, dla tego to wkrótce po jego powrocie nie grzebała już żadna kura po śmiecisku ojcowskiem, a o poście to nic wiedzieć nie chciał i prawił drugim chłopom, że to tego po innych krajach nie ma, że to u nas to tylko księża powymyślali.

Taki to Florek powrócił z wojska ni do Boga ni do ludzi, a pracy się lękał jak diabła.

V.

Jak się Florek ożenił i co potem nastąpiło.

Nie podobała się w całej wsi żadna gospodarska córka Florkowi, każda mu była za głupia i za brzydka, tylko Franka, bo ta jakby dla niego stworzona. Widziała i ona wiele świata, była z panią swoją i w Marjenbadzie i Karlsbadzie i Wiedniu, to też i miała wiele pańskich grymasów, znała się na strojach, pomadach i na ładnych chłopcach. Niedziw więc, że się Franka Florkowi lepiej podobała jak gospodarska córka co tylko hulała po domowej zagrodzie i ojcowskiej skibie.

Schadzki miewali z sobą częste, a i niemało tracił się Florek na Frankę boć to nie kupił jej czerwonej wstążeczki do kosy na niedzielę, obrazka lub medalika na odpuście lub książeczki do nabożeństwa, jak to inni robili, ale przywoził jej z miasta to chusteczki jedwabne, to rękawiczki tak cieniuteńkie że to nie od zimna ale od parady i trzewiczki materjalne z obcasikami, by zgrabnie stąpała po woskowanych podłogach pańskich. Wiele też na to szło pieniędzy. Martwił się stary Marcin temi postępkami Florka i nieraz mu to ganił ale w końcu pomyślał sobie, ot młodość w nim furczy, zepsuli go ludziska, ale trzeba go ożenić z poczciwą jaką i pracowitą dziewką to mu to z głowy wywietrzeje, a wtedy się ustatkuje, domu i gospodarstwa pilnować będzie; i tak rzekł jednej niedzieli do Florka:

— Florku! synu mój; niedługoć mi już żyć na tym świecie, a radbym cię jeszcze przed śmiercią widzieć szczęśliwym, niechciałbym, by moja i nieboszczki twej matki praca poszła w niwec, widzę że potrzebna gospodyni w domu, oto Wincentego Zośka pracowita, uczciwa, nie brzydka, nie uboga dziewka, ona by i starość uszanowała i spokój i szczęście dla ciebie przyniosła, oto ożenię cię z Zośką, a gdy się już spełni wola moja, oddam wam całe gospodarstwo, a wy mię tam już w mej starości do śmierci pielęgnować będziecie.

— Mądreście słowo wyrzekli, wtrącił Florek, i jam już nad tem rozmyślał, że jakbyście mi już raz całe gospodarstwo ze wszystkim dobytkiem w ręce oddali, toby to zaraz wszystko lepiej poszło, bo jabym to się wziął do gospodarstwa co się zowie, bo powiedziałbym, że nie dla kogo pracuję, ale dla siebie, boć ja to wam ojcze nie dowierzałem, czy wy zechcecie mi wszystko oddać, boście jakoś od mego przyjścia diable krzywo na mnie patrzyli, a kiedy byście mi już raz wszystko oddali, to jabym też tam już o was nie zapomniał, wszystkiego byście mieli, cobyście jeno chcieli, ale co z tą Zośką to sobie wybijcie z głowy, boć to ja nie taki chłop jak inni, ja byłem w świecie i znam coś więcej niż oni, a co Zośka to nie dla mnie.

— To może jaką inną sobie upodobasz, byleby tylko uczciwa, pracowita, to niech już tam będzie byleby sobie była dobra i starego nie poniewierała.

— Kiedy już tak chcecie, poderwał Florek, to ja sobie wezmę Frankę, co to jest we dworze, ta także widziała świat i zna co to starszych szanować, boć to nie taka głupia, jak te wszystkie nasze dziewki, a niekrzywo na mnie patrzy, a choć to tam dworaki sobie na nią zęby ostrzą, to ona taki mię lepiej woli, już ja to zmiarkowałem dawno.

— Synu mój, toć ja twój ojciec i tylko twego szczęścia pragnę, boś ty mój syn jedyny i nikogo więcej niemam na świecie jak ciebie, ale jak Bóg żywy, tak ci Franki nie życzę, boć to lekkoduch i zepsute po dworskich kątach, a kto wie zkąd i co za jaka, ta to i ciebie nie poszanuje i starego ojca twego wstydzić się będzie, mienie zmarnuje, bo to nie do pracy i ludzie niedobrze o niej mówią.

— Już to ja wam ojcze mówię, że albo przystaniecie na to, że ja sobie Frankę wezmę, bo jak nie, to sobie trzymajcie wasze gospodarstwo a ja pójdę z Franką w świat za oczy i już mię tu więcej nie zobaczycie.

— Och nieszczęsna godzino moja, zawołał stary Marcin z płaczem, toć już wola ojca twego u ciebie nic nie znaczy, na toż mi Bóg dozwolił dożyć takiej starości, by tam jakaś taka zawłoka w domu własnym nademną zbytkowała.

— Nie gadajcie mi na nią zawłoka, podchwycił Florek, bo zaraz het w świat powędruję, to wy mię już za nic nie macie, kiedy mówicie, że Franka by nad wami przewodziła, a czy to jabym na to pozwolił, czy jabym tu nic nie znaczył, jabym dał wam krzywdę zrobić? O mało mię znacie, ja już nie ten Florek co był dawniej.

— Ha niech się dzieje wola Boga, rób synu jak chcesz, a nie opuszczaj starego ojca w jego niemocy, a Bóg by cię pokarał, jeżelibyś ojca starego pokrzywdził.

W kilka tygodni po tej rozmowie odbyło się wesele Florka z Franką we dworze. Nie było na nim gospodarzy wiejskich, tylko same dworaki a stary Marcin był między gośćmi ostatni. Na drugi dzień odbyły się przenosiny. Niewiele wniosła Franka do Marcinowej zagrody, boć wszystkie te fatałaszki z garderoby pańskiej przyniósł jeden lokaj na plecach, ale za to hulatyka i pijatyka dworaków była wielka i trwała dni kilka.

Gdy się już wesele skończyło zaczęło się nowe gospodarstwo w Marcinowej zagrodzie. Franka, nie w ciemię bita, gdy się dobrze rozpatrzyła, że dobytku u Marcina nielada, poczęła staremu Marcinowi dogadzać i nadskakiwała mu jak mogła a Florka wciąż podmawiała, by naglił ojca, by ten już raz zrobił jaki porządek z gospodarstwem. Niezadługo przyszło do tego, że Marcin pojechał z synem i synową do miasta do notarjusza i tam przy świadkach spisali, że jako stary Marcin za słaby już do pracy oddaje na wieczne czasy cały swój majątek Florkowi.

Jak się ta cała historya skończyła, o tem aż na drugi raz, bo widzicie że już ani na włosek nie ma miejsca.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 8.

11. marca 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skarb Łukasza Naroźniaka.

Opowiadanie prawdziwe.

Mróz był trzaskający, bo działo się to 12. lutego bieżącego roku, gdy przed mieszkaniem Jana Naroźniaka, wyrobnika w Uzarzewie — milę od miasta Poznania — zajechał wózek, a na nim leżał chory, zgrzybiały starzec.

W izbie Janowa właśnie mężowi i dzieciom jakiś lichy podała obiadek, bo są biedni a dzieci mają kilkoro.

Starszy chłopiec obaczył zajeżdżający wózek, i wyskoczył przed chatę, a i zaraz znowu powrócił, wołając:

— Tatusiu, matusiu! to, oj, dziadka chorego przywieźli! O! Jezu, mój Jezu, ledwo już sapie.

Jan porwał się, za nim żona, i wybiegli z pospiechem.

— Tatusiu! ojcze jedyny, co wam to? — wołał syn przestraszony, a synowa w płacz.

Znieśli chorego do izby i na łóżku Jana ułożyli. A Janowa, płacząc, poczęła się krzątać, by biedakowi chociaż trochę polewki gorącej podać.

Rozpłakały się i dzieci. A Jan stał przy łóżku z załamanemi rękoma i patrzał się w twarz trupią starego ojca.

— I cóż wam to, tatusiu jedyny? Chcecie doktora, to i poskoczę do pałacu.

— Nic mi już po doktorze — odrzekł chory słabo. — Moje dziecko, taćże ja wiem, że to już moja ostatnia nadeszła godzina... Lat dziewięćdziesiąt, to nie frachy!... Wiem, że lada chwila, Bogu oddam ducha... i dla tegom chciał, mój synku jedyny, by mnie do was zawieźli, bym tobie, żonie twojej, dzieciom pobłogosławił... bym na twojem skonał ręku, abyś ty mi powieki zacisnął, a nie żaden obcy człowiek... Tęskno mi była do was!

Kobieta szlochała głośno, a przy niej i dzieci.

— A czegoż tam płaczecie? — mówił dalej stary Narożniak — przeżyłem lat dziewięćdziesiąt, a kiej się liczę z temi latkami mojemi, to mi wcale lekko na sercu... i na sumieniu. Tu, oj, tu! — wskazał na piersi i dłonią przycisnął. — Tu!... tu zachowałem skarb mój cały, skarb najdroższy!... Zobaczycie to po śmierci mojej... A pracowałem, pracowałem, póki sił stało, i nigdym ręki nie wyciągał po datek... Ho ho! nie napróżno byłem żołnierzem, i wiem co to jest honor... Przyszła godzina ostatnia... i stanę przed sądem Wszechmogącego Boga, czysty na sumieniu, i wierzę, że mnie Ojciec przenajświętszy do swojej wiecznej przyjmie chwały.

— Tatusiu, posilcie się, wej, trochę! — prosiła Janowa, siadając przy nim z miseczką w ręku. — Choć, aby kąsek!

Starzec przeżegnał się i połknął parę łyżek, a potem wyrzekł:

— Bóg ci zapłać, moja synowa! Już więcej polewki nie potrzebuję. Ot, poproście do mnie xiędza proboszcza, bo łaknę obrachunku z sumieniem swojem. Idź-że, Janku, idź!

Jan rękawem łzy otarł, zarzucił kaptur i do plebanii pospieszył.

Proboszcz do chorego niebawem się udał. Spowiedź dość długo potrwała. Nastąpiło ostatnie olejem świętym namaszczenie — a potem modlitwy.

Gdy kapłan z mieszkania wychodził, wyrzekł do zebranej rodziny:

— Otóż ten starzec prawdziwie po świętobliwemu umiéra. Dzieci, bierzcie wzór z niego.

Nazajutrz z rana, właśnie gdy na mszę świętą zadzwoniono raz pierwszy, stary Łukasz Narożniak Bogu ducha oddał.

Płacząca rodzina przyklękła w około i pomodliła się gorąco.

Gdy żal pierwszy minął, a starszy chłopiec, zanoszący się płaczem, pobiegł, by zadzwoniono zmarłemu — zaczęli Janowie radzić o pogrzebie, bo właśnie i grosika jednego w chacie nie było.

— A słuchaj-że no — ozwała się żona — a on skarb, co go to tatuś na piersiach nosili i zawsze wspominali o nim?

— Ej, coby to miał być za skarb! Skaplerz pewnie, świętości jakie, albo obrazek — odrzekł mąż — to jeno będzie pamiątka dla nas.

— No, ale zobacz przecie, Janku.

Jan przystąpił do łoża, przeżegnał się, zmówił krótki paciorek, pocałował nie ostygłą jeszcze rękę ojca, odchylił koszulę i wyciągnął worek skórzany, stary, zużyty, zawieszony u szyi nieboszczyka na spętanym sznurku. Założył znowu koszulę, przystąpił do okna, rozciągnął worek, i wyjął z niego pare arkuszy papieru złożonego, a był tak zżółkły, stary, przetarty, że ledwo w całości się trzymał. Na tych papierach były i pieczęcie jakieś, także już przytarte bardzo. Oboje, mąż i żona, przyglądali się tej puściźnie, ale nic zrozumieć nie mogli, lubo że Jan i pisane czytać umiał.

— A to, wej, zabierz to wszystko i xiędzu proboszczowi zanieś — mówiła Janowa — może on w tem co poradzi, bo przecież jest znający się bardzo. Jezu, mój Jezu! Matko najświętsza! — westchnęła kobieta, składając dłonie — żeby też ojczysko choć poczciwy miało pogrzeb! pracował całe życie, harał, a zawsze sprawiedliwie i z Bogiem!

Jan poszedł do proboszcza, opowiedział mu wszystko, i torebkę z papierami oddał.

— Umarł w Bogu i spocznie w Bogu! — wyrzekł kapłan — bo żywot jego był cnotliwy a śmierć, śmiercią sprawiedliwego. Wieczny jemu odpoczynek! — i zajął się przejrzeniem papierów: były to same świadectwa nieboszczyka służby

wojskowej — i jakież było zdziwienie kapłana, gdy z nich wyczytał, gdzie to ten stary wiarus wszędzie bywał.

Łukasz Narożniak urodził się we wsi Dąbsku, w Wielkiem księztwie Poznańskiem roku 1775. W roku 1806 wstąpił do wojska polskiego, do pułku 10go piechoty. W roku 1808 przeniesiony został do pułku 9go; w roku 1815, 2. czerwca umieszczono go w strzelcach pieszych gwardyi, a 15. września 1817 roku w pułku grenadyerów gwardyi. Odbył kampanie w latach 1807, 1808 i 1813 w Niemczech, w Hiszpanii, we Francyi i w Rosyi; znajdował się w bitwach pod Terewem, Gdańskiem, Talawera, Almanied, Okanią, Moskwą i przy oblężeniu Drezna, gdzie był rannym i wziętym w niewolę austryacką. W listopadzie 1817 roku został Łukasz Narożniak w Warszawie, przez ówczesną komisyę rządową wojny uwalnianym od dalszej służby wojskowej, a od tego czasu służył przez lat czterdzieści ośm bez przerwy aż do swojej ostatniej choroby we wsi S. za rataja.

Proboszcz przejrzawszy te wszystkie papiery, postanowił z największą uroczystością zwłoki nieboszczyka pochować, tak jak na to zasłużył stary polski wojak, który z szablą w dłoni taki obszar ziemi był obszedł i tak wzorowy zawsze wiódł żywot.

Dziedziczka wsi i pan M. z K., dowiedziawszy się o śmierci starego a zasłużonego żołnierza, pospieszyli z ofiarami ku podniesieniu obchodu pogrzebowego.

Cała zebrała się parafia, i przy odgłosie dzwonów, poniesiono zwłoki Łukasza Narożniaka na ostatni spoczynek. Niosła je młodzież, a który do niesienia ich docisnąć się nie mógł, ten przynajmniej rękę wyciągnął, by się dotknąć trumny, w której złożono szanowne szczątki sprawiedliwego człowieka i walecznego żołnierza. Bractwo świętego Michała ze światłem, bezpłatnie przewodniczyło pochodowi, jako też i wszystkie chorągwie z kościoła.

Po odprawionych modlitwach i spiewach kazał kapłan raz jeszcze wieko trumny podnieść i w te odezwał się słowa:

„Łukaszu! Nim twoje zwłoki tej świętej oddamy ziemi, pozwól nam raz jeszcze twoje oglądać oblicze, bo widzimy w tej chwili może po raz już ostatni polskiego żołnierza z wiel-

kiej armii Napoleońskiej. Twoja twarz wyschła, twoje ręce kościste i całe twoje wynędzniałe ciało są smutnym dowodem, żeś wiele cierpiał i wiele pracował na tem padole płaczu. Ciesz się przeto, że skończyła się już twoja męczeńska pielgrzymka.

W tym cichym grobie snu błogiego nie przerwą ci jęki padających ofiar na polu bitwy, świstanie kul i huk armat, jak to było pod Lipskiem. Tu ognista spieka afrykańskiego słońca już ci dokuczać nie będzie. Tu bałwany wzburzonego morza już ciebie straszyć nie będą. Tu już nie doznasz niewoli, nędzy i głodu. Ani mrozów moskiewskich, ni też klęsk Berezyny. I rany twoje już cię boleć nie będą. Spij więc, spij, aż do dnia zmartwychstania twojego i otrzymania korony niebieskiej za twoje cnoty chrześciańskie i waleczność!“

Po tych słowach zacnego kapłana w koło wszyscy przyklękli, pomodlili się — wieko trumny zapadło — i ręka każda się wzniosła, by nań garść ziemi rzucić.

Pokój popiołom sprawiedliwego i walecznego Polaka!

Siekierki 26. lutego 1865.

Paulina z L. Wilkońska.

Spuścizna po naczelniku.

W Krakowie, hej w starym królów polskich grodzie
Gwar słychać i radość panuje w narodzie.

Dzwon bije radośnie jak na mszę w niedzielę,
Lud strojnie przybrany jak w wielkie wesele.

W Krakowie, hej w starym, przed Maryi kościołem
Pan naczelnik z narodem przysięga pospołem:

— Tak nam Boże dopomóż, męką syna twego,
Że ojczyznę wyzwolim z licha wszelakiego!

Nad starym Krakowem, słoneczko przygrzewa,
Pan Kościuszko tak naród do miłości wzywa:

— Miłujcie się wzajem jednej ziemi stany,
Miłujcie się kmiecie z mieszczany i pany!...

Czarne chmury wiszą nad polskiemi łany,
Upadł pan Kościuszko z bolesnemi rany.

Choć upadł i krwią się aż cały zalewa,
Jednak naród polski do miłości wzywa.

Cała polska ziemia płakała w niedoli,
Zaś jej pan naczelnik wzięty do niewoli

Choć jęczy boleśnie gdzieś w moskiewskim grodzie,
Głos swój szle do Polski: Miłuj się narodzie!

Hej! nad polską ziemią kruk kracze i kracze
Kościuszko gdzieś wiedzie swe życie tułacze.

Choć w ciągłej tęsknicy w obczyźnie przebywa,
Z tamtąd naród polski do miłości wzywa.

Smutek między ludem, i serce w żałobie,
Kościuszko już leży w cichym, zimnym grobie.

Choć w grobie, lecz dusza jego w niebie świeci,
A głos słychać ciągle, jak przez Polskę leci:

— Miłujcie się wzajem jednej ziemi stany,
Miłujcie się kmiecie z mieszczany i pany.

Wincenty z Podkamienia.

Ciury Bolesława Chrobrego.

Kiedy dziś kto niezdara i niegłaźny, to go ludzie przezywają **ciura**! Aleć za dawnych czasów, to jeden **ciura** polski stał za stu zamorskich zuchów, jak wam tu tego przykład opowiem.

Siedemset lat z okładem przetrwała Polska po śmierci Bolesława Chrobrego, a nie doczekać się jej już było takiego drugiego króla. Mieliśmy potem jeszcze wielu dzielnych w boju, a rządnych w domu panów, ale żaden przecież nie potrafił tak dzielnie gromić wrogów naszej ojczyzny, tyle krajów do niej przyłączyć, tyle bitew wygrać co ten król sławny Bolesław Chrobry.

Ależ bo i dzielny był wtedy naród. Nie jeden z nas musiałby się powstydzić przed ciurą Bolesława Chrobrego! A przecież ciura nie był to żaden rycerz, ale ot taki pachołek, co podczas wojny szedł za swym panem, by pilnować jego pakunki, a przy tem mu i usłużyć.

Broni nie miał nieraz i całe swe życie w ręce, a bił się przecież tak chwacko, że i wierzyć temu trudno. Aleć to prawda święta, jak Bóg na niebie, bo to spisali mądrzy ludzie, co wtenczas żyli, a kłamać nie umieli.

O tych więc ciurach taką mamy gadkę:

Bolesław Chrobry, co to jak zwykle miejsca długo nie zasiedział, wybrał się na wojnę na Rusinów. Ale traf tak zarządził, że i książęciu ruskiemu zachciało się Polskę zobaczyć i nuż z swem wojskiem w kraj Bolesława Chrobrego. Przeszli więc obaj rzekę, co była granicą między ruskim a polskim krajem nie wiedząc jeden o drugim, Bolesław szedł na ruski kraj a tożsamo i ruski książe na Polskę. Dopiero gdy się nad brzegiem rzeki obozem rozłożyli, poznali obaj jak się rzeczy mają. Wtedy rzekł książe na Bolesława:

— Niech wie ten zwierz, że mnie już nie umknie, bom go memi psami otoczył.

Na to nasz Bolesław mając w Bogu nadzieję, tak mu prawi:

— Zwierz jestem, jak mówisz, bo w krwi twych żołnierzy i wodzów stąpać będę!

Ale nie dosyć na tej odpowiedzi. Bolesław postanowił na trzeci dzień pokazać mu szablą, co to są Polacy a tymczasem kazał nazajutrz sutą ucztę wyprawić. Na ten rozkaz rzucili się ciury, by na ucztę nagotować zwierzynę i inne przybory kuchenne. A gdy już tego wszystkiego pod dostatkiem mieli, poszli nad rzekę by tam naczynia i jadło wypłukać i wody nanosić dla wojaków.

Aleć Rusini nie dali im spokoju. Zaczęli ich drażnić, na nich przeróżne obelgi miotać a wreszcie i strzały puszczać. Tego już było za dużo ciurom. Położyli co mieli w rękach w porządku na boku, a sami poszli do obozu, gdzie żołnierze polscy trochę drzemali, a wziąwszy po cichutku ich broń dalej na wroga przez rzekę!

Ruskie wojsko nie przygotowane na taki śmiały napad nie mogło uporządkować się prędko i w nogi, a ciury na nich, tak siekli i kłuli, że cały obóz krwią był zalany. Tym krzykiem dopiero zostali żołnierze polscy przebudzeni i co tchu stało, pobiegli swoim na pomoc. Co tu się teraz dopiero działo mocny Boże! Na kilka mil ani słychu potem o wrogach.

Cóż powiadać o starodawnych wojakach polskich, kiedyć nawet ciury były takie chwaty!...

Bartek Szkolarz.

Historya o niedobrym synie.

(Dokończenie.)

Teraz dopiero poczęła Franka gospodarować po swojemu. Nasamprzód wyprawiła starego Marcina do izby służebnej a swoją poczęła przystrajać z pańska. U okien porozwieszała jakieś szmatki, ale za to okien nie myła jak to bywało dawniej, łóżka stoły posprowadzała modniejsze, obrazy Świętych powyrzucała a porozwieszala jakieś malowane osoby, które ze sobą z dworu przyniosła. Przystawał Florek na wszystko, bo i jemu się pańskie obyczaje podobały. Do roboty Florka była za delikatna a i mało co umiała, a gdy się raz zabrała do pieczenia chleba, to taki jej się udał, żebyś nim kamienie porozbijał. Kiedy drugie wracały już z pola do domu na południe, to Franka jeszcze dobrze się wyciągała na pierzynach, a kiedy słoneczko stanęło nad głowami, to jej znowu upał przeszkadzał. Florek dobrze jej we wszystkiem pomagał. Przydali się jedno do drugiego. Tylko stary rozciągał więcej swoje stare kości niż przedtem, bo przybyło do chaty więcej gęb do jadła a mniej rąk do pracy. Upominał i zachęcał stary Marcin jak mógł do pracy, ale to pomogło tyle co groch o ścianę rzucać. W rok jakoś przybyło dziecko, wnuk Marcinowi. Pomyślal Marcin, może teraz zabierze się Franka do roboty, bo ma na kogo pracować, ale gdzietam! czem garnek za młodu nakipi, tem trąci na starość. Stało się jednego wieczora, kiedy to Marcin naładowawszy wóz snopami sam powoził, co mu siły stało, bo za-

bierało się na deszcz, więc trzeba było co suche pochwycić z pola, kiedy przejeżdżał grobelkę nad stawem, a było już dobrze ciemno, przewrócił się wóz i przygniótł starego Marcina tak nieszczęśliwie, że mu coś w krzyżach pękło. Litościwi ludzie wracając także z pola, podnieśli wóz i przywieźli do zagrody na nim starego Marcina na pół żywego. Wylizał się trochę Marcin ale mu już odtąd nie pracować w polu. Słudzy robili jak chcieli, boć nie było ich komu doglądać. Poczęło wszystko upadać. Niedostatek zajrzał do zagrody i ani rusz komu go wygnać, bo Florek zamiast się wziąć do pracy, rozpił się i zaczął przewodzić nad starym ojcem niedołęgą, wymawiał mu każdą łyżkę lichej strawy, niepomny na nic, ba nawet na to, że i to, co sam jadł, było pracą ojca jego. Zbywali pomału to to, to owo z dobytku, by choć głód odpędzić. Tak poszła jedna krówka za drugą, a gdy i tych nie stało, wyprowadził Florek jednego konia na jarmark.

VI.

Palec Boży na Marcina.

Ojciec syna swego o kęs chleba prosi,
A tu syn na ojca rękę swą podnosi,
Oj synu, ty synu, choćby całe morze,
W gorącem piekle już ci nic pomoże!

Nadeszła wiosna, trzeba było wyjść z pługiem na pole, a tu nie ma co przyprządz. Męczył się Florek sam z jednym koniem ale jakoś robota nie szła, bo sług już nie było, a stary Marcin w swojem kalectwie ledwie że nogami pląta i Boga prosi rychło go już też do siebie powoła. Franka narzeka i przeklina Florka na czem świat stoi, że ją z dobrego bytu na taką nędzę sprowadził, Florek zaś przeklina Frankę, że mu i w dom nic nie wniosła i do pracy nie zdała. A i Marcinowi nie pofolgowali, wyklinali jego starości i kalectwu, ba nawet ujmowali mu coraz strawy, by go zmusić do tego, aby przywdziawszy torbę szedł błagać litości u swoich sąsiadów. Ciężko mu znosić takie obchodzenie się z nim syna, ale ciężej jeszcze wyciągać na starość rękę, boć już nie długo mu życia na tym Bożym świecie.

Pewnego dnia, gdy Florek wrócił z pola, a Franka nuż nad głową terkotać, że musi tak ciężko pracować i niedołęgów żywić, a przecież to nie wielka praca byłaby dla starego Marcina, żeby usiadł gdzie przy drodze pod figurą i żebrał a jakoś by mu tam ludzie z głodu nie dali zaginąć, począł Florek gwałtem nastawać na ojca, by już raz wyniósł się z jego chaty, bo go już dłużej niewyżywić, a do śmierci mu może jeszcze daleko, a stary Marcin nuż się prosić przed synem by mu pozwolił choć umrzeć we własnej chacie, by miał litość nad starym ojcem i nie dał go na pośmiewisko ludzkie, by taki gospodarz jak on, nie wycierał na starość cudze kąty i skonał gdzie pod cudzym płotem, i byłby się może wyprosił u syna, gdyby nie Franka rozsierdzona powolnością Florka, poczęła wśród przekleństw zabierać się, i porzucać Florka i całe jego gospodarstwo, jeżeli jeszcze dłużej zatrzyma ojca.

Florek jak zwykle zły syn, któremu byle co posłuży, by swój zły zamiar wykonać nuż wykrzykiwać na ojca, by już raz ruszał z domu boć Franka potrzebniejsza niż taki stary niezdara, a kiedy Marcin zalewając się łzami gorzko płakał i z miejsca się nie ruszał, pochwycił rozsierdzony Florek Marcina za siwe włosy i począł go wlec po ziemi, by go z chaty wyrzucić i tak przywlókł go już do proga, kiedy to stary Marcin, zebrawszy ostatki sił zawołał strasznym głosem:

— Stań, synu mój, stań, spełniłeś już wyrok Boga na ojcu twoim!

Zadrzał Florek i puścił z rąk starca, stanął jak słup, głos ojca przeniknął go na wskróś i przeszedł mu mrowiem po kościach a Marcin stary kończył coraz już słabszym głosem:

— Dotąd, ach dotąd, do tego samego proga wlókłem i ja niegdyś ojca mego za włosy. Spełniłeś karę boską na mnie, niech ci Bóg tego nie pamięta, bo sprawiedliwa jest kara moja!

Zaniemiał Florek, aż kiedy ztrwożony chwyta się do ojca, by go na rękach nazad wnieść do chaty i pielęgnować aż do śmierci, zimne już było ciało Marcina, snać Bóg w odwiecznej swej sprawiedliwości dozwolił Marcinowi odpokutować na tej ziemi swą wielką winę, aby go na drugim świecie daleko

cięźej nie karać, boć wielka tam musi być kara dla syna za znieważenie ojca.

Żal wielki scisnął Florka za serce, wniósł z uszanowaniem trupa ojca do chaty, złożył przyzwoicie na katafalku i nie troszczył się więcej o Frankę i jej narzekanie. Pogrzeb odbył się przyzwoity a Florek tak płakał żałośnie nad grobem a tak się modlił gorąco za duszę Marcina, że się wszyscy jemu dziwili.

VII.

Kara Boża na Franka.

Wrócił nareszcie Florek do chaty swojej, aleć nie wysiedzieć mu już w niej więcej, głos ojca ze wszystkich ścigał go kątów, a włosy siwe ojca wciąż widział porozrzucane po ziemi, a kiedy się po nie schylił to znikały a kiedy się podniósł, znowu je widział a w wichrze, co zaszumiał gruszą przed oknem i w poświście komina wciąż słyszał głos ojca konającego. Już dłużej nie wytrzymać Florkowi i Franka mu nic nie pomogła, nie szukał jednak Florek pociechy w Bogu ale w gorzałce, sprzedawał ostatnie, by tylko zalać głowę i nie wiedzieć o Bożym świecie. Franka mu obmierzła, począł ją teraz bić i wyganiać, a nie długo to trwało, boć Franka zmiarkowała, żeć niezadługo nie będzie nic w chacie ani w oborze, a kiedy już ostatki poszły na wódkę, zabrała się, kiedy to Franek spał pijany jak zabity, i poszła het gdzieś do wielkiego miasta. I Florek nie długo popasał po ucieczce Franki w swej chałupie.

Dziecko wzięli miłosierni ludzie za swoje, chatę i stodoły sprzedał za co kto dał, a sam spakował torbę, taj na plecy wojackim sposobem i nuż dalej za Franką do dużego miasta, boć wstyd mu było pójść w służbę w tej samej wsi, gdzie był gospodarzem. Jak długo miał pieniądze to jeszcze pół biedy w dużem mieście powodziło się Florkowi. Znaleźli się i dawni kamraci, co z nim razem przy ułanach służyli, a teraz nie najlepszem się rzemiosłem trudnili, okpiewali, kto się dał, nic nie robili a ciągle od szynku do szynku się włóczyli. Podobało się takie życie Florkowi, lecz nie długo to tak było.

Pieniędzy brakło a tu żaden kamrat nie pomoże, bo żaden nic nie ma, a tu jeść co dnia potrzeba. Szukał więc Florek służby, a że to dla lekkoducha zawsze u żyda służba najlepsza, bo to i robić nie tak wiele, a gdy ci żyd co powie, to ty mu zaraz odpowiesz a nabierze cię z góry, to go jeszcze lepiej to też i Florek został żydowskim furmanem, takim co to na każde zawołanie pana swego odpowiada „zaraz, zaraz“ a z miejsca się nie rusza. Lecz i tu długo nie popasał, boć i żyd pijaka nie ścierpi, poszedł do drugiego i do trzeciego, ale nigdzie miejsca nie zagrzał długo, bo obok pijatyki okradał i oszukiwał swoich panów, a żyd nie da się długo oszukiwać i napędzi ze służby.

Sprzykrzyła się nareszcie Florkowi taka poniewierka po żydowskich kątach, jak sam nieraz mawiał, a poradziwszy się kamratów jakby to dalej żyć w dużem mieście bez służby, przyjął ich spółkę i odtąd walęsał się z nimi tak długo aż dopóki razem ze swymi kamratami nie dostał się za odbijanie drzwi sklepowych do kryminału. Tak przebrany w mundur aresztancki Florek z kajdankami na nogach, rozbijał kamienie i brukował miasto a przeklinał godzinę w której się urodził, bo to nie żart jeść sałamachę a pracować jak koń kiedy to się pierwej i dobrze jadło i od pracy odwykło.

A France także nie najlepiej poszło, bo kiedyż i gdzie leniuchowi było dobrze. Nie chciała bawić swego własnego dziecka, wynajęła się z potrzeby za niańkę żydowską, ale i to jej się sprzykrzyło, puściła się na lekki chleb, aleć nie długo go jadła, gdyż straciła zdrowie prędko, a że to takich włóczęgów nie cierpią nigdzie to też i Frankę, że była bez służby odsyłali kilka razy przymusem na miejsce jej urodzenia, a że zawsze nazad wracała, zamknęli ją też do kryminału na poprawę, gdzie pewnego dnia kiedy wychodzili aresztanci i aresztantki na robotę zeszli się naraz w podwórzu Franka z Florkiem, poznali się i nuż sobie wymawiać, i przeklinać za swoją dolę tak dalece, że nim się wartowniki postrzegli, leżała Franka na ziemi z rozwaloną głową, tak jej dogodził Florek łopatą żelazną z którą szedł zgartywać błoto na gościńcu. W kilka tygodni umarła Franka i pochowali ją na uboczy cmentarza grodeckiego pomiędzy innemi aresztantkami i wetknęli na jej gro-

bie pręcik z wierzby. Tyle pamiątki po Francę. Florka zaś powtórnie oddali pod sąd i za zabójstwo i niepoprawę skazano na ciężkie więzienie aż do śmierci.

Tak to Bóg karze wszystkich już na tej ziemi, którzy rodziców swych znieważają i nie uszanują czwartego przykazania Bożego, które opiewa:

„Szanuj ojca i matkę abyś długo żył i aby ci się dobrze powodziło na ziemi.“

L. S.

O prochu do strzelania,

co opowiadał gajowy Szymon.

Gajowy Szymon wracał sobie wieczorem z lasu i spotkał po drodze Grzegorzowego Marcinka. Marcinek był bardzo ciekawy chłopak i wszystko chciałby był wiedzieć na wylot. To też co jeno zobaczył, zaraz się wypytywał ludzi dokumentnie, i dobrze sobie pamiętał. Kiedy tak Marcinek szedł z Szymonem, zapytał go:

— Panie Szymonie a zabiliście dziś jaką zwierzynę? Szymon pokazał mu kilka kuropatw i przepiórek i mówi:

— Ot kilka ptaszków niosę, będzie z nich pieczenia na niedzielę. Ale dobrze, żem sobie przypomniał. Trzeba znowu nabić fuzyę, bo oto widzisz, jak nad Walkowem podwórzem krąży jastrząb, uwziął się szelma na kury i jedną po drugiej morduje.

To powiedziawszy Szymon stanął, wyciągnął z torby rożek z prochem, wysypał trochę na dłoń i począł nabijać fuzyę.

— Dziwo to dziwo! — mówi Marcinek — ten proch! taki czarny drobniutki maczek, a patrzcie, jak go wystrzelić, to z taką okrutną siłą niesie śrót i kule! Zkąd też się wziął ten proch na świecie?

— To ty nie wiesz Marcinku, co to jest proch? — pyta Szymon.

— No jużci, że wiem, co to jest, ale żeby mnie kto zapytał, kto go to robi i z czego, tobym i gęby nie umiał otwo-

rzyć — mówi Marcinek. — A już to najbardziej mi dziwno, komu to na myśl przyszło, taki maczek robić. To musi być jakiś djabelski wynalazek!

Gajowy Szymon się zaśmiał i mówi:

— Ot pleciesz Marcinku, tać to niczyj inny jeno ludzki rozum wymyślił proch do strzelania.

— A dawno ten proch nastał na świecie? — zapytał Marcinek:

— Ja ci to zaraz powiem — mówi Szymon — Dawnemi bardzo czasy ludzie nie wiedzieli nic o prochu i dopiero temu lat 500 jak proch wynaleźli.

— A jakże ludzie strzelali wtenczas na wojnie lub na polowaniu? — pyta Marcinek.

— Kiedy jeszcze ludzie prochu nie znali — mówi Szymon — to strzelali do siebie z łuków. Łuki te podobne były do tych, co sobie dzieci robią z kawałka obręcza i sznurka. Otóż takiemi łukami strzelali dawniej ludzie do siebie, jeno że obręcz był ze stali i strzała to samo. Zaś na wojnie strzelano także do siebie ogromnemi kamieniami, a to także tym sposobem, że z naciągniętych sznurów na deskach rzucano daleko kamienie na siebie. I tak to było dopóty, aż proch wynaleziono.

— A któż to ten proch wynalazł? — pyta Mancinek.

— Lat temu 500, kiedy żył w pewnem mieście niemieckiem zakonnik, Franciszkanin, a nazywał się Bertold Szwarc. Ten zakonnik dziwnym trafunkiem proch wynalazł. Był to uczony człowiek i lubił sobie rozmaite sztuki przyrządzać i ciągle sobie jakby w aptece siedział nad rozmaitemi proszkami i płynami, mieszał to sobie w rozmaity sposób i patrzył, co z tego będzie. Otóż raz, widzisz, nasypał on do garnka potłuczony węgiel, siarkę i saletrę i pomieszał to razem, a potem wziął się do czegoś innego, a garnek ten przyłożył kamieniem. Otóż kiedy ten Szwarc sobie coś dalej fabrykował koło ognia, iskra mała wpadła naraz do garnka, bo go dobrze nie był przykrył. Kiedy ta iskra wpadła w ten garnek, to jak nie huknie coś w garnku jak grzmot! garnek pękł w czerepy a kamień poleciał w górę! Okrutnie się biedny zakonnik przestraszył, bo sobie nie umiał wytłumaczyć, co by to znaczyć

mogło! Aż kiedy po trosze się opamiętał i począł sobie przemyśliwać, przypomniał sobie, że do garnka nasypał był potłuczoną siarkę, saletrę i węgiel. Natłukł więc znowu tego wszystkiego a jak to zapalił, znowu taki był huk straszny.

— Jakto? — zawołał Marcinek — to proch do strzelania robi się z węgla, saletry i siarki?

— A tak Marcinku — odpowiedział gajowy — z tego go dziś fabrykują.

— A toć to nie taka wielka sztuka narobić prochu, kiedy to tak łatwo! Toć już i jabym teraz potrafił! Jeno mi dziw Marcinie, że wy sobie sami nie robicie prochu, tak jak ten zakonnik Szwarc, tylko go kupujecie w mieście?

— Oho, chłopcze! nie tak to łatwo! — prawi gajowy — aby zrobić dobry proch do strzelania, trzeba na to znać wiele sztuczek i sekretów, potrzeba przeróżnych maszyn, naczyń, narzędzi i innych ciekawości. Do robienia prochu są osobne fabryki, gdzie mnóstwo robotników i uczonych panów krząta się koło tego.

— Ciekaw jestem teraz — mówi Marcinek — jak też potem ludzie fuzye wynaleźli?

— Kiedy już nauczyli się robić proch — rzecze na to Szymon — wtedy myśleli nad tem, jakby tu tego prochu użyć na wojnie. Więc też robili najpierw żelazne rury, w tę rurę proch i kamyki pakowali a potem podpalali gnotem i tak strzelali. Ale to na nic się nie zdało. Więc zaczęli myśleć dalej, i dodali do tej rury czyli lufy żelaznej łoże z drzewa, aby można było dobrze przyłożyć fuzyę przy strzelaniu, a zamiast zapalać proch gnotem, zrobili taki zamek z krzemieniem, czyli skałką, co zapadał na kawałek stali, krzesał iskry i proch podpalał na panewce. Zaś w niedawnych czasach to już i skałki odrzucili i natomiast wymyśleli takie naparsteczki maluczkie, co jak na nie spadnie kurek, zaraz zapalają proch w fuzyi. Te naparsteczki nazywają się k a b z l e albo p i s t o n y.

— A k a n o n a co to znaczy? — zapytał Marcinek.

— A tobie się zkąd wzięła k a n o n a? — rzecze na to — gdzieś ty to słowo słyszał?

— Ano Tomek urlopnik, co teraz powrócił z wojska, tak mi o tem prawił! — mówi Marcinek.

— A bodaj go z jego **k a n o n ą**! — prawi Szymon — tak to sobie nasi chłopcy w świecie język szkaradzą! **K a n o n a** nie jest żadne słowo polskie, jeno z kiepska niemieckie. Po naszemu to się nazywa **d z i a ł o**, alboć już w najgorszym razie **a r m a t a**. Toć przecież znasz tę spiewkę:

Wszak to **d z i a ł a** nie dziwo,	Jenerale to chwaty
Dyć to jadą krakusy,	Od lewego tam skrzydła,
Hej za lancy co żywo	Wiodą cztery **a r m a t y**
Dalej naprzód wiarusy!	I Moskali jak bydła!

Hej, hej! był ja tam, gdzie się to działo, o czem ta spiewka mówi! Było to pod Stoczkiem! gdzieśmy tęgo potuzali Moskalów pod panem jenerałem Dwernickim. Panie świeć nad jego duszą!

Tu stary gajowy zdjął kapelusz i zamyślał się czegoś, a w oczach mu coś tak błysło, jakby łza! Żal było staremu dawnych czasów!...

— Pytasz mnie chłopcze — mówił po chwili Szymon gajowy — jak działa robili. Oto widzisz potrzeba było ludziom do wojny takich wielkich fuzyj, aby niemi setki ludu zmiatać było można i mury, fortecy i wały rozwalać! I wtedy poczęli lać takie okrutne rury z żelaza i strzelali z nich ogromnemi kulami. Teraz już armaty umią robić doskonale, i walą z nich kulami, takiemi jak twoja głowa, a nawet większemi. A kula taka armatnia leci daleko, daleko, choćby i pół mili nieraz!

— Mój Boże! — mówi Marcinek — jak to ludzie sami na siebie powymyślali rozmaite sposoby na zabójstwa!

— Ha cóż robić — prawi Szymon — kiedy między ludźmi są źli i przewrotni, kiedy jeden naród od drugiego doznaje napaści, kiedy sobie Pana Boga za nic nie ważą, to nie może być inaczej. Za ogień ogień, za żelazo żelazo, za kulę kulę — tak to bywa między ludami na wojnie! Daj Boże aby nie było krzywdy i bitki na świecie! Ale jak na naród jaki wróg dybie to nie ma nieraz innego lekarstwa....

— Szymonie! Szymonie, a owo patrzcie jastrząb nad nami!

— Paf! — strzelił z fuzyi Szymon a jastrząb spadł nieżywy na ziemię.

Wojtek ze Smolnicy.

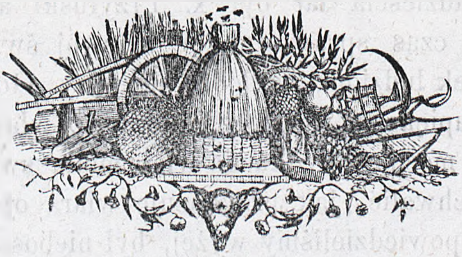
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 9.

21. marca 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Xiądz Leon Przyłuski,

arcybiskup poznański i gnieźnieński.

Ciężko dotknął Pan Bóg naszych braci w poznańskiej krainie! Zmarł im dnia 12 marca tego roku ich arcypasterz ukochany Xiądz Leon Przyłuski. Tam gdzie była kolebka naszego narodu polskiego, gdzie to w pobliżu żył praojciec naszych królów polskich, kmieć Piast, w Gnieznie i Poznaniu, był zmarły ten xiądz Przyłuski arcybiskupem.

Wielce zacny i bogobojny był to mąż, gorliwy sługa Boży, dbały o dobro dusz powierzonych sobie, a przytem Polak serdeczny, co miłował swą ojczyznę nad wszystko na świecie. Dla tego też my wam o nim podajemy wiadomość w Dzwonku, abyście sobie spamiętali imię tego polskiego pasterza, co tak kochał naród polski i jego ziemię!...

Xiądz Leon Przyłuski urodził się w r. 1789, dożył więc 79 lat żywota. W roku 1814 został xiędzem i miał pierwszą mszę świętą, a poźniej dla swej wielkiej zacności i pobożności prędko został dziekanem, potem prałatem a po śmierci xiędza

arcybiskupa Dunina, co to po nim może niejeden z was ma książkę od nabożeństwa, arcybiskupem gnieźnieńskim i poznańskim.

Przez dwadzieścia lat był x. Przyłuski arcybiskupem a przez ten cały czas sprawował urząd swój święty na chwałę Bogu, na pożytek ludziom, na dobro ojczyzny. Gdzie tylko mógł, budował albo upiększał kościoły, nieraz z własnego grosza, i starał się o to mocno, aby każda wieś miała swego proboszcza i mogła Boga chwalić, jak przykazuje wiara ojców naszych.

A jak już powiedzieliśmy wyżej, był nieboszczyk Polakiem, jakich mało i jak tylko mógł, zawsze na dobro narodu polskiego działał. Nietylko on modły do Boga za nas biednych Polaków i naszą ojczyznę urządzał, ale i wszędzie za swym krajem się wstawiał, czy to w Rzymie u Ojca świętego, czy to u króla pruskiego, pod którego panowaniem jest Poznań i Gniezno — a śmiało i prosto z serca upominał się o prawa nasze polskie. Pan Bóg Najwyższy, którego był wiernym sługą i kapłanem policzy mu to w niebie, a my westchnijmy za nim do tronu Przedwiecznego, jako za pobożnym i serdecznym pasterzem polskim!...

Wszyscy go też poważali i kochali bardzo, a Ojciec święty miłował go jak syna. Zmarły arcybiskup dwa razy jeździł do Rzymu, a Ojciec święty oba razy przyjmował go mile i łaskawie. Raz był w r. 1857, kiedy to ogłoszono Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panienki, drugi raz w r. 1862, kiedy nowych męczenników w poczet świętych przyjmowano. Papież zrobił go hrabią rzymskim i dał mu dostojeństwo przy swym tronie a właśnie dopiero co miesiąc temu, kiedy mu Ojciec święty przysłał w podarunku tę samą gromnicę, którą sam niósł w rękach na procesji Najśw. Marji Gromnicznej w Rzymie.

Jeździł także nieboszczyk arcybiskup Przyłuski do Węgier, gdzie zawoził w roku 1855 z wielką uroczystością relikwię, to jest trochę szczątków św. Wojciecha, o co go kapłani węgierscy i ich arcybiskup mocno upraszali.

Jeszcze przed dwoma tygodniami był xiądz arcybiskup zdrów całkiem, a gdy nagle na gorączkę zachorzał i lekarze powiedzieli, że życie jego jest w wielkiem niebezpieczeństwie, zażądał zaraz sakramentów świętych i z wielkiem nabożeństwem

je przyjął. W parę godzin poźniej stracił przytomność. Śmierć miał nie ciężką, konanie krótko trwało.

Jeszcze przed śmiercią dawali znać z Poznania do Rzymu do Ojca świętego przez telegraf, że arcybiskup ciężko chory. Ojciec święty zaraz z wielkim żalem odpisał także telegrafem i przysłał mu swoje błogosławieństwo, ale już xiądz Przyłuski nie żył.

Gdy dzwony poznańskie żałobnie zadzwoniły, lud ogromnie żałował swego pasterza i smutek był w całem mieście — a teraz całe Poznańskie jak gdyby osierociało!

Poszlijmy i my westchnienia nabożne do Nieba za xiędzem Przyłuskim!

Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie a światłość wiekuista niech mu świeci! Amen.

Pieśń poranna.

(Na nutę pieśni nabożnej: „Dobra noc Jezu kochany i t. d.“)

Z Twojej łaski wieczny Boże
Dzis rano my wstali,
Byśmy wszyscy jak kto może
Cześć tobie oddali,
Cześć i chwałę Stwórcy swemu
Jako panu najlepszemu
Ze serca.

Tyś nas stworzył, byśmy Ciebie
Dzień i noc chwalili,
Byśmy jako święci w niebie
Byli Tobie mili,
Przyjmże nasze modły, pienia,
Nasze serca i westchnienia
Łaskawie.

Ileż braci zeszłej nocy
Zdrowymi zasnęli,
Dziś już zmarli z Twojej mocy,
Przed sądem stanęli!
Nam zaś jeszcze życie dałeś
I swą łaskę na nas zlałeś
Niegodziwych.

Uznajemy dar ten miły
Z ręki Twojej dany,
I wołamy z całej siły:
Boże nasz kochany!
Daj nam życie długotrwałe,
Lecz niech będzie święte całe
Bez grzechu.

Daj nam zdrowia, ulecz rany,
Wszystkich naszych braci.
Niechaj lud Twój tak stroskany
Wiary swej nie traci
Daj nam Boże lepszą dolę,
Zagój nasze gorzkie bole
Na zawsze.

Pobłogosław naszej ziemi
Aby nas żywiła,
Otocz ją darami swemi
By szczęśliwą była!
Niech się na niej nikt nie smuci
Nikt nie płacze i nie kłóci
Dla nędzy.

Jeśli Boże! z Twych wyroków
Trafi śmierć którego,
Zeszlij anioła z obłoków,
By strzegł duszy jego!
By żalem zmazał swe winy,
Wszedł do niebieskiej krainy
Na wieki. Amen.

Jan z Zabratówki.

Zbrodnia odkryta,

czyli:

Prawda zawsze na wierzch wychodzi.

Sieniowce, wieś to sobie setnie piękna, gospodarna i zamożna. W niej ludzie rozpowiadają historyę, która nie bardzo dawnemi czasy się stała, a była taka:

Żył sobie tamże pewien kmieć, nazwiskiem Grzegorz Palik. Miał chałupinę nie maleńką i spory kawał pola ornego, przed

chatą ryczała krowa co wieczora, gdy powróciła z łąki, słowem bieda nie zaglądała mu w oczy. Pan Bóg pobłogosławił mu i na zdrowiu i na dobytku, dał mu nawet żonę młodą, ot jak to mówią ludzie, szczęście samo się uśmiechało do niego, że nie potrzebował tylko robić i Boga chwalić. Ale czy myślicie, że nasz Grzegorz przestawał na tem? Gdzietam. On ciągle pragnął coraz więcej posiadać i nigdy się nie mógł zaspokoić. Ba prawda, że każdy niemal człowiek pragnie czegoś więcej nad to, co ma, stara się za Boską pomocą osiągnąć i myśli sobie: ano niech to dzieciom moim służy, — ale ów Grzegorz nie zważał na nic i wszelkiemi niegodziwemi sposobami przysparzał sobie majątku. Bywało nadejdzie święta niedziela. Dzwonek odzywa się z kościoła; ludzie spieszą świątecznie przybrani do świętego miejsca, aby pokłonić się Panu Bogu i wysłuchać służby Bożej i nauki plebana; a Grzegorz jedzie do miasta albo medytuje w domu nad marnemi rzeczami, do kościoła ani zajrzy, a jak zajrzy, to czem prędzej ucieka. No, popatrzcie się moi kochani, u niego pieniądz pierwszy był niż Pan Bóg, majątek lepszy niż uczciwość i spokojne sumienie, snać zapomniał całkiem, że to rzeczy są nikłe, że je po śmierci ze sobą do ziemi nie zabierze a za życia jeszcze i złodziej ukraść i woda zabrać i ogień spalić może.

K o g o B ó g c h c e u k a r a ć, t e m u r o z u m o d e j m i e. To przysłowie sprawdziło się na naszym Grzegorzu. Zapomniał się bowiem nareszcie tak, że nie lękał się i strasznego występku dopuścić dla marności świata.

Śnieg się bielił na dworze, gwiazdy iskrzyły się na niebie a miesiączek świecił jasno nad chatkami, gdy Grzegorz skradał się zaułkami, a widocznie jakieś nieczyste miał zamiary. Boć i na twarzy widać było jakieś pomięszanie i niepokój, i z oczów źle mu patrzyło.

Na końcu wioski stała samotna chatka, koło niej przystanął Grzegorz a oglądnąwszy się na około mocno zakołatał. W chatce na łóżku leżał stary Błażej. Siedemdziesiąt razy witał on zieloną wiosenkę, a włos jego jak mleko biały. Sam zamieszkiwał chałupę. Od trzech lat spoczywała żona jego w ziemi, a syna jedynaka zabrano dawno w rekruty. Błażej

ciągle tęsknił za synem, rad chciał jeszcze przed śmiercią go oglądać, oczekiwał go i pracował dla niego. Ludzie mówili, że uciułał znaczny worek pieniędzy i chował na gospodarstwo dla syna, jak powróci z wojaczki. Skoro usłyszał kołatanie wstał starowina z posłania, otworzył drzwi i wielce się zdziwił na widok Grzegorza.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! coć się wam stało, że tak późną nocą przychodzicie?

— Ot potrzeba, potrzeba, ojcze Błażeju zmusza mię wstąpić do chaty! — odpowiedział Grzgorz nie pochwaliwszy nawet imię Pańskie.

— Czy wam co brakuje, czy żona może zaniemogła? — pyta Błażej, patrząc się na zarzące się jak iskry oczy Grzegorza.

— Żona zdrowa — prawi Grzegorz — ale brakuje nam pieniędzy na gospodarstwo, dalibyście też na zapomogę ten worek, co go to chowacie nie wiedzieć na jaki czas.

— Nie żartowalibyście Grzegorzu — odpowiada Błażej — zebrałem Bogu dzięki nieco grosiwa, ale to nie moje, to wszystko syna.

— Bóg wie, kiedy wasz syn powróci, może dobrze je surową ziemię; zresztą musicie mi dać wszystko co macie.

— Nie dam — woła Błażej — nie chcę syna mego robić żebrakiem.

— Ha, kiedy nie dacie, to sam wezmę! — odburknął Grzegorz i rzucił starowiną o ziemię.

Zrobiło się cicho. Przez okienko zaglądnął miesiąc srebrzysty i oświecił wnętrze chatki. Grzegorz zaczął gospodarować po skrzyni.

— Czekaj rabusiu — zawołał w tem podnoszący się z ziemi starowina — nie ujdzie cię kara Boża za to. Nie ma tu nikogo, ale ten miesiąc, co tak jasno świeci, on cię widzi, on cię sam wyda!

Zaśmiał się Grzegorz przy tych słowach, trącił jeszcze silniej Błażeja, który bez ducha już padł na ziemię bo choremu starowinie nie wiele już do śmierci brakowało. Grzegorz długo potem gospodarzył po chacie.

Nazajutrz rano cała wieś mówiła o zrabowaniu i zabiciu starego Błażeja, ale nikt nie wiedział, kto to zrobił. Po nie-

jakim czasie i słych o tym wypadku zaginął. Ale czy myślicie, że na wieki ukryło się to okrutne występstwo. O, nie! Bóg, sprawiedliwy sędzia, nie dozwolił tego. Słuchajcie dalej a dowiecie się, że się sprawdziła przepowiednia staruszka.

Od tego czasu minęło już kilka lat. Na Grzegorza obejściu stoją nowo przybudowane stodoły a w nich zboża pełno aż pod same strzechy. Ludziska prawią o nim, że bogaty i szczęśliwy. Już co do bogactwa słusznie mówią, bo u Grzegorza wszystkiego podostatkiem, czego człek tylko zapragnął, ale szczęśliwym on nie był i nie jest. Twarz jego blada zdradza cierpienie. I w samej rzeczy cierpi on wiele. W sercu zawsze coś niepokoi i jak robak toczy wnętrze jego. Pamięć o zbrodni ani na chwilę nie daje mu pokoju. Rzadko kiedy może zasnąć w nocy a wtedy okropne sny budzą go prędko. Była to pierwsza kara Boża na takiego zbrodniarza. Teraz dopiero poznał, że spokojne sumienie lepsze nad drogie kamienie.

Na dworze już północ była a koguty po raz pierwszy piać zaczęły. Księżyc swem jasnem światłem oświecał chatę Grzegorza, który wił się jak żmija na swojej pościeli, ale nie mógł zasnąć. Przypomniała się mu noc ta, kiedy to on szedł do Błażeja, a dziwnie jakoś do tej podobna była. Spojrzał na świecący miesiąc i przypomniały się mu słowa starego i głęboko się zadumał. Nareszcie podniósł się z łoża i spojrzał na drugi kąt izby, gdzie na posłaniu leżała żona i zawołał:

— Barbaro! spisz czy nie?

— Nie spię — odezwał się głos żony.

— Czy pamiętasz tę noc — prawi Grzegorz — kiedym się wybrał do nieboszczyka Błażeja.

— Oj dobrze pamiętam — odpowiedziała Grzegorzowa — i właśnie ona teraz mi na myśli ciągle stoi tak, że spać nie mogę.

— Hm... i ja także — rzecze Grzegorz — ale przypomniałem sobie coś, o czem tobie dotąd nie wspomniałem. Posłuchajno, co też ten stary nie bajał! Powiedział, że mnie miesiąc wyda! A gdzież on może zstąpić na ziemię i przemówić do kogo.

— Ot głupi stary! — odpowiedziała Grzegorzowa i oboje zamilkli. Jakoś straszno im się zrobiło, złe przeczucie mocno

ich trapić poczęło i zamyśleli się tak głęboko, że nawet nie słyszeli, jak się w kominie coś stuknęło. Wśród takiej zadumki już i ranek świtać zaczynał, gdy Grzegorz usłyszał hałas koło domu a przez okienko ujrzał, jak kilkoro ludzi weszło na podwórze jego. Przestraszony zerwał się prędko na równe nogi i otworzył drzwi. Wójt i inni weszli do chaty.

— Grzegorzu — odzywa się wójt zaraz na wstępie — nie wiecie, kto to zabił starego Błażeja?

Grzegorz po takiem przemówieniu zbladł jak ściana, ale prędko się opamiętał i odrzekł:

— A gdzieby tam to ja wiedział, panie wójcie, wszak wiecie, że stary na drugim końcu wsi mieszkał.

— Ba, przecież samiście się przyznali, że wy to zrobili — prawi wójt dalej — i to jeszcze tej samej nocy.

— Ej, nie żartowalibyście na wasze stare lata — odpowiada niby zagniewany Grzegorz, — gdzieby tam człowiek mógł o tem gadać, czego nie zrobił!

— Ha, kiedy tak chcecie, to wam powiem, żeście mieli nawet świadka, który was słuchał i tu pokazał na stojącego opodal człeka, który na wezwanie wójta całą rozmowę Grzegorza z żoną powtórzył.

Grzegorz stanął jakby skamieniały. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, jakim sposobem mógł ten człowiek wiedzieć, co on do żony gadał, kiedy prócz ich dwojga nie było więcej nikogo w świetlicy; toż gdy po chwili z zadziwienia nieco przyszedł do siebie, chciał się go już zapytać o to, kiedy tenże uprzedzając Grzegorza, sam jął rozpowiadać.

No i posłuchajcie moi mili, pokazało się, iż ten człowiek opowiadający był to złodziej. Otóż jak to zwykle bywa że równy na równego dybie, chciał on dom Grzegorza obekraść i spuściwszy się dla tego do komina czekał, póki w chacie nie pozasypiają, a że właśnie Grzegorz ową rozmowę swoją prowadził, wysłuchał wszystkiego, poczem gdy sumienie go wielce na tak straszny występek ruszyło, czemprędzej wylazł i dał znać wójtowi.

Skoro to usłyszał Grzegorz, bardzo się zadumał a po chwili zawołał:

— Prawdziwy to dopust Boży! Dziś widzę, że nie głupio mówił stary, iż mię z czasem miesiąc wyda, bo trzeba było, aby mi światło jego przypomniało słowa Błażeja i skorciło do rozmowy z żoną. Teraz poznaję, że żaden występek nie zdoła się ukryć, choćby człowiek skrycie go popełnił i nie wiedzieć jak ukrywał, bo Sprawiedliwość Boska czuwa nad ludźmi i prędzej lub później każdą złą sprawę odkryje i ukarze.

Po tych słowach oddał się sam w ręce wójta, aby odstawił go do sądu i tam otrzymał zasłużoną karę.

Tę historyę spisałem naszym ludziom na naukę: że jak w wodzie oliwa na wierzch wypływa, tak i prawda zawsze na wierzch wyjść musi. Daj Boże, aby nasz naród polski lubował się ciągle w tej prawdzie, a niech go Matka Boska chroni od takich ludzi, jak ten Grzegorz Palik.

Wincenty z Podkamienia.

Kto się chce w pszczoły zapomódz, co zważać powinnien?

Kraj polski słynął przed laty z miodu i wosku. Miód i wosk wywozili Polacy do innych krajów, za co krocie tysięcy złotych do Polski wpływały. Na własny użytek zostawiali sobie nietylko tyle miodu, ile potrzebowali na cały rok do picia zamiast wódki, ale gotowali do zachowania go na długie lata. Wosku bardzo wiele sami spotrzebowali, bo w każdym dworze i w porządnych domach tylko woskowych świec używali. Cóż dopiero spotrzebowały kościoły parafialne i tak liczne klasztory, jakie dawniej były! Czemuż tego wszystkiego było tak wiele? Oto, bo nieomal każdy wieśniak chował pszczoły nie jeden, lub dwa ule albo kószki, ale pięćdziesiąt, sto, lub więcej uli. Pójdźmy dzisiaj od wsi do wsi i przypatrzmy się pilnie po zagrodach, to zobaczymy też pszczoły, ale tylko tyle, ile na lekarstwo samiby dla siebie miodu potrzebowali. Wyjątek dzisiaj robią jedynie księża, nauczyciele i niektóre dwory, że się szczerze zajmują chowem pszczół. Jedyna Ukraina i Podole zachowały

dawną sławę Polski, bo i dziś jeszcze mają tak wiele pszczół, że znaczny handel prowadzą miodem i woskiem, a dla siebie robią sławny miód do picia pod nazwiskiem lipiec. Znają tam wielkość pożytku i zbierają wielkie sumy pieniędzy z obcych krajów. Wiedzą, że przy chowaniu pszczół mniejsze zatrudnienie, aniżeli przy utrzymywaniu i chowaniu innych zwierząt domowych. Nie potrzeba im przysposabiać żywności, ani latem, ani na zimę, bo one same o sobie pamiętają, nie potrzeba ich do obory wganiać, ani pasterza do nich trzymać, cała praca około nich: dać im miejsce spokojne do wygodnego wylatywania.

Kto pszczoły kupuje, albo innym sposobem nabywa, niechaj głównie na to uważa, żeby tylko w dobre się zaopatrzył, a nie w nikczemne, bo z takich niczego dobrego dochować się nie można. Często się tak nie dzieje, a potem zwykłe mniemanie, że się niekażdemu pszczoły szczęszczą; na dobre rady przesądni ci ludzie nie zważają, tylko ręce opuszczą i porzucają chów pszczół. Dobre pszczoły poznać możemy, albo przez wagę, albo przez zajrzenie w środek, albo gdy już wylatują na robotę przez ich lot. Waga da się tylko do kószek zastósować. Próżną kószkę zważywszy, odciągnąć potem jej ciężkość od całej ciężkości kószki z pszczołami. Pszczoły ze swoją robotą bez kószki ważące od dwudziestu do dwudziestu czterech funtów na wiosnę można już dobremi nazwać, jeżeli mniej ważą, już są podłe, a jeżeli więcej ważą, będą tem lepsze. Waga przecież nie zawsze jest pewna, lecz trzeba przy tem zajrzeć w środek. Często bowiem pszczół może być wiele i zapasu podostatkiem a może królowej nie być, a tak pszczoły wyginą, albo przy złem przechowaniu ich przez zimę mają miodu pod dostatkiem, ale scukrzonego, którego pożywać nie mogą i są blizkie upadku. Pszczoły dobre powinny być nietylko ciężkie, lecz też liczne i raźne i mające świeżą robotę a nie starą i czarną.

Najlepiej nabywać pszczoły na wiosnę i obrać takie, które nie są jeszcze podbierane a są liczne. Poznaje się ich liczność po rzęsistem lataniu na robotę i powracaniu, a każdego czasu po mocnym szumie w kószce, lub ulu, skoro się zapuka do niego. Gdy jeszcze po zapukaniu zaraz z ula lub kószki wychodzą wylotem, to jest dobry znak ich liczności. Zimą chcieć

tym sposobem poznawać pszczoły nie jest dobrze, ani dla pszczół, ani dla kupującego. Jeżeli się nabywają pszczoły latem, a szczególniej nowe roje, tedy nie można się spuścić na wagę, ale zajrzeć trzeba, ile mają roboty wykończonej i czy pilnie pracują, aby można osądzić po ich liczności i zwinności, czy sobie zarobią tyle, ile potrzebują na własną żywność przez całą zimę i początek wiosny. Pszczoły dobre potrzebują na zimę najmniej dwadzieścia funtów miodu. Starych pszczół np. sześcioletnich nie radzę nabywać, chociaż pszczoły właściwie nie starzeją się, bo się co roku odnawiają młodo wylęgłemi, ale ich robota starzeje się. Można je, co jest głównym warunkiem, odmładzać t. j. ze starych kószek przesadzać do nowych, a tak będą: węza, miód i cała robota czyste i białe.

Pszczoła powinna być długa, czarnociemna i lśniąca się; te przymioty mając, będzie w swej naturalnej dobroci. Takie pszczoły mogą tylko pochodzić z czystej, białej i świeżej węzy, bo w starej lęgą się coraz mniejsze, gdyż po każdem wyjściu młodo wylężonej pszczoły z komórki, zostaje po niej błonka w komórce, a przez to ścieśniać się będzie tem bardziej, im starsza węza zostanie, z której będą co roku mniejsze pszczoły się wylęgały. Zajrzawszy do ula lub kószki, można się naocznie przekonać, że im starsze są pszczoły, tem ciemniejszą i czarniejszą mają robotę, a im młodsze tem bielszą. Bartnik doświadczony umie temu zaradzić i przy rostropnem obchodzeniu się może i dwadzieścia lat pszczoły utrzymać, które będą jednak dobre, ale początkowy nie powinien się na to zapatrywać.

Radzić każdemu początkującemu wypada, żeby albo od człowieka rzetelnego nabył pszczoły, albo żeby sobie takiego uprosił do wybrania dobrych pszczół, który się zna i sam trudni się ich chowem a niechaj unika zabobonnych i sam niech się zabobonów strzeże. Zakładając chów pszczół, nie trzeba nigdy mniej nabywać, jak trzy, lub cztery kószki, bo tyle zabiegów około czterech, ile około jednej.

Nie trzeba też być na początku chciwym na miód i wosk. Ze czterech początkowych kószek dobrych pszczół, bez nakładu szczególnego można dochować się znacznej liczby rojów w krótkim czasie, czego z mniejszą liczbą dokazać nie można. Im

więcej we wsi jest pszczół, tem bardziej i pilniej pracują, jakby na wyścigi; to jest rzecz doświadczona.

Terazby szło o przeprowadzenie pszczół: Zimą na saniach najłatwiej, jeżeli z daleka mają się sprowadzić, jeżeli na wozie, należy unikać wielkiego trzęsienia, szturchania itp. jeżeli blizko, to je można na drągu zawiesić i przenieść. Zresztą w każdej porze roku można pszczoły przeprowadzać, aby tylko wszelką ostrożność zachować chciano, żeby roboty nie oberwać. Na wiosnę, jak już pszczoły wylatują na robotę, tedy trzeba do późnego wieczora czekać, aż wszystkie powrócą z robotą, dopiero zasunąć wylot podziurawioną blaszką i nocą przewieść je i postawić na miejsce przeznaczone, ile możności wylotem do wschodu słońca. Jeżeli w miejscu nabywają się pszczoły, tedy należy je do siebie przenieść, nim zaczną wylatywać na robotę, gdyż później ginęłoby ich wiele, boby wracały na stare miejsce, do którego się przyzwyczaiły. Gdyby kto chciał zdaleka pszczoły już wylatujące na robotę sprowadzić wśród lata, tem większą trzeba zachować ostrożność, bo gdyby sobie znalazły wyjście, tedy rozbestwione i siebie i ludzi i konie zgubićby mogły. W takim więc czasie nim się na wóz poustawiają, trzeba dobrze opatrzyć, aby jeżeli są gdziekolwiek otwory, a nawet najmniejsze szczeliny, były dobrze gliną zalepione, toż samo uczyni się z wylotem, zostawując małe dziurki np.: kawałki słomy wlepione we wylot, albo podziurawioną blaszkę przytwierdzić; lecz to wszystko dopiero na wieczór, gdy już powrócą wszystkie z roboty. Jeżeli więc wypada komu w letnim czasie kilkodniową podróż odprawić, nie należy nigdy w słotne dni tego czynić, a gdyby słota w drodze napadła, trzeba kószki lub ule dobrze ochronić. Podróż taka z pszczołami odprawiać się może tylko w nocy. Przed wschodem słońca z niemi się stanie na miejscu bezpiecznem opodal ode drogi, kószki porozstawiają i wyloty otworzą się. Powstanie wprawdzie u pszczół zamieszanie, lecz ku wieczorowi uspokoją się i na wóz znowu wziąć je można. Ostrzegam zaś, żeby przed rozstawieniem ich konie odłożyć od woza i trzymać je na pięćdziesiąt kroków od pszczół, aby uniknąć przypadku. *(Sz. Niedz.)*

Posłaniec z tamtego świata.

Tam gdzieś nad Wisłą przed dawnemi laty stał młyn o dwóch kołach; była to własność Grzegorza Mąki, dostał on go w posagu za swoją żoną Magdą. Że się dobrze rządził, miał wszystkiego podostatkiem, bo i nie mało gruntu, łąk i olszyny do niego należało. Magda była gospodyni co się zowie, tylko cokolwiek łatwowierna, dla tego ją też niejeden podszedł i oszukał. Przy tych wszystkich dostatkach jednego dał im Bóg syna, ale ledwo piętnasty rok skończył, wpadł w ciężką chorobę, i mimo największych zabiegów cyrulika z pobliskiego miasta umarł a cały młyn w nieutulonym zostawił żalu. Czas, mówią, rany goi, lecz nie u wszystkich. Grzegorz rozsądniejszy zgadzał się z wolą Najwyższego, ale Magda to się utulić nie mogła — zawsze smutna, zapłakana, zawsze tylko o Mateuszku myślała.

Zdarzyło się razu pewnego, a było to latem, że Grzegorz pojechał do miasta, czeladź poszła w pole, sama młynarka została w domu, krzątając się około swoich zatrudnień — cała w zadumaniu. Wtem psy zaszczekały, ocknęła się i wejrzała na podwórze, a tu idzie dziad z siwą brodą, z zawieszonemi na obu ramionach torbami i niemałym kosturem. Pochwalił Pana Boga, i zaczął śpiewać: O Gospodzie uwielbiona! Magda ukrajała kawał światłego chleba, włożyła na niego masła, a dając żebrakowi, rzecze:

— Zkądżeście staruszku?

— Moja gosposiu — odpowiada tenże — z tamtego świata.

— A nie widzieliście tam mego Mateuszka? — zapytała z ciekawością.

— Bogaciem tam nie widział — odpowiada dziad filut. Ale cóż wam tam mam o nim powiadać, źle mu się tam powodzi, źle, obdarty, opalony, głodny. Jakem tu szedł, pasł przy drodze świnie; nie mógł im poradzić, płakał nieboraczek, aż mi go żal było!

— O ja nieszczęśliwa matka! — westchnęła młynarka, i dalej do komory.

Nabrała szmat po nieboszczyku, nasypała w worki mąki, jagieł, nakładła słoniny, sera, chleba, zawinęła w chuście pieniędzy, a zawinąwszy to wszystko w płachtę, wyniosła żebrakowi z prośbą, aby to zabrał Mateuszkowi. Nie wzbraniał się dziad tej przysługi, ile że i jemu garść groszów wcisnęła w rękę. Pobrał co mu dano, i tak obładowany podziękowawszy za jałmużnę, puścił się drożyną ku olszynie. Młynarka wyprowadziła go aż za wrota i ze łzami prosiła, aby Mateuszka mile od niej i od ojca i od wszystkich pozdrowił, i dodała:

— A powiedzcie mu tam, jak mu czego braknie, to niech nam da znać.

— Dobrze, dobrze, — dziad odpowiedział, a stękając postępował dalej.

Patrzała za nim długo zapłakana Magda, a gdy jej zniknął z oczu, wróciła smutna do izby. W godzinę powrócił Grzegorz z miasta. Żona wybiegła do niego i opowiada mu, co słyszała o Mateuszku i co mu przez dziada posłała. Mąka wzdrygnął ramionami, połajał za łatwowierność żonę:

— To oszust był — rzecze — co cię w pole wywiódł i tyś mu mogła uwierzyć? a kędyż poszedł?

— Tam ku olszynie — powiada, szlochając młynarka.

Grzegorz siada tedy czemprędzej na konia i pędzi za dziadem. Dojechał go w środku olszyny, ale, że z pospiechu nic nie wziął w rękę, zsiada z konia i prosi żebraka, aby mu go chwilkę potrzymał, bo sobie musi prątek urznąć na konia. Dziad nie wymówił się z usługi, zwąchawszy przecie pismo nosem, że to nie na konia ma być ów pręcik, gdy młynarz zabawia się rznięciem tęgiego łętaka, on przełożywszy sakwy na konia, siada nań i w nogi.

Struchlał Mąka na to, co się stało, lecz cóż miał robić? wrócił z kwitkiem do domu. Żeby mu zaś Magda nie suszyła głowy, że i on tak mądry — a dał się oszukać, zamilczał. Pytałać go się żona:

— Jakże dojechałeś go? gdzież masz konia?

Mąż odpowiedział z żartem:

— A dyć tak jest, jakeś powiedziała! posłałem i konia Mateuszkowi, aby miał na czem świnie zawracać!

RÓŻNOŚCI.

O kościele żółkiewskim i pomniku króla Jana III. Przed dwoma laty pisaliśmy wam szeroko o mieście Żółkwi i jego panach, hetmanie Stanisławie Żółkiewskim i sławnym królu Janie III. Donosiliśmy wam także, że w kościele żółkiewskim znaleziono w kaplicy w podziemnym grobowcu trumny z prochami królewiczów Jakóba i Konstantego Sobieskich, synów naszego walecznego króla Jana III Trumny te polskich królewiczów były w wielkiej poniewierce i dopiero przed trzema laty proboszcz żółkiewski i inni panowie kazali zrobić nowe piękne trumienki na prochy królewiczów, a potem odbyło się za ich dusze wielkie nabożeństwo w Żółkwi, na które się niezliczona mnogość ludu zebrała. Zaś potem robiono składki przez całe dwa lata, aby te drogie i święte pamiątki po hetmanach, królach i królewiczach polskich, które się znajdują w kościele żółkiewskim naprawić i odnowić.

Otóż to właśnie teraz nadchodzi chwila, kiedy to za staraniem obecnego xiędza proboszcza rozpocznie się tego roku w maju odnowienie całego kościoła i wszystkich tych pamiątek narodowych, dawnych zabytków sławy naszej. Wiele to wiele na to pieniędzy potrzeba, a jak już mówiliśmy od dwóch lat już zbierały się składki po całym kraju. Najjaśniejszy pan, którego to ojciec Franciszek Karol arcyksiążę kiedy odwiedzał ten kościół jeszcze w roku 1823 nie mógł się dość napatrzeć tym pamiątkom, — ofiarował sam na odnowienie kościoła tego 200 dukatów w złocie i pozwolił zbierać składki po całym kraju. Nie zapomniał ci szanowny xiądz proboszcz o żadnej sposobności, by uzyskać potrzebnych do tego pieniędzy. Na początek kazał odbić medaliki na pamiątkę z tego srebra, co znaleziono koło trumien w grobowcu królewiczów. Potem krzątał się ochoczo około zbierania składek. Sprzedają teraz wizerunki cudownego Chrystusa, zdjęte z obrazu w Rzymie, do którego to ludzie w największej potrzebie się udają, a który to obraz za przyzwoleniem Ojca św. Piusa IX w roku 1863 dnia 13 września, jako rocznicy oswobodzenia wiary chrześciańskiej pod Wiedniem przez króla Jana III, zdjęto z ołtarza i z wielką uroczystością obnoszono go z procesyą w Rzymie na ubłaganie łaski i miłosierdzia dla narodu polskiego. Każdy, kto sobie taki wizerunek z modlitwą drukowaną kupi, przyczyni się do odnowienia kościoła, a dostanie takich obrazków nietylko u szanownego xiędza proboszcza w Żółkwi ale i w sklepach we Lwowie, gdzie sprzedają obrazy, i wielu ludzi w kraju trudni się rozsprzedawaniem tych wizerunków. Są także i obrazy, co przedstawiają ładny rysunek kościoła farnego w Żółkwi, a oba te obrazki dostanie po 50 centów. Uzbierała się już znaczna sumka, ale czy to wszystko wystarczy? Kiedy to samo ru-

sztowanie do tysiąca reńskich kosztuje. A może, gdy starczy pieniędzy, sprowadzą nazad do Żółkwi owych siedm posągów kamiennych króla Jana III i syna jego Jakóba, Stanisława Żółkiewskiego, Daniłowicza i Radziwiłłów, co to do nie dawna stały na froncie zamku królewskiego w Żółkwi, a ludzie bez czci i sumienia postrącali je na ziemię, gdzie o najdroższe pamiątki największych mężów naszych bydło tarzało swe boki, przewracało je i deptało, aż się zlitował nad niemi pewien czcigodny Polak (Aleksander hrabia Stadnicki) i zabrał je do swej majętności Magierowa, postawił w przyzwoitem miejscu i uchronił od zupełnej zagłady. Imię i nazwisko każdego, kto sobie kupi ów wizerunek cudowny, o którym wam wspomniał, zostanie zapisane w poczet fundatorów tego kościoła, a za ich dusze odprawiać się będzie nabożeństwo w tym kościele po wieczne czasy.

Ale jeszcze nie koniec na odnowieniu kościoła. W rynku miasta Żółkwi, przy samej drodze do Rawy będzie postawiony piękny posąg sławnego króla polskiego Jana Sobieskiego, co to Wiedeń od Turków uratował. Posąg będzie 7 stóp wysoki, a robi go majster jeden krakowski, co się pewnie swej roboty nie powstydzi. Pod kamiennym wizerunkiem króla Jana III taki będzie położony napis: *„Pogromcy Turków, obrońcy Wiednia, oswobodzicielowi Chrześciaństwa, ku wdzięcznej potomnych pamięci roku pańskiego 1865.“* Ale aby ten pomnik prędko był postawiony, potrzeba, aby w całym kraju poczciwi Polacy przyłożyli się swym datkiem, przez rozkupienie owych pięknych obrazków, bo by może inaczej nie starczyło grosza na posąg dla króla Jana, a toby już był istny wstyd dla nas wszystkich.

Głód w górach. Temi laty to już znać gniew Boży cięży nad naszą biedną krainę polską, bo to przypomnijcie sobie jeno, ile to klęsk na nas przez te dwa ostatnie lata spadło. Aby już i nie mówić o strasznym wylewie krwi, bo to aż serce pęka od samej spominki — i powodzie i grady i ognie wszystko to na nas spadło. Zaś teraz piszą po gazetach, że w górach między ruskim ludem, jak np. w Samborskiem, Sanockiem i na Pokuciu panuje głód wielki tak że ladajaki z głodu zamiera. Tyle tylko że jest nadzieja w Bogu i dobrych ludziach, że ich tam w tej nędzy poratują. Panowie polscy co to są w Wiedniu, w radzie Państwa dali tam znać o tem nieszczęściu — a wysoki rząd obiecał, że zapomoże ludek górski i zwolni go z podatków aby mógł choć pole obrobić i bożego lata i nowego chleba się doczekać.

Tymczasem zaś inni panowie rozbierają ludzi górskich do siebie na zarobek rozmaity, aby ich od nędzy i głodu ochronić.

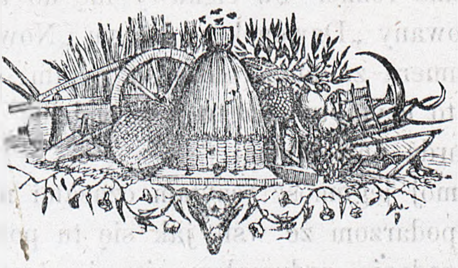
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 10.

1. kwietnia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święcona palma.

Jechałem nie dawno na odpust Zwiastowania Panny Maryi i popasałem we wsi Krukowice koło arendy, gdzie nie było żyda arendarza, jeno arendował tam katolik, niejaki Walek Burda — a był ci on dawniej we dworze kucharzem i na stare lata dał mu pan tamtejszy za wysługę sprawiedliwą aż do śmierci arendę Krukowicką.

Ten Burda był już dobrze podstarzały, miał on siwe włosy, kapotę po staropolsku czerwonym pasem podpasaną, na piersiach szkaplerz św. a nad łóżkiem jego widziałem na moje własne oczy palmę na krzyż zawieszoną, obrazek Matki Bożej Częstochowskiej i św. Walentego, patrona Burdy. A znowu na stoliku koło łóżka stał ukrzyżowany Pan Jezus i dwie świece koło niego, a pod krzyżem leżała książka do modlenia. Ale takie świętości w domu polaka i katolika na wsi, i to jeszcze w arendzie przy gościncu nie zadziwiły mię bardzo, boć takie święte rzeczy powinny być w każdym domu polskim, czy to u gazdy czy u chudaka jakiego, jeno co mię zadziwiło bardzo

to to, że koło szynkfasu na długim stole od ściany do ściany przez całą izbę arendy zobaczyłem na samym środku stołu jakieś druki i pisma różne. Ja ciekawy idę do tego stołu i patrzę, a to drukowany „Dzwonek“ i znowu „Nowiny ze świata“ leżą na stole numera za numerami. Ja pytam:

— A kto to czyta te gazety w arendzie?

A stary Burda powiada mi:

— To ja mój jegomość! czytam czasami naszym gazdom, parobkom i gospodarzom ze wsi, jak się tu poschodzą.

Na takie gadanie zadumałem się, i ażem się z radości wielkiej rozpłakał, podziękowałem w myśli Bogu, że gazdowie Krukowiccy przepędzają sobie czas wolny tak pięknie i ładnie i myślę sobie dalej:

O! gdyby to tak wszędzie było po arendach, gdyby zamiast pijatyki i bitki i głupiego gadania i krzyku, czytali sobie gazdowie i parobcy to „Dzwonek“ to „Nowiny ze świata“ albo różne druki, jakie trzymają xięża i panowie po parafiach, toby wtedy przybyło dużo dużo rozumu dobrego dla nie jednego, a jaka to to znowu chwała dla Pana Jezusa, jaki honor dla gromady takiej, jaki przykład dla drugich, jakie błogosławieństwo boskie!

I tak dumając sobie siadłem na ławie długiej w arendzie, aż tu zaczęli się schodzić i ludziska rozmaici i wnet było pełno w gospodzie. Ja zatuliłem się w kożuch tak, że mię nikt poznać nie mógł, co ja za jeden, i siedziałem sobie cicho pod ścianą. Wnet jeden parobczak zuchowaty i tęgi, nito młody dąbek, powiada:

— No! panie Walenty! przed nabożeństwem na odpuście nie uchodzi katolikom zabierać się do napitku, bo to grzech i pójdzie się i do św. spowiedzi i do św. komunii, toć trudno zapomnieć się tak, aby się człowiekowi kręciła gorzałka po głowie zamiast pomyślenia pobożnego o Bogu i duszy grzesznej. Ale wartałoby się, abyście nam też opowiedzieli jakie takie ciekawości pobożne.

A znowu jakiś gazda średniego wieku gada:

— Ano! macie tu nad waszem łóżkiem panie Walenty poświęconą palmę jeszcze z łońskiego roku, to nam też ga-

dajcie, na jaką to pamiątkę te palmy? i na co to wiszą one nad łóżkiem?

Toż stary Burda zdjął czapkę i mówił:

— Moi kochani! ile razy rozmawiacie o świętych rzeczach, lub czytacie pobożne jakie książki, to trza uczcić po katolicku takie świętości.

Na te słowa pozdejmowali wszyscy czapki, toż i ja ściągnąłem z uszu moją czapczynę i nadstawiłem uszy dobrze, aby posłuchać, jak to Burda miał opowiadać im o święconej palmie.

A więc Burda stary i pobożny tak jął gadać:

— Widzicie moi dobrzy ludzie! że całe życie i męka Pana Jezusa jest nam Polakom i katolikom nauką, przykładem żywym, jak to my wszyscy i xięża i pany i chłopy i mieszczany mamy robić za życia i jak mamy gotować się na śmierć i na sąd boży. Wszystkie sprawy Pana Jezusa powinniśmy nabożnie obchodzić i naśladować jak kto podoła — bo to nasi dziadkowie w polskim kraju obchodzili bardzo nabożnie takie rzeczy, a na cały świat nie było za dawnych lat nigdzie tak pobożnych katolików i tyle, jak to bywało z dziada pradziada w naszej Polsce od morza do morza na sta mil od wschodu na zachód, po wszystkich miastach, dworach, plebaniach i parafiach. Toż było za to wtedy i chleba i grosiwa pełno, kościoły były bogate, dwory złote, gromady z brogami, chleba jak gwiazdy na wysokiem niebie, a pobożność wszędzie taka, że nie jeden Ojciec św. gadał, że polska kraina to perła dla Pana Jezusa i dla Najświętszej Panny.

A gazda jeden powiada:

— Toć przecie już tam i my polscy gazdowie nie tacy ostatni na świecie bożym dzisiaj.

— To prawda, mówi Burda, trafi się i dziś dziesiąty albo i setny pobożny, ale z dawien dawna każdy był pobożny od małego do wielkiego, od młodego do starego. Ale mam wam mówić o palmie święconej. Otóż rok rocznie święci się palma u nas na tę pamiątkę, jak to Pan Jezus przyjechał ostatni raz do miasta żydowskiego Jerozolimy, a ludzie wyszli z miasta naprzeciw niego, stanęli po obu stronach gościńca daleko, daleko i kiedy On jechał drogą, to oni łamali gałęzie zielone

na drzewach i rzucali rękami na ziemię pod nóżki święte Panu Jezusowi, a to robili z wielkiej miłości i wdzięczności dla Niego za to, że On każdego pouczał, każdemu najlepiej doradził, każdemu w każdej biedzie dopomagał, a nikim nigdy choćby najbiedniejszym nie pogardził. I tyle mu takich zielonych gałązek nasłali pod stopy św., że cała droga była zielona nito łąka jaka, a znowu byli tam jeszcze lepsi, boć oni porozbierali się do koszuli, a swoje świąteczne ubranie porozciągali het po drodze, nito płótno do bielenia, a to na to, aby Pan Jezus za swoje najlepsze i najświętsze życie nie chodził po gołej ziemi, jeno po ich sukienkach. Tacy dobrzy ludzie byliby umarli dorazu z wielkiej miłości za Pana Jezusa, gdyby był Pan Jezus tego od nich zażądał — ale Pan Jezus żąda od nas jeno tego, aby każdy robił to, co Pan Jezus każe, a nie robił tego, czego On nie każe. Pan Jezus chce, aby każdy żył jak najpobożniej, aby każdy kochał Pana Jezusa i znowu kochał jeden drugiego jak rodzony brat brata, aby Polacy trzymali razem do wszystkiego dobrego.

Toż taka miłość i wdzięczność tamtych ludzi dla samego Pana Jezusa jest dla nas Polaków przykładem, abyśmy byli wdzięcznymi za wszystko dobre, co nam kiedy zrobią czy to dwory, czy kościoły, czy szkoły, czy piśmienni, czy bogacze, abyśmy się i złym odpłacali dobrem, a znowu dobrym ludziom byli zawsze dobrego serca i dobrej myśli i szli razem z nimi za życia i po śmierci zawsze do Pana Jezusa.

A jeden gazda poderwał i mówił tak:

— Aha! to to na to w ostatnią niedzielę postu święcą się te palmy, że to ostatni raz przed swoją męką i śmiercią przybył Pan Jezus do Jerozolimy grzesznej...

— A dobrze gadacie, mówił Burda, ale zgadnijcieże mi to, dla czego zowie się ta niedziela także niedzielą kwietnią.

— O! dla czego? mruknął znowu jakiś gazda, juźci oczywista z tej racyi zowie się palmową niedzielą, bo się wtedy palmy i gałązki święcą, a co się nie robi przez cały rok boży w żadną inną niedzielę — a nie wielka tam sztuka zgadnąć i to, że się nazywa niedzielą kwietnią, boć w tę niedzielę najpierwszą święcą się takie pręciki z wierzby, co to najpierwej

u nas Polaków wypuszczają kwiat, co u nas gazdów zowie się ten kwiat kotkami, a jakie się pokazują z woli bożej wszędzie na początku wiosny, gdzie jeno u nas rośnie na moczarach młoda wierzbina albo łozina.

— Dobrze sobie zmiarkowaliście, gadał Burda, toż my Polacy, co nie mamy w naszym całym polskim kraju drzewiny palmowej, jaka rosła koło Jerozolimy, a potem cò nie mamy jeszcze ani na jabłoni, ani na gruszce, ani na trześni kwiatów, bierzemy sobie pręciki takie albo z wierzby albo z łoziny, co to już powypuszczały pączki i z tych pączków wyrosły pierwsze kwiaty, a po naszemu kotki, wiążemy to w drobne wiązeczki sznureczkami i tak święcimy te dary boże po kościołach naszych najprzód na pamiątkę przybycia pańskiego do Jerozolimy na święta, gdzie Go tak pobożni witali, a potem i na tę pamiątkę, że to u nas po te czasy przychodzi już wiosna i nasze drzewa już pękają, a wszyscy Polacy zaczynają się cieszyć, że wiosna idzie i dziękują Bogu za ciepłe słoneczko i ofiarują Mu za to pierwszy kwiat z polskiej drzewiny. Ten zwyk pobożny mamy po naszych pradziadkach i trza go zachować u nas na wieczne czasy, a te święcone pręciki mamy szanować, jak to robili nasi dziadkowie. Ale znowu ktoś zagadał tak:

— A na co to wieszają ludziska te święcone pręciki po stajniach i stodołach i dają te kotki jeść bydłu?

— O na co? odezwał się jakiś dziadowina, a jużci na to, aby Bóg zachował bydełko od jakiej zarazy po stajniach, aby było dużo nabiału i aby się nabiał nie psuł, toć i bydlęciu marnemu nie zawadzi zjeść święcone ziele i te kotki, bo to przecie nie trucizna — a ludzie to nie jedzą, jak ich zimnica bije? albo nie kadzą się tym dymem święconym, kiedy ich niedobre guziska na szyi owalą? albo nie tłuką i nie przykładają na różny gościec? A i w stodole to nie zawadzi zawiesić, boć i do stodoły potrzebna każdemu pomoc boża, potrzeba i chleba i paszy dobrej dla bydła — toć to przecie nie proste kije, jeno święcone rzeczy...

— To prawda wszystko, co gadacie, odezwał się Burda, boć wszystko od Boga jest dla zbawienia naszego dane — jeno trza wszystkiego podług dobrego zdania i poznania używać.

Takie kotki święcone są dobre i dla bydełka polskiego i dla Polaków na lekarstwo, jeno nie trza być zabobonnym nigdy, to jest, nie trza sobie myśleć, że takie kotki święcone mają moc niezawodną na choroby — bo choroba idzie nie raz z naszej winy i głupoty, a nieraz jest karą bożą za nasze grzechy, a przychodzi na cię i niewinnie, toż wtedy nie spuszczaj się na same kotki, jeno radź sobie sam wedle twej głowy, słuchaj rady dobrej od ludzi mądrych, bierz leki i proś Boga, a jak wartasz dobrego zdrowia, da ci go Bóg — bo zdrowie i życie idzie od Boga i trza go rozumnie używać, a kotki same nie mają nigdy takiej mocy, aby bez woli bożej pomogły komu.

— Ba! zagadał koło drzwi ktoś znowu, a jakto w lecie grzmi i łyska się, to co chałupa to każda gospodyni bierze miseczkę z ogniem i krzy na ogień te kotki święcone albo pali te pręciki i lata koło chałupy i kadzi, albo pali na nalepie i myśli sobie, że ten dym uratuje chałupę od pioruna ognistego....

— I to prawdę gadacie, mówił Burda na to, ale ja wam powiadam na to jeszcze większą prawdę, że od pioruna ognistego obroni jeno sam Bóg — a Bóg dał rozum na to ludziom, aby uważali sobie dobrze, co od ich chałupy oddala piorun, a co znowu ściąga piorun na ich chałupę.

— O dla Boga świętego, krzyknęła jedna kobiecina, a cożby tam znowu było takiego, żeby przyciągało piorun straszny na chałupę?

— Co takiego? mówił Burda, ja wam tu zaraz powiem. Na to nie trza żadnych czarów, aby to zgadnąć. Jeżli masz na ten przykład drzewo wielkie koło chałupy, to piorun uderzy zawsze prędzej w to drzewo wysokie niż w chałupę, a jeżli masz chałupę gdzie na górce i to bez drzewiny, to piorun trzaśnie nie raz w nią, bo piorun lubi strasznie górki, lasy, kępy, wysokie drzewa, wody, wysokie chałupy i wielkie zabudowania. Ale piorun lubi strasznie i ciepło i ogień i dym — toż jak ty palisz na chleb w piecu, albo gotujesz jeść, jak się kurzy dym jak słup z chałupy, kiedy grzmi, to bądź gotów że trzaśnie w twoją chałupę, jak nie pogasisz ognia, i nie udusisz dymu. Otóż miarkujcie sobie dobrze, abyście nie kadzili i nie palili bardzo dużo święconą palmą wtedy w domu, kiedy grzmi, bo

wam piorun trzaśnie w chałupę i zabije i ogłuszy was, a święcona palma nie pomoże wam.

A jeden gazda zawołał na głos:

— No! to jakże? to nie trza pokadzić chałupy, kiedy grzmi i łyska się?

— Można pokadzić, rzecze Burda, ale odrobinkę, aby dym nie wychodził gruby na dach, boby tylko piorun sciągnął a potem nie trza z węglami na miseczce latać koło stodoły i chałupy, i kadzić, bo może wiatr zerwać ogień i zapalić, albo może piorun ognisty trzasnąć w sam środek tej miseczki, z której kadzisz, bo do ognia, ciepła i dymu leci tak piorun jak mucha do miodu i mleka. Najlepiej w izbie zakadzić odrobinkę jeżeli masz do tego nabożeństwo, a nigdzie nie wychodzić i okna i drzwi pozamykać, bo piorun lubi przelecieć przez takie chałupy, gdzie okna i drzwi otwarte stoją. Toż nie raz zwykł piorun uderzać do miski z jedzeniem, kiedy ludziska nierozumni siadają na dworze albo w sieni na progu do jedzenia i pootwierają chałupę. A znowu lubi strasznie piorun ścigać tych, co uciekają na koniu, na wozie albo lecą na nogach i zgrzani i zasapani stają pod jakiem drzewem, aby się zasłonić od deszczu. Toż uważajcie sobie dobrze, abyście nie ściągali na siebie co złego zamiast dobrego przez wasz nierozum. Piorun jest ślepy, on trzaśnie tam, gdzie mu najlepiej wypadnie, a Bóg was nie będzie bronił wtedy, kiedy wy rozum tracicie i dobrej rady nie słuchacie.

Wszyscy wysłuchali z dobrą zwagą tego Burdy, rozeszli się każdy w swoją stronę, a ja także słyszałem to wszystko co do słowa; a gdy te słowa Bnrdy bardzo mi się spodobały i mówią co do słowa wielką świętą prawdę, toż ja podaję to wszystko do Dzwonka, abyście moi kochani wiedzieli o tem, jak to się Krukowiczanie zabawiają w arendzie, i co to znaczy palma święcona u nas Polaków i do czego ona po chałupach polskich użyteczna.

X. Wojciech z Medyki.

Budziwoj.

Na ławeczce przed jednym dworkiem litewskim we wsi z Polską graniczącą, siedział staruszek blisko sto lat mający, przesuwając w ręku koronkę i pobożną sobie szepcząc modlitwę. A było to 2. lipca r. 1863 w sam dzień Matki Boskiej jagodnej, słońce prawie miało się ku zachodowi, gdy nadszedł oddział powstańców polskich, szukając odpoczynku i pokrzepienia po całodziennem strudzeniu swojem.

Zarządził staruszek wszystkiem jak należało, bo w ręku jego był klucz od spiżarni, wypytując się przytem ciekawie o szczegółach dnia zeszłego. Gdy po posileniu jedni na trawnisku spać się pokładli, drudzy dla bezpieczeństwa czuwali, był między tymi żwawy jeden dwudziestoletni młodzieniec, którego staruszek zagadnął:

— A Ty synu! zdaleka jesteś?

Odpowiada chłopak:

— Z tamtej części Polski od południa, z okolicy Rzeszowa, i jestem synem chłopka jednego.

Na tę odpowiedź zerwał się staruszek z ławeczki, i wyciągnął ręce ku niemu mówiąc:

— A synu? bo i ja z tamtych stron jestem! Skąd?

Powstaniec mówi:

— Z Budziwoja.

Nie do opisania była radość starca, spotkanie to dodało mu siły, i jął opowiadać całe koleje życia swego, jakimto on sposobem w tak dalekie dostał się strony. Oto mówi:

— Jest już temu lat 86, byłem natenczas niewielkim chłopakiem zaledwie lat 16 mającym, gdy z dóbr tych z Białegostoku, zjechała do Tyczyna wdowa po Hetmanie Branickim — a siostra króla Poniatowskiego, dla odebrania w dożywocie tamtych dóbr na Podgórzu leżących. Bawiła tam kilka tygodni, codziennie wyjeżdżała sobie na spacer, a ja będąc podówczas za pogonicza do koni skarbowych, z nią jeździłem. Jednego razu, gdyśmy z kościoła Budziwojskiego po mszy św. wracali, zagadnęła mię:

— Łukaszku! nie poszedłbyś ty do mnie w służbę?

A ja na to bez długiego namysłu, bo mi rodzice odumarli, a starszy brat zagrodę objął, rzekę: „z całą chęcią dobra pani?“ i w dni kilka wyjechaliśmy w cztery bryki z całym dworem, a ja powoziłem landarą, w której sama hetmanowa siedziała.

Najpierw pojechaliśmy do Krakowa, tam zabawiliśmy cały tydzień, tam byłem na zamku naszych królów polskich, zwiedzałem ich groby, 50 kościołów, między temi cudny kościoł Panny Maryi. Ztamtąd wstąpiliśmy do Częstochowy, gdzie jest najsłynniejszy na całą Polskę kościoł i klasztor xięży Paulinów z cudownym obrazem Matki Bożej królowej naszej — potem do Warszawy, gdzieśmy pare miesięcy się zatrzymali, i tam było się czemu napatrzyć, osobliwie pięknemu wojsku naszemu, nareszcie przed zimą stanęliśmy w Białymstoku, w której okolicy i dotąd zostaję. Pierwszą żonę miałem Polkę, a drugą Litwinkę, obie poczciwe kobiecięta. Miałem trzech synów, cztery córki, siedm wnucząt i dwóch prawnuków. Syn jeden i dwóch wnuków służyli wojskowo, i dzięki Bogu! łaska Boża była zawsze ze mną i z nimi. Oprócz mnie przywiozła z sobą ś. p. hetmanowa i dwie dziesięcoletnie sierotki z Budziwoja: Zosię Dominownę, i Jagusię Żuradzionkę, oddała ich do garderoby, kazała ich uczyć szyć i robot pięknych, a tak były pojętne i zręczne, że ich roboty mamy kilka pięknych ornatów w kościele tutejszym. Jeden nawet ornat uszyły dla Budziwoja i posłały go przez jednego pielgrzyma, co po odpustach chodzi, ale że nie miał paszportu, i Niemcy go od komory wrócili. Nie wyszło lat kilka, z moich Budziwojek takie się hoże panienki wybrały, że aż tutejsze nie rade im były. Poszły za mąż i dobrze się prowadziły. Jedna była za marszałkiem zamkowym, a druga za rządcą na folwarku jednym. Bywaliśmy często u siebie. W lat kilka przybyło jeszcze kilkoro ludzi od Tyczyna, a z tych jeden szczególniej utkwił mi w pamięci, którego przygody opowiedzić ci muszę. Był nim Pietrek Skoczylas z Budziwoja. Ten tu długo nie posiedział, zaciągnął się do naszego wojska. Chciano go do piechoty obrócić, ale on odrzekł: że Budziwojcy nie radzi piechotą łazić, tylko do koni spryt mają, i przeszedł do ułanów. Służył pod Kościuszką, Dąbrowskim, Poniatowskim, był we

Włoszech, w Hiszpanii, w Egipcie, schodził nie mało świata, zdrów i zawsze wesół, miał dwie szramy na twarzy od cięcia pałaszem, ale z tem mu ładnie było, snać że śmiało nieprzyjacielowi w oczy zaglądał. Wszyscy go szanowali, na starość miał dogodne miejsce przy kancelaryi wojennej w Warszawie, i będzie już lat 40 jak umarł.

Przymęczył się starowina tem długiem opowiadaniem, skinął na zamężną wnuczę swoją, piastującą jego prawnuka, kazał przynieść buteleczkę miodu, poczęstował mię, sam się pokrzepił, spoczął jeszcze chwilkę, i znowu dalej prowadził mowę swoją:

— Ty synu może nie wiesz, co to dawniej znaczył Budziwoj? Była to wieś pierwsza na całą okolicę, wieś zamożna. Samych kmieci było tam czterdziestu kilku, a między tymi wielu szlachty. Znane mi są niektórych nazwiska, które zapamiętałem, o drugich od starych słyszałem, a i w tutejszych rejestrach zapisani stoją. Tacy byli Skotnicki, Borowiec, Zarębski, Lasota, Pudłowski, Paszkiewicz, Kurski, Stachurski, Jankowski, Głodowski, Kurowski, Domino. Ostatniego dziadek nawet wieś Hermanowę długi czas w dzierzawie trzymał. Ale bo też oni mieli coś do prawdy w sobie, jakby staropolska szlachta. Pogościć się, poradzić się, pogodzić się, i znowu uraczyć się. Szczerzy, przyjacielscy, usłużni, ale z nimi nie zarywaj, bobyś się z twojemi kośćmi nie obrachował, tacy ambitni.

Razu jednego zjechał hetman do Tyczyna i był na podwieczorku u Kotuli. W stodole przyjmował go kmiotek dobrym miodem i gospodarskim chlebem. Oglądał całe jego gospodarstwo, i spodobały mu się cztery jego konie bułanki. Rzecze do niego hetman:

— Wiesz co Kotula! sprzedaj mi twoje bułanki!

Na to Kotula:

— Niemam ich na sprzedaż, ale skoro się panu hetmanowi podobają niech służą, proszę je przyjąć na pamiątkę odemnie.

Nie było rady.

— Dobrze! mówi hetman, ale pod warunkiem, żebyś mię sam niemi do Białegostoku odwiózł.

— Zgoda — rzecze Kotula — bywałem tam za młodu, jeszcze raz przed śmiercią tam się przejadę.

Nazajutrz pojechali. Nie wyszedł na tem źle Kotula, przyprowadził natomiast jeszcze ładniejsze 4 gniade klacze z hetmańskiego stada, dano mu coś talarów na drogę, a jejmość hetmanowa piękne korale dla żony i dwóch córek.

— Nie wiem, pyta się dalej staruszek powstańca: czy też noszą jeszcze Budziwojcy wysokie czerwone czapki z czarnym barankiem? I o tem warto posłuchać. Czapki te były oznaką ich odwagi i poświęcenia dla ojczyzny, czego nieraz dali dowód. Gdy przed 240 laty Tatarzy wtargnęli w naszą Polskę palili wsie i miasta i kościoły święte, i już spłonął Tyczyn, podsunęli się ku Budziwojowi, właśnie przed samym zachodem słońca, podkładając ogień pod skrajne domy i stodoły, jakie na wzgórzu stały. W tem rzęsisty deszcz się puścił, i przeszkodził dalszemu szerzeniu się ognia. Budziwojcy co uszli ku Wisłokowi i w gęstej wiklinie się ukryli, patrzyli na to zdaleka, co się w ich wsi dzieje, truchlejąc i niewiedząc coby począć mieli? Duch wstąpił w serce jednego już niemłodego gospodarza, i w te się do drugich odzywa słowa:

— Bracia! na próżno nam tak stać i załamywać ręce. Patrzcie oto deszcz leje, noc ciemna, Tatarzy pewnie pozasypiali. Podstąpmy cichaczem z siekierami i cepami, i uderzmy na nich znienacka, a nasza Matka Boska Snieżna dopomoże nam.

Zgodzili się wszyscy na jedno, sto czterdzieści chłopa ich wyruszyło przed samą północą, waląc po łbach każdego, którego napotkali. Natłukli tego nie mało, nim się poprzebudzali Tatarzy, nużże w odwrot ku Tyczynowi, myśląc że liczne wojska przeciw nich wystąpiły, i już się więcej nie poważyli na Budziwoj uderzyć, zostawiwszy 50 koni pięknych, któremi się gospodarze podzielili. Pod kościołkiem ich tlał ogień podłożony ale przygasili go. Poźniej znowu Węgier jeden Rakoczy wpadł z wojskiem do Polski a i wtenczas dwudziestu młodych Budziwojców przyłączyło się do wojska xięcia Lubomirskiego z Rzeszowa i ku Łańcutowi nieprzyjaciela gnali. Pokazała się i czereda Kozaków w tamtych stronach, raz się tylko z Budziwojem zmierzyli, i więcej z czerwonemi czapkami spotykać się nie chcieli. I mię to cieszy, że z takiej wsi pochodzę.

I zanucił sobie starowina piękną zwrotkę, zapewne od dawna złożoną:

Rodem jestem z Budziwoja,
Z poczciwego Ojca Gliwy,
Borowcówna matka moja
A i ten ród był poczciwy.
Kochał Boga, ziemię swoją,
Jak przystoi na Polaka,
W chatce jego gości roje,
Niepominął i żebraka.

Koguty na północ zapiały, zabierali się nasi, by pójść dalej. Starowina wydobył z kieszonki medalik z Matką Boską Częstochowską, zawiesił go na piersi mojej, błogosławił, i gdym całował ręce jego, on jeszcze domówił:

A gdy przyjdzie do spokoju,
I zawitasz w Budziwoju,
Pozdrów wszystkich od Łukasza
Tak jak każe wiara nasza,
Od starego ich rodaka,
Katolika i polaka!

Wyruszyliśmy spiesznie, i od wrót jeszcze odwracając się, widzieliśmy jak starzec wzniósł ręce ku niebu i błogosławił nas.

Co się dalej stało, doczytacie i dowiecie się z listu pisanego do owego Łukasza Gliwy, który wam tu w odpisie udzielam:

List.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Szanowny Panie Łukaszu!

Dałem Wam słowo za powrotem do domu opisać wszystko, coście wiedzieć radzi byli. Opoźniłem się z pisaniem, bom odprawił pielgrzymkę do ziemi świętej, gdziem Was i waszą familię, panu Jezusowi w modlitwie polecał. Na tej pielgrzymce zeszedł mi rok cały, i dopiero przed kilkoma tygodniami do swoich wróciłem. Po rozstaniu się z Wami jeszcześmy spiących Moskali zastali, uprzedziliśmy ich, bo oni nazajutrz na nas natrzeć mieli, i dobrześmy na tem wyszli. Biłem się do samego ostatka, Bóg mię przy życiu i zdrowiu zachował. Matka Najświętsza, której medalik z błogosławieństwem na piersi za-

wiesiliście mi, chroniła mię od wszelkiego nieszczęścia. Wnuczkę Waszej pani Józefowej rączki całuję, i dziękuję za ów bocheneczek chleba, i spory kawał słoniny, co mi do torby wsunęła. Nie spostrzegłem się aż w drodze, że mi coś ciężyło. Oj przydało nam się też, przydało, smacznieśmy z towarzyszami spożyli. W Budziwoju dotąd nie byłem, bo mi nie było na rękę, spisałem tylko wszystko na papier, i do wydrukowania w Dzwonku podałem skąd się o wszystkiem dowiedzą, jak czytać będą. Miałem jednak sposobność spotkania się z dwoma gospodarzami z tamtej okolicy, i wywiedzenia się o wszystkiem, o czem wam dla waszej ciekawości donoszę. Oto pokolenie młodsze trzeźwo i statecznie się prowadzi, mierzi ich tylko, że jedna piękna rola przed kilkunastu laty w skutek zapijania się pewnego człowieka w ręce szynkarza żydowskiego przeszła. Jest to dla nich przestrogą, by się strzegli od sideł podobnych. Kościółek swój stary schludnie utrzymują, ale o tem coście mi mówili, że jakaś kmiotka Rogowa z swego grosza inny wymurować zamyślała, nic tu o tem nie słychać. Pobożność jest u ludu chwalebną, dla kościoła chętni, xiężom życzliwi, na weselach zamożniejsi radzi ich zapraszają do siebie, racząc ich i goszcząc z szczerością serca. Zastawa wtenczas na stole bywa z cukierni, wszystko z pańska, jak się patrzy. Do czytania książek wielką mają ciekawość, trudniejsze nawet książki czytają i pojmują. Dla Waszej wiadomości wymieniam niektórych po nazwisku, co na to zasługują, a może są i z rodu Waszego, co Was ucieszy, jako to: Kyc Marcin, Gliwa Adam, Borowiec Wawrzeniec, Gliwa Tomasz, Skoczylas Marcin, Prędki Józef, Warzocha Paweł, Konkol Marcin, Miciuda Józef, i wielu innych. Szkoła jest w miejscu, dzieci się wszystkie uczą, i jest nadzieja w Bogu, jak tak dalej pójdzie, że nie przejdzie lat 10, ta wieś inne wyprzedzi, i za przykład drugim służyć będzie. Wiele zależy od wójta, jak się jaki uda, a tutejszy właśnie jest za szkołą, nazywa się Kotula. Może to jest prawnuk tamtego Kotuli, co hetmana u siebie przyjmował, i konie mu podarował? W okolicy Rzeszowa jest więcej takich wójtow i gospodarzy, co są za szkołami i za chwałą bożą, warta wymienić ich nazwiska, im dla pochwały a dla zachęty drugich, Skotnicki

z Słociny, Borek Jędrzej z Staromiescia, Jopek stary z synem i Klimasze z Kielnawny, Czarnota z Błędowy, Michał Szuwagiel z Trzebowniska, Piotr Paczesniak z Drabinianki, Różański z ruskiej wsi, i wielu innych. Dobrzeby było, gdyby i z innych stron podawali do wiadomości imiona gospodarzy i wójtów pod tym względem zasługujących się. W nadziei, że mi na ten list odpiszecie, i dacie o sobie wiadomość całuję z uszanowaniem ręce Wasze.

Wdzięczny Wawrzek z pod Rzeszowa.

Dnia 2go lutego 1865 w dzień MP. Gromnicznej.

W miesiąc otrzymałem odpowiedź od pani Józefowej, że list mój zastał jeszcze przy życiu Łukasza Gliwę, kilka razy kazał go sobie odczytywać, mnie i Budziwojskich pozdrowić polecił, i dnia 4go w Panu Bogu zakończył świątobliwe życie swoje. Racz Panie! przyjąć duszę jego do najświętszej chwały swojej!

Wawrzek z pod Rzeszowa.

Jak żywić pszczoły?

Pogadanka dwóch pasieczników.

Piotr. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! *Walenty.* Na wieki wieków, Amen. *P.* Coż tam słychać u was w pasiece? *W.* Ot, jak tego roku bieda na wszystko, na ludzi, na bydło tak i na pszczoły. Roku zeszłego przez słotę miodu nie mogły nazbierać, a teraz giną z głodu. *P.* A czemuż nie ratujecie, nie dajecie jeść? *W.* Ba! łatwoby to było gdyby człowiek miał w zapasie miód, toby tam i nie żałował, bo przecież jest to ich własna praca, i grzechem by było takie użyteczne stworzenie boskie głodem umorzyć, ale pominąwszy to wszystko wiem ja z doświadczenia że pszczoła każdą kroplę miodu, którą jej z wiosny damy, kilkakrotnie wynadgrodzi. Ale i na cóż tam gadanie się zda, kiedy tego miodu nie przybędzie, a kupować, i to jeszcze tam jakiegoś wołoskiego albo węgierskiego,

to rzecz bardzo niebezpieczna! Nieboszczyk mój tatunio miał ze sto pni, ale przyszła na pszczoły taka bieda jak tego roku, nie było własnego miodu i musiał zagranicznego miodu na karmę kupować. Jak wam potem zaczęło wszystko ginąć, to do dwóch lat nie zostało ani pnia. *P.* I jakże myślicie, dla czego cała ta pasieka zginęła. *W.* Bo to uważacie, tak jak nam ludziom zagraniczne jadła i trunki do zdrowia nie służą, tak i pszczołom obcy miód zgubę przyniósł. *P.* Ot bajecie! Ja przecież także nie dzisiejszy, mam także i pasiekę i czytałem różne książki i gazety takie, gdzie o niczem innem nie piszą jak o samych pszczołach. Pisują do tej gazety pasiecznicy z całych Niemiec, jak tylko ktoś coś nowego wymyśli już zaraz podaje do gazety, i wychodzi ta gazeta już kilkanaście lat, to możecie sobie wyobrazić co tam ludzie już nie powymyślali, ledwie człowiek o czem pomyśli, to tam już o tem i zapomnieli. *P.* No kiedy wyście tacy mądrzy, i gadacie żeście tak dużo czytali, to powiedzcie mnie co teraz na głód robić, kiedy miodu niema? *W.* A co robicie z końmi jak się owies nie urodzi i paszy niema? *P.* Ta to prawda że się daje sieczka, grys, siano, ale jak koniowi nie dać owsa to nie wiele on zrobi. *W.* Wprawdzie nie wiele zrobi, ale żyje póki owies się nie urodzi. Tak też i pszczoła, nim drzewa zakwitną i miód z kwiatu będzie, można jej dać cukru zamiast miodu. *P.* A jakże ona go ugryzie? *W.* To bagatela. Cukru białego rozpuścić we wodzie, włożyć do garnuszka czystego, najlepiej do nowego, w którym się jeszcze nic nie gotowało, zagotować nad ogniem i odszumowywać, a gdy się ugotuje do tyle, aby funt cukru razem z wodą nie czynił więcej jak kwartę syropu, niech potem zastygnie, i w potrzebie tak pszczołom dawać. *P.* Ale czy zechce pszczoła go jeść, kiedy nie poczuje, że to miód w korytku, to się do niego nawet nie spuści, a tem mniej żeby chciała przed oczko wyjść. *W.* Trzeba zatem do każdego funta cukru troszeczkę miodu dla zapachu dodać, a jak się już raz przyzwyczai do korytka z cukrem, to i bez miodu go zabierze. *P.* A zkąd że te trochę miodu dla zapachu wziąć? *W.* Tu już wam nic innego nie pomoże, jeno musicie po pniach takich, które jeszcze miód mają, poszukać i tę odrobinę mu odebrać. Może przecież który pień jeszcze tam gdzieś z boku go ma, aby głowy nie otwierać. Chyba żeby już żadnym innym sposobem miodu nie było można dostać, a pszczoły na żaden sposób nie chciały sam cukier brać, toby można od biedy zagłówek oderwać, trochę miodu gdzie z boku nadebrać, aby wielkiej dziury w głowie nie robić, ale zaraz na powrót zagłowek nałożyć, dobrze gliną oblepić i je-

szcze do tego na wierzchu ulu otawy albo mierzwy dobrej położyć, żeby ciepło z ula nie wychodziło. *P.* Jeżeli z wiosny miód się wybiera to łatwo przez to sprowadzić można rabunek a w zimie nie wypada znowu ula otwierać, a to do tego jeszcze z góry. *W.* Dla tego będzie najlepiej taki ul wnieść do chałupy, miód wziąć, wszystko na około dobrze oblepić a potem na dwór wynieść. A gdyby pszczół kilka do okna powylatywało, można okno otworzyć a one same pójdą do ula. *P.* No to dobrze. Dawać byłoby już co; ale jak i którędy go do ula dać, żeby pszczoły mogły najłatwiej do tego cukru się dostać? Bo jeżeli na dworze ciepło a pień silny, to on go zawsze znajdzie. Ale jak pień słaby a do tego zimno, co wtenczas robić? *W.* Na to są różne sposoby, podług tego jakie ule macie, czy proste czy Dzierżony. W prostym ulu najlepiej karmić z góry. Jeżeli mu wywiercacie na środku zagłówka dziurę tej wielkości, aby mały palec się w nią wlazł, potem wziąć flaszeczkę małą z oliwy, nalać do niej gęstego miodu albo cukru, obwinąć otwór czystą, białą szmatką, zawiązać i wsadzić do tego otworu, i uważać: jeżeli pszczoły już to zjedzą, wyjąć tę flaszeczkę i włożyć drugą. Jak karmienie ustanie, zatkać tę dziurę czopem, tak żeby na drugi rok znowu go można wyjąć i wtedy karmić. Można także, jeżeli oczko jest w głowie, albo dość wysoko, karmić w żłóbkach z bzu, wtenczas nalejesz miodu w taki żłobeczek i wsuniesz do oczka, ale tu musisz uważać zaraz czy pszczoły zabierają karmę, bo jeżeli nie, to trzeba: ul wnieść do chałupy, oczko lekko zatkać, a jeżeli pszczoły ożyją, natenczas można mu dać na miseczce od razu z kwartę miodu lub cukru ze spodu, a gdyby nie można miseczki wsunąć, to poderznij trochę woszczynę. A jak pszczoły karmę do głowy zabiorą, wtenczas zalep ul i wystaw na dwór i odetkaj oczko. Ale na miód w miseczce musisz położyć krótko uciętej słomy, ażeby się pszczoły w miodzie nie topiły. Ale najlepiej jest karmić, jeżeli kto ma ule Dzierżona, bo wtenczas tylko wezmę plaster próżny z głowy i wsunę plastr z miodem, a jeżeli nie mam plastrów z miodem, biorę plastr próżny, naleje w komórki rozpuszczanego miodu albo cukru, i wsuwam od razu w głowę, natenczas nie potrzebuję ani pszczół rozruszać i w momencie robota skończona.

Dalsza rozmowa na drugi raz.

Stefko ze Lwowa.

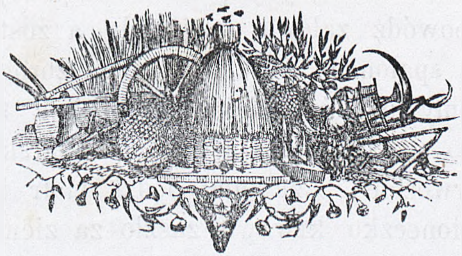
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 11.

11. kwietnia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Obraz Bogarodzicy w Bołszowcach.

Spłoszone ptactwo ze skał ulatuje a pędzi wichrem w jedną stronę, jakby mu groziło wielkie jakieś niebezpieczeństwo. Kracze kruk nad zagrodą, zwołuje braci i leci na krwawe uczty... Bocian porzucił strzechę wieśniaczą, zatoczył koło nad miłą mu starą zagrodą i gniazdem, a na pożegnanie zaklekotał ludziom żałośnie i odleciał za innemi ostatni, wierny a stary przyjaciel... Psy wietrzą w jedną stronę a wyją, że aż mrowiem przechodzi, kładą uszy po sobie, kryją ogony a skomląc szukają bezpiecznego schowku. Bydło ryczy żałośnie a rwie się w oborach i chce lecieć hen w świat daleko...

Dość znaków dla ludzi, aby uchodzili z życiem i w ucieczce szukali schronienia. „Tatarzy! Tatarzy!“ wołają starsi, a na ich słowo, wszystko co żyje, komu życie mile, opuszcza z gołemi rękami swe zagrody i mienie. Kobiety biorą swe niemowlęta na ręce a tuląc je do siebie w ucieczce szukają zbawienia, wyprzedzają młodzież a uchodzą w niedostępne błota, bagna i lasy. Starzy tylko, niemocni i kaleki, których nie ma

unieść komu, zostają w chatach i wraz z niemi stają się pastwą płomieni. Nie ma czasu myśleć o ich ratunku, bo dziki Tatar spada od wschodu gdyby piorun na spokojnych rolników polskich, jak powódź zalewa kraj cały a zostawia po sobie pustynie zasiane spalonemi kośćmi i krwią zbroczone pola.

— Uciekajmy dzieci, uciekajmy, wołają starzy, boć za nami śmierć albo stokroć cięższa niewola tatarska!...

Uchodzą strwożeni, a za nimi pędzi wiatr i krzyki tatarskie, a kiedy słoneczko krwawo zaszło za ziemię, zaświeciły szerokie i dalekie łuny i przyświecają nieszczęsnym w ucieczce. O obronie lub oparciu nikt nie myśli, bo nieprzeliczona dzicz tatarska zalewa jak morze całą okolicę daleko i szeroko...

Jadą szlakiem rycerze polscy, obrońcy wiary i ludu chrześciańskiego. Błyska na nich zbroja i pancerz, a koniki rżą radośnie, a echo pieśni „Bogarodzico Dziewico" odbija się o brzegi Dniestru, i roznosi w około między ukryty ludek ufność i pociechę. Miny rycerzy dziarskie a wesołe, boć to rycerze chrześciańscy i miło im śmierć ponieść w obronie wiary świętej a koniki rzą radośnie, boć to ich czeka harc po tołuwach tatarskich...

Mała gromadka wojowników, lecz walna, a na czele ich jedzie sam pan hetman Kazanowski. Zdjęty politowaniem nad okropnym uciskiem chrześciańskiego ludu, i aby wiernych poddanych swego sioła uchronić od śmierci i łupieży hord tatarskich, zebrał pan hetman na prędce garstkę polskiego wojska a ufny w pomoc Najświętszej Panny śmiało rusza z pieśnią na ustach przeciw Tatarom. A spieszno mu się dzieje, bo nimby się z dalekich okolic zebrała szlachta i przybyła na pomoc, toby już poganin Tatar narobił wiele nieszczęścia, a z łupem i jeńcami wiernych uciekł zkąd przyszedł!

Gdy tedy pan hetman przeprawia się z wojskiem swojem przez Dniestr i gorące do Najświętszej Panny zanosi modły, błagając o pomoc dla ludu wiernego i polskiego oręża, postrzegł pies jego, wierny a nieodstępny przyjaciel, jakieś płótno zwinięte w trąbkę, co płynęło na Dniestrze; skoczył z promu do rzeki, pochwycił je w paszczekę, a wróciwszy z tem do

promu złożył je u nóg swojego pana. Hetman każe rozwinąć owe płótno, i z wielkiem zadziwieniem obaczył na niem piękny obraz Najświętszej Maryi Panny, piastującej na łonie swojem maleńkiego Jezusa, a choć ten obraz płynął po wodzie, cały był suchuteńki. Natchniony duchem boskim każe hetman ten obraz pokazać całemu wojsku i woła:

— Za pomocą tej orędowniczki naszej zgromimy jej nieprzyjaciół!

Wojsko ośmielone tym cudownym wypadkiem, niesie ten obraz jako tarczę nieprzebitą przed sobą z pieśnią „Bogarodzico Dziewico“, uderza śmiało na nieprzeliczone zastępy tatarskie. Gdzie błyśnie miecz polski, tam się potoczy z konia łeb tatarski łypiąc oczami, a miecze polskie z wizerunkiem Najświętszej Panienki, łyskają błyskawicą nad strwożoną hordą tatarską. Nie minęło i trzy „Zdrowaś Marja“ a jużci Tatarzy co uciekać mogą, uciekają, a nie mają czasu ni palić ni rabować, bo Polacy gonią a sypią wały z trupów pohańców...

Tak świetne zwycięztwo nad okrutnymi barbarzyńcami przypisał hetman szczególniejszej pomocy Najświętszej Maryi Panny. Rozkazał więc nad Dniestrem rozpiąć najśliczniejszy namiot, i wystawił w nim obraz znaleziony w Dniestrze, a wojsko całe polskie pada w pokorze przed nim na kolana i dziękuje za łaskę i miłosierdzie. Po skończonej modlitwie niosą ten obraz z największą czcią przed wojskiem, pan hetmanząś, aby ten obraz i w dalszym czasie od całego ludu chrześcjańskiego miał winną cześć i poszanowanie — odddał go i poruczył świątobliwemu zakonowi Karmelitów. To też wystawił dla nich r. p. 1624 w dziedzicznej majętności swojej Bołszowcach z muru kościół pod nazwą zwastowania Najświętszej Maryi Panny i klasztor, uposażył ich hojnie włością Niemczynem i innemi dochodami, a jako dobry i troskliwy ojciec swych wiernych poddanych opasał kościół z klasztorem warownym murem, gdzieby to lud chrześciański w czasie trwogi mógł się schronić z życiem i mieniem pod opieką Najświętszej Maryi w bezpiecznem miejscu.

Taką gadkę opowiadają o obrazie Najświętszej Panny w Bołszowcach.

Stoi do dziś dnia ten kościół na wyniosłem wzgórzu nad rzeką Lipą w cudownie ślicznem położeniu. Murowany z cegły na posadzie z kamieni ciosowych a opasany wraz z klasztorem murami, co by dziś jeszcze służyć mogły za fortecę. W sto lat po jego zbudowaniu, kiedy się począł chylić do upadku, zotał za staraniem arcybiskupa lwowskiego Wacława Sierakowskiego na nowo odbudowany, malowaniem ozdobiony i obdarowany hojnie przez księcia Jabłonowskiego. Dnia 12. Sierpnia 1777 nastąpiło jego poświęcenie przez sufragana xiędza Kryspina Cieszkowskiego i ukoronowanie obrazu z największą okazałością koronami, co je na ten cel przysłał sam ojciec święty Klemens VIII z Rzymu.

Szczęsny z Żółkwi.

Siejba.

Dźwięcznie dzwoni skowróneczek na wiosnę do woli,
Chodzi wieśniak pracowity po włóknistej roli.

W Bogu dajem tobie ziarno, ziemio ukochana,
A wzrost i plon leżą w ręku Niebieskiego Pana.

Gdy On skinie ręką szczodrą, zielenią się łany,
Chyli ciężką głowę swoją las zboża srebrzany.

Siejmy ziarno, by w narodzie hej głodu nie było,
Siejmy także aby w Polsce światło zaświeciło.

Siejmy ziarno prawdy świętej i miłość u siebie,
Aby cnota zajaśniała jak gwiazda na niebie.

Siejmy szkółki w naszej ziemi od włości do włości,
Aby młody ludek zakwitł w prawdzie i jasności,

By zakwitnął, jak zakwitnie kiedyś Polska cała,
Aby urósł w taką sławę, jaką ona miała,

By rozplemił się szeroko, jako w latko zboże
A Ty pomóż nam do tego, Wszechmocny nasz Boże.

Ty nam pomóż, by jaśniała chwała Twa prawdziwa,
By się Polska pocieszyła i była szczęśliwa.

Wincenty z Podkamienia.

Piękne przykłady.

Jan Wlazko, szlachetny kmieć z Piekar.

Będzie już temu trzy tygodnie, kiedy pewien kmieć z Piekar pod Krakowem wracał z Tyńca do domu. Droga mu wypadała przez Wisłę, która jeszcze była wtedy zamarznięta. Człowiek więc ów puścił się na lód, bo mu się na pewno wydawało, że jeszcze jest mocny. Ale jak to bywa pod wiosnę, lód już setnie nadtajał i kiedy biedaczysko szedł po nim, załamał się na największej głębi.

Nieszczęśliwy kmieć zginął już prawie pod wodą, ale jakoś za pomocą Bożą wydostał się na wierzch i chwyciwszy się oboma rękami lodu zaczął wołać o ratunek. Na krzyk tonącego powybiegali z swych chat wieśniacy z Tyńca, ale znać nie było w sercach ich za grosz litości, bo zamiast ratować co tchu nieszczęśliwego, stanęli sobie na brzegu, i poczęli się przypatrywać, jakby na jakie widowisko.

— Na miłość Bożą ratujcie kochani ludzie! — wołał nieszczęśliwy człowiek, a kości mu marzły od zimnej wody i ręce coraz bardziej kostniały.

Ale owi niepoczciwi i zatwardziali ludzie ani się ruszyli z miejsca. Wtedy ów biedny tonący kmieć prosił na Boga żywego, aby mu podali jaką żerdź albo sznura kawałek, aby się wyratował od śmierci — ale i tego nie chcieli zrobić zatwardziali wieśniacy z Tyńca, nie mając ani sumienia ani litości w sercu.

Ano patrzcie, kochani ludkowie, ów nieszczęsny, tonący człowiek przez całe dwie godziny trzymał się lodu i błagał i prosił o pomoc, ale wszystkie zaklinania odbiły się o niegodziwość ludzką, jakby o twardą skałę. I byłby już na pewno utonął nieborak, bo mu ręce strętwiały i osłabły od zimna i znużenia, gdyby Bóg nie nadesłał mu zbawcy.

Oto kmieć z Piekar, Jan Wlazko, usłyszawszy krzyk od Wisły, domyślał się zaraz, że tam jakiś nieszczęśliwy błaga ratunku i co tchu pognał na pomoc, a tak się spieszył zacny ten kmieć, że nawet ubrać się całkowicie nie mógł, jeno bez czapki i w jednym bucie pobiegł ku Wiśle.

Kiedy więc ów Jan Wlazko był już na brzegu, zdybał przewoźnika, Jana Heretyka i mówi mu, aby razem z nim pomógł ratować nieszczęśliwego. Ale ów przewoźnik nie daremnie się nazywał Heretyk, był to całkowity heretyk bez Boga i litości w sercu, bo zamiast pomagać, mówi do Wlazki:

— Owa! poco się tak kwapić, toć tam już nie ma ratunku!...

Tymczasem ów tonący wieśniak jeszcze raz słabym głosem krzyknął i polecił ducha Bogu, bo już dłużej lodu trzymać się nie mógł. Wtedy ów wspaniałomyślny kmieć z Piekar, Jan Wlazko, nie zważając na własne życie, rzucił się na lód, który tak pod nogami mu trzeszczał, jakby się lada chwila miał pod nim załamać — i za pomocą Boga i jego świętych aniołów dostał się do tonącego człowieka, wydźwignął go z wody i wyratował od pewnej śmierci!

Otoż wypisujemy wam nazwisko tego zacnego, litościwego kmiecia z Piekar Jana Wlazki na wieczną pamiątkę, bo wart, aby go każdy poczciwy Polak szanował i kochał za to, że tak miłosierny był dla swego bliźniego i z narażeniem własnego życia od śmierci go uratował!...

Nie minie go za to nagroda Pana Boga, który go tu na ziemi błogosławić będzie i w niebie mu ten czyn zapłaci sowicie!

A owi zatwardziali ludzie z Tyńca, co sobie bezlitośnem okiem patrzali na zgubę swego bliźniego, niechaj się modlą o przebaczenie, aby Bóg nie był w nieszczęściu taki twardy na ich prośby, jakimi oni byli dla nieszczęśliwego tonącego człowieka!

Wojtek ze Smolnicy.

O śledziach.

Pogadanka w chacie Grzegorzowej.

Jak to bywa w poście, Grzegorz kmieć z Wystrzelisk, kupił sobie śledzia i kazał go żonie przyprawić. Kiedy się gospodyni krzątała koło przyprawy, wszedł do chaty w odwiedziny organista z wioski, co był zarazem i nauczycielem. Poczęli sobie tedy rozmawiać i o tem i owem, jak to bywa mię-

dzy znajomymi ludźmi, kiedy naraz Grzegorzowa postawiła na stole śledzia, a Grzegorz zapraszał nauczyciela, aby go także skosztował.

— Dziękuję wam miły Grzegorzu — mówi nauczyciel — prosiłbym raczej o wodę, bo właśnie co dopiero jadłem to samo śledzia u siebie.

— A już to najgorzej — mówi Grzegorz — że po tym śledziu człek wypiłby i całą studnię. Ale zawsze to dobra ryba, a w poście smakowita potrawa. Jeno mi dziw, że śledź wygląda tak jak inne ryby z naszych rzek, a przecież go nie ma u nas jeno jak słyszałem dowożą go w beczkach do naszego kraju. Ciekaw też jestem, gdzie się te śledzie poławiają?

— Co to, to mogę wam dobrze rozpowiedzieć — prawi nauczyciel — bo właśnie o tem wczoraj w książce czytałem. Ciekawe to tam o śledziach stoją rzeczy. Śledź moi mili, poławia się w morzach dalekich, a już to najgęściej w tych, co leżą hen daleko na północ od Polski. A musicie wiedzieć, że śledź to jest ryba wędrowna i przypływa sobie z morza do morza.

— Jak to — pyta Grzegorz — to śledzie nie żyją ciągle na jednem miejscu, jeno pływają z morza do morza?

— A nie inaczej — mówi nauczyciel — wędrują one po morzach w ogromnych hurmach, że aż dziw zbiera o tem czytać. Bo to powiadam wam, śledzi tych płynie po morzu tyle naraz, że i na dwieście mil morze zakrywają. A tak to się jedno drugiego kupy trzyma, jakby nabił, że nieraz przydarza się na morzu, że taka ogromna mnogość tych śledzi płynie, że nawet okręta, jak na nie natrafią, nie mogą ruszyć z miejsca, tylko tak w tych śledziach ugrzęzną, jak gdyby w piasku.

— Ano patrzcie — mówi Grzegorz — toć ich tam musi być moc okrutna!

— A jużciż, że miliony milionów ich razem pływa — prawi dalej nauczyciel — a że to jeden obok drugiego, jakby zaklinował — więc też ociera się z nich łuska, a ta łuska spływając na wierzch morza, tak wygląda jakby morze całemi milami było srebrem posypane. Kiedy morze spokojne i jest pogoda, to śledzie płyną z wierzchu i błyszczą się z daleka, zaś w chmurny dzień to płyną głębiej pod wodą i poznać ich

tylko po smrodzie, który z siebie daleko do koła wydają. W nocy zaś płyną te śledzie do góry brzuchem a wtedy tak się błyszczą, że ludziom, co ich z daleka widzą z okrętów na morzu, zdaje się wyraźnie, jak gdyby morze gorzało.

— Proszę was, panie nauczycielu — odezwał się zdziwiony Grzegorz — zkąd się tam tego tyle bierze, toć je przecież, jak słyszałem, po całym świecie rozwożą, a w mieście widziałem w sklepie takie duże beczki ze śledziami, jak pół chałupy!

— Nic dziwnego — mówi nauczyciel — niezmierną moc śledzi zjadają ludzie na całym świecie, a jeszcze daleko więcej pożerają ich w morzu inne wielkie ryby, ale musicie wiedzić, że śledzie rozpładzają się w okrutny sposób. Z jednego śledzia zrodzi się w jednym roku 70 tysięcy młodych śledzi, bo każda samica śledzia, czyli ikrzak, kładzie tyle jaj w morzu, a z tych jaj wylęga się potem znowu niezmiernie dużo nowych śledzi, tak że ta ryba nigdyby nie wyginęła.

— Powiedzcież mi teraz — pyta dalej Grzegorz — jak ich to ci rybacy łowią — boć to na otwartem morzu podobno trudno.

— Śledzie — mówi pan nauczyciel — kiedy mają składać jaja, podpływają pod brzegi i wtedy ich z łatwością w okrutnej mnogości nałapać można. Jeżeli są blizko brzegu, to rybacy łowią ich zaraz z brzegu sieciami, a jak dalej, to podpływają do nich na dużych czółnach. Siecie te są takie wielkie, żeby niemi zakrył nieraz tysiąc sążni, i niemi to poławiają się śledzie. Łatwo to sobie wystawić, że jak taką siecią zagarnąć, to się setnie nabierze ryb. Nieraz na jednem miejscu tyle nałapią śledzi, że niemi 100 okrętów, a każdy z nich większy może niż wasza chata, ładują od dołu do góry. Wiecie, że jeden miljon znaczy tyle co tysiąc tysięcy, otóż nieraz rybacy z jednego tylko miasta 150 miljonów śledzi nałowią!

— Jezu Chryste — zawołał Grzegorz — tać to się aż głowa kręci od takiej niezmiernej sumy!

— Ano widzicie — prawi pan nauczyciel — ale też potem te śledzie po calusienkim świecie rozwożą, a zawsze to nie tak droga ryba.

— A z czego to te śledzie takie słone — pyta się dalej Grzegorz — przecież one z natury takie być nie mogą?

— Ma się wiedzieć, że nie — odpowiada pan nauczyciel — ale ich rybacy tak solą, aby się nie psuły i aby je można na długi czas zachować i w dalekie kraje rozsełać. Robią oni to w taki sposób: Skoro nałowią śledzi, zaraz im wyrzynają gardło, jak to widzicie na tym śledziu, co go jecie, wyciągają z nich jelita, płuczą w wodzie a potem solą. Na to solenie jest znowu wykopana wielka jama w ziemi, a w tej jamie jest woda z solą tak gęsto zmięszana, aby po niej jajo mogło pływać. Owoż w tę jamę sypią się świeże śledzie, i tam leżą przez piętnaście godzin, a potem pakuje się je do beczki i przysypuje się solą. Później kiedy ich już w świat rozsełać mają, to znowu ich drugi raz solą i tak ciasno w beczki nabijają, że jak z początku było czternaście beczek, to się z nich teraz robi tylko dziesięć. Zaś z kiszek śledzi, co je zaraz z początku wyciągają, robi się tłustość taka, co się zwie tran. Najwięcej i najlepszych śledzi rozsyła po świecie kraj, co się zwie Holandya, a leży od nas na północ. Dla tego też najlepsze śledzie zwią się holenderskie.

— Aha! — bądź zdrów holenderski śledziu! — zawołał śmiejąc się Grzegorz, bo już zjadł całego śledzia i chlebem wytarł miskę tak czysto, że się aż świeciła. Ale żart na bok, dziękuję wam bardzo pięknie, panie nauczycielu, żeście mi tę ciekawą historyę o śledziach opowiedzieli, bo to o wszystkiem zda się wiedzieć.

Zaraz też wstał pan nauczyciel i wyszedł razem z Grzegorzem z chaty, bo Grzegorz spieszył się do roboty, a pan nauczyciel do szkoły.

Wojtek ze Smolnicy.

Złote wesela.

List Łukasza z pod Kulikowa do Wojtka ze Smolnicy.

Kochany Wojciechu! Już miesiąc może temu, kiedy przejeżdżałem przez wieś Kłodno wielkie, co leży niedaleko Kulikowa — i widziałem tam takie piękne rzeczy, że zaraz umyśliłem sobie, donieść wam o tem do Dzwonka. Ale jak to bywa

zawsze przy gospodarstwie, człek nie tak łatwo zabrać się może do pióra, bo mu zawsze jakaś pilna robota czeka za plecyma.

Ale już teraz dłużej nie odkładam, jeno wam ten list tu spisuję, bo szkoda by było, aby inni poczciwi ludzie i czytelnicy Dzwonka nie wiedzieli o tem, co się działo w Kłodnie podczas mego przejazdu.

Otoż jechałem sobie koło parafialnego kościoła i patrzę a tu się ludzie roją, jakby w święto i słychać spiewy nabożne rozmaite. Zdybałem właśnie jakiegoś kmiecia, co biegł także co tchu do kościoła i pytam:

— A co to dzisiaj za uroczystość, że w kościele takie uroczyste nabożeństwo?

— Oho człowieku — odpowiada mi kmieć — dziś u nas tak, jakby wielkie święto, bo się odbywa uroczystość bardzo rzadka. Bo to widzicie żyją u nas we wsi dwie pary staruszków, małżeństwa, co już 50 lat temu minęło, jak się pobrały. Otóż musicie wiedzieć, że teraz odprawiają się ich złote wesela, które nasz ksiądz proboszcz Kowalski sprawia na dobry przykład wszystkim innym poczciwym ludziom.

— A kiedy tak — powiedziałem — to już ja muszę także zobaczyć tę uroczystość i tych staruszków, którym pan Bóg dozwolił dożyć 50 lat w dobrem i przykładnem małżeństwie!

I zlazłszy z woza poszedłem razem z kmieciem do kościoła. A właśnie teraz wprowadzali obie pary do świątyni, aby je przed ołtarzem powtórnym ślubem połączyć. Patrzę, a tu idzie cała processja, a taki to był nabożny i piękny widok, że człowiekowi jakoś serce lubo zapukało... Bo to najprzód szło 4 księży i trzech kleryków, w kapłańskie szaty przyodzianych, a za nimi znowu w parach, gdyby wojacy, dreptały dziatki szkolne z pięknemi bukietami z kwiatów w ręku — a potem szło dwie pary staruszków jak gołąbki siwych, pięknie przystrojonych. Byli to właśnie ci staruszkowie, co obchodzili złote wesela, a zwali się Michał i Teresa Juszczyszyny i Kazimierz i Marja Patynkowie. A koło tych staruszków szły ich dzieci, wnuki i prawnuki, a za nimi gromada kłodnicka i ludzi z innych wsi jak maku.

— Miły Boże! — myślę sobie — co to za dzień radośny musi być dla tych staruszków, kiedy po pięćdziesięciu latach po pierwszym ślubie, po takiem długiem życiu w zacności idą znowu w pośród swych synów i wnuków do ołtarza, aby święty ślub małżeństwa znowu po raz drugi odprawić. Jaki to piękny przykład dla wszystkich mężów i żon!

Przed samym kościołem zatrzymał się xiądz proboszcz i miał do staruszków piękną przemowę, tak że się ludzie popłakali a i mnie się jakoś łza w oku zakręciła. W tej mowie swojej błogosławił xiądz Kowalski obom parom i stawił je za przykład dla innych, aby każde małżeństwo w pobożności i uczciwości żyło ze sobą i aby kiedyś także mogło obchodzić taką piękną uroczystość.

Potem wprowadzili księża staruszków do kościoła i tu odmówili nad niemi modlitwy i odnowili ich ślub małżeński, który obie te pary dochowały wiernie i poczciwie przez półsetek lat. Zaś potem dał xiądz proboszcz obom parom piękne laski z złoconemi krzyżykami, a to na ten znak, że pan Bóg w nagrodę za ich zacne życie w świętym stanie małżeńskim użyczy im swej łaski i podpory na stare lata. Potem znowu odprawili xięża sumę, a po sumie rozdali między lud dużo obrazków na pamiątkę tych złotych wesel, a na każdym takim obrazku wypisane były imiona i nazwiska staruszków i rok kiedy się urodzili i pobrali.

Tymczasem kiedy się to działo w kościele państwo z Kłodna postarali się o to, aby staruszkom w ich chatach wyprawić gody. Poprzysełali więc mnóstwo smakowitego jadła i napoju i poprzystrajali pięknie chaty, a gdy staruszkowie wrócili do domu, zdziwili się ogromnie, gdy naraz taką obfitość wszystkiego znalezli u siebie. Wtedy rozpoczęły się gody weselne, na których nietylko gromada kłodnicka ale i ludzie z innych wsi wraz z xiężmi w uczciwości się zabawiali. Daj Boże, aby nasze wszystkie małżeństwa tak pięknie z sobą żyli i takiego błogosławieństwa Bożego się doczękali!

A teraz pozdrawiam was serdecznie.

Wasz kum i przyjaciel!

Łukasz z Kulikowa.

Cudowny skutek modlitwy.

Legenda.

W starym Krakowie, gdzie to jak w Rzymie domów Bożych pełno, stoi piękny kościół św. Katarzyny, fundacyi jeszcze króla chłopków, Kazimierza Wielkiego, który że już ze starości znacznie nachylał się do ziemi — nie dawnemi czasy ze składek narodu odbudowano. Na murze krużganku tego kościoła jest obraz Pana Jezusa miłosiernego. Dał go wymalować Izajasz Boner, mąż wielce uczony i świątobliwy zakonnik, po śmierci policzony w szereg błogosławionych i świętych patronów polskich. Obraz ten wsławiony jest mnogiemi cudami a między innymi opowiadają o nim taką legendę.

Kawał drogi od Krakowa leży miasteczko Wieliczka, sławne skarbami soli, jakie się tam znajdują, nie tylko w Polsce ale i w całym świecie. Tam przebywał górnik, który się trudnił wykopywaniem soli. Był to człowiek wprawdzie ubogi ale uczciwy, pracowity i nabożny. Szczególnie miał on nabożeństwo do owego obrazu na murze, a ilekroć przybył do Krakowa, nie zaniechał pomodlić się szczerze przed Jezusem miłosiernym, dając ofiarę, na jaką go stało, najczęściej dwie świece do ołtarza. Ale Bóg wszechmocny chciał okazać łaskę swoją i opiekę tym, którzy w Nim ufają, imienia Jego wzywają i przykazania święte strzegą.

Stało się, że gdy raz kopał pod ziemią, urwała się wielka bryła soli i zasypała go w szybie. Niemożebny był prędki ratunek i wszyscy myśleli, że zginął. Żona górnika, także uczciwa i pobożna kobieta, opłakawszy gorzko swego męża, chodziła czerpać osłodę i pociechę w żalu swym tam, zkąd i mąż jej pocieszony odchodził i modliła się gorąco przed wizerunkiem Chrystusa miłosierdzia. Aż oto później, inni górnicy kopiąc na tem samem miejscu, na którem tamten nieszczęśliwy żywcem pogrzebany został, usłyszeli głos z pod ziemi.

Przestraszeni bieżą do ojca Bernadyna, który kopalniami Wieliczki zarządzał i opowiadają mu dziwny wypadek. Ten zalecił dalsze kopanie i po niejakim czasie wygrzebano owego dawno zasypanego górnika żywego i całkiem zdrowego.

Na wieść o tem wielkie się stało zbiegowisko ludzi, a górnik jął im opowiadać, jak przez długi czas pod ziemią siedział, jak ciągle obraz miał przed oczyma wraz z ołtarzem, przed którym dwie świece zawsze się paliły, jak codziennie znajdywał na ołtarzu bochenek chleba na pożywienie.

Cud ten, przyszedłszy do Krakowa, zaprzysiągł a wraz z nim wielu innych, którzy się na to własnemi oczyma patrzali, i dotąd jeszcze rozpowiadają o nim ludzie w Krakowie a i w papierach klasztornych o tem czytać można.

Otóż widzicie — kochani ludkowie — skutek szczerej modlitwy, odmawianej z wiarą i ufnością nietylko ustami ale i żywionej w sercu, przepełnionem miłością stwórcy swego, i dowód że kto w Bogu pokłada nadzieję, tego On nie opuszcza, jak to prześlicznie mówi święta pieśń nasza:

Słuchaj, co mówi Pan: kto mię miluje.
A ze mną sobie szczerze postępuje,
Ja go też także w jego każdą trwogę
Nie zapamiętam i owszem wspomogę.

Wincenty z Podkamienia.

Jeszcze o pszczołach.

Dalsza rozmowa Walentego z Piotrem.

Piotr. Jużeście mi zeszłym razem na rozum wyłożyli, czem i jak karmić, ale powiedzcie mi, dla czego memu ojcu cała pasieka z zagranicznego miodu zginęła?

Walenty. Przyczyna tego niekoniecznie pochodzi od miodu zagranicznego, bo i od naszego własnego miodu może pasieka wyginąć, jeżeli miód pochodzi z pni chorobliwych.

Piotr. Tegobym się nie spodziewał, że i pszczoły chorują, coż to za choroba taka?

Walenty. Ta choroba nazywa się „zgniliec czerwu“ a dla tego tak się nazywa, bo pszczoła sama wprawdzie zdrowa, ale czerw, to jest ten robaczek biały, który się w komórkach woskowych wychowuje, i który za 21 dni, rachując czas od jajka, w pszczołę się obróci, ten robaczek zaumrze i przechodzi

w zgniliznę. Przez to pszczoły się pomnożyć nie mogą i pień w krótkim czasie zginie, a miód zwykle zostawia, bo niema go komu zjeść.

Piotr. A ha! a ludzie pewnie tym pozostałym miodem inne pnie karmią i sprzedają, i tak nietylko u siebie tę słabość rozpowszechnią ale i po całym kraju.

Walenty. Nie inaczej. Ale nie dość na tem, żeby miodem takim nie karmić, ale trzeba i wszystko co do tego chorego ula należało, i sam nawet ul spalić. Bo jeżelibyś kiedy rój do tego ula wsadził albo pszczoły inne do niego zalatywały, jak to się często trafia, to pozanoszą chorobę do innych pni, a rój w takim ulu z pewnością zginie. Bo to jest choroba strasznie zaraźliwa, niech was Bóg broni od takiego nieszczęścia!

Piotr. A tożeście mi strachu napędzili, aż mię mrowię przeszło. Bo ja karmił do tego czasu zawsze miodem z pni spadłych i sprzedawałem jeszcze sąsiadom na karmę. Czy nie możnaby jakoś tę chorobę poznać, żeby człowiek na drugi raz mógł się tego wystrzegać?

Walenty. Jeżeli trzymasz pszczoły w ulach Dzierżona, to bardzo łatwo, bo nie potrzebujesz tylko wyciągnąć plastry i zaraz zobaczysz jaki tam czerw. Jeżeli w miejscu, gdzie się powinien czerw znajdywać, t. j. poniżej miodu znajdziesz komórki zakryte, a we środku tych dziureczki małe jakby od szpilki, a gdy się taka komórka odkryje, a na dnie będzie masa brunatna, ciągnąca się — będzie to znakiem zgnilcu; a czem więcej takich komórek będzie, tem ci gorzej. W prostym zaś ulu, nie poznasz inaczej chyba, jeżeli usłyszysz z ula smród podobny do tego z ścierwa a pszczoły leniwo w pole idą, i coraz ich mniej będzie w ulu Dla tego jeżeli ci jaki pień w zimie lub z wiosny zginie a miód zostanie, to nie używaj miodu pierwej do karmy, dopóki nie przeglądniesz całej woszczyny i przekonasz się, że pień był zdrów, bo czasem pszczoły, osobliwie w leżakach, giną z głodu po jednej stronie, kiedy po drugiej stronie jeszcze dużo miodu zostaje.

Piotr. Coż by to za przyczyna była?

Walenty. To pochodzi ztąd, że pszczoły w leżaku zwykle w środku koło oczka zimują, i coraz dalej za miodem w jedną

stronę się posuwają. Gdy zaś po tej stronie miód zjedzą, a na dworze mróz ciśnie, nie mogą przeto udać się w drugą stronę, i tu giną a miód po drugiej stronie zostaje. Dla tego w ulach Dzierżona po nad plastrami zostawia się szparka ćwierć calowa, ażeby pszczoły górą mogły i w zimie na drugą stronę do miodu się dostać.

Piotr. Niech wam Bóg da zdrowie za naukę, może człowiek tam i jakiś pniaczek uratuje, ale prosiłbym was jeszcze, czybyście mi nie mogli co powiedzieć o ulach Dzierżona, o których często spominacie, że w nich tak łatwo wszystko się robi?

Walenty. O tem by trzeba dużo gadać, a ja muszę iść posłuchać, czy moje pszczoły żyją, bo to już mój taki zwyczaj, że w zimie i z wiosny póki pożytku jeszcze nie ma, przysłuchuję się im co dzień, a jeżeli który tam już mało brzęczy, albo i przestanie całkiem gadać, wnoszę go zaraz do chałupy, otwieram, wygartuję dobrze śmiecie ze spodu i stawiam do góry dnem, ponalewam pomiędzy plastry letniego miodu, a jak go ciepło izbowe ogarnie, zwykle przychodzi do siebie, wtenczas usuwam plastr miodu, i stawiam do komory gdzie pozostaje póki nie pociepleje, kiedy go można na dwór wynieść.

Jeżeli kiedyś znów się zejdziemy, pogadamy i o ulach Dzierżona, a teraz bywajcie zdrowi.

Piotr. Niech Bóg prowadzi. *Stefko ze Lwowa.*

RÓŻNOŚCI.

Zaraza. W Petersburgu, co to jest stolicą moskiewskiego kraju, gdzie car moskiewski mieszka, wybuchła zaraza na ludzi. Bardzo wiele tam ludu już wymarło, a co najgorsza, to to, że lekarze sami nie wiedzą, co to jest za choroba, bo dotąd się jeszcze między ludźmi nie przydarzała. W Petersburgu strach wielki, bo ludzie giną bardzo a rady na to dobrej nie ma. Dla tego też pisali z Petersburga do rozmaitych krajów, aby tam posłać mądrych doktorów, coby tę chorobę dokumentnie rozpoznali i jaką radę na nią wymyśleli. Zaraz ci też wyjechali z Anglji, Francji i z Niemiec a z Polski także lekarze do tego Petersburga. Ze Lwowa pojechało też dwóch doktorów dobrych, aby tam poratować swoją radą. A czego najbardziej inne kraje się obawiały, to tego, aby ta choroba nie przeszła także do nich, ale za łaską Bożą nie ma w tem

żadnego strachu, bo pisali już z Moskwy na pewno, że choroba ta nie rusza się z Petersburga, jeno tam się sroży, a za Petersburg ani na bok się nie puszcza Więc też nie ma i obawy, aby się gdzie indziej pokazała. Zaś powstała ta choroba w Petersburgu najbardziej z niechlujstwa i opilstwa, bo lud moskiewski strasznie nałogowy na trunki rozmaite a już najbardziej na gorzałkę. Widzicie więc, kochani ludzie, jak ta wódka przeróżne nieszczęścia i straszne klęski przynosi!

We Lwowie dobrzy panowie, uczeni i profesorowie, wiele dobrego zrobili dla nauki czeladzi, za co im niech pan Bóg zapłaci. Oto ogłosili oni, że o tej a o tej godzinie w każdą niedzielę i święto czytać będą o rozmaitych ciekawych rzeczach i naukach, a komu się żywnie podoba, może przyjść i słuchać bezpłatnie. To też w każdą niedzielę i każde święto po południu garnęła się czeladź i rzemieślnicy do sali ratuszowej, a tam ci łaskawi panowie profesorowie czytali im prześliczne rzeczy z rozmaitych nauk, o których każdemu człowiekowi wiedzieć potrzeba i należy. Więc też zamiast hulać po szynkach, to lwowscy czeladnicy spędzili na nauce czas świąteczny przez całe zapusty i przez post, a teraz każdy z nich dwa razy już mądrzejszy niż był przed tem. Piękny to przykład i dla was kochani ludkowie abyście korzystali z dobrej woli tych ludzi, co was chcą pouczyć o świecie i co jest na świecie, dla tego też zamiast w niedzielę i święta cały boży dzień przesiedzieć w dusznem i śmierdzącem karczmisku, powinniście spędzać czas na dobrem czytaniu i rozumnych pogadankach, a przecież w każdej wsi znajdzie się taki dobry człowiek, czy to xiądz proboszcz czy nauczyciel, co wam albo książki pożyczy albo na takiej pogadance rad opowiadać albo czytać będzie o przeróżnych pouczających rzeczach. Do nauki jak do wszystkiego jeno dobrej woli i pilności potrzeba — a Bóg dopomoże.

Chrystus zmartwychwstał!

Niebawem wszystkie dzwony w świątyniach ogłoszą wam, mili bracia, zmartwychwstanie pańskie, toć i nasz Dwoneczek papierowy dodaje swój głos serdeczny na rozsławienie wielkiego święta zmartwychwstania! Jest zwyczaj na naszej ukochanej polskiej ziemi, że w dzień tej świętej pamiątki składają sobie życzenia wszyscy krewni, przyjaciele i znajomi, dzieląc się po staropolskim obyczaju jajem święconem. Toż i Dzwonek, wasz dawny i szczery przyjaciel spieszy z życzeniem serdecznem do waszych chatek: Oby razem z powstającym z grobu Zbawicielem zmartwychwstały w naszej ojczyźnie dawne cnoty, oby zakwitła szczęściem i dobrą dolą od końca do końca! Niechaj przepadnie wszelkie licho i wszelka złość ludzka, którą daj nam Zbawicielu nasz święty pokonać tak szczęśliwie, jak Ty ją pokonałeś! Wesołych świąt najdrożsi bracia!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 12.

21. kwietnia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skarb święty w roli.

Chwalebny to zwyczaj przodków naszych, pospieszać na odpusty do miejsc cudownych, których tak wiele w naszym kraju. Bóg najdobrotliwszy w sprawiedliwości swojej uposażył nas hojnie miejscami z łask słynącemi. Widać że nas kocha, kiedy mu tak miło między nami. Tam to znękany człowiek znajdzie z pewnością pociechę i pokrzepienie u nóg Zbawiciela. Matka ofiaruje tu dziecię swoje opiece Panny Przenajświętszej, aby za jej łaską rosło na jej pociechę i na pożytek ludziom. Tu bogacz jak ubogi nędzarz znajdą też miejsce, gdyż każdy jest dłużnikiem sprawiedliwości boskiej.

Zeszłego roku wybrałem ci się i ja dawnym zwyczajem na odpust do Sąsiadowic. Kiedy strudzony podróżą pod skwarnem słońcem lipcowem doszedłem do lasku o milkę od Sąsiadowic odległego i w cieniu sobie miło odpocząłem, dochodzą do uszu moich spiewy nabożne. Pomyślałem, musi to być jakaś nabożna kompania, co się gdzieś zebrała, i razem z pieśnią na ustach zdąża toż samo do Sąsiadowic. Ujrzałem

nie zadługo procesyę liczną mieszczan z Starego miasta, co to słyną w całej okolicy jako pobożni katolicy i dobrzy Polacy.

Z radością przyłączyłem się do tej procesyi i nuż spiewam z nimi razem pieśni o Panu Jezusie i Matce Najświętszej z całej duszy i z całej piersi a tak mi było lekko, tak błogo jak nigdy. Już się słońce dobrze zniżyło ku zachodowi, kiedyśmy wyszli z boru i ujrzeli na pochyłym wzgórku klasztor xięży Karmelitów z cudownym obrazem. Pokłoniły się chorągwie nasze a pieśń nowa zagrzmiała z piersi naszych, że się Pan Jezus w niebie radować musiał z tej pobożnej drużyny, a z pewnością na nasze wspólne wołanie, rozżali się nad nami i ulży nam cokolwiek ciężaru, co go włożył na słabe barki nasze. Xiądz proboszcz tamtejszy czekał już z procesyą na nas i wprowadził nas przy odgłosie dzwonów do kościoła, a po krótkiej modlitwie czule i serdecznie powitał nas jako swych braci w Chrystusie. Kiedym wyszedł z kościoła, cóż to za radość ujrzeć tyle ludu pobożnego i z dala i z bliska, których jedno uczucie i intencya w to miejsce przywiodła. Jak roje pszczół oblęgli pobożni całe to cudowne wzgórze. Rusin i Polak, bogacz i ubogi, wszyscy tu w zgodzie i miłości jak dziatwa jednego ojca. Kiedy tak chodzę jak między bracią a rozmawiam jak z dawnymi znajomymi, aż tu jak nie zagra muzyka kościelna z ganku prześliczną piosnkę „Dobra noc Jezu kochany,“ a tu jak nie zawtorują wszystkich piersi, a głos tak rzewny a tak się zlewa w cudną muzykę, jak tego i uczone spiewaki nigdy nie dokażą.

Kiedy się już zmierzchło, zabierali się strudzeni długą drogą pielgrzymi do spoczynku, a choć to mieszkańcy Sąsiadowic gościnnie otwierali swoje domy i stodoły z sianem dla pielgrzymów, nie bardzo się tam wszyscy kwapili, boć to noc pogodna a ciepła, toć i pod gołem niebem miły spoczynek, a najmilszy w pobliżu i pod opieką cudownego obrazu. Przysiadłem się i ja do większej kupki staromieszczan jakby jaki ich dawny znajomy i nuż rozmawiać z nimi o rzeczach świętych, kiedy to nie zagadnie mię najstarszy z nich wiekiem starowina, siwy jak gołąb a krzepki na duchu i ciele jakby młodzian jaki.

— A znacie wy historyę tego obrazu cudownego, coście go znać z daleka przyszli uwielbiać?

— O z daleka przyszedłem boć to i daleko i głośno o tym cudownym obrazie, ale historyi jego nie znam, jeźli zaś łaska wasza i wola dobra, opowiedzcie mi.

— Bóg wam użyczy zdrowia i lat długich, kiedy nie żałujecie trudu dla chwały Boskiej. Siwa głowa moja i wiek nie mały a nigdy jeszcze od czasu, kiedy to chłopięciem jeszcze przybyłem po raz pierwszy na to miejsce, nie opuściłem tego odpustu. Matka cudowna sprawiła, że mi nigdy jeszcze słabość w tem nie przeszkodziła, i dziś choć młodsi odemnie nie zdążają tu przyjść piechotą, mnie lekka ta podróż.

Kiedy ci, co byli bliżej, dosłyszeli, że starowina będzie opowiadał historyę obrazu cudownego, przybliżyli się do nas, a za nimi drudzy i wiełka się już zebrała gromadka, wtedy zaczął starowina donośnym głosem swe opowiadanie.

— Sąsiadowice, majętność to niegdyś była pamięci godnego domu Herburtów, nieobfita w zamożność ale prawość i nabożność. Podobało się Panu Bogu, to skromne siedlisko rozgłosić do koła. Dawno to, dawno, boć jeszcze r. p. 1589 pobożny rolnik tutejszy nazwiskiem Szwaja, prując to wzgórze lemieszem wyorał trzy figurki rznięte z drzewa lipowego. Widok tej rzeźby mocno go zajął. Wziął je do rąk a przez boskie natchnienie rozpoznał w niej wizerunek najdroższych dla każdego chrześcianina osób; po prawej stronie figurkę św. Anny, po lewej zaś Matki Najświętszej, a w pośrodku mała dziecina tuląca się do obojga niewiast, Pan Jezus malutki. W tem przekonaniu pospieszył do swego proboszcza, i złożył ten święty skarb z roli wydobyty w kościele parafialnym w Sąsiadowicach, pod wezwaniem św. Mikołaja biskupa i wyznawcy. Lecz nagle ta święta rodzina znikła cudownym sposobem a nazajutrz znowu znalezioną została na dawnem miejscu swego upodobania. Gdy się o tem lud Boży dowiedział, zebrał się tamże gromadnie, a upatrując w tem zjawisku rękę opatrzności, doniósł o tem nadzwyczajnem zdarzeniu panu swemu. Feliks z Fulsztyna Herburt, starosta Mościcki, dziedzic Sąsiadowic, zrozumiał to zrządzenie niebios. Kazał więc natychmiast ze

swojej wsi Głęboka zwanej przenieść nowiuteńką skrzynię na to miejsce objawienia, ubrał ją wewnątz dywanami, wzniósł ołtarz i postawił na nim ową rzeźbioną rodzinę świętą. Że zaś na rzeźbie onej upatrzono po prawej stronie wizerunek św. Anny, a pod tenczas już istniały w kościele katolickim obrazy św. Anny Samotrzeciej, ztąd tę kaplicę nazwano kaplicą św. Anny, a rzeźbę obrazem św. Anny. Odtąd co dzień wzmagała się cudami sława ubożuchnej kaplicy, do której z dalekich stron garnął się lud wierny i doznawał szczególnej łaski w swym niedostatku i utrapieniu. Cuda, jakie się tam działy, spowodowały wspaniałomyślnego dziedzica, iż postanowił tamże zbudować klasztor z kościołem. Już w roku 1591 stanął piękny murowany kościół a że natenczas przez przeniesienie xiędza biskupa Wawrzyńca Goślickiego do Poznania stolica biskupia przemyska była opróżniona, to też poświęcał ten kościół xiądz Dymitr Solikowski biskup lwowski. Ołtarz wielki w tym kościele jest na tem samem miejscu, gdzie wyorano ową rzeźbę świętej rodziny, którą to rzeźbę przymocowano do złoconej deski, tak wielkiej jak arkusz papieru, ujętej w złote ramy, i umieszczono w wielkim ołtarzu, a której to rzeźby zasłoną jest obraz św. Anny na płótnie malowany.

Dopiero dnia 29. lipca 1603 zezwolił xiądz Maciej Pstrokoński, biskup lwowski, aby ten klasztor zajęli xięża Karmelici, których z Krakowa sprowadził. Od tego to czasu sprawują xięża Karmelici swoje prace duchowne w tem miejscu i słowem i czynem wskazują ludowi drogę do szczęśliwości wiecznej. Xięża Karmelici, aby się ubezpieczyć przed napadami Tatarów, otoczyli to miejsce święte murem i wałem i wyjednali od stolicy Apostolskiej odpusty zupełne. Klasztor ten jest najdawniejszym klasztorem na całej Rusi Czerwonej.

Na tem skończył starzec swe opowiadanie a myśmy mu serdecznie za nie podziękowali. Miły był nasz spoczynek, jak miło było duszy w pobliżu tego miejsca cudownego.

Szczęsny z Żółkwi.

Młodym i starym nauka.

Ułożył Juliusz Ligoń,
majster kowalski w Zawadzkiem.

1. Dla młodych.

Młodzi mówią sobie: trza używać świata,
Póki jeszcze młode służą nam tu lata.
Aleć to przysłowie jest wielce fałszywe,
Ono dusze młodych czyni nieszczęśliwe,
Przetoż się trzymajmy przysłowia innego,
Które to pochodzi od Boga samego,
To jest: czyńcie dobrze, dopóki dnia macie,
Bo jak noc nadejdzie, już nic nie wskóracie.
Posłuchajmy dalej słów Pawła świętego,
„Bracia obleczcie się w człowieka nowego.“
Jako we dnie chodźcie, w wszelkiej uczciwości,
Nie w tańcach, pijaństwach i niewstydliwości.
Lecz niektórzy mówią, że też i muzyka,
Stworzona od Boga, dla uciechy człeka!
Lecz i usta nasze od Boga pochodzą,
A jednak nie zawsze dobry owoc rodzą.
Kiedy ich na chwałę Bożą używamy,
To dobrą zapłatę za to otrzymamy.
Ale kiedy niemi Boga obrażamy,
Bliźnich obmawiamy, albo przeklinamy,
Toć nie dostąpimy za to nic innego,
Jak tylko zapłatę karania wiecznego.
Tak też to podobno z muzyką się dzieje,
Ona więcej złego, jak dobrego sieje.
Ona przyjaciółką jest dusznego wroga,
Bo w karczmie na tańcach nie ma w sercach Boga.
Otóż moi mili, którzy młode lata,
Trawicie w marnościach doczesnego świata,
Wspomnijcie że ten świat wszystkich was oszydzi,
A że Boskie oko wszędy nas tu widzi.
A że ci najbliżsi niebieskiemu progu,
Którzy od młodości służą Panu Bogu.

2. Dla małżeństwa i rodziców.

Mąż i żona w życiu różne smutki mają,
Które ich tak jak mgła często otaczają.

Ale jak te wołki, co w jesieni zboże,
Ciągną do stodoły, oba w jednej porze,
Tak też mąż i żona mają razem robić,
Do biedy i szczęścia razem się sposobić.
Lecz jakże to teraz małżonkowie żyją?
Niektórzy po ślubie zaraz się pobiją.
Przysięgają miłość w obec Pana Boga ,
A ledwo wystąpią z kościelnego proga,
A już tę przysięgę nogami zdeptają,
Przez co Pana Boga wielce obrażają.
W niektórem małżeństwie jest winniejsza żona,
Wciąż na męża kracze, jak ta czarna wrona,
Choć mu posłuszeństwo przed tem ślubowała,
Toby potem rada nad nim panowała.
A niektóry zaś mąż jest przyczyną złego,
On często nieszczęściem dla domu całego.
Nie dość że on często zarobek przepije,
To jak z karczmy wróci, jeszcze żonę bije.
Lecz Pan Bóg uczyni w końcu rozłączenie,
Dobrych da do nieba, złych na potępienie.
Zaś ojcowie mają od złego zasłaniać
Dziatki, a z małości do Boga nakłaniać,
Lecz jakże się dzieje w teraźniejszym wieku,
Tak że rozważnemu żal się robi człeku!
Bo ojcowie lepiej o bydełko dbają,
Jak o dusze dziatek, co od Boga mają!...
Gdy wieczór przypadkiem bydlę z chlewa ujdzie,
To z bojaźnią mówią, gdzie ono też będzie,
I zaraz tak długo oba go szukają,
Dopóki napowrót w domu go nie mają,
Ale kiedy dziecko z domu się oddala,
A w nocnych bezprawiach w karczmie się gdzieś kala.
To wtenczas spokojnie sobie zasypiają,
Lub tam gdzie z kmotrami wódkę zapijają.
O! na takich ojców strach wielki nadejdzie,
Kiedy Bóg dusz dziatek domagać się będzie!

3. Dla starych.

Zimna śmierć potrząsa człowiekiem w starości,
Że to nieboraka aże bolą kości.
Lecz który staruszek przez wiek życia swego,
Nagromadził dosyć uczynku dobrego,

Temu śmrerć okrutna krzywdy nie uczyni,
Tylko jego życie w lepsze mu zamieni,
A jak kwiatki, co grób jego otaczają,
Zaś po zimie kwitną i woń wydają.
Tak też ciało jego z duszą się znów złączy,
W niebie kwitnąć będzie jak kwiat woniejący.
Lecz niejeden starzec w swym ostatnim czasie,
Jeszcze jest podobny owym sosnom w lesie.
Które choć po wierzchu śniegiem pobielone,
To pod śniegiem jednak zostają zielone.
Tak on też choć głowę ma już obieloną,
To w głowie ma jednak jeszcze myśl zieloną.
To też śmierć takiemu nie będzie pocieszna,
Pozna on ją potem, jak ona to straszna,
Przetoż wszyscy wespół, jak starzy tak młodzi,
Pamiętajmy na to, że czas wnet uchodzi!

Kościółek pustelniczy.

Miłe sercu polskiemu wszystkie dawne zabytki po naszych ojcach, wszystkie pamiątki, gdzie jakie napotykamy. Stare zamczyska, mogiły, stare książki, stare zbroje, stroje itp. A najmilsze pamiątki są te, które się odnoszą do św. naszej katolickiej wiary, dające tak piękne świadectwo pobożności naszych ojców: wszystkie kościoły, klasztory, figury, krzyże nawet tak gęsto porozrzucane po całym kraju naszym, czy to je gdzie na oczy oglądamy, lub z pism i podań starych ludzi o nich wywiedzieć się możemy. Wszystkie te rzeczy tak tkliwem serce ludzkie napełniają uczuciem, że nieraz trudno od łez się powstrzymać, które pomimowolnie człowiekowi z ócz się wydobywają. Opowiem wam i dziś, skoro nalegacie, coś ciekawego, usiądźcież na trawniku w koło i słuchajcie:

Będzie prawie na świętego Piotra lat 34, powracałem z Dynowa przed samym wieczorem, wypadało mi spocząć trochę, bom się przymęczył, a skwar słońca mnie napiekł, usiadłem sobie na górze Tyczyńskiej pod trześnią, przy niewielkim ale pięknie utrzymanym ogródku. O podal klęczał staruszek wiejski, gorąco się modląc. Po chwili powstał, zbli-

żył się ku mnie, ja pochwaliłem Chrystusa Pana, on usiadł przy mnie, i zapuścił się ze mną w rozmowę. Pyta się mnie skąd jestem, odpowiadam:

— Jestem od Dynowa, syn kmiecy Mieczysław Brzęk, wracam od rodziców do Rzeszowa, gdzie się na organistę uczę. Powszechnie mnie zowią Mieczysławkiem, i mnie to piękne imię cieszy, bo za Mieczysława I. naszego króla polskiego, wprowadzona została wiara chrześciańska do naszej Polski. A wy tatusiu! pytam się, tutejsi?

— Tutejszy — mówi — ot z tamtej poniżej chałupy, poddany kościelny, Antoni Rożek.

— Dla czego na owem miejscu klęczeliście, gdzie was słońce w głowinę piekło? mogliście byli tu w cieniu pomodlić się.

Rzecze staruszek:

— Kiedy tam jest miejsce poświęcone, na którem przed laty stał kościółek, w którym za młodu tak często się modliłem, i dziś mi to miejsce święte, i chętnie się tam modlę, a tem szczerzej dziś, bo oto cholera się zbliża, może mnie starego Bóg już do siebie powoła, radbym w każdej chwili być gotowym.

— A gdzież się ten kościółek podział? kto go tu stawił?

Staruszek rzekł:

— Kiedy sobie życzysz wiedzieć, opowiem ci, bo ja rad o dawnych rzeczach rozprawiam, a prawie ostatni jestem, co go zapamiętałem. Ludzie powoli o wszystkiem zapominają, dobrze, że choć ty mający lepsze oświecenie, drugim opowiedzieć będziesz umiał. Oto kościółek ów św. Bernarda, przy którym zawsze mieszkał jaki pustelnik, postawił na xiężem polu wśród lasku, który się wtenczas od potoka przez całe przygórze jak widzisz, aż za górę ku Czerwonkom ciągnął, a dziś i śladu z niego nie ma — xiądz Tarło proboszcz z Tyczyna, co to był poźniej arcybiskupem Lwowskim. Na pustelników zwykle poświęcali się ludzie, co pragnęli usunąć się od grzesznego świata, i w bogobojnem rozmyślaniu prowadzić życie swoje, a czasem znalazł się taki, co w samotnem tu miejcu chciał pokutować za grzechy życia swego. Raz tu pustelnikiem

był szlachcic, to znowu wojskowy polski, raz mieszczanin z Tyczyna Tratkowski, był i chłopek z Straszydła Szymon Kalandyk, którego znałem, i tu właśnie leży pochowany. Ten ostatni odbył nawet pieszo pielgrzymkę do Rzymu, nosił na ciele pasek gwożdzikami nabity, że aż w ciało jego, jak po śmierci widzieliśmy, się wrosły. Ostatnim zaś pustelnikiem, był Słowak z Węgier, pobożny i poczciwy człowiek, ale ledwie cztery tylko lata nim się cieszyliśmy, bo potem opuścił nas i był w Zasławiu przy OO. Bernadynach.

Mój Boże! taki pustelnik nikomu się nie naprzykrzył, nikogo o jałmużnę nie prosił, sami tylko ludzie się domyślali, i czasami mu strawę dosyłali. Zabawną ci jedną rzecz opowiem. Jeden z tych pustelników miał psa, który jak tylko zauważał, że nie ma co jeść, biegł do której chałupy i tak żałośliwie pod drzwiami zaskomlał, że się serce ludzkie poruszyć musiało. Ludzie się też domyślali i do pożywienia co donieśli. I psa tego nazwano Skomlejem. Zmyślny to pies był, nie naprzykrzył się jednej chałupie, tylko za każdym razem to w Tyczynie to w Kielnawczy inny sobie dom obierał. Raz w zimie biegł na Biechowczyznę. Pan Morzkowski, który ten folwark w posesyi trzymał, mówi do żony:

— Trzeba Jaguś co pustelnikowi posłać, bo Skomlej pode drzwiami skomli.

Mówi żona:

— Kiedy nie mam przez kogo, jedna tylko kucharka przy domu, z którąśmy dopiero chleb z pieca wyjęły, a trzeba obiad ładować, bo parobków co tylko z lasu nie widać.

Na to rzecze mąż:

— No to ja tu temu zaradzę. Bierze bochenek chleba, obwiązuje ścierką a końce wtyka psu w pysk, i mówi „nieś“ a pies na prawdę z chlebem odchodzi.

Wyszedł za nim posesor aż na trzecie stajanie pola, i widział jak pies, choć śnieg był zawalny i węzełek go po nogach trącał, wlókł się ku domowi. Nazajutrz poniósł parobek Szymek Fujara w glinianym dwojaku sparzonego mleka i krup hreczanych pustelnikowi, i dowiedział się: że pies choć ćwierć mili było drogi a głodnym był, do tego i zapach świeżego

chleba pokusę mu sprawiał, w całości jednak na miejsce go doniósł. Mój Boże, jak to pies swoją wiernością zawstydza nie jednego człowieka, sługi osobliwie takie, co to nie z głodu ale z łakomstwa porywają z garnka lub półmiska to mięsiwa, omasty, chleba kawał, lub co innego wtykają koło siebie, że sobie nieraz aż kieszenie pomaszczą, co nie tylko jest obrzydliwością, ale nawet grzechem bo złodziejstwem, czego czynić nie należy.

Szczególny to był pies. Raz wbiega z dworca i skomli żałośliwie. Pustelnik się domyślał, że się coś stać musiało, idzie za nim. Pies go prowadzi do ścieszki niedalekiej, gdzie leżał na śniegu Hyżniak jeden pijany, na pół od zimna skostniały. Pustelnik go z biedą przy pomocy Skomleja do chałupy smykiem przyciągnął, ledwie się go przy łasce bożej dotrzeźwił i od śmierci uratował.

Inną razą pojawił się u pustelnika dziad z Gwoźnicy. Już się zabierał do wychodu, gdy weszła mieszczka z Tyczyna stara Masłowska, i wsunęła pod tarczan pustelnikowi coś może z garniec w worku, i odeszła. Dziad się już iść rozmyślał, skarżąc się że go nogi bolą i prosi o nocleg. Pustelnik zezwala. Skomlej jednak coś dziada podejrzywał, i ciągle na niego wyrczał. Gdy się w nocy wszystko uciszyło, dziad sunął po ów worek ręką, i dalej z nim za drzwi. Skomlej za nim, taj go za połę i trzyma, dziad nuże go laską, a Skomlej go za łytkę, dziad upadł i w krzyk. Pustelnik wybiega, patrząc co się stało, a tu dziad na ziemi, a worek z suszkami obok niego, i rzecze łagodnie:

— Nacóżeś mi te jałmużnę ukradł?

— Bom ja myślał — odpowie — że to coś wartowniejszego w nim było.

— A gdyby i tak, rzecze pustelnik, godziłoż się mi taką krzywdę wyrządzać? Chodźże i nieś nazad.

Dziad dawał kilkanaście złotych srebrnych pustelnikowi, ale ich nie przyjął, tylko go słuchał pacierza, katechizmu, 10 przykazań boskich, a osobliwie wykładał mu siódme „nie kradnij.“ Rano przybył z mszą św. xiądz szpitalny od św krzyża, xiądz Gołkowski, przed którym się wyspowiadał, i przyrzekł,

że więcej kraść nie będzie. Coś podobnego a raczej gorszego się stało za naszego króla Bolesława Chrobrego pięciu pustelnikom, których król raz odwiedził. Rozbójnicy sądząc, że im jakie znaczne pieniądze zostawił, napadli ich w nocy, pozabijali, a nic nie znaleźli, bo nic nie mieli i mieć nie wolno im było. Wkrótce ujęto onych złoczyńców i śmiercią ukarano.

Pies ten siedm lat służył pustelnikowi, potem zdechł. Pustelnik był wiekowym i słabym, ludzie uradzili i wyszukali dziesięcioletniego sierotkę Józka Płodniaka, by go pilnował. Chłopczyna tak się był do pielgrzyma przywiązał, że gdy ten we dwa lata umarł, i on za nim w kilka dni z żalu poszedł.

— Jaki był ów kościółek? jak domek pustelnika wyglądał? — pytam się Antoniego.

— Kościółek był nie wielki drewniany, jeden ołtarzyk z obrazem św. Bernarda. A mieszkanie pusta chałupina pod słomianą strzechą. W niej jedna izdebka, drzwi bez zamknięcia, kropielniczka gliniana z święconą wodą, tarczan drewniany zamiast łóżka, na którym sypiał, trochę mchu za pościel, gromnica, krzyżyk na ścianie, stół prosty, na którym leżała książka do modlenia i Żywoty św. Pańskich. Gliniana miska, kubek, łyżka drewniana, dzbanek na wodę, jedno okienko w izbie, piec mały w kącie, i całe urządzenie. Ubogie w obec świata, ale w obec Boga gdzie jest wiara, miłujące serce i czyste sumienie, wielce kosztowne. Hej, hej! jakżeż nam w tych tu kilkunastu chałupach w pobliżu mieszkającym miło i słodziuchno było, jak długo ten kościołek stał, a stał lat 300. Co rano, w południe i wieczór odezwał się dzwonek na pacierze, wyraźnie życie się czuło, trza było rady, pociechy, mieliśmy ją pod ręką, dzieci zbiegały się do pustelnika, a on ich uczył pacierza i z niemi go odmawiał. Czasem też xiądz tu ze mszą świętą przybył, a w drugi dzień świąt wielkanocnych, jak pogoda posłużyła, przychodziła procesya z Tyczyna na Emaus. A dziś — zamilkł — i zapłakał.

Pytam się go: a gdzież się ów kościółek podział?

Mówi Antoni:

— Pytasz się mnie gdzie się podział? ot jak to nie jedno już na świecie gdzieś się podziało. Ot jak kasowano i

więcej kościołów i klasztorów w kraju naszym, zniesiono i ten, kupił go jeden i postawił na folwarczku swoim szpichlerz z niego. Serce się z żalu rozdzierało, jak go rozbierano. Z razu nikt się nie chciał podjąć, trunkowy tylko cieśla jeden na to się odważył. Ale mu na dobre nie wyszło. Jaszcze szpichlerza nie dokończył, a tak sobie rękę prawą uszkodził, że całe życie nie mógł nią nic robić, tylko lewą po jałmużnę wyciągał. Nie lepiej się stało innemu tam dalej w górach. Biskup jeden postawił maleńki klasztorek dla xięży Kapucynów w Bliznem za Domaradzem, który również sprzedano. Kupił go pan z górnej Gwoźnicy i zmurował na gościńcu austeryę z niego, co to Murowanicą zowią. Zaledwie cieśla dach pobijać skończył, i wichę z gałęzi, jak to bywa dla oblania gorzałką, zatknął, zagrzmiało na niebie, piorun w dach uderzył i spalił, a cieśla złażąc po drabinie, spadł, potłukł się ciężko i na zawsze ogłuchł. A do pana drudzy panowie ani gadać, ani się z nim wdawać nie chcieli, bo im hańbą zrobił. „Że nasi ojcowie — powiedział mu z Bachorza przy wszystkich — kościoły stawiali, to wiemy, ale żeby kościoły na karczmy przerabiali, tego nie bywało. Masz podostatkiem kamieni w Gwoźnicy, miałeś z czego karczmę zmurować.“ Bo to widzisz młodzieńcze! prowadzi Brzęk mowę dalej: chwałę bożą nie trzeba usuwać i zmniejszać, ale ją szerzyć. Jeżeli przestarzały jest domek Boży, to go podtrzymywać dopóki się da, bo to jest rzeczą świętą, a dziełem ojców naszych i drogą po nich pamiątką. A jeżeli zupełnie spruchnieje to wtenczas usunąć, ale coś ładniejszego na tem miejscu zbudować.

Słońce zachodziło, namyślałem się zanocować w ogródku pustelniczem. Wyjąłem bocheneczek chleba z torby, jaszczyk masła i parę gomułek, podzieliłem się z staruszkiem, nie wzgardził moim serem, bo ciężki bowiem był przednowek, a jak mówił, nie mieli swego proboszcza by ich zaratował, a dopiero się go spodziewali. Młody Ignacy właściciel tego ogródka, wylazł na trześnie, narwał jagód, któremi mnie poraczył, — pobiegł do pobliskiej studzienki, przyniósł dzbanek świeżej wody, a staruszek kazał przynieść drewniany kubek, jako pamiątkę po ostatnim pustelniku, i z niego wody się napiłem.

Noc była pogodna, jasna, a ja zasnąć nie mogłem. Choć młodzi zwykle o rzeczach dzisiejszych i jutrzejszych marzą, ja zaś myślą moją w przeszłe przeniosłem się lata, i o rzeczach dawnych dumałem. Rozczulony prawie wracałem do domu, podziwiałem słodycz i rzeźkość starowiny, który choć był wiekowym, i rękę za młodu miał złomaną, kopę jednak zboża sam bez pomocnika wymłacał. Później dowiedziałem się że ów Antoni Rożek z żoną swoją doczekali się lat złotego wesela, przy którym dniu proboszcz ich w swoim domku pogościł — i ośmdziesiątkę szczęśliwie przeżyli. Niech duszę ich Bóg przyjmie do swej chwały wiecznej a razem i wszystkich tych, co są za chwałą bożą, miłują Boga i ludzi.

— Niech im Bóg płaci — odzywają się wszyscy — pokojem wiecznym — a i tobie Mieczysławie za tę historyjkę, coś nam opowiedział, łaską swoją świętą.

Mieczysław odrzekł:

— Wasza dobra chęć w słuchaniu już mnie zadowolniła, i jest mi zapłatą. Miłujcie tylko wszystko co jest nasze, i przyjmijcie przestrogę, jaką wam w krótkich wierszach, jako prosty organista składam:

Szanujcie ludkowie! wszystko co jest swoje:
Polską ziemię, mowę, zwyczaje i stroje
Nad wszystko zaś ceńcie świętą ojców wiarę,
Czyste niosąc serce Panu na ofiarę.
Zaskarbicie sobie — dla dusz swych zbawienie,
A u ludzi dobrych, poczciwe wspomnienie.

— Oj prześlicznie — zawołali wszyscy — powtórzcie jeszcze raz, byśmy sobie spamiętać mogli. Powtórzył — a dla wiadomości drugich i lepszej pamięci, spisał wszystko rzetelnie

Stanisław z pod Tyczyna.

Pogadanka u pana organisty.

Papier.

Nie znaleźć od razu takiego rozumnego człowieka, jakim był organista Wincenty w Zielonej Woli. Człek to był piśmienny i uczony, za młodu w szkole kaszy darmo nie jadł, a choć

już piąty mu dochodził krzyżyk, zawsze się jeszcze uczył, bo rad czytywał przeróżne książki i gazety, już to od xiędza proboszcza już to od dziedzica pożyczone. Ale w czem najbardziej wart był pochwały organista Wincenty, to w tem, że nie dusił tego dla siebie, co umiał, jeno rad się dzielił z innymi ludźmi, którym brakło na nauce. Bywało po kilkanaście gospodarzy i chłopaków z Zielonej Woli przychodziło w niedzielę i święta do pana organisty a usiadłszy w izbie, albo w ogrodzie pod wielką gruszą, słuchali, co im opowiadał Wincenty. Były tam przeróżne pogadanki i historye nauczające, nauki i czytania — a wszystko to takie piękne i pożyteczne, że się ludzie i odsłuchać nie mogli.

Jednej niedzieli po nieszporach czytał pan organista gospodarzom na głos nasz Dzwonek, a kiedy już skończył czytanie i wszystkie książki i gazety w kupkę sobie układał, rzecze jeden gazda Kuba:

— Ano patrzcie takie marne świstki jak te papiery, a tyle w nich przeróżnych ciekawości!

— Aha dobrze — mówi inny kmieć Antoni — żeście mi papier przypomnieli, już dawno zabierałem się zapytać pana organisty, z czego też ten papier robią. Mówią, że z łachmanów, co je żydzi po wsiach za szklanne paciorki mieniają, ale mi się to jakoś w głowie nie chce pomieścić.

— Ciekawiście historji o papierze — mówi pan organista, mamy czasu jeszcze kawałek, jeźli wola, to posłuchajcie. Papier, moi kochani, to nie jest żaden świstek marny, jak mówił Kuba, to rzecz bardzo ważna, za którą Bogu dziękować powinniśmy. Gdyby nie było papieru, nie mieliby ludzie książek pożytecznych, a bez nich nie byłoby nauki, nie byłoby nawet na czem listu napisać. Ano prawda także, że i papier, jak służy na zły użytek, nieraz na utrapienie wychodzi. Ale ludzie poczciwi wszystkiego na dobre używać powinni.

Papier, moiściewy kochani, robi się istotnie z łachmanów i szmatek, ale nim do tego ludzie przyszli, dużo czasu jak wody upłynęło. Z początku, jeszcze przed narodzeniem naszego Zbawiciela Pana Jezusa, ciężka była bieda bez papieru. Ludzie pomagali sobie jak mogli w rozmaity sposób. Zamiast papieru

mieli gładkie deszczułki, płyty kamienne, liście z drzewa, tablice woskowe, i na nich małemi dłucikami albo gwoździami z ciężkim trudem wydłubywali litery. Łatwo więc zrozumiec, że jak co napisali, to takie pismo chyba na bryce trzeba było wozić za sobą, nie można było ani książki zrobić, ani listu. I tak było przez bardzo długi czas. Aż znowu w jednym kraju, co leży w innej części ziemi, w Afryce, a zwie się Egipt, gdzie to nasza Najśw. Panienka uciekać musiała z dzieciątkiem Jezus — w tym kraju więc zaczęli ludzie radzić sobie inaczej. Rosło w tym kraju takie drzewko, co się zwało *papyrus*. Otóż z tego drzewa darli ludzie łyko, to łyko cięli w wązkie paski i układali jeden koło drugiego, a potem znowu w krzyż, tak że się z tego zrobiła cieniuchna rogóżka a potem to wodą polewali i klejem napuszczali. Na takich rogóżkach pisali wtedy ludzie, a że łyko na tych rogóżkach było z drzewa, co się zwało *papyrus*, więc też ztąd powstała nazwa papier, która dziś po całym świecie jest używana, chociaż już papier od bardzo, bardzo dawna z tego łyka się nie robi.

Potem znowu robili papier ze skór bydlęcych, które cieniutko wyprawiali i rozmaicie przyrządzali. Papier taki robiono w pewnem mieście w Azyi, co się zwało *Pergamus* i ztąd zwał się taki papier pergamin. A że ten papier oczywiście mocny jest jak rzemień, więc i teraz jeszcze rozmaite bardzo ważne pisania, jak na przykład cesarskie albo królewskie dokumenta i dekreta, które się na wieczne czasy składają po kancelarjach, piszą się na takim pergaminie.

Ale zwykły papier, co na nim teraz wszędzie piszą i drukują, ot jak np. papier Dzwonka, robi się z szmat lnianych, jak to już Kuba wspomniał. Dla tego wartują szmaty i gałgany z tej racyi bardzo wiele i nie trzeba ich marnie wyrzucać, bo można sprzedać za dobre pieniądze, a nieraz żydzi, co za łachmanami umyślnie po wsiach chodzą, mieniają się za nie z dziewczętami za piękne wstążki, obrazki, albo paciorki.

— Ale jak to oni tam z tych szmatek papier zrobić potrafią, to sęk! — mówi na to Kuba.

— Na to są osobne fabryki czyli papiernie — prawi dalej pan organista — do tych fabryk zwożą ogromnemi furami

same szmatki, a dopiero z temi szmatkami wyprawiają się tam rozmaite historye. Najpierw czyszczą wszystkie szmatki, potem dają do osobnej wielkiej maszyny, co je ostremi siekaczami potnie w drobniuteńkie kawałki i potłucze potem na miazgę, do tej miazgi, co się z samych włókien i niteczek składa, dolewają potem wody i z tego robi się taki płyn, jakby klej z mąki. Mięszanina ta idzie potem pod prasy takie, jak magiel i zmienia się w cieniuchne płaty, a woda ucieka i wtedy już jest papier. Ale na tem nie koniec. Te płaty potrzeba potem blichować, suszyć, gładzić, prasować, osobnym klejem napuszczać i inne przeróżne z niemi przechodzić fabrykacje, aby mieć taki papier, jak go tu widzicie. Zaś wedle tego, jak się papier ro' i, są rozmaite gatunki, grube i szare, co się zwią bibułą, albo gładziutkie i bielutkie, na których się listy piszą i książki drukują. Gdzieniegdzie znowu, to robią teraz papier z liści kukurudzianych i z innych podobnych rzeczy, ale zawsze najczęściej ze szmat i łachmanów.

Na tem skończył pan organista, a ludziska podziękowawszy za gawędę porozchodzili się do domu. My wam zaś wypisali to wszystko ku nauce, a na drugi raz wypiszemy wam także, o czem pan organista w drugą niedzielę opowiadał.

RÓŻNOŚCI.

Żywe płoty. Po wsiach naszych bardzo mało są jeszcze upowszechnione żywe płoty, a jednak są one bardzo trwałe i prawdziwie piękne. Za granicą, mianowicie w Anglii, kochają się bardzo w takich płotach. Płot, którył by nie był zielony, uważają tam za rzecz brzydką, dlatego też w tych okolicach, gdzie dostatek kamieni pozwala na płoty murowane, zasądzają przy nim mnóstwo dzikiego wina, lub innych roślin wijących się tak, aby liść cały mur pokrywał. Żywe płoty w naszym kraju dadzą się z rozmaitych drzew krzewistnych sadzić. Przekonano się w ostatnich czasach, że jednym z najlepszych krzaków na ten cel jest jałowiec. Daje on nietylko dostateczną ochronę, ale i odznacza się zarazem pięknością, gdyż ciągłą zachowuje zieloność, gęsto się krzewi i daje się równać przez obcinanie nożycami; krzew ten obok dogodności, ma jeszcze i tę, że wzrasta na najbardziej jałowym gruncie, a posadzony, niezmiernie łatwo się przyjmuje. Chcąc płot jałowcowy zaprowadzić u siebie, można to robić dwojakim sposobem: albo zasadzając na wybranem miejscu nasiona jałowcowe, co można dokonać albo wiosną albo latem, lub też przesadzając krzaki z lasu. W tym razie poprzestać można na młodych padach. Otóż takie żywe płoty radzimy zakładać naszym włościanom zamożnym, tak około sadów jak i około swoich pól.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 13.

1. maja 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Filip.

Gromada Bobrowice ma ładny i murowany kościoł, obsadzony w około staropolskiemi lipami, a na samem wejściu do bramki kościelnej stoi sobie dąb, ależ to dąb gruby, jak dobra beczka a wysoki taki, że trza dobrze głowę do góry podnieść, jeźli chcesz sam czubek tego dęba zobaczyć. Zaraz za ogrodzeniem kościelnem stoi szkoła i szpital dla dziadów i babek, a to wszystko opłaca gromada cała ochotnie i sumiennie, bo ze szkoły wychodzą dzieci gromadzkie na pobożnych gazdów, pisarzów, rzemieślników, ba! nawet mają już tam dwóch zakonników swojaków, jeden znowu swojak jest ekonomem aż na Podolu za Lwowem a co znowu dostało się na wojaków, to wszystko zostało starszymi od pana kaprala aż do oficera. A do szpitalu tego idą na swoje stare lata jeno tacy swojący, co to podupadli i nie mają z czego żyć, a jest tam jeden stary i siwy dziaduś, co go niedobre wnuki wygnały z gruntu i chałupy, i tam płacze i mówi zawsze:

— Niech im tam odpuści wszystko pan Jezus Miłosierny! Ale w tej gromadzie jest jeszcze jeden starodawny zwyk dobry,

że na św. Filipa jest tam z dawien dawna bardzo wielki odpust, a potem po całem nabożeństwie mają tam chłopacy i dziewczęta zabawy takie, że się biorą za ręce i na około tego dęba latają i na cały głos wyśpiewują:

Witaj! witaj! ukochany Maju
Co za radość sprawiasz dzisiaj nam i t. d.

Spiewają tam jeszcze inne staropolskie spiewki a znowu na tę uciechę trafi się, że kto ukradkiem wypali z pistoletu albo klucza, a wtedy krzyk tam i radość taka, że aż ziemia dudni. Na odpust taki wiośniany schodzą się do Bobrowic rozmaici ludziska, a dziady lecą tam gromadami jak wróble do konopi. Otoż tego roku był tam także jeden taki dziaduś, co już nie miał ani włoska na głowie, ani ząbka jednego w gębie, a na oczy widział tyle, że ludzie się ruszają koło niego, a znowu trza było dobrze krzyknąć, aby on dosłyszał i zrozumiał, co kto do niego gadał. A wszyscy gadali o nim, że jemu już jakie 100 lat okładem. Po nieszporach usiadł on sobie koło bramki kościelnej i słuchał gwaru i spiewek tych dzieci, co to koło dęba latały i krzyczały. A potem mówił:

— To wy moi dobrzy Bobrowiczanie i gazdowie macie tu patrona odpustowego co za świętego?

A jeden gazda pobożny gada:

— My tu mamy św. Filipa Apostoła za patrona wsi całej.

— A wiecie wy też co o tym św. Filipie? — pyta dziaduś.

— Ot! tyle, mówi gazda, co nam czasem na kazaniu opowiadają xięża odpustowi.

A dziaduś pytał dalej.

— No! ktożto był ten św. Apostoł? czy to nasz krajan, czy jaki poganin? i co on zrobił dobrego?

Gazdowie trochę bałamucili bez początku i końca i nikt nie umiał opowiedzieć na wyrozumienie i akuratnie jakto było na prawdę, toż dziaduś pokiwał głową i jął tak opowiadać:

— Otoż ten wasz wsiowy i odpustowy patron nie był przenigdy takim Polakiem, jak wy z dziada pradziada, ani też nie postała jego noga nigdy na polskiej ziemi, ani nie apostołował on na północy, jakto robił św. Andrzej, ani nie był żadnym poganinem, bo wszystkich św. Apostołów wybrał sobie

pan Jezus pomiędzy najlepszymi i najpobożniejszymi żydami z krainy galilejskiej — toż wszyscy św. Apostołowie i uczniowie pańscy byli to zwyczajnie ludzie, co mieli dobrych i pobożnych ojców, a matki najlepsze, co byli chowani w bojaźni bożej i w zakonie bożym i w starych cnotach i mieli wielką ochotę do wszystkiego dobrego — a jak jeno kto doradził co dobrego zrobić, to oni byli pierwsi do tego. Ci wszyscy św. Apostołowie byli to ludzie z biednego rodu, zarobnicy, rolnicy, rybacy i rzemieślnicy, żyli z rąk pracy uczciwej, nie robili cygaństwa, szkody — jedni z nich starsi latami, byli pożenieni i żywili sprawiedliwym zarobkiem swoje rodziny bez wymówek i narzekania; drudzy zaś byli to ludzie jeszcze młodzi, chowali się przy ojcach w posłuchu, zgodzie i cichej pracy na kawałek chleba; inni byli znowu i grzesznego życia, ale się nawrócili na jedno słowo pana Jezusa i zostali potem świętymi. Otoż i św. Filip był z kraju tego samego, gdzie się narodził i wychował sam pan Jezus. On z żyda został Chrześcianinem, bo dał się wychrzcić i uwierzył całem sercem w pana Jezusa a co więcej, przystał on do pana Jezusa zaraz na początku samym i to tak że był między tymi piątym, którzy zapisali się pierwsi do nauki Zbawiciela.

Na to gadanie onego dziadka staruszka zadumali się trochę Bobrowiczanie, bo jakoś im to nie zdawało się, że św. Filip pochodził z żydów takich, jacy są do dziś, aż jeden gazda mówił tak:

— Toby wszyscy ci św. Apostołowie: św. Piotr, Andrzej, Jan, Jakób i św. Filip, co najpierwsi przystali do pana Jezusa, mieli pochodzić z żydów?

A dziaduś na to zaraz:

— Tak to moi kochani! wszystko jedno na świecie bożym, czy żyd, czy Turek, czy poganin, aby jeno uwierzył w pana Jezusa i został pobożnym i przykładnym człowiekiem, to coż to znaczy? Zgrzeszyć może łatwo każdy, ale poprawić się i upamiętać i nawrócić na dobrą drogę jak pan Jezus każe, to mi dopiero miła rzecz dla samego pana Jezusa i dla św. Aniołów. Toż za czasów pana Jezusa na tej ziemi byli sami żydzi tacy mądrzy, co wierzyli w jednego Boga — a reszta ludzi to

wierzyli w co chcieli do upodobania — byli wtedy żydzi i poganie. Jeno źle zrobili żydzi, że wszyscy do razu nie dali się wychrzcić i nie uwierzyli w pana Jezusa, jak to dobrze zrobili św. Apostołowie i św. Filip. Toż miarkujcie sobie to w waszych głowach, że my katolicy stoimy teraz dla tego nad żydami, że mamy naukę świętą od samego pana Jezusa, a żydzi nie mają takiej. Ale dla tego nie należy się gardzić nikim, ani nie trza robić nic złego żydom, jeno trza się wystrzegać takiego szachrajstwa i cygaństwa, jak to nie raz robią żydzi. Kiedy chcą to niech sobie żydzi zostaną żydami, a my znowu zostańmy katolikami, ale wszyscy razem róbmy dobrze, a nie róbmy nic złego jedni drugim, bośmy wszyscy Polacy i bracia!

Zakaszlał się trochę dziaduś, odplunął, stęknął i zaczęło mu robić piersiami — Bobrowiczanie żałowali strasznie takiego mądrego i pobożnego dziadusia, podali mu wody do napicia, trzymali go rękami, aby się starowina pobożny nie przewrócił przy kaszlu, a jak się dziaduś uciszył, mówił im:

— A co to ja na ostatku powiadał? bo to moja pamięć już do niczego, Boże zmiłuj się!

A ludzie gadali na to:

— Przestańcie gadać dziadku! bo wam to szkodzi!

— A co wy mi gadacie takiego, rzecze dziaduś, toć to do ostatniej godziny trza nam jeden drugiego pouczać aby jakoś było lepiej na świecie — a dobrego słowa i dobrej rady nie żałuj drugiemu, jak mu nie żałujesz ognia i wody. No! toż słuchajcie dalej o św. Filipie. Otoż miał on ojców chudobnych w mieście, co się zwało po żydowsku Betsaida, i stało na samym brzegu morza, gdzie to pan Jezus jeździł na łodzi i cuda robił i nauczał. Za młodu był on posłuchliwym na wszystko dobre, a do złego nie zwabił go nikt ani słowem ani miodem. Po robocie brał św. pismo do ręki i czytywał sobie od końca do końca, a czego nie wyrozumiał dobrze, to leciał do drugiego mądrego i wypytywał się o wszystkiem. Przez takie czytanie poznawał lepiej Boga i święte przykazy i wyuczył się sam na tyle, że wiedział bez niczyjej rady, co robić a czego nierobić. Ale miał straszną ochotę do nauki, aby dużo dobrego wiedzieć i potem to każdemu szczerze co do słowa jednego opowiedzieć —

był też taki szczery dla każdego, żeby mu był dał wszystko z siebie. Toż ojcowie chudacy radowali się strasznie z takiego dziecka, co to było pierwsze do każdej roboty, posłuchliwe jak listek na wiatry, a pobożne takie, że się garnęło do kościoła, do szkoły i do każdej dobrej książki, jak woda do morza. I wyrosł ten Filipek na chłopaka jak ulał, bo to żadna robota nie szkodzi nikomu tyle, ile grzech każdy — a grzech jeden to tak nieraz oszpeci, żeś niepodobny do człowieka, boskiego stworzenia. Toż takie dobre dziecko będzie miało i świątobliwe życie i nie pójdzie marnie z tego świata. I Filipek, jak jeno posłyszał raz naukę od samego pana Jezusa, jak się przypatrzył na własne oczy panu Jezusowi, to go tak wzięło za serce, że bez namysłu długiego przystał do razu do pana Jezusa i zaczął się uczyć na Apostoła, ni to xiędza, aby potem pracować na zbawienie duszy każdego człowieka na całym świecie bożym.

A jeden gazda poderwał:

— No! i czy też ten chudzina Filipek wyszedł potem na co dobrego?

— A wy jak myśleli, mruknął dziaduś, toć i ubogi i najbiedniejszy mizerak ma jednaką duszę od Boga jak i bogacz jaki — a naukę daje Bóg każdemu kto jeno chce, boć nigdzie nikogo nie gonią ze szkoły, jeżli się chce wyuczyć, a dobrego życia wyuczyć się możesz w kościele św. i to za darmo — toż i Filipek przy pomocy Pana Jezusa i przy swej ochocie wyszedł za trzy lata na św. Apostoła, a między dwunastoma Apostołami jest on piątym, a po nim przybyło jeszcze siedmiu nowych. Toż on przez naukę i pobożne życie został od Pana Jezusa wybrany na to, aby ni to biskup jaki, nawracał żydów i pogan i chrzcił ich na religję św. chrześciańską.

— A co to stało się z nim dalej? — zapytał znowu ktoś.

Dziaduś opowiadał dalej:

Ten św. Filip patrzył się na wszystkie cudą Pana Jezusa, i tak go całem sercem ukochał, że opuścił dom ojca, krewnych swoich i co tam spadało na niego po ojcu. Bo to widzicie moi kochani! Zbawienie swojej duszy jest najważniejszą robotą dla człeka, a nierozumny i ostatni głuptak jest każdy, kto zapomina o duszy, a leci na złamanie karku za grzesznym

światem i woli rozpustę i durniczki światowe za życia, niż po śmierci niebo. A znowu bez nauki dobrej i pobożnego życia nie zajdzie nikt przenigdy do nieba. Tego nauczył się św. Filip od Pana Jezusa, i byłby się nie puścił Pana Jezusa, żeby go bezbożni i zamęczyli za to. A znowu jak Pan Jezus umarł na krzyżu i zmartwychwstał, to Go dwa razy z wszystkimi Apostołami widział na własne oczy, a gdy Pan Jezus do nieba wstąpił i zesłał na Apostołów Ducha Przenajświętszego, toć wszyscy się potem rozeszli po trzech na cztery strony świata, poszedł i św. Filip nauczać i nawracać — jeno on sobie tak pomyślał:

— Najbliższa koszula ciała! toż i krajanie moi wartają prędzej dobrej nauki i nawrócenia, niż każdy obcy, i tak dumając poszedł do swojaków do miasta Samaryi i sam dużo, dużo nawrócił do Pana Jezusa i ochrzcił, tam fundował pierwszą parafię chrześciańską między krajanami. Tam tyle dobrego zrobił, że pismo św. mówi, iż całe gromady nawracały się na jego słowo i na jego cuda, bo uzdrawiał porażonych, kulawych i chorych, a całe miasto radowało się z jego apostolstwa. A jak się o tem dowiedzieli drudzy Apostołowie, toż posłali na pomoc św. Filipowi zaraz św. Piotra i Jana, którzy znowu bierzmowali wszystkich ochrzczonych.

— A długo to jeszcze potem nawracał św. Filip ludzi? zapytali się gazdowie.

— O długo! długo! mówił dziaduś. Bo z miasta Samaryi udał się znowu św. Filip w inną stronę na południe do krajanów, tam ich dużo w mieście Gaza nawrócił, tam po drodze ochrzcił bogatego sługę jednej pogańskiej królowej, a gdy dla swojaków zrobił tyle dobrego i niejednę duszyczkę zbawił, wtedy sobie dumał, że trza i obcych ludzi pouczyć i pogan trza nawracać, bo taki przykaz jest od Pana Jezusa, a nauką dobrą i sercem dobrem trzeba się z wszystkimi obdzielić. I poszedł on znowu na wschód słonka do pogańskiego kraju Frygii, a tam mu dopiero dojechali ci niedobrzy poganie i to za to, że on im przyniósł naukę i zbawienie.

— No! cóż mu takiego zrobili? — spytali się wszyscy.

— A coby dobrego! mówi dziaduś — toć to zły i głupi człek zrobi zawsze tak, jak nie trza, toż i tamci zaślepieni myśleli, że św. Filip ich bałamuci i na złe ciągnie i nuż go złapali, pierwej kamieniami pokaleczyli, a potem na krzyżu przybili i umęczyli.

— A cóżto za ludzie tacy! — zawołali gazdowie — a dla Boga świętego, żeby za dobre słowo, za prawdę i naukę jeszcze zabić kamieniami kogo!

— Wy tak nie róbcie! — mówił dziaduś, boście Chrześcianie a was by Pan Jezus sto razy bardziej karał i sądził, niż tamtych pogan niedobrych, bo wy macie naukę w domu bożym i po szkołach, macie prawa Boże, czego tamci biedacy ani znali, ani słyszeli. Otoż takim był za życia ten św. Filip, którego tu macie w Bobrowicach za patrona, wy go naśladnjcie we wszystkiem. Ale kto mi z was zgadnie, z jakiej racyi przypada św. Filipa na samym początku Maja?

— O! odezwał się jeden gazda, może to na to, że on się urodził w tym miesiącu, może w tym dniu jego urodziny albo imieniny?

A drugi dodał na to:

— A może go w tym czasie poganie umęczyli?

— Otoż to drugie jest prawdą, mówił dziaduś, toż my Polacy katolicy mamy na pierwszgo Maja św. Filipa na tę pamiątkę, że on był w tym samym czasie umęczony.

— Aha! zawołał ktoś z boku, a gdzie też jego święte ciało pochowane leży? może gdzie u pogan?

— O! nie, mówił dziaduś, ciało jego święte jest w samym Rzymie, tam gdzie Ojciec św. siedzi. A dla nas Polaków jest dzień pierwszego Maja pamiątką, bo święcimy jako katolicy w tym dniu pamiątkę śmierci strasznej św. Filipa a to na to, abyśmy sobie pamiętali to prawo Boże, że nie trza nikomu ani krajanom ani obcym nigdy robić przykrości najmniejszej, ani bić ani kaleczyć ani zabijać nikogosieńko na świecie — a broń Boże takich, co nam prawdę mówią i na dobre radzą.

A kto mi z was zgadnie znowu to, na co to wasi chłopacy i dziewczęta biegają w tym dniu koło tego dęba kościelnego i wyśpiewują różne wesołe śpiewki? ba! po innych miastach i

wsiach to idą szkolarze z takiemi chorągiewkami na pole i tam dokazują co jeno można wymyśleć?

— O! na co! mruknął jeden starowina, jużci dzieci jak dzieci, młoda krew, zdrowia tyle, a do tego takie ciepłe słoneczko wiośniane, to i nie dziw taki wielki, że się bawią i latają jak pszczoły koło ula.

— To prawdę gadacie, mówił dziaduś, to zwyczaj staropolski, i nasi pradziadkowie radowali się wszyscy na tym dniu, dziękowali Bogu za pierwszy dzień wiosny i strzelali i grali i tańcowali w całej polskiej krainie, toż i my mamy ten dobry zwyczaj zachować, jako spuściznę że i my tacy Polacy i katolicy i to tacy sami, jak byli nasi pobożni pradziadkowie. Ale dla nas jest jeszcze trzecia pamiątka na pierwszego Maja a mało kto z was wie o tem — toż ja wam i to przypomnę, boć ja stary pamiętam to dobrze i słyszałem to na moje uszy i patrzałem na to sam. Otoż roku pańskiego 1791 ogłosili nasi biskupi, xięża, pany i sam król polski na samym początku Maja także prawa dobre dla wszystkich Polaków, że takich praw nie było wtedy nigdzie na całym świecie i te prawa polskie nazywają się: „konstytucyą trzeciego Maja“. Toż była wtedy radość w Warszawie, Krakowie, Wilnie, Lwowie, po wsiach całych — toż my na pierwszego Maja co rok wspominać sobie mamy wszyscy to, co było dobre dla naszych dziadków.

Dziaduś przestał dalej mówić, bo się strasznie zmordował, a pobożni Bobrowiczanie wzięli go na nocleg do domu, uraczyli za dobre słowa, napchali mu chleba do torbiny i dnia drugiego wyprowadzili ładnie za wieś i pożegnali z Bogiem. A ja słyszałem to, jak mi Bobrowiczanie to wszystko o tym dziadusiu powiadali i piszę to do słowa do Dzwonka, aby gromady polskie to wiedziały.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Na pociechę!

Pamiętajcie ludzie, przystękując w pocie,
Że najgorsze licho, kiedy na wylocie!

Pamiętajcie ludzie w niedoli statecznie,
Licho krótko żyje, ale pan Bóg wiecznie!

Choćby bieda wielka, człek się myślą krzepi,
Ciężko nam na świecie, ale będzie lepiej.

Gonią chmury gonią, zimny wicher leci,
Bóg rozpędzi chmury i słonko zaświeci!

Hula zima w polu, mróz uchwycił w kleszcze,
Niech trochę potrzyma, popuści on jeszcze!

Śnieg przywalił pola, szaleją zamiecie,
Przyjdzie przecież wiosna, staną pola w kwiecie!

Sroży się złość ludzka, na krzywdę się pręży,
Złość marnie zaginie — a dobre zwycięży!

Nie ma w chacie chleba, ni grosza w komorze,
Będzie chleb i strawa z Opatrzności Bożej!

W nędzy człek poczciwy, zły w rozkoszy żyje,
Bóg dobrego wzmoże, a złego pobije!

Smutno w Polsce smutno, łez i żalu wiele,
Przyjdą lepsze czasy, będzie nam weselej!

Oj będzie weselej, oj będzie nam lepiej,
Oj minie raz nędza, licho się odczepi!

Jeno pracy, zgody i cnoty nam trzeba,
A Bóg nie poskąpi pomocy swej z nieba.

Pamiętajcie ludzie, przystękując w pocie,
Że najgorsze licho, kiedy na wylocie!

Pamiętajcie ludzie w niedoli statecznie
Licho prędko mija — a Pan Bóg trwa wiecznie!

Wojtek z Smolnicy.

Końska krzywda.

Opowiadka mego dziadka.

Dziadunio mój, panie świeć nad jego duszą, bo już dawno nie żyje starowina, nie mógł się nigdy patrzeć na to spokojnem okiem, kiedy kto z chudobą bez miłosierdzia się obchodził i konie, woły albo nawet psa i kota katował.

— Moi kochani — mawiał zawsze dziaduś — kto bije albo głodzi niemiłosiernie bydlę, ten nie ma poczciwego serca, a jak się wprawi na niewinnej chudobie, to potem i na swych bliznich będzie okrutny! Alboż to myślicie, że kiedy mordujecie i pastwicie się nad bydlęciem to pan Bóg z wysokiego nieba nie lituje się swego stworzenia i nie gniewa się na człowieka, co taką twardą jak kamień ma duszę! Byłem ja sam świadkiem jednego takiego wypadku i patrzałem sam na to własnemi oczyma, w jak dziwny sposób skarżył się przed ludźmi i przed Bogiem koń za swoją krzywdę.

— Jakto dziaduniu — wolaliśmy na to — to koń się skarżył na krzywdę? A jakżeż to być mogło?

— Jak to być mogło? Powiem wam to zaraz. Niedaleko ztąd w pewnem miasteczku murowano drogę. Jak zazwyczaj do nowej drogi potrzeba było huk kamieni i szutru, to też ze wsi zwożono je bez ustanku. Otoż pod miastem we wsi Jaźwinie mieszkał wieśniak jeden, co miał jednego konia. Boże zmiłuj się, co to za nędzne i biedne było bydlę! Bo to Jacek pastwił się nad tym koniem i katował go bez serca, głodził go całemi dniami, a jak się najął do szutru, to ładował fury okrutne, że ledwie szkapa uwlec mogła, a wytchnąć jej nie dał, jeno bił i męczył bez ustanku. A przecież koń ten biedny zarabiał dla Jacka na chleb, bo sam Jacek nie miał żadnego mienia i gdyby nie ten koń, byłby żyć nie miał z czego. Ano patrzcie, a przecież niewdzięcznik zamiast być wdzięczny dla tego konia, jeno go dręczył i głodził, i ani chwili mu nie pofolgował!

Toć kiedy Jacek przywiózł szuter do miasta i zsypywał go z wózka koło kościoła, konisko biedne z nóg opadało, a ludzie stawali z litości i wyzywali niedobrego Jacka, a ja sam bywało ostro mu wyciąłem prawdę, ale cóż to pomogło? Ludzie z miasta z litości dawali temu koniowi Jacka po trochę siana lub sieczki, bo im się serce krajało na tę nędzę, i tak bydlę to nieszczęsne tem tylko żyło, co mu tam kto w miasteczku pod zęby podrzucił.

Aż razu jednego, a było to w zimie, koń Jacków już nogami ruszać nie mógł, jeno jak przyszedł do domu tak legł i

wstać nie chciał. Smagał go nielitościwie Jacek i klął, aż strach zbierał, aż w końcu powiada:

— Leż sobie zdechlaku, póki z głodu nie zdechniesz!

I nie dał koniowi ani źdźbła siana a sam podjadłszy sobie dobrze spać się położył.

Tymczasem patrzcie co się stało. Ja właśnie byłem w owem miasteczku parobkiem u garbarza Piotra Barana. Właśnie cośmy się spać położyli, kiedy w nocy naraz budzimy się od wielkiego dzwonienia. Porwaliśmy się wszyscy z pościeli i słuchamy, a tu dzwonią jakby na gwałt w kościele. Strach nas wziął wielki, bośmy na pewno myśleli, że się pali w mieście. Wybiegliśmy co tchu na dwór a tu już ludzie pędzą co siły z wszystkich domów i wołają „Gore! gore!“

Ale ognia ani łuny nigdzie widać nie było, więc też wszyscy hurmą biegną do kościoła popatrzeć, co też tam się stało, że tak na gwałt dzwon się odzywa. A trzeba wam wiedzieć, że wówczas w mieście tem nie było osobnej dzwonnicy, jeno dzwony wisiały na zrębach, między dwoma słupami, jak to nieraz po wsiach bywa a i u nas nie inaczej.

Noc była jasna jak dzień, przybiegliśmy pod kościoł, patrzymy... i aż nas od strachu mrowie przeszło po plecach... Koń Jacków ledwo żywy leży pod kościołem i trzymając zębami powróz od dzwonów, dzwoni bez ustanku!... Ludzie się zdumieli od zgrozy, nie wiedzą co to znaczy, jeno się się żegnają i patrzą, a koń ciągle szarpie za powróz zębami i dzwoni!

Po chwili wybiegł z domu i xiądz proboszcz a zobaczywszy to, mówi do nas:

— Nie straszcie się ludzie! Nie są to żadne dziwy, jeno dopuszczenie Boże, z którego sobie przykład bierzcie. Wiecie jak Jacek konia swego katował i dręczył. Pewnie morzył głodem biedną chudobę, a teraz twarda zima, więc bydlę z mrozu i głodu wytrzymać nie mogło. Biedny konisko spamiętał sobie pewnie, że mu ludzie, kiedy nim Jacek szuter przywoził, dawali z litości po trosze siana pod kościołem, więc przywlókł się pod kościoł ze wsi, a z głodu chwycił zębami za powróz, a gdy go gryzł i szarpał, więc też i dzwony poruszył, że tak głośno zadzwoniły!..

I nie było też inaczej, jeno tak, jak xiądz proboszcz mówił. Wielki nas gniew porwał na tego Jacka i gdybyśmy go byli mieli między nami, byłby z zdrową skórą nie dostał się hultaj do domu. A potem każdy z nas dumał sobie, jak to Bóg dziwnym sposobem naprowadził bydlę, aby się swej krzywdy przed ludźmi użaliło — a xiądz proboszcz miał do nas z tej racji piękną przemowę, ażeśmy się popłakali, a tak zakończył:

Pamiętacie o bracia, jak Bóg sprawiedliwy
Za pokrzywdzonych strasznie pomstę bierze,
Jak się ujmuje nawet i za zwierzę!
Cóż więc za człeka? za swój obraz żywy?
Baczcież, by przez was nie był kto skrzywdzony!
Bo choćby na gwałt zań nie biły dzwony,
Choćby się żaden zań nie ujął z ludu,
Serce prawdziwe to dzwon najgłośniejszy,
Co wszystkie mocy Niebieskie rozbudzi,
I zgrozą przejmie, jak was dziw dzisiejszy!

A potem kazał xiądz proboszcz zaprowadzić biedne bydlę, do swej stajni, a poczciwi ludziska naznosili mu owsa i siana i pookrywali płachtami, aby się pożywiło i zagrzało. A na drugi dzień dziw ten rozniósł się po całej stolicy, a kiedy się o tem dowiedział i ów bezbożny Jacek, ogromny go strach i żal przejął i przybiegł do miasta i spowiadał się przed xiędzem proboszczem i dał na mszę, żałując srodze swego okrucieństwa. Zaś koń ten, aż dopóki żyć nie przestał, stał u xiędza proboszcza w stajni, a z miasta składali się ludzie na jego wyżywienie.

— A co? — skończył opowiadać dziadunio — nie dziwny to wypadek! Nie widać tu z tego, że Bóg ujmuje się i za krzywdą bydlęcia! Oj bierzcie z tego ludkowie przykład i naukę, jak się obchodzić trzeba z chudobą, co na nas pracuje!

Pamiętajcie sobie zawsze, co my wam tu wypisujemy:

Jeżeli kto z was gospodarz poczciwy,
To o chudobie swej zawsze pamięta,
To wie, że syte a zdrowe konięta
To dla biednego człeka skarb prawdziwy!
To pomocniki, wierne przyjacioły,
Co z nim najcięższe podzielą mozoły,

Co mu i chleba dostarczą i soli,
I poratują w biedzie i niedoli!
Dobry człek bydlę szanuje jak może,
I ani bije ani klnie obrzydle,
Wdzięczny i pomny, że nawet i bydlę,
Choć bydlę — przecież to stworzenie Boże,
I że i za nie Najwyższa Opieka,
Pewno się kiedyś upomni u człeka!

Piękne przykłady.

Bartłomiej Chowaniec, kmieć z Zarszyna.

W Zarszynie, w powiecie sanockim, zmarł w ostatnich dniach Marca tego roku, w ośm lat po swem złotem weselu, nigdy przedtem nie chorując, w ośmdziesiątym roku życia, wieśniak Bartłomiej Chowaniec, zwykle zwany Cymbał (dla tego, że ojciec jego grywał na cymbałach), o którym warto wspomnąć dla przykładu innych.

Za młodu był on podobno nie bardzo stateczny, lecz odznaczał się zdrowym rozumem, otwartością i rzeźkością. Poznał się na jego zręczności i rozumie były dziedzic Zarszyna ś. p. Kaz. Ostaszewski, obywatel dawnych cnót i daty, upodobał go sobie, poprawił, i używał do różnych gospodarskich interesów, a szczególnie do kupna wołów. Gdy mu pierwszy raz dał pieniędzy na kupno, on się tem pochwalił przed swoim teściem, teść przestraszony, odprowadził go do pana z prośbą, aby takiemu hultajowi pieniędzy niepowierzał, lecz pan nie zważał na to, tylko posłał go na jarmark do Krosna.

Bartłomiej tak sobie to zaufanie pańskie wziął do serca, że poszedł tam do kościoła, leżał przez długi czas krzyżem, przyrzekł w duchu wstrzemięźliwość i statek, i odtąd został porządnym i uczciwym człowiekiem, bo kto z Bogiem, to Bóg z nim! Bartłomiej chodził za kupnem wołów w dalekie strony, aż po Sadogórę, i taki sobie wszędzie zrobił kredyt, że mu dawano po kilkanaście wołów bez pieniędzy, bo ktoż nie znał Bartłomieja? Gdzie się tyko pokazał, panowie, xięża, chłopi, witali go z uprzejmością. Z powierzonych mu pieniędzy zawsze co do grosza sumiennie się wyrachował.

Był zaś ten Bartłomiej bardzo śmiały w wypowiedzeniu szczerej prawdy, a to w taki sposób, że nikt nie mógł na niego się gniewać, lecz przeciwnie uściskał go i uszanował. Gdy razu jednego, wezwany do interesu zastał pewnego pana już w duży dzień w łóżku, powiedział mu po prostu:

— Nie będę panu wołów kupował, bo u gospodarza, co tak długo sypia, pewnieby na nic zeszły, a mnie byłaby hańba, żem źle kupił lub oszukał. Bartłomiej kochał z całego serca dawne obyczaje i dawne staropolskie cnoty, to też kiedy widział, że pan albo kmieć porzuca zwyczaj polski swych pradziadów, to nie bał się otwarcie przyganić i ciął prawdę prosto z mosta, że nie było nawet co odpowiedzieć. Gdy widział w niektórych dworach pozakładane angielskie ogrody z cudacka poprzecinane, zapytany raz, czy się też śliwki zrodziły, odpowiedział drwiąco:

— Oj panie! zrodziły się, zrodziły, ale panowie nie macie, tylko prześliczne tarki, boście sady powycinali, a tarki i głogi pozasadzali, nie będzie to dobrze z tego!

A gdy się na kogo rozgniewał, największem szkalowaniem było u niego słowo „Próżniaku!“ i miał wielki w tem rozum, bo próżnowanie jest początkiem wszelkiej nędzy, a nędza prowadzi najczęściej do łotrostwa. Jego słowa, warte wspomnienia, były także:

— A czy słyszał też kto w świecie, by chłop miał katar, proszę pana? Teraz już i chłopi mają katar, jak tylko trochę deszcz lub zawierucha, już chłop tylko oknem z chaty wygląda, a natenczas i sobie nie robi, a proś go na zarobek, broń Boże, nie pójdzie. Źle panie, źle! i panowie pójdą z torbami, a i chłopa to nie minie, bo ktoż go poratuje, jeżeli pan sam mieć nie będzie? A dobrze też to, że już mamy z jednej strony Prusaków, kalwinów, dziedzicami, którzy w niedzielę przy kościele wrony strzelają, a niedaleko żydzi mają wsi kilka? Zawłoki wszystko przysiędą, bo już i między nami żydzi zakupują grunta chłopskie, trafia się także, że i Miemcy.

W owym strasznym roku, kiedy to zły duch opętał lud wiejski, że w niektórych wsiach rozbijali i mordowali ludzi po dworach; widząc, że kupa hultai chciała napaść na dwór w Zarszynie, Bartłomiej sam jeden pilnował pańskiego dobytku, chociaż nie

był w służbie, ale swój własny posiadał kawałek, a wziąwszy buczak w rękę, śmiało stanął rozbójnikom w drodze i ostro do nich przemówiwszy, odpędził. — Powiecie może: bronił, bo się spodziewał nagrody! Niema na świecie tak głupiego, by dobrowolnie dla zysku życie swe narażał, a o to w owym czasie nie było trudno, ale on miał Boga w sercu, i jego opiece się oddawszy, bronił praw Boskich i ludzkich, tak samo byłby w potrzebie bronił chłopskiej chaty, bo rozumiał, co to jest własność, i umiał przykazanie Boskie piąte nie zabijaj, siódme nie kradnij!

Tem postępowaniem stał się wielkim dobrodziejem zarszyńskiej ludności, bo ochronił ją od hańby, jaka innym wsiom pozostała, uratował dusze od zagłady i potępienia. Najłatwiej zrobić tylko pierwszy krok, a od rzemyczka, niedaleko do stryczka, od kradzieży do zabójstwa. Zarszyn powinien go mieć zawsze w pamięci przez wdzięczność, dla tego też na jego pogrzeb zebrali się licznie nietylko miejscowi, ale także i obcy włościanie i kilku obywateli, a byłoby daleko więcej było, gdyby nie za nadto ranny pogrzeb według miejscowego zaprowadzenia, o czem nie wszędzie wiedziano.

Panie! odpuść mu jego grzechy i przyjm go do królestwa niebieskiego, bo on Ci Boże uratował wiele dusz od grzechu śmiertelnego i potępienia, a my pozostali, znajomi i nieznajomi pamiętajmy choć raz w rocznicę jego zgonu zmówić „Anioł Pański“ z intencyą wstępowania w jego ślady, bośmy jego dłużnikami, cóż bowiem więcej pobudza do dobrego postępowania, jak piękne przykłady!

Bogumił z Zarszyna.

RÓŻNOŚCI.

Mądry żyd. W pewnej wsi był młody panicz, który bardzo pieniądze i majątek trwonił. Ojciec jego za młodo ciężko pracował, żadnych zbytków nie lubił, jeno grosz do grosza zbierał, aby miał co synowi zostawić, a synalek tymczasem, skoro się dochwycił majątku, nuż hulać i panować i ojcowską pracę na wiatr gdyby plewę puszczać. Otoż raz ten marnotrawny panicz kazał sobie zaprządz do powozu cztery koni i wyjechał na spacer, choć się tam przyjemniej mógł przejść piechotą, bo dzień był śliczny, że aż miło. Gdy tak ten panicz pędzi karetą, zdybuje starego żyda Abrahama, co jeszcze u jego ojca był faktorem, a był człekiem poczciwym i rozumnym. Kiedy żyd ujrzał karetę, stanął na drodze i

począł cmokać ustami, jakby na wielki podziw. Ujrzał to panicz, kazał stanąć i rzecze do żyda.

— A ty się czego tak dziwisz Abrahamie?

— Nu jak ja się nie mam dziwić! — mówi żyd — ja się dziwuje, jaki jasny pan wielki ma rozum!..

— A dla czego? — pyta panicz.

— Nu jasny pan ma bardzo wielki, delikatny rozum. Ojciec Jaśnego pana, kiedy był tak młody, jak Jasny pan, chodził piechotą, nu i tak sobie nogi pozrywał, że na starość musiał jeździć karetą. A jasny pan teraz za młodu jeździ karetą i tak sobie zaszanuje nogi, aby na starość mógł chodzić piechotą.

Panicz się skrzywił, bo zrozumiał, jak mu dociął żyd, że za młodu strwoni majątek a na starość nie będzie miał nic — więc zamyślił się bardzo nad słowami Abramka i poprawił się zaraz.

Złodziej okradł złodzieja. Jest sobie w jednej wsi chłopisko a różnie tam o nim mówią. Jeden niby tak a drugi inak o nim gada, niby chłop ten nic nie robi a dobrze wygląda, jego baba choć już przystara ma się stroić jak jaka pani; — no cóż to komu do tego, nie sądź nie będziesz sądzony, dosyć że tam u nich biedy nie ma, a gdy wszedłeś do izby, stało łóżko porządne a pierzyna wnet powały sięgała. Ale co tam komu do pierzyny, może zagadniesz? Słuchajno cierpliwie a dowiesz się do czego rzecz stosuję: Roku tedy przeszłego tak już dobrze koło św. Michała, gdy już owoc się dobrze dojrzał, wyszedł gdzieś tam on chłop, jak do baby mówił, na zarobek, i samą ją zostawił pod oną wielką pierzyną. Aż tu gdy baba sobie smacznie chrapi, puka ktoś do okna i mówi: spicie już? Baba się przebudzi i pyta: kto tam? A on znowu mówi: Jeno duchem wstańcie i weźmijcie koszyk, bośmy tam wiele gruszek, jabłek i śliwek natrzęśli, mamy się dzielić, my tam stoimy nie daleko kościoła. Baba się zrywa, za koszyk co największy chwyta i co tchu biegnie, bo jej się ogniście śliwek zachciało. Aleć przyszła około kościoła, jakoś nie ma nikogo, idzie tu, idzie tam nikogo ze śliwkami nie ma. Że też już było trochę zimno a ona jeno się tak tam czemś okryła, wnet do dom powraca, by się pod pierzyną rozgrzać. Wchodzi zatem do izby — patrzy — coś ją niby jakoś przeraziło — idzie do łóżka — maca, a tu pierzyny nie masz. Dopiero z całego gardła krzyknie: O ja nieszczęśliwa, o szelma złodziej! i kiedy nie zacznie krzyczeć, kiedy nie zacznie kląć w żywe kamienie!! Sąsiadki się budzą i na ratunek biegną, co jej się stało pytają, ona krzyczy i klnie a rzecz całą, jak była opowiada. A tu w śmiech kobiety: a widzicie, mówią, śliwek wam się chciało, mogliście lepiej pierzyny pilnować. Wnet się też rzecz po całej wsi rozeszła, a choć to już blisko rok temu, jeszcze tam podobno chłopaki baby się pytają, czy dobre śliwki, gdy się na wsi pokaże.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 14.

11. maja 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bitwa pod Raszynem.

Lat temu sześćdziesiąt będzie niezadługo, kiedy wielki wojownik i zwycięzca całego świata, cesarz francuzki, Napoleon I, odebrał Prusakom jedną część dawnej naszej Polski, którą jak to już wiecie podzieliły się pomiędzy sobą Austrja, Prusy i Moskwa — i z tego kawałka zrobił osobny kraik polski, co się zwał xięstwem Warszawskiem.

To xięstwo warszawskie miało być zapłatą dla Polaków za to, że wojacy polscy, co byli w legionach, pomagali po całym świecie Francuzom, i pod Napoleonem bili się walecznie z nadzieją w sercu, że ten cesarz francuzki z wdzięczności za to przywróci znowu całą wolną Polskę.

Ale licha to była zapłata! Za tyle krwi, co ją Polacy przelali za francuzkiego Napoleona, zrobił on tylko xięstwo warszawskie, a xięstwo to było tylko maleńką cząsteczką całej ziemi polskiej. Ale Polacy myśleli zawsze, że to tylko początek i że później Napoleon całą Polskę przywróci, ale gorzko się zawiedli. Zaś xięstwo warszawskie nawet samo ostać się spokojnie nie mogło, bo choć dużo wojska miało, to wojsko

to musiało iść het w świat za Napoleonem, a w kraju to ledwie garstka wojaków została na obronę.

Tymczasem cesarz Napoleon pokłócił się z Austrją i rozpoczęła się wojna. Austrjacy wiedzieli, że Polacy w xięztwie warszawskiem pomagali zawsze Napoleonowi, więc aby mu tę pomoc odjąć, wysłali 40.000 wojska z samym arcyksięciem Ferdynandem, aby zawojował xięstwo warszawskie.

Wyruszył arcyksiążę Ferdynand z tą ogromną siłą z Galicyi do xięstwa warszawskiego i ani sobie tego do głowy nie przypuszczał, aby się tam Polacy przeciw niemu bronili. Bo też i bronić się nie było czem wtedy; wszystkiego wojska w xięstwie warszawskiem było tylko 10 tysięcy — i cóż z taką siłą robić, kiedy Austryjacy mieli aż 4 razy tyle żołnierza!

Ale Polacy z dawien dawna aż do dzisiaj są bardzo waleczni i bitni, a gdzie chodzi o obronę kraju, tam się jeden nie ulęknie nie tylko czterech ale i dziesięciu nawet. To też choć polskiego wojska było w xięstwie warszawskiem cztery razy mniej niż Austrjaków, nie nastraszyło się ono przecież przemocy, jeno śmiało z bronią w ręku oczekiwało nieprzyjaciół. A dowodził wówczas wojskiem książę Józef Poniatowski, mąż prawy i dzielny, żołnierz waleczny, a tak kochany przez swoich żołnierzy, żeby i w ogień za nim rad każdy skoczył. Pod takim jenerałem i z szablą w ręku dali sobie święte słowo Polacy, że choć nieprzyjaciel cztery razy mocniejszy, prędzej zginą w bitwie a nie ustąpią z placu.

Tymczasem Austrjacy szli dalej ku Warszawie, i już byli pewni, że bez strzału zajmą całe xięstwo, kiedy pod Raszynem, o kilka mil pod Warszawą, zastąpiło im drogę 10.000 Polaków pod księciem Józefem.

A było to 18 kwietnia 1809 roku. Wojsko niemieckie śmiało się okrutnie, kiedy zobaczyło garść Polaków przed sobą, myśląc, że ich zgniecie jednym zamachem, ale inaczej się pokazało.

Wojsko polskie zastąpiwszy drogę Austryjakom, stanęło jak mur, a każdy żołnierz przysiągł sobie, że raczej zginie śmiercią walecznych niż ustąpi z pola. Koło godziny 3. uderzyły oba wojska na siebie. Miły Boże, strasznaż to była sprawa! Rozpo-

częła się bitka na śmierć lub życie, krew z obu stron płynęła jak woda, każdy polski wojak miał przed sobą aż czterech nieprzyjaciół, a przecież nie tracił odwagi, jeno bił się z całej mocy i każdy krok swój znaczył krwią nieprzyjacielskich żołnierzy Im ostrzej nacierają Austryjacy, tem zacięciej bronią się Polacy, i ani rusz rozbić ich nie można! I tak wojsko polskie, choć go cztery razy mniej było, dotrzymało austryjackim żołnierzom i oparło się na swojem miejscu, zadawszy wielkie straty nieprzyjacielowi. Bój trwał aż do wieczora, a Austryjacy w końcu zaprzestać musieli walki, nie mogąc żadnym a żadnym sposobem pokonać polskiego wojska. Sami też Austrjacy podziwiali męztwo polskich żołnierzy, co się tak dzielnie i walecznie oparli ich sile;

Cudów bo też prawdziwych dokazywali Polacy, a już to najbardziej pułk ósmy, którym dowodził waleczny pułkownik Godebski! Sam Godebski na czele swych żołnierzy bijąc się jak lew z Austrjakami, zginął z wielką sławą w tej bitwie, a imię jego na wieki żyje w pamięci ludzkiej! Naszych zginęło tam około 2000, ale każdy z tych zabitych nim sam poległ, pierwej kilku nieprzyjaciół trupem położył!

Już noc zapadła, a Polacy stali na swojem miejscu z honorem, nie ustąpiwszy ani kroku cztery razy mocniejszym Austrjakom.

Tak to się dzielnie popisało wojsko polskie pod xięciem Józefem w bitwie pod Raszynem. To też bitwa ta okryła wieczną sławą szablę polską i na wszystkie czasy będzie pamiątką, jak dzielnie i walecznie bili się, i jak chętnie umierali Polacy w obronie swej ziemi!

Brylantowe ptaszę.

Złote włosy mają kłosy,
A złocistsze ziarna,
Zkąd to wchodzi? taż to rodzi
Nasza ziemia czarna.

Ziemia błoto? nie to złoto
Brylantowe ptaszę.
Ach! rękami i sercami
Trzymajmy, wszak nasze!

U żydziska, za wódczyska,
Za lenistwa nasze
Marnujemy, sprzedajemy
Brylantowe ptaszę.

Przebóg, ojców ziemia święta,
Ta ziemia krzyżowa
Zbrodnie nasze zapamięta
W swem łonie zachowa.

*

A wdzień sądu, gdy śmierć cieniem
Jasny żywot zmroczy,
Ona niemi jak kamieniem
Ciśnie nam wprost w oczy.

Cóż z wolności bez własności,
Wszak ci my nie ptacy?
Jak podołam, tak w głos wołam:
Do pługa! do pracy!

Niech gorzałkę piją czarci
Bo oni jej warci,
A nam lepsza jako manna
Woda, by źródlanna.

Trzosa nam nie nadweręży,
Zdrowia nie zmitręży,
Ziemia będzie nas kochała,
Bogu będzie chwała!

Zdzisław.

Przygoda w karczmie,

czyli

Jak się Antoni przekonał, że dobrze jest umieć czytać.

Opowiedział Szczęsny z Żółkwi.

Gdy dojeżdżasz głównym traktem od Lwowa do Gorajowa, napotkasz najpierw karczmę murowaną z szeroką bramą do zajazdu. Wioska, która o jakie tysiąc kroków od karczmy się zaczyna i wzdłuż gościńca się ciągnie, niema ani porządnych zagród ani majętnych włościan. Cerkiew stara drewniana tak się pochyliła, że tylko gęste odwieczne lipy zasłaniają ją przed burzą od upadku. Dzwonnica o jednym rozbitym dzwonku, w który gdy dzwonią, to tak się cała kołysze i chwieje, jakby już tuj tuj upaść miała, a tak skrzypi, że trudno dzwonienia dosłyszeć. Plebania uboga słomą pokryta, na której już grzyby rosną, a ściany spruchniałe już do połowy w ziemię wlazły, a okna tuż przy samej ziemi. Jeden tylko prócz dwora jest porządny budynek na całą wieś, a nim jest szkoła z dylów dębowych w węgieł zbudowana, otynkowana, gontem pokryta, okna wysokie i szerokie, a obok komina pod daszkiem dzwonek co zwołuje dziatwę do nauki, a pod nim grubymi cyframi wypisany rok zbudowania 1861. Późno, jak widzicie, zabrano się tu do zbudowania tej szkoły, kiedy to gdzieindziej stanęły już nowe na miejscu starych. Zapyta kto, czyja w tem wina że tu tak późno szkoła powstała?

Ot! jak to zwykle bywa, komu się nie chce, temu nigdy nie czas! Bo to gromada nie zabrała się nigdy z ochotą do

zbudowania szkółki, a choć kiedy coś niby zaczęła, to wnet cały początek marnie wszedł i znowu czekaj, nim sobie kto szkołę przypomni.

Aż oto dopiero przed kilku laty, kiedy to na miejscu zmarłego starego dziekana, który to nie widział przez całe życie swoje, aby prócz niego i diaka jeszcze ktoś więcej umiał w cerkwi czytać na książce, przyszedł nowy, młody dziekan.

Ten zjechawszy do swojej gromady, gdy ujrzał że tu niema szkoły, nie troszczył się o starą plebanję, ale jak pochodził szczerze około składek i budowy, tak w pół roku stanęła szkoła, którą dziś widzicie, a dziatwa wiejska dziś już umie dobrze czytać i pisać i wiele innych pożytecznyeh rzeczy, a ojcowie błogosławią nietylko proboszczowi ale i wszystkim tym, którzy około oświaty ich dzieci staranie mają.

Największą przeszkodą w założeniu tej szkółki był teraźniejszy arendarz karczmy, pan Antoni Gorzałkiewicz, choć katolik, ale zdzierca i hultaj na wielki kamień, nieprzyjaciel wszelkiej nauki i oświaty ludu, bo nauka sprzeciwiałaby się jego radom, jakie on dawał chłopom siedzącym po za stołami karczemnemi, a zresztą, gdyby ludzie się czegoś nauczyli, byliby przestali zapijać się w karczmie i Gorzałkiewicz miałby ztąd stratę.

Niedziw więc, że gospodarze, kiedy nie słyszeli nic lepszego, wierzyli w mądrość i prawdę arendarza i częstymi i gęstymi byli gośćmi w karczmie, a arendarz się panoszył, tymczasem majątki i dobre gospodarstwo tej wioski upadało, a wieśniacy przyszli już do wielkiego ubóstwa.

Antoni, że sam nie umiał ni czytać ni pisać, nie wiele się tem smucił, bo jak sam sobie pochlebiał miał głowę na karku do okpiwania głupich chłopów, to też sprzeciwiał się temu bardzo, kiedy chcieli szkołę na wsi zaprowadzić, bo wiedział dobrze, że jak się ich synowie czegoś nauczą, to i starzy cośkolwiek skorzystają i nie uda mu się potem tak łatwo okpić chłopa. Wtedy to, gdy gospodarze zeszli się w niedzielę po południu do karczmy, zasiedli długie stoły i nuż dalej każdy swoim rozumem dochodzić korzyści, jakie im szkoła przyniesie i jak to im ksiądz proboszcz dzisiaj po nabożeństwie rozpo-

wiadał, jak nie wystąpi Antoni ze swoją perorą przeciw szkole, począł jaki taki potakiwać za Antonim, a gdy jeszcze dla lepszego ugruntowania swojej prawdy rozkazał Antoni za darmo postawić garniec wódki na stole, to już za tymi co potakiwali poszła i reszta, bo wierzyli że Antoni ma większy rozum od nich, gdyż był za młodu i łokajczukiem i po dużych miastach wysługiwał się i o różnych się ludzi ocierał, i nie z jednego pieca chleb zjadał, więc też musiał więcej wiedzieć od nich rozumem.

Ale prawda zawsze wyjdzie na wierzch. Przyszła kreska i na Matyska, że nietylko Antoni chłopom nauki nie odradzał ale i sam na szkołę dał grosza nie mało, i syna swego do niej posyłał, a jak się to stało posłuchajcie.

Pewnego wieczora w późnej jesieni pusto było w karczmie Antoniego, boć to jutro wielkie święto a wszyscy pościągali się do swoich zagród.

Pod noc zerwał się wicher okropny i spędził nad Gorajowa tak czarne chmury, że się zciemniło że i oko wykól. Kiedy niekiedy rozdzierała błyskawica czarne chmury, piorun uderzał za piorunem a wtrząsał karczmą, że aż szyby w oknach drzały. Wiatr zakręcił rozrzuconą przed karczmą słomą i sianem djabelskiego tańca, deszcz co wisiał w chmurach, lunął jak z cebra. Pozamykano wszystkie bramy, a Antoni z Antoniową żegnali się za każdym uderzeniem pioruna, boć to człowiek co ma złe sumienie bardzo się lęka pioruna, i myśli, że tuj tuj spadnie z piorunem za grzechy jego pokaranie Boże.

Gdy się tak modlą i czekają, rychło się ta burza nadejmie, zatoczył się wózek po przed karczmę; — i silnie zakołatano do okna i bramy. Wysłał Antoni posługacza, żeby bramę otworzył. Zatoczył się wózek do karczmy, a do izby weszło dwóch zakonników zmokniętych do nitki. — Pochwalili Pana Boga i prosili z pokorną miną o nocleg, boć w takiej burzy nie mogą jechać dalej, a gdy raniuteńko wstaną, to jeszcze na czas przyjadą do pobliskiego miasteczka, gdzie jutro miał być wielki odpust. — Zaprzątnął się Antoni koło zakonników, bo dusza weń wlazła, myśląc, że dla tak świątobliwych ludzi zachowa Pan Bóg i karczmę od wszelkiego nieszczęścia, i postawił przed nimi na

stole kufel z piwem, a żonie rozkazał czemprędzej usmażyć jajecznicę, a że nie było więcej kogo obsługiwać w karczmie, przysiadł się do nich i nuż dalej rozpytywać się o rzeczach świętych, o odpustach i innych nowinach. Gdy sobie zakonnicy dobrze już podjedli i nagadali się z arendarzem do syta, spojrzeli na zegar, a że już było około północy podobywali z torb takie książki kapłańskie do modlitwy, co się zowią brewiarze, i zaczęli mruczyć niezrozumiałym dla Antoniego językiem swoje pacierze. Gdy się tak księża zakonnicy modlą, zapukał ktoś do okna i woła aby go wpuszczono. Antoni zabierał się już do spania i nie w smak mu było otwierać biednemu wędrownemu, boć nie spodziewał się od takiego wielkiego zarobku, co to w taką noc musi piechotą wędrować. A że ten pukać i prosić nie przestawał, zawołał wreszcie na Iwana, lecz tegoby się i drągiem nie dobudził, tak się zakopał na strychu w siano, i spał jak zabity. Antoni sam musiał pójść otworzyć. Wszedł do izby młody i rosły człowiek z zawiniątkiem na plecach a w ręku miał tęgi kij żelazny, a zmoknięty jakby z wody wylazł. Był to wędrowny czeladnik kowalski, który szedł szukać roboty. Obejrzał Antoni z pogardą biednego wędrownego, a że ten nie miał wiele pieniędzy i tylko wódki kieliszek wypił, to też Antoni nie kwapił się biednego czemś potraktować i wskazał mu ławkę w kącie, gdzieby mógł resztę nocy przespać. Zakonnicy zaś, gdy wszedł ów czeladnik do izby, opuścili brewiarze i coś ze sobą szeptali a nikt ich nie rozumiał, i ciągle oczyma wskazywali na owego wędrownego.

Czas był już Antoniemu udać się na spoczynek, jeszcze sprowadził rozmarzonego snem syna swego Walka, by ucałował ręki mnichom, a ci pobłogosławili go i dali mu pocałować obrazek w brewiarzu. Pocałował i Antoni i żona jego ów obrazek w brewiarzu, i udali się wszyscy troje do osobnej swej izdebki na spoczynek. Czeladnik ów wędrowny rozwinął na stole swoją tajstrę, wyjął kawał chleba i spożywając go, przysłuchiwał się pacierzom mnichów i wpatrywał się w ich brewiarze, a im się więcej wpatrywał, to coraz bardziej ci dwaj niby xięża nie w ład mu się wydawali, aż nareszcie kowalczyk nie mógł dłużej wytrzymać, jeno wściubił nareszcie nos prawie aż do książki.

Jak to zobaczyli ci dwaj zakonnicy, to tak jakby się czegoś przelękli — ale potem, złajali go ostro, że nie należy się przeszkadzać im w modlitwie. — Odsunął się czeladnik i nie dojadł chleba, zwinął tajstrę, przeniósł się na drugą stronę izby, położył tajstrę pod głowę, ale coś dziwnie popatrzył na zakonników i mruknął coś sam do siebie, a potem owinął rzemyk żelaznej swej laski około ręki i począł chrapać, jakby mocno śpiący.

Gdy zakonnicy usłyszeli już chrapanie czeladnika a i z izdebki od Antoniego dochodziło ich przez nieprzemknięte drzwi silne chrapania, złożyli brewiarze znowu do torby a wyjęli ztamtąd dwa kawałki świecy, zapalili je, a jeden z nich wyszedł na palcach do sieni obaczyć, co się tam z końmi dzieje. Dosłyszał ów czaladnik lekkie skrzypnienie bramy, którą ktoś zwolna otwierał. Po chwili wrócił ów zakonnik z sieni i poczęła się między nimi cicha rozmowa, którą ów czeladnik dosłyszał a choć jej niezrozumiał toć przecież po tem wszystkiem co widział i słyszał, dorozumiał się, co się u nich święci.

Rozmowa ich była taka:

— Pierwej tamtych wyspowiadać, po tem tego, rzekł pierwszy.

— Nie, pierwej tego, potem tamtych, rzekł drugi.

— Gdy ten klęknie, tamci wstaną — rzekł pierwszy.

— Trudniej z trzema, łatwiej z jednym — rzekł drugi.

Po tej rozmowie poczęli obaj na palcach zbliżać się do drzwi Antoniego, w lewej ręce trzymali świece, a w prawej mieli ostre noże, które z cholew dobyli. Przeszli przez izbę, w której nie było nikogo — już poczęli zwolna odchylać drzwi do izby, gdzie spał Antoni z synem i z żoną, kiedy to ów czeladnik, który to udając śpiącego wszystko widział, jak się nie zerwie z swej ławki, jak się nie rzuci na obu tych zakonników, jak nie chwyci jednego i drugiego za kaptury, jak nie uderzy ich głowami do kupy a nie krzyknie. Rozbójniki! gwałtu! na ratunek! kto żywy! Wszystko to stało się w jednym momencie, a tak sprytnie, że nim ci poprzebierani zakonnicy ochłonęli, już Antoni zerwał się na proste nogi a i Iwan stróż karczemny przybiegł na ratunek, zaś niebawem za nimi nazbiegała się cała karczma gospodarzy na zwołanie Antoniowej, lecz już tam ratunku nie było potrzeba, bo Antoni z Iwanem pomagając cze-

ladnikowi powalili obu zbójów na ziemię a na jednym siedział czeladnik na drugim Iwan, i trzymali ich dobrze.

Za pomocą chłopów powiązali sznurami obu i poukładali jak baranów na ziemi, a jeden z gospodarzy pojechał czem prędzej własnym ich wózkiem do poblizkiego miasteczka po żandarmów. Antoni podjąwszy noże pokazywał je chłopom, próbowali ostrza, a wymyślali tak tym zbójcom, że gdyby nie ów czeladnik, to pewnieby żywych w ręce żandarmów nie oddali. Gdy nieco wrzawa ucichła, począł ów czeladnik opowiadać chłopom i Antoniemu, jak to on z ciekawości zajrzał do ich brewiarzy, a że umiał czytać, zmiarkował od razu, żeć to nie są prawdziwi xięża zakonni, jeno poprzebierani hultaje, kiedy nawet czytać nie umieją, bo xiążki do góry nogami trzymają, a że on kiedy był jeszcze chłopcem i chodził do szkoły, posługiwał xiędzu i w domu i przy mszy, więc też sobie nie mało słów łacińskich spamiętał, a tu ci zakonnicy to takim jakimś językiem pacierze mruczeli, jakiego on nigdy w świecie nie słyszał. „Poznałem ci zaraz, co to za ptaszki i udawałem że spię, ale ciągle na nich uważałem. Lecz dziwi mię to, żeście pani arendarzu sami przedtem kręcili się koło tych drabów i do brewiarzy zaglądali i obrazki wnich całowali a nie poznaliście tego, że oni czytać nie umieją."

Antoni ze wstydu mało się pod ziemię nie zapadł, boć to niedawno dowodził chłopom, że to nauka czytania na nic a na nic się nie przyda, a tu właśnie swego nieuctwa o mało że z żoną i synem życiem nie przepłacił. Skruszony Antoni stał jak winowajca przed chłopami, którzy mówili:

— A co Panie Antoni, mówiliście że kto się nauczy czytać i pisać temu praca nie pachnie, a ot widzicie, ten co was wyratował, umie i czytać i pisać a jął się kowalstwa i pracą na chleb zarabia.

W tem nadjechali żandarmi, a gdy ujrzeli powiązanych rabusiów, uradowali się mocno, że już mają tych w ręku, za którymi tak długo szukali i tyle nocy po lasach za nimi chodzili, boć to oni już od dawna mordowali i rabowali w tych okolicach, i bardzo się ich ludzie bali, a nie można ich było złapać, bo się rozmaicie przebierali, teraz to nawet nie bali się ubrać na

rabunek w święte szaty kapłańskie. Wpakowali ich potem na ich własny wózek i zabrali ze sobą jak swoich.

Zaraz rano pojechał Antoni z żoną i synem do x proboszcza i dał na mszę za szczęśliwe uratowanie życia i sypnął hojnie grosza na szkółkę, którą właśnie x. proboszcz budować rozpoczął a w dodatku nakupił xiążek potrzebnych dla wszystkich dzieci i syna swego pierwszego zapisał do szkoły. Czeladnikowi zaś owemu, który właśnie szukał roboty, darował z wdzięczności tęgi kawał gruntu tuż obok samej karczmy i prócz tego ofiarował mu kilkadziesiąt reńskich na zakupno potrzebnych narzędzi kowalskich, a gromada zaś, za to że ich wybawił od tych zbójców, poszła z prośbą do Pana, a za jego pozwoleniem i pomocą zbudowali mu obok karczmy kuźnię i zrobili go kowalem gromadzkim, gdzie do dziś dnia kuje i dobrze mu się powodzi, boć to przy głównym trakcie dobry kowal nie zaginie. A i od rządu dostał za schwytanie tych zbójców wynagrodzenie. Dziś już posiada swoją własną dobrą chałupę i gruntów sobie wiele nakupił i ożenił się, a dziękuje Bogu, że się tak stało.

Widoczna kara Boża.

Jak mi najmilej, jaki piękny przykład, o którym się dowiem, wam moi kochani donosić, tak czasem przydarzy się taki jakiś osobliwy smutny przytrafunek, gdzie człowieka kara Boża w oka mgnieniu dosięgnie, o czem nie podobna zamilczeć.

Otóż taki jeden smutny wypadek, opowiem wam tu w krótkości.

Będzie temu może rok, jak dwóch sąsiadów z jednej wsi w krakowskim obwodzie za Wisłą, poszli sobie społem na jarmark do poblizkiego miasteczka. Jeden z nich był choć nie bardzo zamożny, ale uczciwy gospodarz, a drugi był ladaco, próżniak, patrzący na cudzy dobytek, bo mu się na siebie zapracować nie chciało. No i zaszli do miasteczka, jeden aby sprzedać jakąś tam chodobę, a drugi, aby co komu zwędzić. Ale jakoś na jarmarku nie udała mu się żadna gratka, choć za nią gonił. Tym-

czasem ten poczciwy gospodarz, sprzedał ten jakiś swój towar i wziął za niego 5 złr. w. a. Nie wielkać to suma, ale i na tę wzięła chętka niepoczciwego sąsiada.

Pojął więc na powrót uczciwego gospodarza, i po drodze zawezwał go do karczmy, gdzie go trochę podpoił, tymczasem też i noc zapadła, i wyszli już po ciemku z karczmy do domu.

Uszedłszy niedaleko w krzaki niegodziwy ladaco, kiedy dobroduszny gospodarz żadnej się zdrady nie lękał, to ten niecnota porwał okrutny kamień, i zawalił go w głowę, a gdy ten biedak upadł bez zmysłów na ziemię, to zbójca jakiś Bega się nie bojący, widząc że jeszcze żyje, dokłuł go do reszty nożem, wziął te 5 złr. w. a. i wrócił do domu.

Żadna zbrodnia nie zatai się przenigdy we świecie, tak też i ten zbójca został do razu schwytany, i zaprowadzony przed sąd, gdzie sam przyznał się, jakim okrutnym sposobem mordował swego sąsiada. Sami sędziowie wydziwić się nie mogli szkaradzie jego zbrodni, i nawet o tem było po gazetach rozpisane.

Oczywiście za taką zbrodnię, straszną został on na śmierć, na szubienicę, od najwyższego sądu skazany. Ale że kara śmierci nie może być na nikim wykonana, dopóki na to sam cesarz nie pozwoli i na to da swój podpis; więc też jego sprawa cala z papierami poszła do Wiednia, a tymczasem zamknęli go w kryminale w Krakowie.

Teraz słuchajcie moi kochani, co się z nim w kryminale dzieje? Zaraz począł tak schnąć, że się go suchoty chwyciły, i mówią doktorzy, że może i kary śmierci nie doczeka, i umrze, ale to jeszcze fraszka, lecz patrzcie jaki palec Boski jest nad nim, i kara za jego zbrodnię. Oto ręka prawa, ta sama którą mordował swego bliźniego, poczęła mu tak z dobra dziwnie gnić, i kawałkami ciało tak odlatywać, że jeno tylko sama kość została. Doktory przychodzą, leczą, wydziwić się nie mogą, ale nie pomogą żadne leki, bo gdzież człowiek może poradzić przeciw wszechmocy Bożej, i temu, kogo sam Pan Bóg karze!

Choć wiem, że między wami, moi ludkowie, co to czytać będziecie, nie ma żadnego zbrodniarza, ale przecie was proszę, abyście dzieciom waszym i wszystkim o tem rozpowiadali, aby

się jak to mówią, i dziesiąty karcił i bał się myśli zbrodniczej. Zostańcie z Panem Jezusem!

Ludka z Myślenic.

Jak wójt Bartłomiej radził sobie od ognia?

Nie ma to nic lepszego w gromadzie nad dobrego wójta! A takim dobrym wójtem był we wsi Mielcu Bartłomiej Łąka. Jak on nastał, to zaraz i we wsi inaczej nastało. Bartłomiej wyłapał złodziei, co konie kradli i poodstawiał do sądu. Naznaczył gromadzkiego polowego, żeby pastuchy szkody nie robili. Podczas nabożeństwa przykazał zamykać arendę i nikomu krzywdy robić nie dozwala. Za to go też znienawidzili źli ludzie, którym te porządki się nie spodobały, i złodzieje. A że nie mogli mu inaczej szkodzić, to go spalić zamyślili. Kilka razy podkładali ogień to w chacie, to w stajni, ale jakoś Pan Bóg go strzegł od nieszczęścia, bo zawsze ogień sam przygasał. Wtedy obgadali Bartłomieja złodzieje, że on czarownik, kiedy ogień chaty jego się nie ima. A kiedy raz blisko niego podpalili sąsiada Michała, a wiatr na Bartłomiejową strzechę iskry zanosił, Bartłomiej ani nawet rzeczy nie kazał wynosić z chaty, ale pobiegł z czeladzią ratować sąsiada, to już wtedy i po innych siołach roznieśli ludzie, że Bartłomiej czarownik. Kiedy przy pomocy Boskiej ogień u sąsiada ugasili, zostały ściany i ściel całe, a tylko dach zgorzał. Wtedy za staraniem Bartłomieja gromada złożyła się na Michała i zwiozła mu na podwórze krokwie i łaty, i słomę na pokrycie. Aż tu niedługo jakoś po pożarze wchodzi Michał do izby Bartłomieja i mówi:

— Bóg zapłać panie wójcie za wszystko, coście mi dobrego zrobili; z łaski waszej mam wszystko, ale jeszcze bym was o coś prosił. Powiadają ludzie, że wy umiecie ogień zamawiać; bądźcie łaskawi poradzić mi, jak to robić, a ja wam za to wynagrodzę.

Na to uśmiechnął się Bartłomiej i mówi:

— Kto by to jeszcze za poradę brał nagrodę. Poradzić i nauczyć kogo potrzeba, toż to obowiązek chrześciański. Ale cóż?

czy to ja jednemu już radził, a myślicie że posłuchał? Gdzież tam. Może i wy tak zrobicie, to i czasu szkoda.

A Michał na to:

— Ej mówcie sąsiedzie mówcie, pewniusienko usłucham waszej rady. Bo to widzicie, człeku ani spać, ani usiąść, ani chaty odstąpić nie można. Zawsze człowiek w trwodze, czy nie gore, a to za jednym razem przepadłoby wszystko, na co się całe życie gorzko pracowało, a chroń Boże i robaki mogłyby poginąć. Złodziejowi złego słowa nie można powiedzieć, bo zaraz ogniem grozi. Oj te ognie połowę życia mi odbierają mój sąsiedzie! — Dobrzeć jeszcze, że u mnie ratunek był wielki, i deszcz napełnił doły; inaczej byłoby wszystko zgorzało. Wy wiecie, jak to dziś trzeba płacić za materjał, cieślę i wszystko; gdzieby się człowiek był ściągnął na nową chatę; trzaby pójść w komorne. Czasem to złodzieje całe sioła wypalają — aby łatwiej kraść mogli w zamieszaniu. Oj powiedzcie, powiedzcie miły sąsiedzie, jak to zrobić, żeby ogień strzechy się nie czepiał.

— A posłuchacież wy mnie?

— Jak mi Bóg miły posłucham, chyba żeby to była rzecz bardzo kosztowna, albo nad moje siły.

Na to znowu wójt:

— Nic was to kosztować nie będzie, i będziecie mogli zasypiać spokojnie.

— O daj to Panie Boże!

— Słuchajcież, co wam powiem. Naprzód weźmiecie się do dachu, i musicie gęściej krokwie zaciągnąć. Jak na nich łaty poprzybijacie, każcie w podwórku wykopać dwa doły, po kolana głębokie, a na sążeń długie i szerokie. Potem każecie zwieźć kilka wozów gliny. Nasypcież po tem do tych dołów po trochę gliny, nalejcie na nią wody tyle, aby je można rzadko rozrobić, tak żeby się czerpać i przelewać dała. Jakeście ją tak rozkłócili, nabierzcie jej w bądź jakie naczynie, weźcie do rąk szczotkę do bielenia i maczając takową w glinie, wycierajcie nią krokwie i łaty wszystkie od góry aż do dołu i w około, a jak raz przyschnie, to smarujcie po raz drugi i tak dalej aż do czterych razów. Potem powrzucajcie do dołów tych z gliną snopki słomiane, które powinny być dość grube i obmoczcie je

tak, żeby ta juszka het na wskróś i do samego snopka każdego wsiąkła. Po tej kąpieli trzeba snopki powyciągać z gliny, żeby z nich juszka ociekła i poskładać na kupę. Jak się tych snopków spora kupa nazbiera, dopiero można niemi dach pokrywać kręcąc z tychże samych snopków powrósła, któremi się wiąże słoma do łat, uważając na to, żeby gęste było poszycie — żeby snopek do snopka dobrze przylegał. Snopków takich nie żałować i jeden do drugiego dobrze przyciskać; bo im twardsza robota, tem trwalsza będzie budowa. Otóż tak poszywajcie dach do samego wierzchu. Jak zabraknie wam w jednej jamie juszki, bierzcie się do drugiej, a tymczasem niech wam kto pomoże w pierwszej próżnej rozrobić glinę. Kiedyście strzechę już poszyli, wrzućcie znowu do jamy mierzwiastej słomy, wymoczcie ją dobrze i zróbcie z niej wierzch u góry dachu, jak się zwyczajnie robi. Żeby zaś ogień pod strzechą na strych się nie dostał, potrzeba wszystkie szpary i dziury takiemi snopkami dobrze pozatykać. Baczcie dobrze na to, żeby podczas roboty tylko po długiej drabinie na dach chodzić i zchodzić, bo inaczej dolna robota suchsza zepsułaby się. Wiedzieć jeszcze musicie, że podczas tej roboty powinniście się zasłonić fartuchem i rękawy zakasać — obierając do tego porę pogodną.

Michał z uwagą słuchał tej nauki, a po skończeniu jej rzecze:

— Co wy mi bajecie, ta tę glinę pierwszy lepszy deszcz spłucze.

A wójt na to:

— Kiedy bo nie spłucze, a choć i spłucze trochę z wierzchu, to wcale nic nie szkodzi.

— A potem, że to wielki ciężar będzie.

— Prawda, że będzie, dla tegoż ja wam radzę gęściej dawać krokwie; zamiast 5 par, dać 6, także i łaty o parę cali grubsze jak zwyczajne. I to tylko z początku będzie ciężar, ale jak wyschnie robota za parę niedziel, to i dach będzie lżejszy. Dla tego też właśnie nie trzeba glinę na gęsto, jeno na rzadko rozrabiać.

— Ale co robić z dużemi dachami na stodołach?

— A widzieliście wy moją stodołę? Na co mi stodoły — to nadto kosztowna rzecz dla kmiecia. Zrobić tok na podwórku

i jak pogoda, młócić na dworze. A w słotę, jeżeli koniecznie potrzeba ziarna, to mam na to szopę.

— A gdzież zboże składać?

— Tak jak na Podolu — w stogi i brogi, a tam chleba huk.

W obcych krajach na żelaznych rusztach układają stogi. U nas można na palach stogi układać, tak aby pod spodem mogły koty chodzić i myszy łapać.

— A jak złodzieje podpalą?

— To trzeba porozrzucać stogi jeden od drugiego daleko i obsadzić gumno drzewami. A choćby się spalił stóg, nie spali się wieś, ani dobytek, ani jedna chata, jak będzie wszędzie tak, dach jak u mnie — przytem zawsze mniejsze niebezpieczeństwo i mniejsza szkoda.

— Ale moiściwy Bartłomieju, a my tego sposobu nie znali.

— A no widzicie. Ot, żeby was przekonać, że tak jest jak wam powiedziałem, to spróbujcie. Weźcie słomkę, namoczcie ją w takiej rozrobionej glinie, wysuszcie dobrze przy ogniu, a jak wyschnie, spróbujcie zapalić nad świecą; obaczycie czy się zajmie, zwęgli się, ale płomieniem nie zapali.

— To prawda! Widziałem nieraz, że w glinianym piecu palą, a kiedy piec rozbiorą, w nim słoma nieraz całuśka.

— Można jeszcze inaczej spróbować. Zróbcie sobie gdzie na polu, daleko od chaty, taki mały daszek; jak wyschnie spróbójcie go podpalić i obaczycie czy się zajmie.

— A na co! przekonałem się już na waszym dachu. No patrzajcie, a ludzie was za to zrobili czarownikiem.

— Widzicie sami, że to nie są żadne czary, tylko rozum.

— Ale jak to robić, kiedy to jeszcze u nas nie bywało?

— Ale dawniej i wozów kutych nie bywało, a teraz są; dawniej koniczyny nie siali, a teraz sieją; dawniej kartofli nie bywało, a teraz sadzą. Co dobre, to dobre, choćby jeszcze i nie bywało.

— Ale będą ludzie widziwiać!

— Mądrzy pochwalą; wreszcie rozumny nic sobie ze śmiechu głupich nie robi; tak, jak nie dba o to, że go tam psy na ulicy oszczekują.

— No już was posłucham, i skoro Pan Bóg da doczekać, zaraz jutro zabiorę się do poszywania dachu. Zdaje się, że będzie pogoda, bo kury już siadają i jaskółki wysoko latają. Bóg zapłać wam za naukę!

Niechże ta nauka posłuży wam kochani ludkowie! Jeżeli kto z was teraz — od czego Boże każdego zachowaj, pogorzeje, niech nie narzeka na niedolę, ale niech raczej lenistwu swojemu przypisze, że nie chciał usłuchać dobrej rady.

RÓŻNOŚCI.

Znalezione dukaty. Pewien biedny ale poczciwy szewc znalazł na drodze worek, w którym było 90 dukatów. Gdy wracał do domu, usłyszał w mieście, jako na rynku wybębniali, że jakiś kupiec zgubił 90 dukatów, a ktoby je znalazł i oddał, dostanie za to w nagrodę 10 dukatów. Poczciwy szewc idzie zaraz do kupca i oddaje mu znalezione pieniądze. Ale kupiec ów, człowiek bardzo chciwy, nie dał mu, jak obiecał 10 dukatów, jeno mówi:

— W worku było 100 dukatów, a ty mi oddajesz 90, więceś sobie już sam znaleźne odciągnął!

Na to mówi ów szewc poczciwy:

— Miły panie! Nie chodzi mi o tę zapłatę, ale markotno mi bardzo, że mnie posądzacie, iż sam pieniądze ruszyłem. Kiedy zaś tak mówicie, to chodźmy do sądu, aby moją niewinność osądził.

Idą więc obaj do sądu i spierają się okrutnie z sobą. Kupiec mówi, że zgubił 100 dukatów, szewc prawi że znalazł tylko 90. Nie było więc innej rady, jeno sąd musiał kazać obom przysięgać. Owoż kupiec przysiągł na swoje a szewc na swoje Wtedy sędziowie, którzy dobrze znali chciwość kupca a poczciwość biednego szewca, taki wyrok dali.

— Ponieważ obaj przysięgliście, więc wam obom wiarę dać trzeba Kiedy więc wy panie kupiec przysięgliście, żeście zgubili 100 dukatów, ów zaś ubogi człowiek przysiągł, że znalazł tylko 90 dukatów, więc ztąd jasno wychodzi, że szewc znalazł inne a nie wasze pieniądze. Niech sobie więc te pieniądze zatrzyma, aż się znajdzie ten, co 90 dukatów zgubił, a wy panie kupcze czekajcie, póki kto się nie zgłosi, co wasze 100 dukatów znalazł.

I tak się też skończyło. Kupiec mało od zmysłów nie odszedł, i sam siebie przeklinał, że przez skąpstwo taką stratę poniósł. Ale ów poczciwy szewc zlitował się przecież nad nim i dobrowolnie oddał mu znalezione dukaty, a kupiec już wtedy nietylko, że mu 10 dukatów znaleźnego wypłacił, ale jeszcze jako swego dobrodzieja uściskał go i postanowił sobie mieć zawsze na pamięci tę naukę.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 15.

21. maja 1865.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Trzewiczki Jezusowe.

Nie ma miasta nad nasz Kraków! Tam to stare nasze pamiątki polskie, groby królów naszych — a czterdzieści kościołów głosi chwałę Bożą!

Między temi kościołami są niektóre bardzo stare, i tak naprzykład kościół Panny Maryi tak obszerny, że się w nim najmniej trzy tysiące ludzi zmieści, stoi już lat sześćset trzydzieści ośm, ale są jeszcze starsze i dawniejsze. Na przedmieściu Zwierzynieckiem jest kościół św. Salwatora, czyli po polsku Zbawiciela, wybudowany przez rycerza Piotra Dunina ze Skrzynna przed siedmiuset laty, w tym to kościele przed parą tygodniami był odpust, na który i ja będąc podówczas w Krakowie poszedłem.

Było to wczas z rana i zaledwie kilkoro ludzi znajdowało się w świątyni, a że nabożeństwo jeszcze się nie zaczęło, obchodziłem więc kościół w około, przypatrując się obrazom i nagrobkom.

Nagle jeden obraz zwrócił moją uwagę, bo też był dziwny i ciekawy. Na krzyżu Pan Jezus rozpięty, lecz nie jak zwykle

obnażony z szat, ale w pięknej sukience przybrany i w złocistych trzewiczkach obuty; pod krzyżem stał jakiś biedny skrzypek, wygrywający na swym instrumencie i wpatrujący się z wielką boleścią w twarzyczkę Zbawiciela, z którego nogi jeden ze złotych trzewiczków jakoby spadał na owego skrzypiciela. Obraz ten bardzo mię zastanowił i rad byłbym się dowiedzieć co to malowanie oznacza, ale nie było się kogo o to zapytać.

W tem nadszedł dziaduś siwy, w białym płaszczu z literami na nim, z niebieskiego sukna wyszytemi, co znaczyło, iż należał do dziadków, przez panny Norbertanki ze Zwierzyńca utrzymywanych.

— Nich będzie pochwalony Jezus Chrystus! — przemówił do mnie.

— Na wieki wieków, amen — odpowiedziałem, nie odwracając oczu od obrazu.

— A co się tak pilno w ten obraz wpatrujecie? — zagadnął dziadek.

— Oto mój dziadusiu przyglądam się dla tego, że radbym wiedzieć, co to znaczy ten skrzypek wygrywający i ów trzewiczek spadający z nóżki Pana Jezusa.

— Musicie być nie tutejszy — rzecze dziaduś — skoro tego obrazu nie znacie, — mówił dalej staruszek — boć go zna cały Kraków, chociaż nie jeden nie wie co znaczy to malowanie.

— Jestem z Choleszyna z pod Krakowa, ale dawno już tutaj nie byłem, a tego obrazu nigdy nie widziałem.

— Pójdźcież przed kościół — rzecze dziadek, — bo się nie godzi rozmawiać tutaj, nabożeństwo się rozpocznie dopiero za godzinę, więc mamy jeszcze dosyć czasu, toć ja wam to wszystko od początku do końca rozpowiem; boć to bardzo piękny cud Boży i warto abyście go innym opowiedzieli.

Wyszliśmy przed kościół, dziaduś usiadł na szerokim kamieniu, zapraszając mię abym i ja tak samo zrobił. Uczyniłem tedy zadosyć jego woli, a staruszek zażywszy tabaczki i poprawiwszy się wygodnie na siedzeniu tak opowiadanie swoje rozpoczął:

— Za moich czasów było to jeszcze pięćdziesiąt dziewięć kościołów w mieście, a nieboszczyk ojciec jeszcze więcej pamiętał, bo trzeba wam wiedzieć, że przed paruset laty było ich siedmdziesiąt, a Kraków małym Rzymem nazywano. Już to temu lat siedmdziesiąt, kiedy rozebrane zostały kościoły następujące: św. Szczepana, św. Macieja, św. Maryi Magdaleny, św. Michała, św. Jerzego, św. Zofii, św. Jakóba, św. Sebastyana, św. Gertrudy, śś. Filipów i Jakóba, św. Walentego, św. Krzyża i św. Piotra Małego, a sprzedano, albo przerobiono na domy: św. Jana Bożego, Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, św. Scholastyki, św. Ducha, św. Jadwigi, św. Agnieszki, razem ich dziewiętnaście, które ja jeszcze pamiętam.

Ale ja o Pawle a wy o Gawle, ja wam rozpowiadam o kościołach, a wy radzi usłyszeć o skrzypku co go na obrazku widzicie, no to słuchajcież.

Kraków, jak wam mówię, był miastem daleko większem jak dziś. Mieszkał w nim król jak wiecie na zamku, więc też zjeżdżało się mnóstwo panów z dworami.

Za którego to króla było, tego wam nie powiem, bo sam nie wiem, a choćbym wiedział, tobym zapomniał, bo u mnie pamięć jak u kury, ale dość że to bardzo dawno, żył w Krakowie ubogi skrzypek, ten co go to właśnie na obrazku widzicie, no ma się rozumieć, że wówczas skrzypków w Krakowie jako innych muzykantów było bardzo wiele, a szlachta sypała grosz hojnie, aby jej przy zabawie pięknie przygrywali. Lecz jeżeli oni pięknie grali, to ten skrzypek co go na obrazku widzicie nad innych śliczniej wygrywał i najwięcej zarabiał. Dobrze to mówią, że na miejscu kamień obrasta, więc też i skrzypek miał się dobrze, a skoro mu mieszek urosł należycie, wynalazł sobie dziewuchę pracowitą i przystojną i ożenił się, bo to jak wiecie natura ciągnie wilka do lasu, a chłopca do dziewczyny.

Ale jeżeli ów skrzypek, co go na obrazku widzicie pięknie wygrywał na swoich skrzypeczkach, to też i nie gorzej gospodarzył w domu; boć rok jeszcze od ożenienia nie minął, a tu już dwie kołyski jedna wedle drugiej stoją, a dwoje bliźniaczków drze się na cały głos, aż w izbie głucho. Za temi przyszło znowu jedno, a potem jedno, a potem dwoje na raz

i znów jedno, dosyć, że w pięciu latach siedmioro dziatek napełniło izbę muzykanta, a wszystkie zdrowe i silne, taką mu wyprawiały na gardziołkach muzykę, że się musiał na pole wynosić ze skrzypkami i tam wygrywać nowo wymyślone kawałki, bo w izbie przed krzykami ani skrzypków nastroić, ani ich nawet usłyszeć nie mógł.

Jednakże skrzypek wcale sobie nie przykrzył, wiedział on, że bez pracy nie będzie kołaczy, więc też wstając i idąc spać dziękował Panu Bogu za jego błogosławieństwo; pracował też pilnie, a jeżeli o co mu chodziło, to tylko o to, aby niewiasta, albo które z dzieci nie zachorowało.

Otóż mój człeku, wiodło się dobrze muzykusowi, ale dopóty dzban wodę nosi póki się ucho nie urwie, a nie zawsze to bywa świętego Jana w niedzielę i nie zawsze ludziom się dobrze powodzi, a czasem bieda tak niespodzianie za kark cię uchwyci, że ani dychniesz.

Stało się więc że ów król, co wtedy siedział na krakowskim zamku, poszedł na wojnę z krzyżakami, ma się rozumieć, że za nim poszli wszyscy, a Kraków stanął pustkami tak, że nie było komu wygrywać nie tylko na skrzypeczkach, ale i na dudzie.

Skrzypek zaturbował się okrutnie odjazdem królewskim, lecz myślał, że się wojna wnet skończy, a zarobek będzie jeszcze lepszy, bo rycerstwo pobiwszy Krzyżaków, nie mało przywiezie zdobyczy i będzie jak śmieciami w koło miotać pieniędzmi, a nie jeden grosik srebrny w jego dziurawą czapkę wleci.

Chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi, wojna zamiast skończyć się w jednem lecie, trwała przez lat trzynaście, bo raz król wygrywał, a drugi raz Krzyżacy wygrywali; panowie zaś jakoś nieszczerze pomagali, nie chcieli dodawać pieniędzy; otóż wojowanie szło licho i wojna ciągnęła się bez końca.

Ale jeżeli na wojnie szło ladajako, to naszemu muzykusowi działo się jeszcze gorzej, biedak miał się jak groch przy drodze, często brakowało dla żony i dzieci kawałka chleba, a że głodnych i mucha powadzi, więc też poczęły się w domu sprzeczki i niepokoje. Żona wymyślała wciąż na biedaka; on jej co prawda perswadował i nieraz powiadał, że jeżeli cierpią

na tym świecie, to im Pan Bóg za te cierpienia sowicie w niebie wynagrodzi, ale kobiecina zwykła była mawiać z gniewem: Co mi tam z twoich obietnic, obiecanka cacanka, a głupiemu radość; lepsza kopa za żywota niż po śmierci sterta, dosyć że gadała co jej ślina do gęby przyniosła, a biedny mąż wynosił się za drzwi, ustępując niewieście, aby kłótniami nie pomnażać sporu i nie wywoływać wilka z lasu.

Próżno biedak szukał innych zarobków, nic mu się nie wiodło, nigdzie nie mógł grosza zarobić; oj dobrze to ludzie powiadają, że jednemu szydła golą, a drugiemu i brzytwy nie chcą, próżno prosił znajomych o pożyczenie pieniędzy do lepszych czasów, gdzie złe przypadki tam przyjaciel rzadki. Nikt mu nie chciał dać grosiczka, a każdy nagadał tyle, że aż nieborakowi uszy puchły od kazań i dogryzków.

Nareszcie jednego dnia zachorowało mu śmiertelnie dwoje dziatek z głodu i zimna, tak przyciśnięty ów skrzypek, którego na obrazku widzicie, zdesperowany do ostatniego, wziął skrzypeczki i szedł nie oglądając się ani za siebie, ani patrząc przed siebie. I tak szedł, szedł, aże zaszedł przed kościół św. Salwatora.

Opuszczeni ludzie są w opiece Boskiej, pomyślał spojrzawszy na kościół, pójdę i pomodlę się do Pana Jezusa, może się też nad moją biedą zlituje, i wszedł do kościoła, tego samego przed którym siedzimy.

Dobrze to mówią ludzie, że kiedy trwoga to do Boga. Więc też skrzypek uklęknął przed ołtarzem, w którym była figura Pana Jezusa ukrzyżowanego w sukienkach i szczerozłotych trzewiczkach, i z wielkim żalem i rozpaczą w sercu począł się modlić. Ale jak to mówią w biedzie i pacierz nie idzie, więc i on skrzypek, nieboraczek trapiony po dziesięć razy zaczynał modlitwę, a nie mógł jej skończyć, słowa mu więzły w gardle tak go strapienie ściskało; aż nareszcie nie wiedząc prawie sam co robi, wziął w rękę skrzypeczki, a stanąwszy pod samym krzyżem, wlepiwszy wzrok w Zbawiciela, począł grać tak smutno, tak żałośliwie, że aże serce pękało, i zdało się, że wszystkie struny płaczą różnemi głosami i rzewnie jęczą wzywając miłosierdzia Jezu-

sowego; a skrzypek grał i grał a łzy spadały mu jak groch po twarzy i zaledwie mógł utrzymać smyczek w ręku. A nie widział przed sobą ani kościoła, ani Pana Jezusa, jeno to wybladłą i znędzniałą żonę i dwoje śmiertelnie chorych dziatek i resztę biednych sierotek chwiejących się od głodu. I buchnął skrzypek głośnym płaczem na cały kościół, a skrzypki jeszcze żałośliwiej od niego płakały.

W tem nagle coś go w ramię trąciło, a potem z łoskotem upadło pod nogi; patrzy skrzypek, a to szczerozłoty trzewiczek leży na ziemi, a nóżka Zbawiciela bez trzewiczka na krzyżu.

— O Jezu! mój Jezu! toś się Ty nademną biednym zlitował, zawołał skrzypek, a padłszy na ziemię, krzyżem leżąc, gorąco płakał, a potem zerwał się z miejsca i podniósłszy trzewiczek wypadł jak szalony na ulicę. Tak to mój panie, Bóg tego nie puści kto się nań spuści, a kogo Pan Bóg stworzy to go nie umorzy.

Otóż gdy wybiegł z kościoła, tak pędził do miasta z trzewiczkiem za pazuchą, do bogatych kramów, bo trzeba wam wiedzieć, że przy Sukiennicach na Krakowskim rynku były bogate kramy, kędy siadywali złotnicy, sprzedawali klejnoty i różne kosztowności. Przypadł tedy i pokazuje złotnikowi trzewiczek Jezusowy, pytając go czy nie kupi.

Złotnik ów był niemiec, bo trzeba wam wiedzieć, że wtedy w Krakowie najwięcej rzemieślników było niemców, nie zrozumiał więc o co idzie, widział jeno ciężki szczerozłoty trzewiczek, dyamentami i perłami sadzony i domyślił się, że ów skrzypek ubożuchny chce sprzedać ten drogi klejnot. Z początku wachał się, widząc takiego chudzinę w posiadaniu trzewiczka, ale wnet obejrzawszy go pilnie pomyślał, bierz Michale co Bóg daje, i dał wielki wór srebrnych pieniędzy skrzypkowi. Ten ujrzawszy taką sumę omało nie omdlał z radości, rychło się przecież upamiętał, a nakupiwszy różnych żywności popędził do domu.

Co tam było radości, nikt tego opowiedzieć nie potrafi, tem bardziej, że i one dzieci prawie umierające jakby cudem ozdrowiały. Jedli, skakali, śmiali się, płakali, ściskali, dość

że tego na wołowej skórze trudno spisać, ile wesela Pan Jezus trzewiczkiem sprawił.

Wnet skrzypek kupił sobię porządne domostwo i kawał gruntu na Czarnej wsi, jął się ogrodnictwa, przyjął czeladź, a skrzypeczki swe za świętość uważał i zawiesiwszy je na gwoździu przysiągł, że odtąd na nich nikomu grać nie będzie, chyba tylko jednemu Panu Jezusowi.

Wybornie wiodło się skrzypkowi na gospodarstwie i opływał jak pączek w maśle; czego się jął wszystko mu się szczęściło, bo owe pieniądze przyniosły w dom błogosławieństwo Boże. Ale szczęściu nigdy nie dowierzaj, i nie mów hop aż przeskoczysz. Stare to przysłowie, że wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi i każdy dojrzy słomki w oku bliźniego, chociaż w swoim tramu nie widzi, jak powiada xiądz proboszcz. Wnet też poczęli się wszyscy dziwować, skąd skrzypek, nie dawno umierający dorwał tylu pieniędzy. Więc zaraz baby między sobą gadu gadu. Może znalazł, może ukradł, może kogo zabił i zrabował. A że słówko wyleci ptaszkiem a powraca wołem, więc też wnet gruchło po mieście, że skrzypek kogoś zabił, okradł i zrabował.

Oj wierzcie mi, że od języka bardziej boli aniżeli od miecza, zaś dobrze słychać daleko, a złe jeszcze dalej, więc też doniosło się i do sławetnego magistratu, który cichuteńko wysłał drabów, a ci porwawszy skrzypka i jego żonę, powlekli ich do piwnic ratuszowych i wtrącili do głębokiego lochu, okuwszy na ręce i nogi.

Biedny skrzypek nie wiedział za co go taka hańba spotkała, nie wiedział co się z jego niewiastą dzieje; nie czuł jednak wielkiej w sercu trwogi pamiętając, że Bóg nad każdym czuwa, a kto dobrze czyni śmierci się nie boi, zawsze przecież srodze się turbował o kobietę i dzieci; ale wnet męztwo wstąpiło do duszy nieboraka, a wiecie dla czego, bo się modlił szczerze i gorąco, a modlitwa krzepi każdego.

Ile dni przesiedział w brzydkim lochu o chlebie i wodzie, tego wam nie powiem, bom tam nie był, ale dość na tem, że jednego dnia przyszedł klucznik z drabikami, a wziąwszy

pod ręce, poprowadzili do wielkiej sali na ratuszu, z którego dziś już i śladu nie ma.

Ho ho był ci to ratusz nie lada, szukać drugiego w świecie, pamiętam go dobrze; lecz cóż ubrdało się jakimś głupcom zburzyć ten śliczny gmach i zburzyli, niechże im Pan Bóg tego nie pamięta!

Ale wróćmy do naszego skrzypka, co stał przed ławnikami miejskimi i pocił się od strachu, widząc srogie miny i sroższe jeszcze oczy, które na niego wywalali. Więc tedy najprzód zapytali go kto jest, czem się trudni i tam dalej, aż potem najstarszy rzecze:

— Byłeś ubogi i umierałeś z głodu, a teraz masz domostwo, grunt i pieniądze, zkąd to wszystko, mów, a tylko prawdę, bo cię na turtury wziąć każę!

Skrzypek zbladł i począł dygotać od strachu, a zęby mu klekotały, jakby go za kark czwartaczka chwyciła. Bo też to turtury to nie żarty.

To widzicie, były takie haki, co człowieka na nich u powały zawiesili za palce od rąk, a do nóg wiązali centnarowe kamienie, tak, że ci wszystkie członki ze stawów wychodziły; albo nogi kładli między deski, a potem zabijali klinami, że druzgotało kości; nie miał się więc bać takiego specyału biedny skrzypek co go na obrazku widzicie; ależ westchnąwszy do Pana Boga, zebrał wszystkie siły i począł sędziom opowiadać wszystko jak było, nie kłamiąc, ani ukrywając.

Skoro skończył opowiadanie, sędziowie parsknęli śmiechem, a najstarszy zawołał:

— Łżesz łotrze! wszystko co powiedziałeś kłamstwo, któżby ci uwierzył, aby tobie Pan Jezus dawał trzewiczki. O widzicie go jaki pokorniutki, cicha woda brzegi rwie, modli się pod figurą, a djabła ma za skórą; złodziej jesteś, wierutny złodziej, skradłeś Panu Jezusowi trzewiczek, a teraz chcesz sławetnym ławnikom zamydlić oczy. Przyznaj się, bo ci mówię raz jeszcze, że pójdziesz na turtury zbrodniarzu!

Łacno o przyczynę, kto chce bić chudzinę, a na pochyłe drzewo to i kozy skaczą, powiadają starzy ludzie, więc też i ławnicy poczęli miotać obelgi na skrzypka, przezywając go

świętokradcą; a on nieborak próżno się sumitował, płakał, przysięgał, nie pomagało mu to wcale, tak, jako nie pomoże krukowi mydło, ani umarłemu kadzidło, nie uwierzyli mu panowie radni, a burmistrz czy tam wójt myśląc że zbrodniarz zaciął się upornie, krzyknął na kata Fryca.

Kat posunął się ku skrzypkowi, ale ledwie dotknął go ręką, kiedy ów przejęty strachem, zachwiał się i padł jak długi u stóp oprawcy. Poczęto go cucić, a kat, który był zarazem i doktorem, bo naówczas kaci też praktykowali w tem rzemiośle, rzekł do ławników:

— Sławetni panowie! ten człowiek jest bardzo słaby, zanim go wezmę w swoje ręce, to on od strachu skona, turtury nie wymęczą z niego chyba jedną śmierć, jeżeli wola mojej rady posłuchać, to należałoby przestać na tem, bo widzi mi sięż e to człowiek niewinny.

— Skądże tak sądzicie kumie Frycu, że za nim obstajecie? — zapytał starszy.

— Albo mi to mało zbrodniarzy przez ręce przeszło, abym się na nich nie znał, o znam ja ich jak zły szeląg, bo kto się dotyka smoły, to się od niej maże, i ja też znam złodziejskie przebiegi. Słyszałem jako się tłumaczył ten skrzypek, gdyby popełnił kradzież toby nie miał tyle śmiałości w mowie, ani uczciwości w oczach, bo na złodzieju czapka gore, ale ten mówi pięknie i prawdziwie, i ja jestem przekonany, że niewinien.

— Widno żeście się kumie na patrona urodzili, a przecież trzeba przy sprawiedliwości stać, a zbrodniarzy karać — rzekł ławnik.

— Wiem ci ja, że karanie słuszne lekarstwo duszne — odrzekł kat, — i wiem też że turtury są potrzebne na zbrodniarzy, bo przez nie prawdy się dowie i po kłębku dójdzie nici; ale po co tutaj za nitkę chwytać, kiedy kłębek w garści.

Fryc miał wielkie zachowanie u panów radzieckich; wiedzieli że to człowiek mądry, postrach zbrodniarzy, ale przyjaciel cnotliwych. Więc poczęli się naradzać. Jedni za nim, drudzy przeciwko niemu, bo zawsze między ludźmi co głowa to rozum, ale przecie tych więcej było, co potępiali biednego skrzypka i w końcu wypadł wyrok, żeby go uwolnić od turtury, ale jako

świętokradcy, najprzód uciąć rękę, a potem bić kołem i końmi roztargać, a wreszcie na popiół spalić i na cztery wiatry rozrzucić.

Próżno skrzypek co go na obrazku widzicie udawał się do miłosierdzia panów radnych, trafił kulą w płot, nic nie pomogło. Widząc nareszcie że przeciw wodzie trudno płynąć, poddał się spokojnie wyrokowi i nie wydał nawet onego niemca któremu trzewiczek sprzedał, ale zażądał tylko księdza, aby go jako prawowiernego katolika na drogę wieczności przygotował.

We trzy dni potem wzniesiono w rynku Krakowskim obok ratusza rusztowanie, a o świcie zbiegł się ogromny tłum ludu na tracenie skrzypka. Wieść o tej sprawie rozbiegła się po całem mieście; byli tacy co wymyślali na niego i wierzyli że skradł trzewiczek; ale była znowu ogromna chmara takich, co go mieli za niewinnego. Boć go też znało całe miasto i wszyscy bardzo lubili za śliczne granie.

Więc gdy się najprzód pokazali pachołcy a za niemi skazany na śmierć, to ludzie tylko płakali, ale skoro ukazali się panowie ławnicy, powstał krzyk srogi.

— Co to wrzeszczeli ludzie, kowal zawinił a krawca wieszają?! Niesprawiedliwość! Zły sąd, znają się na prawie jak koza na pieprzu!

I zrobił się taki tumult jak w piekle po ukrzyżowaniu Pana Jezusa. Panowie radzieccy zbledli, a starszy widząc że to nie żarty, wstąpił na rusztowanie i dał znak ręką, aby się uciszył naród. I wnet zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

— Sławetni ludzie! — rzekł starszy, — utrzymujecie że skrzypek niewinny. — Niechajże więc dowiedzie tego, — a potem zwróciwszy się do skrzypka, rzekł: — Któż za tobą będzie świadczył, żeś jest niewinny?

— Chyba ten Pan Jezus, co mi podarował ten trzewiczek — odrzekł pokornie skrzypek.

A ksiądz stojący obok skazanego powiada:

— Duch święty przemówił przez niego. Zaprowadźmy go pod figurę Pana Jezusa w kościele św. Salwatora, i niech tam gra u stóp Zbawiciela, a jeżeli w istocie Chrystus podarował mu jeden trzewiczek, to może dla ocalenia niewinnego i drugi spuści.

I wnet rozstąpiły się tłumy ludu, a panowie radni przodem, za nimi zaś ksiądz, więzień i pachołcy ruszyli ku Zwierzyńcowi, tutaj pod ten sam kościół, kędy stoimy obadwaj, a naród wszystkie wzgórza mrowiem obsiadł, wzdychając do Pana Jezusa za biednym skrzypkiem.

Sławetny burmistrz z ławnikami wtłoczył się za skrzypkiem do kościoła, w którym już pełno ludu, wprowadzono skazanego z księdzem i mimo takiego tłoku, wszyscy cisnęli się a ustępowali biedakowi. On tedy wziął skrzypeczki, a stanąwszy pod samym krzyżem, przeżegnał się i począł grać tak smutno, tak żałośnie, że aż serce pękało. I zdało się, że wszystkie struny płaczą różnemi głosami i rzewnie jęczą wzywając miłosierdzia Jezusowego, a skrzypek grał i grał, a łzy spadały mu jak groch po twarzy i zaledwie mógł utrzymać smyczek w ręku. A na to żałośne granie cały tłum począł w głos płakać, płakał i ksiądz, a nawet panom ławnikom łzy się w oczach kręciły. Słysząc zaś ten płacz buchnął skrzypek głośnym płaczem, a skrzypki jeszcze żałośliwiej od niego płakały.

W tem nagle go coś w ramie trąciło, a potem z łoskotem upadło pod nogi. Patrzą rajcy, patrzy lud, a to szczerozłoty trzewiczek leży na ziemi, a i druga nóżka Zbawiciela bez trzewiczka na krzyżu!...

Więc rozległy się krzyki wesela w świątyni pańskiej, a skrzypek ze wzruszenia i wysilenia padł jak długi pod krzyżem, porwał go naród na ręce i w tryumfie niósł do miasta wychwalając Imię Pańskie.

Tak tedy wyratował Bóg od śmierci nieboraka, a magistrat ogłosił uroczyście jego niewinność i oddał mu na własność drugi trzewiczek Zbawiciela.

Na wieczną pamiątkę tego cudu skrzypek ów uratowany od śmierci dał ów obraz wymalować i jest tu po dziś dzień, chociaż tamta figura Pana Jezusa zniknęła z kościoła.

No, teraz wiecie wszystko, a więc bywajcie zdrowi, bo komu w drogę to i czas, a ja muszę iść dzwonić na Summę. Podziękowałem dziadkowi i dałem mu kilka groszy aby zmówił pacierz za duszę skrzypka.

Noga drewniana.

— A czy widzisz staruszka,
Tam gdzie rzuca na pole
Cień w około ta gruszka?
Zmarszczków pełno na czole,
Blizna idzie przez lica,
W ustach fajka gliniana,
A na piersiach przyświeca
Krzyżyk z srebra czy złota...
Aj — i noga drewniana!
To dziwota, dziwota!...

Tak wołały dzieciaki,
Idąc do dom po szkole...
I pytały: — Kto taki?
I leciały na pole
Ze zdziwieniem i krzykiem:
— Co za człowiek to siwy,
Z takim złotym krzyżykiem,
Z taką fajką glinianą?
A co więcej — o! dziwy!
Z taką nogą drewnianą?...

— Swawolnicy nuż cicho!
Przecież żołnierz kulawy
Także człowiek, nie licho,
I nie powód do wrzawy!

Gdyśmy wroga trzepali,
Byłem zawsze na przedzie!
Serce człeku się pali
Gdy to w pamięć przywiedzie!...
Miałem konia jak ptaka,
Lancę, kask i rabaty —
Piękna¿ szata to taka!
Kiedy w boju leciałem
Na dymiące armaty,
Kulą w nogę dostałem!

I odcięli mi nogę!
Lecz żałować nie mogę,
Bo Dwernicki nasz śmiały,
Coście o nim słyszały,
Co nie żyje już pono,
Gdy po bitwie obaczył,
Jak mię z placu niesiono,
Pierś mą, w boju skrwawioną,
Sam tym krzyżem naznaczył.

O! wierzajcie mi dziatki,
Nie wahałbym się długo
Stracić zdrowia ostatki,
Nogę nawet i drugą...
Lepiej chodzić na szczudle,
Niż wśród walki okrzyku
Gnić za piecem jak w pudle —
Lepiej chromieć, to pewno,
Na tym nędznym patyku,
Niż mieć serce jak drewno!...

A dzieciaki wojaka
Ręce całowały,
Kulawego biedaka
W dom swój zapraszały,
I tak sobie mówiły:
— Gdy idzie o ojczyznę,
O kraj rodzinny miły,
Toć rzeczą pożądaną
Taką przez twarz mieć bliznę,
Taką nogę drewnianą!...

Wojtek ze Smolnicy.

Dobry uczynek,

czyli:

Jaki sen miał szewc Jędrzej i jak się poprawił.

W pewnem małem miasteczku żył szewc bogaty, imieniem Jędrzej. Rzemiosło dobrze mu się wiodło, co roku kilka razy jeździł z butami na odpusty, jarmarki, i zawsze spory wór gro-

siwa przywoził z sobą, miał grunt za miastem duży i dobry, dwa domy piękne w mieście, a w skrzyni pieniędzy uzbieranych jak bobu.

Ale prawdę to mówią ludzie, że majątek wielki często ludzi psuje i na złe drogi ich prowadzi, bo niekażdy umie po bożemu używać grosza i mienia. Tak też było i z Jędrzejem. Za dawnych lat, kiedy był jeszcze ubogim rzemieślnikiem i dorabiał się dopiero, znali go i chwalili wszyscy jako człowieka dobrego i litościwego — ale skoro przyszedł do majątku, zaraz się odmienił na złe i z poczciwego szewca stał się pyszny bogacz. Nie poratował już nigdy ubogiego, jak to dawniej czynił, ale dusił jeno grosz i przemyśliwał nad tem, jakby jeszcze więcej uzbierać.

Mówili mu to inni ludzie i upominał ksiądz proboszcz, ale Jędrzej tak ufał w swoje pieniądze, że nikogo nawet z wielkiej pychy i słuchać nie chciał.

— Co komu do tego — mówił Jędrzej — żem bogaty i że niechcę wspierać biedniejszych odemnie. Albożem ja nie pracował na siebie, a za cóż bym teraz to, com sobie uzbierał, miał dawać innym ludziom? Czyż niedość na tem, że nikomu krzywdy nie robię, a jeszcze miałbym mój grosz rozdarowywać?

Snać nie wiedział Jędrzej, że kto wspiera ubogich i nędzarzy, ten nie rozdarowuje majątku, jeno go na duży procent pożycza Panu Jezusowi, który mu to potem po śmierci setnie powróci, i że nie ten największy bogacz, kto nazbierał najwięcej pieniędzy, ale ten, co nagromadził najwięcej cnót i dobrych uczynków.

Ale patrzcie, co się stało. Razu jednego wracając Jędrzej z jarmarku przemarzł i powróciwszy do domu, uczuł, że bardzo jest chory. Głowa poczęła go palić jak ogień a gorączka całe ciało mu płomieniem przeciągała, tak że stracił pamięć i leżał jak nieżywy. Wołano lekarzy i cerulików, ale ci żadnej rady dać nie mogli i powiadali wyraźnie, że Jędrzej już nie pożyje dłużej na świecie. Żona Jędrzeja poczęła rozwodzić okropne lamenta i płacze, sąsiedzi się zbiegli i żałowali chorego bogacza, któremu i majątki nic od śmierci nie pomagały — a sam Jędrzej

tymczasem leżał bez pamięci, oczy postawił w słup i jeno ciężko dychał.

Kiedy zaś żona lamentuje, a doktor to wodę mu do głowy przykłada, to pijawki stawi, to w gębę jakieś czarne krople puszcza — Jędrzej tymczasem nie czuł niczego, jeno miał sen bardzo dziwny.

Oto zdało mu się w gorączce, że już umarł, i że stanął przed majestatem Bożym na sąd. Dopiero tu przed sądem Bożym strach ogarnął Jędrzeja wielki, poznał, że odpadły od niego majątki jak śmiecie, i że stoi przed tronem Bożym jak nędzarz jaki, bo za życia nie nazbierał sobie dobrych uczynków, któreby go od potępienia ratowały.

Otoż gdy tak stoi na tamtym świecie, widzi naraz okrutny ogień przed sobą, straszny i huczący — płomienie już buchały na wszystkie strony, a gorąco biło okrutne. Jędrzej pomyślał sobie, że to pewnie jest piekło, do którego jest przeznaczony za to, że jeno grosz zbierał a dobrych uczynków nie robił za życia, gdy naraz usłyszał straszny głos:

— Jędrzeju, przejdź przez tę otchłań ognistą!

Krwawy pot przestrachu oblał Jędrzeja, ale rozkaz ten był taki groźny, że musiał go usłuchać. Idzie więc ku tej piekielnej otchłani, ale jeszcze do niej nawet nie przyszedł, a już okropny żar pali mu ciało i kości przenika. W boleści okropnej zajęczał biedny Jędrzej i był już pewien, że w ogniu tym ponosić będzie męki i udręczenia straszne, kiedy naraz ujrzał na drodze do płomieni parę butów i usłyszał znowu głos, aby te buty ubrał na nogi i w nich dalej ruszał na ów ogień buchający.

Jędrzej ubrał buty i idzie naprzód i oto patrzcie, lekko mu się zrobiło odrazu i odwagi nabrał wielkiej. Poszedł prosto na ogień a gdy go płomienie otoczyły, nie czuł ani bolu ani męki, jeno w tych butach przez okrutne płomienie jakby po miękkiej murawie przeszedł. Wtedy usłyszał znowu głos:

— Jędrzeju czy poznajesz te buty, które cię w tym ogniu uratowały? Oto przypominasz sobie, jakieś jeszcze był biednym szewcem, to miałeś lepsze serce i litości więcej. Wtedy zobaczyłeś raz w zimie na strasznym mrozie jakiegoś żebraka bosego i litość cię zebrała i darowałeś mu nowe buty. Jędrzeju,

to są te same buty, któreś dał ubogiemu. Wyratowały cię one teraz z ognia strasznego, bo dobry uczynek od złego najlepszą jest ochroną! Ale ty niemasz już więcej dobrych uczynków, bo zbogaciwszy się, byłeś twardym na nieszczęście twoich bliźnich. Popatrz przed siebie!

Jędrzej popatrzył przed siebie i obaczył drugi ogień, jeszcze większy i okrutniejszy od przeszłego.

— Otóż patrz — zawołał znowu głos — w co się ogarniesz, abyś znowu przez ten płomień przeszedł bez szkody?!

Jędrzej wtedy poznał, że nie ma więcej dobrych uczynków na świecie, coby go jak te buty, które darował w zimie żebrakowi, osłoniły przed żarem piekielnym, strach go przejął srogi, padł na kolana i płakał rwąc sobie włosy z głowy i przeklinając siebie, że nie był dobroczynny za życia.

W tem nagle ocknął się Jędrzej i obaczył, że leży na łóżku a koło niego płaczą żona i dzieci. Poznał więc zaraz, że nie umarł jeszcze, tylko sen miał taki okropny. Począł więc dziękować Panu Bogu za ową przestrogę we śnie i zawołał xiędza proboszcza, opowiedział mu ten sen dziwny i wyspowiadał się i przysiągł, że jak tylko Bóg mu da wyzdrowieć, to się poprawi.

Jakoż Jędrzej wyzdrowiał rychło i jak obiecał, tak też się poprawił — a teraz w całej okolicy nie ma lepszego i litościwszego człowieka, jak Jędrzej. A sen ów dziwny, co go miał w chorobie uważa zawsze za bożą przestrogę i drugim ją ku nauce opowiada.

RÓŻNOŚCI.

Straszne nieszczęście. O okropnym wypadku donosimy wam, kochani ludkowie, który się zdarzył dnia 12 maja w Kołomyji. Oto wybuchł pożar straszny w tem mieście, i całe je zniszczył. Nieszczęście chciało, że ogromny wicher zerwał się podczas ognia i w jednej godzinie całusieńkie miasto stało w jasnych płomieniach. O ratunku już ani myśleć nie było można, bo na wszystkie strony buchał pożar niezmierny, a ludzie z boleścią i rozpaczą patrzyć musieli, jak ich krwawy dobytek płonął marnie w ogniu. Wiatr był taki gwałtowny, że głownie gorejące leciały

ćwierć mile za miasto i tam pozapalały stodoły. Ogień ten okropny trwał dzień cały. Z całego miasta Kołomyji zostały tylko kupy popiołu i gdzieniegdzie jaki dom, co go cudownym sposobem ogień nie uszkodził. Ni mniej, ni więcej, jeno pięć set domów zgorzało, a szkoda w budynkach i dobytku wynosi może z jakich tysiąc tysięcy reńskich! Okropnaż to klęska, okropna, aż się serce kraje! Bo to wystawcie sobie, ile tysięcy ludu niema tam teraz gdzie głowy skłonić, niema łyżki strawy ani odzieży — ile tam nędzy i płaczu! Jak tylko o tem doniesiono do Lwowa, zaraz pojechał tam pan Namiestnik, a poźniej wysłał cesarz z Wiednia swego adjutanta do Kołomyji z pieniądzmi, aby podratować jako tako najuboższych. Zaś magistrat miasta Lwowa dał ze swojej strony 1000 reńskich na biednych pogorzelców. Rozpisano też po całym kraju, aby każdy, czem kto może, pomógł tym nieszczęsnym ludziom z Kołomyji. To też i wy, moi kochani, niepowinniście pozostać w tyle, jeno na co kogo stać, składajcie na ręce wójta lub ks. proboszcza dla tych biedaków. Wprawdzie i wam nie raj na świecie, jeno nieraz ciężkiej biedy przycierpieć musicie, ale zawsze choćby grosikiem ubożuchnym przyczynić się możecie do poratowania kołomyjskich pogorzelców, a Bóg wam to sowicie swem błogosławieństwem wynagrodzi!

Z Rzymu donoszą, że Ojciec św. postanowił już na pewno kanonizować to jest: ogłosić świętym naszego rodaka, ks. Jozafata Kuncewicza, który jak wam już o tem pisaliśmy, był biskupem na Rusi i za wiarę męczeńską śmierć poniósł z rąk szyzmatyków.

Sprytni oszuści. Do jednej oberzy przyszło raz trzech oszustów i udając porządnych ludzi, kazali sobie dać jeść i pić. Gdy się już najedli i napili, a przyszło płacić, wówczas każdy z nich chce niby koniecznie za wszystkich płacić. „Ja zapłacę!“ krzyczy jeden honornie. — „Nie ty, jeno ja“ — woła drugi. — „Ani ty, ani on, tylko ja za was zapłacę!“ — mówi trzeci. I tak poczęli się kłócić między sobą okrutnie, aż jeden z nich mówi do gospodarza: „Nie ma innej rady jeno wy, panie gospodarzu, zawiążcie sobie oczy i łapajcie nas, a którego po omacku ułapicie, ten niechaj płaci“ Gospodarz przystał na to i zawiązawszy sobie oczy chustką począł macać za gośćmi. Tymczasem wszyscy ci trzej hultaje na palcach uciekli z gospody, a gospodarz nietylko że pieniędzy swe stracił ale jeszcze obszturkał sobie boki po omacku.

Zdania.

Niektórzy kochają przyjaciela, jako żołnierz konia, tylko żeby na nim jeździł, nie żeby koniowi dobrze, lecz żeby sobie wygoda była; taka przyjaźń sedni grzbiety przyjaciołom.

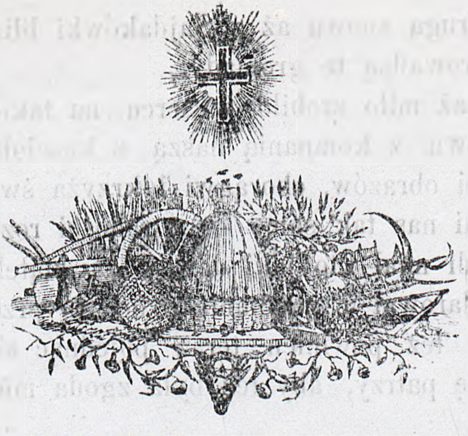
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 16.

1. czerwca 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 zlr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jubileusz w Polsce.

Na świętego Jana Nepomucena jest wielki odpust we wsi Korniakowicach. Co tam było tego roku ludzi na tym odpuście, to tak, jak w mieście na wielkim jarmarku; ciżba straszna w kościele, koło kościoła, na cmentarzu i we wsi, tak, że tam nie było gdzie i palca wetknąć. A byłem ci i ja tam z kazaniem i słowem bożem. Jak zobaczyłem, że idą dwie kompanie ogromne z krzyżami, chorągwiami, obrazami i xiężami; jak zobaczyłem, że gazdowie trzymali gromnice w rękach prawie każdy, a matki prowadziły za rączki swoje dziecięta, jak posłyszałem śpiewanie pobożne zdaleka, toż pytam xiędza miejscowego:

— A co to za kompanje takie?... one może idą na Kalwaryę i tu po drodze wstąpią po błogosławieństwo?

A xiądz miejscowy mi odpowiada:

— Toć to Jubileusz święty u nas przecie, a te kompanje to procesye jubileuszowe; jedna widać ze wsi Jawornicy aż

milę ztąd, a druga znowu aż z Sajdakówki blizko dwie mile, a xięża sami prowadzą te gromady.

Mnie się aż miło zrobiło w sercu na takie nabożeństwo. Wyszliśmy znowu z kompanią naszą z kościoła naprzeciwko nich, pokłonami obrazów, chorągwi i krzyża świętego powitaliśmy ich, a oni nas tak samo — z radości rozpłakał się tam niejeden, a jeśli miał kto jaki dawny zawziątek w sercu do kogo, to mu darował i zapomniał, boć to przecie Jubileusz święty i każdy też powinien teraz pojednać się z Bogiem i z ludźmi jak się patrzy, aby też była zgoda między Polakami wszystkimi.

Jak się już nabożeństwo po południu skończyło, toż owe dwie kompanie wybrały się znowu w procesyi do domu. Co to było wtedy płaczu i śpiewania pobożnego!... Bo to gazdowie zaświecili swoje gromnice, wszystkie krzyże, obrazy i chorągwie zeszły się do kupy, a xięża na przodzie prowadzili te gromady jak las wielkie — aż za wsią Korniakowicami koło figury Najświętszej Panny Częstochowskiej stanęli xięża na jednej stronie drogi, potem nadeszły obrazy i chorągwie, i tu zaczęły się kompanie żegnać, bo każda miała iść swoją drogą. Po takiem pożegnaniu wyszedłem ja na pagórek i tak mówiłem do ludzi:

— Żegnamy was bracia Polacy katolicy! Pono to ciężko abyśmy znowu wszyscy doczekali nowego Jubileuszu! Dawniej za czasów polskich królów niebyło nigdy przenigdy Jubileuszu w polskim kraju. Taki Jubileusz z procesyami, jałmużnami, postami, świętą spowiedzią i dobremi uczynkami był dopiero pierwszy na cały świat roku pańskiego 1300, toż temu już obłożone pięćset roczków, a nakazał go jeden ojciec święty, któremu było imię Bonifacy ósmy. Taki święty Jubileusz miał być co sto lat raz na cały świat, a nie jeden pomarł i nie doczekał się Jubileuszu, bo mało kto do wielkiego trafunku żyje sto lat na tym bożym świecie. A choć tam nasi pradziadowie byli chłopy jak dęby i żyli długo nieraz przeszło sto lat, to nie widzieli nigdy Jubileuszu u siebie, bo jeno w mieście Rzymie było takie wielkie nabożeństwo jubileuszowe, a kto chciał to widzieć i dostąpić tej łaski, to trza mu było być w samym

Rzymie, i tam się spowiadać i jałmużnę dać i nakazane dróżki odprawić. Otoż na tym pierwszym świętym Jubileuszu było z polskiego kraju dużo bogaczów, a między nimi był tam królewicz polski Łokietek, co zaszedł pieszo przez Węgry jako prosty pielgrzym aż do Rzymu i tam był sam u ojca świętego ze skargą na czeskiego króla, że mu zrobił wielką krzywdę i zabrał mu Kraków i polskie kraje. Ojciec święty wysłuchał go i dał mu pismo do Polaków, aby go wzięli za króla, a nikogo innego nie obierali, aby żadnych bałamutów nie słuchali. Co się też stało na jeden włosek, jak ojciec święty kazał. Otoż widzicie moi ludzie pobożni, że najpierwszy święty Jubileusz był w mieście Rzymie, i tam było nabożeństwo jubileuszowe, a kto chciał dostąpić św. Jubileuszu, musiał sam albo pojechać albo zajść, i taki święty Jubileusz miał być co sto lat w Rzymie.

A jakiś stary dziadowina rozpłakał się i gadał:

— Toż mój panie Jezusie miłosierny! nie było wtedy św. Jubileuszu dla mizeraka i dziada, bo jakżeż tam było zaleźć na nogach tak daleko aż do ojca świętego?... i o czem?... jak się go doczekać?....

A ja na to mówiłem tak:

— I dla dziada i mizeraka był św. Jubileusz, bo zaraz niedługo nietrza było czekać aż sto lat na taki Jubileusz, ale ojciec święty Klemens szósty postanowił w pięćdziesiąt lat taki św. Jubileusz, aby każdy mógł go doczekać, a pięćdziesiąt lat to dożyje niejeden u nas w polskim kraju. A zatem roku pańskiego 1350 za polskiego króla Kazimierza Wielkiego, co go chłopi nazywali k r ó l e m c h ł o p k ó w, był drugi święty Jubileusz w Rzymie, na który chodziło także dużo Polaków, a drudzy posyłali tam różne jałmużny. Ale niejeden musi umierać z woli bożej i prędzej niż przed pięćdziesiątym rokiem, toż znowu inny ojciec święty Urban szósty ustanowił Jubileusz co 33 lat, a to na pamiątkę, że sam Pan Jezus żył akurat tyle lat na ziemi — toż 33 lat żyje pono każdy i mógł doczekać św. Jubileuszu, a jak chciał, to mógł pójść albo pojechać do Rzymu i dostąpić tej łaski. A więc trzeci wielki Jubileusz był roku pańskiego 1390 za polskiego króla Władysława Jagiełły i pobożnej Jadwigi żony jego. Toż było tam na tym trzecim

Jubileuszn wielkim w Rzymie dużo Polaków, a polska królowa Jadwiga dostała podarunek, to jest złotą różę święconą i przysłaną od samego ojca świętego. — Czwarty Jubileusz wielki był roku pańskiego 1423, a polski król Jagiełło doczekał znowu drugiego Jubileuszu. Aż znowu ojciec święty Mikołaj piąty postanowił co 25 lat raz na zawsze wielki Jubileusz, co się też do tego czasu przechowuje. Otoż piąty wielki Jubileusz był roku pańskiego 1450 za polskiego króla Kazimierza Jagiellończyka. Widzicie więc ludzie pobożni, jakto ojciec święty miał uwagę na nas grzesznych ludzi i ustanowił tak święty wielki Jubileusz, aby go każdy mógł doczekać — boć ze 100 lat zeszło na 50, z tych 50 znowu na 33, a na końcu stanęło na dwudziestupięciu latach.

Aby zaś nie potrzebował każdy iść aż do samego ojca świętego po taki Jubileusz z polskiego kraju, to prosił polski król Kazimierz Jagiellończyk ojca świętego, aby pozwolił po kościołach polskich odprawiać nabożeństwo jubileuszowe. Otoż od nowego roku aż do końca żniw w roku 1451 był w kraju polskim pierwszy wielki Jubileusz dla Rusinów, Litwinów i Polaków a to po wszystkich kościołach w wielkich miastach. — Dla Rusinów wyznaczył ojciec święty miasto Lwów, dla Litwinów miasto Wilno, dla Polaków w Galicyi miasto Kraków, a dla Polaków za Wiłą miasto Gniezno za stacye jubileuszowe. Kto chciał dostąpić łaski z Jubileuszu, ten nie potrzebował iść aż do miasta Rzymu do samego ojca świętego, ale miał katedrę i swego biskupa, i tam odprawić mógł dróżki jubileuszowe czy sam czy z procesyą. Miał nato czasu dobre pół roku, powinien był odprawić post jubileuszowy, spowiedź jubileuszową, a znowu dać jałmużnę taką, ile potrzebował na 15 dni do życia, i ile go mogła kosztować podróż do samego ojca świętego. Każdy też podług sumienia dał połowę z tego swemu biskupowi albo do skarbony, a te pieniądze dzielili biskupi na wojnę tatarską i na zapomogę dla tych wsi, gdzie Tatarzy spalili i zrabowali, to znowu dawali z tego na szpitale, a co się zostało, to posyłali ojcu świętemu na fundowanie kościołów i szpitali w Rzymie dla Polaków i chudaków obcych. I z takich to składek polskich są do dziś dnia w Rzymie szpitale, klasztory,

szkoły i kościoły. Otoż miarkujcie sobie dobrze, że nasamprzód był święty Jubileusz w polskim kraju od ojca świętego Mikołaja piątego w roku 1451 przepisany, a na stacye były przeznaczone jeno cztery kościoły wielkie: w Krakowie i Gnieznie na zachód Polski, w Wilnie na północ, a we Lwowie na wschód Polski. Nie było po tamte czasy stacyj jubileuszowych w każdej parafii, jak to dziś jest, a znowu mizeracy i chudacy nie mogli dać tyle jałmużny, jak to ojciec święty wyznaczył, ani też nie każdy mógł pójść aż do Krakowa, Gniezna, Wilna, Lwowa na Jubileusz, toż znowu ojciec święty zmniejszył jałmużnę jubileuszową, a czas świętego Jubileuszu dla Polaków przeciągnąć kazał aż do całego roku. Otoż był w Polsce raz jeden tak długi Jubileusz, co się ciągnął od nowego roku do drugiego nowego, to jest od nowego roku 1451 aż znowu do roku 1452, a to się działo za pobożnego króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka i jego pobożnej żony Elżbiety, która wychowała świętego Kazimierza, drugiego syna na kardynała, a czterech synów na królów. Toż polscy kmiecie po robocie w polu garnęli się całemi gromadami do Krakowa na święty Jubileusz, a z ich pobożnych ofiar były trzy duże skarbony samego złota i srebra, a to wszystko poszło na zapomogę dla Rusinów polskich aż poza Lwów, co ich Tatarzy popalili, porabowali i ze szczętem zubożyli. A znowu pojechali bogaci Polacy do samego ojca świętego z ofiarami i ze skargami i płaczem na niedobrych Krzyżaków, co to nosili habity jak jacy zakonnicy, a w duszy byli ostatni drapieżnicy i niesłychanie udręczali Polaków het tam koło Gdańska za Warszawą, i wskórali to u ojca świętego, że im przysłał jednego swego biskupa, co się zowie kardynałem, aby ukarać tych bezbożnych Krzyżaków, co tyle krzywdy robili Polakom bez ustanku. — Za to też pokarał Bóg niedługo tych Krzyżaków, bo wyginęli do jednego, a Polacy zostali Polakami. Od tamtych czasów jest teraz jakie trzysta lat w polskim kraju zawsze Jubileusz co 25 lat, i w każdej parafii są stacye jubileuszowe, a tak pan, xiądz, bogacz jak i największy chudak może dostąpić łaski z każdego Jubileuszu na każdem miejscu. A czasem wyznacza ojciec święty taki Jubileusz co kilka lat na to, aby Bóg dał

lepsze czasy i pobożniejszych ludzi na bożym świecie. Otoż pamiętajcie sobie raz na zawsze, odkąd to nastał święty Jubileusz w naszym polskim kraju i co to się robiło z tym Jubileuszem u nas Polaków.

Gdym to kazanie skończył, pożegnaliśmy wszystkie kompanie. Jaworniczanie poszli bez czapek ze śpiewaniem do domu, tak samo zrobili Sajdakowczanie, a my znowu wrócili do Korniakowic do kościoła.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Przyszła kryska na Matyska.

Był Matysek chłop przed laty.
Jak drugiego nie znajdziecie,
I przystojny i bogaty,
I szczęśliwy na tym świecie;
Był kochany, nie znał biedy.
Zazdrościli mu ludziska;
Nikt nie wierzył, aby kiedy
Przyszła kryska na Matyska.

Krasawica cud dziewoja,
Zakochała w nim się skrycie:
„Mój Matysku! jestam twoją,
„Będę twoją całe życie!"
Lecz ktoś inny sypnął grosza,
I wzajemność dziewki zyska,
I Matysek wziął odkosza. —
Przyszła kryska na Matyska.

„Mój Matysku nie dbaj o to,
„A miłośne rzuć zachody!
„Lepiej z nami użyj złoto:
„Pójdziem hulać do gospody!"
Tak go sąsiad cieszył w biedzie
I całuje i uściska.
„Dobrze mówisz, mój sąsiedzie!"
Przyszła kryska na Matyska.

Pił z rozpaczy dobę całą,
Na pociechę: pół tygodnia,
Poił wszystkich co się wlało,
I sąsiada i przychodnia.
A gdy przyszło do zapłaty,
Toć ostatni grosz wyciska —
Jak niepyszny szedł do chaty:
Przyszła kryska na Matyska.

I od tańca i od trunku
Zachorował tejże doby; —
Lekarz przybył dla ratunku,
I napędził trzy choroby,
A za recept i za leki
Wziął ze stajni dwa koniska,
I odjechał w świat daleki:
Przyszła kryska na Matyska.

Więc przed śmiercią myśli sobie:
„Niechże wspomną towarzysze!
„Ja testament dla nich zrobię
„I każdemu coś zapiszę."
Ale w chacie nic nie było
Prócz starego w progu psiska —
Westchnął biedak całą siłą:
Przyszła kryska na Matyska.

Umarł tedy, jak ów święty,
Co tureckim ludzie zowią,
A odzieży lichej szczęty
Położyli mu pod głową,
A na pogrzeb nikt z sąsiadów
Nie popatrzył nawet z blizka,
Trumnę niosło czterech dziadów:
Przyszła kryska na Matyska.

Pod darniną, pod zieloną,
Zajął miejsce nieprzestronne;
Na pogrzebie nie dzwoniono,
Bo niestało na podzwonne.
Przy kapliczce tuż pod ścianą,
Jedlinowy krzyżyk błyska,
A na krzyżu napisano:
Przyszła kryska na Matyska.

Władysław Syrokomla.

Bitwa pod Sokalem.

W okolicy Sokala za Poturzycami stoi od południa figura murowana, bardzo stara. Czas ją już znacznie zszarzał i niejedną cegiełkę strącił z niej w zapomnienie, a drugie mchem pokrył. Zeszłego roku jadąc tamtędy na odpust do Sokala, przejeżdżałem właśnie obok tej figury, a że to już zwyczajem moim nie opuścić niczego, zkądbym się mógł na miejscu dowiedzieć o jakiejś historyi z czasów dawnych, czem i głowę zbogacić i serce zagrzać i ducha pokrzepić możesz — zatrzymałem się przy tej figurze i nuż ją obchodzić do koła i szukać czy nie znajdę gdzie jakiego napisu lub roku, kiedy i na jaką pamiątkę ją tu postawiono, aż odczytałem wyraźnie rok 1519.

Musiał tam być i jakiś napis, ale go czas nielitościwy już całkiem zatarł, a ludzie nielitościwsi nie dbają o odnowienie tegoż. Ucieszyłem się choć tem odkryciem i postanowiłem sobie pytać wszystkich w Sokalu, na jaką też pamiątkę postawiono w tem miejscu figurę, a że to najlepiej się dowiesz o dawnych dziejach z papierów klasztornych, to też prosiłem o to po skończonym odpuście jednego księdza bernardyna w klasztorze sokalskim, a ten zaprosiwszy mię grzecznie do swojej celi opowiedział mi historję tej figury, tak jak ją tam starzy ludzie opowiadają, a która to historja zgadza się z historją pisaną, choć nie ma jej zapisanej w książkach tamtejszego klasztoru, gdyż ta figura starsza jeszcze niż sam klasztor, a jak mi ją opowiedział, tak i ja wam powtarzam na wieczną pamiątkę i

naukę, że to tak zawsze było lepiej i jest: starszych i doświadczeńszych ludzi rozkazu słuchać, choćby to nawet szło o spełnienie czynu dobrego, aby porywczością swoją i niedoświadczeniem więcej złego nie narobić, niż pożytku.

Działo się to za panowania króla polskiego Zygmunta I., kiedy to roku 1519 Tatarzy napadłszy na ową okolicę i zrabowawszy, spalili wiele miast i wsi polskich i z wielkiemi łupami zrabowanemi spokojnym mieszkańcom i mnóstwem ludu polskiego prowadzonego przez nich w ciężką niewolę, stanęli pod Sokalem i miasto to złupiwszy, spalili do szczętu, a ludzi których nie wymordowali, ze sobą zabrali, a stało miasto Sokal wtedy nie tam gdzie dzisiaj, lecz po lewej stronie rzeki Bugu.

Już chcieli z tym wszystkim rabunkiem i ludźmi odejść w swoje stepy zkąd przyszli, bo już nie było co więcej rabować, bo wszystko którędy przeszli w step zamienili, kiedy to na drugiej stronie Bugu pokazało się rycerstwo polskie, które spieszyło odbić Tatarom łupy zabrane i niewolników polskich z rąk pogańskich wyzwolić. Wódz tegoż rycerstwa, Konstanty książę z Ostroga, ten sam, co to fundował pożniej klasztor sokalski i wiele innych kościołów, mimo dzielności rycerskiej i żalu serca, widząc tyle w niewoli jęczącej braci, radził rotmistrzom swoim, aby się od razu nie przeprawiali przez Bug wszyscy, lecz żeby czekali, aż się Tatarzy zaczną ku nim częściami przeprawiać, i tak na nich dopiero napadli, gdyż Tatarów było ośmdziesiąt tysięcy, a rycerstwa polskiego ledwie pięć tysięcy. Młodsi i niedoświadczeńsi jęli szemrać na taką radę starego hetmana i poczęli mu to przyganiać, że się lęka liczby Tatarów, że im sławy zazdrości i do boju ich nie wiedzie.

Bolało mocno serce hetmańskie, że jego — co już nieraz miał sprawę z Tatarami i pogromił ich zawsze, młodsi teraz słuchać nie chcą. Radził więc i prosił, ale gdy to nie pomagało, i już sami bez niego jęli się przeprawiać przez Bug, dał rozkaz całemu wojsku do przeprawy i sam się pierwszy przeprawił. Na lewej stronie rzeki, tam gdzie nasi wysiadać musieli było pogorzelisko miasta, a że o dołach i piwnicach, które Tatarzy tylko chrustem poprzykrywali i ziemią trochę przysypali — nic nie wiedzieli, poczęli z końmi w nie wpadać i stał

się wielki nieporządek w wojsku polskiem, a Tatarzy napadłszy na nich, gęsto z łuków do nich strzelali. Widząc to hetman, spieszy i w tę i w ową stronę z pomocą, a przywiodłszy swoich nieco do porządku, srogą bitwę z Tatarami uczynił. Padło tam Tatarów cztery tysiące, ale i Polaków wiele zginęło a i swoim żadnego ratunku przynieść nie zdołali. A był tam między innymi i niejaki pan Fryderyk Herburt, rycerz wielkiego serca i dziwnie chciwy do boju; tego najwięcej o tę klęskę za nieposłuszeństwo jego winowano. Tenże widząc upadek naszych, wielce się frasował i począł niestrwożony zachęcać upadłych na duchu do nowego natarcia, a sam z siebie przykład dając zawołał:

— Boże tego niedaj, abym ja za moją bracią gardła nie dał! — i spiął konia i wpadł między Tatarów siekąc szablą na wszystkie strony, i niemało ich tam trupem położył, lecz kiedy posiekany i skłuty ręką już władnąć nie mógł, został na miejscu dobity.

Na tę smutną pamiątkę postawiono tę figurę, która nam będzie zawsze przypominała, iż starszych i doświadczeńszych zawsze słuchać i zgodę między bracią a tembardziej przed nieprzyjacielem zachować należy.

Szczęsny z Żółkwi.

Co kosztuje gniazdo wróbla?

Wracał xiądz proboszcz z przechadzki i spotkał po drodze gospodarza Michała, idącego z pola z swoim synem Wojtusiem.

— Niech będzie pochwalony! — przywitał się Michał całując wraz z Wojtusiem rękę xiędza proboszcza.

Xiądz proboszcz odkłonił się mile Michałowi i pogłaskał Wojtusia po głowie, kiedy naraz ujrzał, że Wojtuś niesie coś zawiniętego w chuścinie.

— A ty co niesiesz Wojtusiu? — zapytał xiądz proboszcz.

Wojtuś się trochę zaczerwienił, poskrobał się w głowę i nic nie odpowiedział, jeno ojciec mówi za niego:

— At, proszę xiędza dobrodzieja, chłopczysko wyraźnie pustak, wybiegł do mnie na pole, ta gdzieś tam w krzakach wynalazł gniazdo wróbla czy jakiegoś innego ptaka, powybierał młode i niesie z sobą.

A xiądz proboszcz surowo się na Wojtusia popatrzył i mówi:

— O to brzydko, mój Wojtusiu, bardzo brzydko! Wybierać ptaszkom bożym z gniazdka ich drobne pisklęta, to się niegodzi i grzech to prawdziwy — a dziwuję się wam, mój Michale bardzo, żeście na to swemu synowi pozwolili.

— Ej proszę też xiędza dobrodzieja — mówi na to Michał, ta cóżby w tem złego, że chłopak wybrał z gniazda kilka małych wróbląt, tać to tego mnóstwo na świecie. Przecież to wróbli nam nie zabraknie nigdy, żarłoki te wywodzą się chmarami na nasze utrapienie, bo wyżerają jeno ziarno ze zboża i konopi, więc cóżby w tem złego było?

A xiądz proboszcz na to:

— Moiściewy Michale, szkoda żeście gospodarz a tak nie do rzeczy mówicie. Powtarzam wam raz jeszcze, że niszczyć ptaszętom gniazda i wybierać im młode, to obraza Boska, bo Bóg wie najlepiej, na co stworzył i rozpładza ptactwo i pewno nie czyni tego na szkodę, jeno na pożytek dla ludzi i na chwałę swoją na ziemi. A zaprawdę mówię wam, że nielitościwie to jest bardzo, rabować ptakom ich gniazda — a szkoda ztąd bardzo wielka, jak wam to zaraz wytłumaczę.

Michał pokiwał głową, jakby temu nie wierzył, a xiądz proboszcz zapytał dalej Wojtusia:

— A ileż ptaszków młodych wybrałeś z gniazda?

— Pięcioro — odpowiada Wojtuś.

— Otoż widzicie Michale — mówi na to do ojca xiądz proboszcz — syn wasz przez to zrobił wam i całej gromadzie wielką szkodę, aby nie dużo rachować, przynajmniej na jakie sto reńskich!

— Jak to! — zawołał Michał — przez tych pięć ptaszków miałaby być dla mnie i dla gromady szkoda na sto reńskich? Za przeproszeniem xiędza proboszcza, ale mnie się widzi, że jegomość chyba żartują.

— Nie żartuję, nie, jeno najświętszą mówię prawdę i za-

raz wam to na rozum wyłożę. Prawda, mój Michale, że we wsi jest dużo pięknych sadów, i że wy sami macie śliczną sadowinę, z której nielada zysk co roku ciągniecie?

— A to prawda — mówi Michał — że mam, dałby jeno Pan Bóg, aby tego roku zrodziło dobrze!

— Otoż pytam się was dalej, mój kochany Michale, czy jest co szkodliwszego dla sadowiny, jak gąsienice i inne robaczyska?

— Oj prawda — rzecze Michał — że te gąsienice, to zniszczenie na sady. Toć to paskudztwo obżera liście i kwiaty i przez to tak niszczy drzewa, że potem i nie doczekać się z nich owoców.

— Słuchajcież więc — prawi dalej xiądz proboszcz — a zważcie dobrze. Gąsienice robią wielką szkodę w ogrodach, a kto najwięcej niszczy gąsienice i robactwo, jak nie wróble i ptaki?

— Nie ma co mówić — odpowiada Michał — że ptacy tego paskudztwa najwięcej uprzątują z sadów.

— Dobrze — mówi dalej xiądz proboszcz — powiem wam więc teraz, jakim sposobem wasz chłopiec zrobił na sto reńskich szkody przez to, że wybrał ptaszęta z gniazda. Uważajcie jeno dobrze. Wojtuś niesie pięcioro piskląt z sobą, które wybrał z gniazda. Gdyby te ptaszęta młode zostały były w gniazdku, natenczas stare wróble musiałyby ich żywić. Zaś każde młode pisklę potrzebuje codziennie na wyżywienie najmniej pięćdziesiąt gąsienic albo innego robactwa, które stare wróble znoszą im z drzew i sadów waszych. A kiedy było pięć młodych, więc razem potrzebowałyby pięć razy po pięćdziesiąt gąsienic na dzień, to jest razem dwieście pięćdziesiąt gąsienic. Słuchajcież dalej. Stare wróble i inne ptaki muszą żywić swe młode najmniej przez cały miesiąc, to jest t r z y d z i e ś c i d n i nim je wykarmią całkowicie. Do tego więc gniazda, co je wybrał wasz Wojtuś, musiałyby stare wróble znosić przez trzydzieści dni codziennie po dwieście pięćdziesiąt gąsienic, a więc razem jak wam tu zaraz wyrachuję ołówkiem, naniosłyby im przez cały czas ich karmienia ni mniej ni więcej, jeno 7500, s i e d m t y s i ę c y i p i ę ć s e t g ą s i e n i c. — Widzicie więc tutaj jasno, że przez to iż Wojtuś wybrał gniazdo z pięciorgiem

młodych wróbląt, jest w waszym ogrodzie i w sadach gromadzkich 7500 gąsienic więcej, niżby było wtedy, gdyby Wojtuś nie był ruszał gniazda. Rozumiecie?

— Rozumiem już dobrze! — mówi Michał — bo mi to xiądz proboszcz wyłożył jasno jak na talerzu.

— Otoż — prawi dalej xiądz proboszcz — czy wiecie wy ile szkody narobi wam tych 7500 gąsienic? Zaraz wam to wyrachuję dokumentnie. Musicie wiedzieć, że każda gąsienica zeżre na dzień tyle kwiatu i liścia z drzew, ile sama cała waży. Każda zaś gąsienica karmi się tak co roku najmniej przez cały miesiąc, to jest przez trzydzieści dni. Dajmy więc na to, że przez te trzydzieści dni każda gąsienica zje codziennie tylko jeden kwiat, z którego by było pożniej jabłko, śliwka albo jagoda, więc na każdą gąsienicę na miesiąc wypada razem trzydzieści kwiatów, z którychby było pod jesień trzydzieści jabłek albo gruszek. A co rozumiecie?

— Oj ta jakżeby nie rozumieć — mówi Michał — kiedy xiądz dobrodziej wszystko mi tak na rozum wykłada!

— Słuchajcież dalej. Wyrachowałem wam już przedtem, ile do tego gniazda, co je wybrał Wojtuś, potrzeba było gąsienic, nim by młode wyleciały, ile tam tego obrachowałem?

— Aj, coś na siedem tysięcy! — mówi Michał.

— Tak jest, mam to wypisane; i to jeszcze więcej bo 7500 to jest p ó ł o s m a t y s i ą c a g ą s i e n i c. Teraz zaś wyłożyłem wam, że każda gąsienica, nim się zasklepi, zje najmniej trzydzieści kwiatów. Otoż te półosma tysięcy gąsienic zjedzą razem trzydzieści razy po półosma tysięcy kwiatów, to jest, jak tu sobie ołówkiem wyrachuję, d w i e ś c i e i d w a d z i e ś c i a p i ę ć t y s i ę c y k w i a t ó w.

— Mocny Boże! — zawołał Michał ze zdziwieniem i aż się w głowę poskrobał, a Wojtuś jeno oczy wytrzeszczył i mało gniazdo z rąk mu od strachu nie wypadło.

A xiądz proboszcz prawi dalej:

— Otoż widzicie teraz według obrachunku jasno, że Wojtuś przez to, że wybrał to gniazdo wróbla, pozbawił wasz sad i sady całej gromady d w i e s t u d w u d z i e s t u i p i ę c i u t y s i ę c y k w i a t ó w, któreby były pozostały na drzewinie, gdyby

tego gniazda nikt nie był ruszał. Powiedźcież mi teraz, co się robi z kwiatu?

— A cóżby innego — mówi Michał — jak nie jabłka, gruszki, śliwki i jagody, wedle tego, na jakiej drzewinie te kwiaty zakwitły.

— Widzicie więc — ciągnie dalej xiądz proboszcz — z tych dwiestu dwudziestu i pięciu tysięcy straconych kwiatów, byłoby było dwieście dwadzieścia i pięć tysięcy jabłek, gruszek albo jagód. A wiecie wy, co to znaczy dwieście dwadzieścia i pięć tysięcy jabłek?.... To robi ni mniej ni więcej, jeno blisko cztery tysiące kop jabłek!

— Aj! aj! — zawołał Michał i Wojtuś od razu. — Taż to suma ogromna!

— A ogromna, nie ma co mówić — rzecze xiądz proboszcz. — Zważcie jeno, że za kopę jabłek albo gruszek, choćby najpodlejszych, dostać można w mieście już to najmniej pięć grejcarków, to te cztery tysiące kop robią razem dwadzieścia tysięcy grejcarków, a dwadzieścia tysięcy grejcarków to robią razem ni mniej ni więcej jeno dwieście reńskich! Uważajcie więc, że Wojtuś przez wybranie jednego gniazda zrobił wam i całej gromadzie szkody na dwieście reńskich, a już aby tylko przez połowę dla wszelkiej pewności rachować: sto reńskich, tak jak wam powiedziałem na samym początku, a czegoście wierzyć zrazu nie chcieli.

Michał ani przemówić nie mógł z wielkiego dziwu i strachu — aż dopiero po dobrej chwili rzecze:

— Ano patrzcie, do jakiej to szkody człek przez niewiadomość przyjść może! Teraz dopiero widzę, jaka to się krwawa krzywda nam dzieje przez wybieranie gniazd ptasich. Ale czyż człowiek wiedział, że jedno gniazdo wróbla kosztuje aż sto reńskich! Taż to tem opłacić można i podatki i sprawić sobie kożuch na zimę. — Oj dziękuję xiędzu dobrodziejowi serdecznie za tę dokumentną naukę; będę ja ją dobrze pamiętał i drugim rozpowiadał, a dzieciom moim zakażę surowo, aby się gniazd więcej wybierać nie ważyły. Pamiętaj sobie Wojtek! że jak cię kiedy jeszcze przydybię z gniazdem, to ci skórę wyłoję, co się zwie, boś słyszał próżniaku, jaka ztąd szkoda okrutna będzie.

Powiedziawszy to podziękował Michał raz jeszcze xiędzu proboszczowi i pocałowawszy go w rękę z uszanowaniem, poszedł w swoją stronę. A od tego czasu Wojtuś nie ruszyłby żadnego gniazda ptasiego za nic w świecie, bo już wiedział, jakie ono drogie!

Wojtek ze Smolnicy.

Rady gospodarskie.

Czyszczenie roli z zielska.

W dobrem gospodarstwie jest najważniejszem zadaniem rolnika, żeby pomnożyć urodzajność ziemi pod pług przeznaczonej. Dotego zaś między innemi warunkami koniecznie potrzeba wytępiać zielska, chwasty i ich korzenie. Do pospolitych korzeni liczymy: perz, powój, jeżyny i t. p., które to korzenie w następujący sposób niszczyć można.

Ugor daje nam sposobność do wytępienia perzu, ztąd gospodarz powinien wszelkiego starania dołożyć przy uprawie. — Perz utraca siłę wzrostu, gdy pulchną ziemię zaperzoną zaraz na dobre uprawi się. Przeciwnie tłustą ziemię coraz głębiej orać należy, a po każdej orce dobrze bronować, potem zgrabić perz i uprzątnąć z pola. Użyć go można do kompustu; niech tak długo gnije, aż się na ziemię zamieni. Najlepszy przecież sposób wytępienia perzu, gdy się przez dobrą uprawę i gnój rolę do tego doprowadzi, że wyda mocne i bujne zboże, które przytłumi go swym wzrostem i nie pozwoli mu krzewić się. — Przeciwnie zawsze dzieje się na słabej roli, gdzie rośliny rzadko stoją, nie ocieniają roli, więc też zielsko bierze górę. Jeżeli rola nizko leży i ma zbyt wiele wilgoci, albo miejsca sapowate, tedy osuszenie takiej roli wielce pomaga do wytępienia zielska. Tak samo jak na roli słabej, tak też na mokrej rośliny zasiane słabo i rzadko stoją, a zielsko tem bujniej rozrasta się. Trzeba więc dołożyć starania, aby mokre pola osuszyć pod wszelkim warunkiem. Inne zielska jak powój i jeżyny można wytępić zagłębianiem orki, a szczególniej przy uprawie roślin okopowych. Do wytępienia zielska wielce dopomaga gę-

sty siew tak roślin pastewnych, jakoteż zboża. Wiele zielska można jeszcze wytępić, jeżeli się rola nawozi wapnem, gipsem, marglem i solą. Do wytępienia nasion zielska jak hałdryk (łopucha) wilczy mak, jaskier, tłuścik, oset, kąkol, kostrzewa, brzeczka, rumianek i t. d. służą bardzo proste, lecz pewne sposoby, byleby się gospodarz chciał szczerze tem zająć.

Przy takiem postępowaniu z gnojem, jak się dotąd dzieje, wywozi się wiele nasion zielska razem z nim na pola, o czem niejeden ani pomyśli, ile złego sam sobie sprowadza. Gnoju kurzego i innego drobiu, w którym wiele nasion zielska pozostaje, nie mieszać do gnoju bydlęcego, lecz użyć go albo na łąki albo pod drzewa owocowe; bydłu nie zadawać paszy, w której wiele nasion zielska znajduje się, a odsiewków z plew nie mieszać z gnojem, tylko użyć ich na kompost, gdzie na kupie zniszczeć muszą, albo też na kompost przeznaczony na gnojenie łąk; wtenczas pewno będzie mniej zielska na polach. I w tem leży przyczyna, że zboże przeznaczone do siewu nie jest dostatecznie oczyszczone, a tak sieje się zielsko razem ze zbożem. Temu można zaradzić, jąk się ziarno parę razy przez młynek i arfę przepuści, albo przesieje przez przetak odpowiedni. Temwięcej należy się o to starać, żeby dołożyć pracy ku oczyszczeniu ziarna do siewu, bo choćby najczyściejsze było, to przy sprzęcie jeszcze się zielsko znajdzie. Odmienianie siewu z tego samego powodu jest bardzo korzystne, jeżeli się z innej okolicy sprowadzi, gdzie czyste ziarno nabyć można. Pełciem na wiosnę da się wiele zielska na polach wytępić, czego zaniedbywać nie trzeba, a taka robota sowicie się wynagrodzi czystem i ciężkiem ziarnem.

Nasiona zielska lekkie jak np. łopucha, modrak itd. znajdujące się w ziarnie przeznaczonem do siewu łatwo uprzątnąć można przez pławienie przed siewem. Nasypać ziarno w naczynie, nalać wodą, wymieszać dobrze i przetakiem pływające nasiona zielska zebrać. Przy uprawie ugoru da się wiele zielska wytępić, jeżeli się w odpowiednim czasie o tem pamięta. Chodowanie roślin pastewnych szczególniej długo trwałych przyczynia się do wytępienia zielska, gdyż swem ocienianiem nie pozwolą mu krzewić się, a szczególniej dla tego, że się często

koszą na zieloną paszę, więc zielsko nie może wydać nasienia. Również gęsty siew tak roślin pastewnych jakoteż zboża przytłumia zielsko. Nareszcie roztropnie zaprowadzony płodozmian, szczególniej żeby siew zboża po sobie nie za często następował, przyczynia się również do wytępienia rozmaitego zielska.

RÓŻNOŚCI.

Piękna książeczka. W Krakowie wydrukowano dla was, kochani bracia, śliczną książeczkę pod takim podpisem: „Podróż po szerokim świecie, czyli jak jest gdzieindziej, a jak u nas; dla ludu wiejskiego napisał Walery Wielogłowski.“ Są w tej książeczce rzeczy bardzo piękne o dalekich krajach, o cudzych obyczajach, o ziemiach i morzach, ludziach i zwierzętach i przeróżne inne ciekawości, o których każdemu rozumnemu człowiekowi wiedzieć należy. Powiadam wam, że wiele i zabawy będzie miał każdy z tej książeczki. W przyszłym numerze, jak będzie miejsce, to wam z niej co trochę na próbkę wydrukujemy.

Nowe pożary. W zeszłym numerku donosiliśmy wam o strasznym pożarze, co zniszczył całe miasto Kołomyję, teraz znowu smutną podajemy wam wiadomość, jako w najnowszym czasie po różnych miastach naszego kraju były wielkie pożary, które znowu mnóstwo dobytku pożarły i mnóstwo ludzi zmieniły w żebraków. I tak spaliło się kilkaset domów w miastach Horodeńka i Rohatyn, a kilkadziesiąt w Tarnopolu, Kulikowie i Bełzcu Jaka z tej przyczyny powstała w tych miastach nędza, o tem pisać nie potrzeba, bo któż nie wie, jakie to zniszczenie sprowadza za sobą ogień! Jeżeli Bóg i dobrzy ludzie nie poratują tych pogorzelców, to czeka ich bieda ostatnia. Dla tego też ciągle odbywają się składki na ich poratunek. Pożary te powstały z wielkiej posuchy i nieostrożności. — Przestrzegamy was, kochani ludzie, abyście dali pozór na wasze chaty i dobrze pilnowali się przed ogniem, bo przy takiej spiecze o nic łatwiej, jak nieszczęście pożarowe. Osobliwie uważajcie na to, aby stróże nocni dobrze wypełniali swój obowiązek, a urząd gromadzki przypilnować powinien aby każdy gospodarz miał według nakazu w pogotowiu haki, drabiny i konewki, jak to na każdy numer domu we wsi jest wyznaczone.

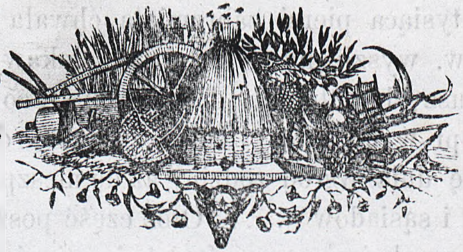
Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 17.

11. czerwca 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jak u nas być powinno?

Wyjechawszy z Krakowa (jakby ów ptak ze swego gniazda) zajechałem najprzód do górnego Szlązka, który teraz jest pod Prusakiem (ale dawniej do Polski należał), i zaraz już za komorą Modrzejowską miałem się czemu przypatrzyć, bo porządek dużo jest większy jak u nas, a lud oświecony i obyczajny, przytem dobrze się ma i nie brakuje mu na pieniądzach. Zajechałem do wsi Piekary w niedzielę; więc poszedłem do kościoła; aż wkrotce sypie się lud z domostw zdążając na mszą świętą. Zanim się zaczęło nabożeństwo, stanąłem na cmentarzu przypatrując się ludowi, na który aż miło spojrzyć, tak czysto i chędogo ubrany. Jedni chodzą w długich kapotach granatowych, a drudzy kuso w kaftanach, a ubożsi w kitlach płóciennych jak u nas, ale kapoty wychędożone i wytrzepane z prochu, a kitle wyprane i białe. Buty na pasach wytłuszczone i wyczernione, a w ręce książka do modlitwy. Kobiety też bardzo schludnie ubrane, bo mają różnobarwne spodnice w pasy, kaftan i na głowie czysta chusta, biała lub czerwona, raz z tyłu wiązana albo czepce. Na nogach pończochy i trzewiki. Wkrótce ludek

pobożny napełnił kościół, a mężczyzni ustawili się po jednej stronie, a niewiasty po drugiej. Przyklękli, a kościelny przyśpiewał pieśń pobożną; dopiero lud tę pieśń wziął na głosy, i na raz jeden z tysiąca piersi zabrzmiała chwała Pańska.

Po Mszy św. wyszliśmy z kościoła; ciekawy byłem, czyli tak jak u nas ruszy lud tłumnie do karczmy (i co złowił dobrego na kazaniu, utopi w gorzałce), czy też wróci do domu, aby przepędzić resztę dnia wśród rodziny aż do nieszporów, a potem wśród przyjaciół i sąsiadów?.... Otóż część poszła do karczmy, a to byli sami wyrobnicy przy górnictwie, inni zaś wrócili do domów swoich, lub po nabożeństwie rozmawiali sobie z cicha na cmentarzu. Zbliżyłem się do tych ostatnich, a pochwaliwszy Pana Boga, zapytałem, kto taki piękny i duży kościół w tym wieku mógł zbudować?.... Czy król, czy rząd albo jacy wielcy panowie?... Gospodarze pokłoniwszy mi się uprzejmie, rzekli: „Nie stawiali go možni tylko pobożni“. „Mój Panie (rzecze jeden stary gospodarz), jak pan widzisz ten kościół wspaniały, coby się nie wstydził stać na Jasnej Górze w Częstochowej, to z samych srebrnych groszy zbudowany. Mamy tu proboszcza co się zwie xiądz Fietzek, to jedyna dusza u Pana Boga, a cały świat objedzie a drugiego nie znajdzie. Otóż ów ubogi xiądz umyślił sobie wystawić kościół na większą chwałę Bożą i Matki najświętszej, a rozdał pomiędzy wiernych takie kartki drukowane, za któremi wezwał do składek. Wszyscy się z niego śmiali, bo nikt nie wierzył, aby się z tego suma uzbierała. Ale są dusze na świecie bogobojne, które nie szczędzą na chwałę pańską, przeto jak się ruszyli ludzie do składek i jak zaczął pieniądz płynąć, to powiadam jegomości, że jakby ten deszcz co pada na rolę. Jeden dał grosz drugi dwa, ten dał twardego a ów kilka twardych i dość, że nigdy na fabrykę nie zabrakło i nasz kościół niebawem stanął.“

— Co ja uważam (rzekłem do gospodarzy), to że po Mszy świętej mało ludzi poszło do karczmy, jeno ci, co chodzą w drewnianych sandałach.

— To górnicy (rzecze inny gospodarz), ale i oni wielkiej krzywdy gorzałce nie zrobią, bo wielu z nich ślubowało na trzeźwość. Poszli raczej po kukiełki a może który wypije

szklankę piwa, jeżeli będzie miał za co.... Ale zkądże jest Wielmożny jegomość, iż się tak wypytuje i tak ciekawy?

— Z pod Krakowa jestem, i jadę w świat, aby go przepatrzyć, a co dobrego w nim znajdę, uważać i nauczyć się.

— U nas tu nie ma co widzieć, jeno kościół i xiędza Fietzka proboszcza i fundatora. A jest też tu i drukarnia pana Heneczki, co xiążki i obrazki drukuje, to i to jest ciekawe.

— Jakto (zapytam), na wsi drukarnia?

— A jakże (odpowie jeden z gospodarzy uśmiechając się). Czyliż to wieś niegodna mieć drukarni? Mieliśmy tam daleko po xiążki jechać, a może jeszcze natrafić na jakie herezye albo bezeryje, to wolimy mieć na miejscu co nam potrzeba. Przecież niedawno pan Heneczek wydrukował „Matkę świętych polskich", tośmy wszystko rozkupili. A nasz młynarz łożył na druk Spiewnika kościelnego i dał na to tysiąc twardych ze swego własnego majątku, to się ta xiążka rozchodzi na cały świat. Jakżeby się człowiek obszedł bez czytania pobożnego? Kiedyś mówił nam na kazaniu xiądz wikary, „że jak gębie trzeba dać jeść, aby ciało żyło, tak duszę trzeba dobrą nauką żywić, aby nie zamarła". I to prawda, bo gdybyś nie jadł tobyś umarł, a gdybyś xiążki pobożnej nie przeczytał, toby też dusza zmarniała. A u was to nie czytają, iż się tak Jegomość dziwicie?...

— Czytają (odrzekłem), ale nie wszyscy. Szkoły niedawno są założone, a wreszcie nasi włościanie jeszcze nie uczuli tej potrzeby, więc i dzieci do szkół nieradzi posyłają, a starzy się dawniej nie nauczyli, więc im teraz nie chce się na starość uczyć. W górach to więcej jest czytających między ludem, ale ponad Wisłą to dużo mniej!

— No proszę?! Oto cuda, żeby zaś nie umieć czytać i pomodlić się nawet z xiążki?!... U nas w niedzielę to po wszystkich domach czytają, boby się nawet cniło w święto, żeby nie czytać. Tu nietylko jest u nas drukarnia pana Heneczka, bardzo uczciwego i pobożnego człowieka, ale niedaleko w Mikołajowie jest druga, w Opolu trzecia, w Raciborzu też jest, a wszystkie nie nastarczą drukować. Od kilku lat to się ciągle te drukarnie fundują, a żadna nie zmarniała, bo piękne xiążki drukują, jakoto: Żywot Pana Jezusa, potem Żywot Matki Najświętszej; oraz Ży-

woty świętych; Lament Ojców świętych; Dusza, czyli synogarlica na puszczy, i inne rozmaitości. Oprócz tego xiądz Fietzek sprowadza xiążki z Krakowa, to jest różne pielgrzymki i historye święte i te nam daje do czytania.

Pożegnawszy się, wstąpiłem do szynkownej izby, chcąc zobaczyć jak się tam lud zachowuje. Otóż siedziało przy dzbanie piwa kilku gospodarzy, rozmawiających po cichu; a że się na mnie spoglądali, więc się domyśliłem, iż o mnie była mowa. Zbliżyłem się do nich i pochwaliwszy pana Boga, rzekłem zkąd jestem i zapytałem, czy się znaczą urodzaje?... Jeden z gospodarzy odpowiedział mi: „Iż w ogóle nieźle się znaczy, ale u jednych są lepsze a u drugich gorsze, bo urodzaj ile zależy od łaski i błogosławieństwa Bożego, tyle też zależy i od pracy ludzkiej. Kto dobrze w polu zrobił, to ma lepsze, a kto źle, to ma gorsze“. Rzekłem na to: iż byłbym bardzo ciekawym, poznać bliżej ich gospodarstwo, na co mi jeden poważny włościanin odpowiedział: „Niema tu u nas co widzieć, bo ziemię mamy chudą, ale jeśli łaska, to niech jegomość do mego domostwa wstąpi, co tu jest przy cegielni, to go po mojem polu oprowadzę choćby nawet i teraz.

Korzystając z życzliwości gospodarza, poszedłem z nim do jego domu, a zaraz mi się spodobał porządek w budynkach gospodarskich. Wchodziło się na ogrodzone podwórko, opatrzone wrotami niskiemi z łat mocno związanemi. Podwórko było całe brukowane płaskiemi kamieniami i umiecione. Przed domem był przeciągnięty łańcuch przy którym pies duży biegał aby domu bronić, a nie módz przecież po drodze za podróżnym ujadać, lub się po wsi tułać! Narobiło psisko ogromnego hałasu, gdy mnie obcego ujrzało, ale na rozkaz gospodarza zaraz się schował do budy i na łapach się położył, wercząc i skumląc chciałby się był ze swoim panem witać, a znowu nie był rad obcemu gościowi. Zaprosił mnie gospodarz do izby. Aż miło wspomnieć, jakie tam było ochędostwo i wzorowa czystość. Podłoga z desek umyta, stół długi i w około niego ławki, mniejszy stół na boku i przy nim dwa stołki. Łóżko szerokie porządnie usłane i białem prześcieradłem pokryte. Komoda politurowana, a na niej krucyfix. Na ścianach pełno obrazów świętych i zegar z wagami.

Przy piecu skrzynka, a porządny cyganek przy drzwiach. Z tej izby szło się do obszernej dość komory, w której też stało łóżko dla córki gospodarstwa, a za przepierzeniem stały faski z mąką i kaszą, na drążku zaś wisiały sperki, kiełbasy i wędliny. Przy drugiej ścianie stała duża skrzynia, a na niej kilka bochenków chleba świeżo upieczonego. Z tej komory był wchód do .piwniczki umieszczonej i zagłębionej w podmurowaniu domu, tam zastałem nieco jarzyn, a na pułkach stały porządne misy z mlekiem, denkami ponakrywane. Pomyślałem sobie: Mój Boże! u nas daleko szukać takiego porządku, i aż mi się żal na sercu zrobiło. Cóżto trudnego, aby i u nas tak być kiedyś miało? Przecieżto więcej nie kosztuje być porządnym jak być niechlujem! Trochę pracy i dobrej woli wystarczy, aby takaż sama czystość i ochędostwo było i u nas zaprowadzone! Gospodyni pytała mi się, czylibym się nie napił mléka, co chętnie przyjąłem. Myślałem, że mi przyniesie tak jak u nas w czarnym i okopconym garnku! Ale gdzież tam?!.. przyniosła w czystym dzbanku na talerzu i ze szklanką świeżo wypłukaną. Mleko było wyborne, czyste, bez much i prochów i niezbierane. Potem zaprowadził mnie gospodarz do stajni. Przy ścianie zewnętrznej były siągi z drobno połupanego drzewa, nieco jeszcze świeżego, a po drugiej stronie był już ubrany siąg suchego drzewa jak pieprz. Pytałem się gospodarza czyli ma las do swego gruntu?... „Nie, mój jegomość (rzecze on), my kupujemy drzewo w zimie, rąbiemy go w takie drobne polanka na wiosnę, a gdy wyschnie przez lato, więc już na zimę mamy dobry opał; bo o połowę mniej wychodzi drzewa suchego jak mokrego. Zawsze więc mamy drzewo z roku na rok a zanim ten siąg zaczęty skończymy, to też i tamte świeże przeschną, a nadejdzie też i zima“. Mądry lud pomyślałem sobie!... Weszliśmy do stajenki małej ale dostatecznej na parę koni. Nie była ona delowana, ale podłoga była równo ubita z gliny i drobnego gruzu! lecz co mnie zadziwiło, to kupki ziemi którą w stajni zastałem. Pytałem się na co tá ziemia?... Gospodarz zaś biorąc na łopatę tej ziemi rozrzucał ją pod zadnie nogi koniom, mówiąc: „To nawóz mój kochany jegomość, bo jak bydlę moczy albo pruszy, to ta ziemia tem przesiąknie i z niej robi się doskonały nawóz, a szkoda iżby się co straciło,

bo kto chce mieć urodzaje, to powinien trzymać się przysłowia ojców: „uprawiaj i sprawiaj a głodu się nie obawiaj“. „A gdzież wy nawóz składacie (zapytałem)?...“ „Tu zaraz za stajnią, trochę opodal od domu, aby nie było zaduchu i aby się robactwo nie gnieździło. Jeżeli jegomość i tego ciekawi, to później pójdziemy a teraz pokażę konie: „To kobyła, co ma już szesnaście lat a to po niej źróbek, który ma ósmy rok, a matka jeszcze tęższa od niego!“

— Jakto (zapytam), ta kobyła ma już szesnaście lat? Toście ją musieli niezmiernie szanować, i chybaście nią nie robili?..

— Gdzież tam nie robiłem! (odpowie gospodarz). Mało koni tyle się napracowało jak ta kobyła która już przez lat dwanaście świętą ziemią na wszystkie boki przewróciła, ale nigdy jej nie używałem nad siły i dobrze karmiłem a opatrywałem. Codzień była o swoim czasie ochędożona, napojona i napasiona, a gdy wracała z roboty, to ją zawsze słomianym wiechciem z potu i kurzu otarłem. A ja mam zaś takie doświadczenie, że jak się konia chędoży, to jakby mu garniec owsa przyczynił. Ona jeszcze, gdy Bóg pozwoli, ze cztery lata pochodzi, a mało jej co ubędzie.

— Dlaczegóż (zapytałem) brakuje w stajni kilku deszczek w powale?

— Jakto jegomość i na to uważa (rzeknie z uśmiechem gospodarz), oto dla tego, aby nie było zaduchu, bo stajnia jest niska i mało przewiewna, a konie z gorąca i zaduchu dychawiczeją, więc się na lato te deski wyjmują, a na zimę się je napowrót zsuwa.

Wszystko co widziałem tak mi się zdawało być słuszne i sprawiedliwe, iż z prawdziwą przyjemnością wchodziłem w każde szczegóły, a oglądając się spojrzałem na wiszącą na ścianie uprząż. Byłyto proste chomonta centkami nabijane, wyczernione i tłuszczem wysmarowane, z podpasami rzemiennemi zamiast postronków. Zapytałem się więc, czy lepsze są pasy od postronków.

— Oczywiście (odpowiedział gospodarz), bo konia nie obrabiają. Powiem zaś jegomości, iż wygodna uprząż połowę siły daje koniowi, i zdrowie jego zachowuje. Gdy chomonto nie

jest dostosowane do szyi i bioder konia, to go psuje, kaleczy, i połowę siły ujmuje. Przytem gdy jest rzemień suchy, to na słońcu robi się tak twardym, iż kłęb lub grzbiet koniowi obrobi. Nie trzeba żałować na dobrą oprząż, bo dłużej trwa, a koń więcej zrobi a mniej się zmęczy, ani też sperki na rzemień nie trzeba oszczędzać, bo na słocie rzemień taki nie gnije. Teraz pójdziemy na drugą stronę do krów, bo umyślnie jest ścianą przegrodzona, aby parobki nie robili jakich figlów z dziewczętami.

Poszliśmy więc naokoło, i osobnemi drzwiami weszliśmy do drugiej stajenki, gdzie stały trzy krowy i jałówka. Z powodu gorąca nie wypędzano bydła w pole jak około wieczora, bo mówił gospodarz, że w gorąco mało się bydlę pożywi a bardzo zmęczy i wypiecze, a często nawet schnie od pragnienia, więc się stera. Powiedział więc, iż jak człowiek szuka w upał cienia, tak i bydlę nie potrzebuje tyle jadła ile chłodu. Opowiadał mi sposób żywienia krów swoich a zdziwiłem się, iż tak dużo im daje pokarmu. Pytałem go czyli mu się to opłaci? na co mi odrzekł:

— Proszę jegomości, przecież się krowy trzymają dla mleka i nawozu, a mleko i nawóz z czego innego nie będzie jeno z paszy. Kto chce więc mieć dużo mleka i dużo nawozu, musi dawać dużo paszy.

A choćby w potrzebie i na mięso przyszło bydlę sprzedać, to dwa razy tyle da rzeźnik za krowę tłustą jakby dał za chudą. Ta pasza się więc opłaci i na mleko i na nawóz i na mięso. Że zaś krowa nas żywi, więc i my ją żywić powinniśmy, bo gdy ona głodna, to i my głodni i braknie nam okrasy. Te trzy krowy nas i czeladź wyżywią i jeszcze się masła sprzedaje za tyle, iż się paszy ma za co dokupić. Ja daję codzień na te trzy krowy ćwierć buraków albo ziemniaków z sieczką, i po pięć funtów siana i do tego różne zgoniny, oskrobiny i pomyje, dlatego też mamy od nich pięć do sześciu garncy mleka. Kto oszukuje bydlę, to siebie sam oszukuje, bo swoje dobro tera.

Poszliśmy więc obejrzeć kupę nawozu przygotowanego pod jesienne siewy, a zdziwiłem się, iż na tak małem gospodarstwie tyle nawozu przygotować można było. Byłto dołek mający trzy sążnie w kwadrat, na jeden tylko sztych to jest na stopę zgłę-

biony, i urządzony między rozłożystemi wierzbami, które go ocieniały. Tam porządnie kładziono warstwę mierzwy, a na tem drugą warstwę ziemi w stajni podścielanej i różnych śmieci z domu i z ogrodu uzbieranych. Na tem znowu była bydlęca mierzwa, i znowu jakieś namuliska, i tak dalej. Słowem wyglądała ta kupa jak placek przekładany. Gospodarz powiadał mi, że skrapia tę kupę często albo gnojówką albo wodą, a czasem deszcz spadający z gałęzi drzew ją użyźnia, któreto drzewa od zbytnich upałów nawóz ochraniają, i dla tego jak mówił: nie wysycha. Takiego nawozu daje on na morgę magdeburską a zatem na pół naszej polskiej morgi 25 fur parokonnych a czasem i więcej, a drobno i równo rozściela, gdyż jak powiadał „od mądrego rozrzucenia nawozu wiele zależy“. Z nawozem powraca na każde pole co czwarty rok, a czasem to mu się uda i zarwać co na trzeci, i tym sposobem, przy błogosławieństwie Boskiem ma rok w rok dobre urodzaje, chociaż gatunek jego ziemi jest lichy i za dawnych gospodarzy ani dziesiątej części nie wydał obecnych korzyści. Prosiłem go, aby mnie wyprowadził na swoje pola, na co chętnie przystał.

Co zaś ciekawego widziałem tam na polu, będzie na drugi raz.

(Podróż po szerokim świecie.) *Walery Wielogłowski.*

Cieśla.

Na cmentarzu przy drodze
Budowano kaplicę;
Zmówić pacierz zachodzę,
Przejrzeć grobów tablice.
O południu — skwar piecze;
Wytchnij nieco człowiecze!
Robotnikom i cieśli
Z wioski strawę przynieśli:
Więc ucichły siekiery,
Czeladź na trawce siadła,
A spędzając znój szczery,
Zabrała się do jadła.
Stary cieśla co żywo
Zrównał postać pochyłą,
Dobył lulki, krzesiwo,
Pyknął dymkiem, aż miło!
Zadumał się — uśmiecha,
Poweselał na twarzy
I wyraźnie, choć z cicha,
Sam do siebie tak gwarzy:
„Kowal puka w kuzience,
Pali odzież i ręce,
Sierp naostrzy lub radło,
Zrobi topor, lemiesze,
Stuknie puknie w kowadło,
I zarobek wykrzesze;
A w gospodzie go czeka
Pogadanka, napitek,
Bo z takiego człowieka
Dobry w wiosce pożytek.

Cieśla z niczem powraca,
Od siekiery i pługa,
Choć ciężka jego praca,
Choć i większa zasługa.

„Młynarz puścił zastawki,
W kosze nasypał zboże,
I już dosyć zabawki,
Odpoczywać już może.
A jego trzodka syta,
Żona żyje w rozkoszy,
Dadzą mu miarkę żyta,
Dadzą mu kilka groszy:
Od dobrego człowieka,
I podchmiele go czeka!
Cieśla z niczém powraca,
Od siekiery i struga,
Choć jego cięższa praca,
Choć i większa zasługa!

„Skrzypak piśnie na kwincie,
Zagra taniec lub drugi,
Już on pełen zasługi,
Już podarki mu czyńcie!
Ma pieszczoty dziewczęce,
Uścisk od chłopca zucha,
I grosz sypie się w ręce,
I szklanica nie sucha;
I co milsze roskosze,
Niż szklanica i grosze,
To, że serca człowiecze
Jakby dłonią zagarta!
Prawda... prawda, nie przeczę,
I skrzypica cóś warta;
Lecz cieśli licha praca,
Nikt nie ściska, nie mruga,
Choć jego ciężka praca,
Choć i większa zasługa.

„Ot i dzieci i młodzi
I starcowie pochyli,
Wszystko i w każdéj chwili
Przez me ręce przechodzi.
Czy się rodzą dzieciska,
Ot i kłopot dla głowy!
Pracuj, cieślo wioskowy,
Bo potrzebna kołyska;
Ja nie proszę zapłaty,
Ja pracuję z rozkoszą,
Xiądz przyjeżdża do chaty,
Mnie na chrzciny nie proszą;
Dla chłopaka ladaca
Cieśla zabawkę struga...
Oj cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

„Chłopak rośnie w młodziana,
Już mu chce się zalotów,
„Oj danaż moja, dana!“
Ruszyć w swadźbę już gotów;
Czyż nie cieśla wyciosa
Nowy wozik chłopcowi?
Jak okują kolasa,
To bywajcie już zdrowi!
Już go dziewczę nie minie,
Na tym wózku zuch wielki!
Czy on miły dziewczynie?
Czy wóz mojéj ciesielki?
Toż pytanie nie lada!
A gdy celu dolata,
Cieślę, starego dziada
Nie zaprosi na swata.
Pieniędzmi się wypłaca,
Więc już zniewaga druga...
Oj cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

„Kiedy lato przeminie
Dni dożynek nadbiegą,
Stołu trzeba drużynie
Dębowego, równego.
Hejże z heblem i piłą
Spiesz się cieślo do dzieła!
Ja stół ciosam aż miło,
Wdzięcznie bracia przyjęła;
Lecz gdy jadło przynieśli,
Kiedy napitek płynie,
Jakoś w bratniéj drużynie
Zapomnieli o cieśli,
A on ich mozół skraca,
Wprawia sosznik do pługa...
O lichaż moja praca!
Ale dobra zasługa!

„Młodzian przeżył wiek długi,
Starzał i umarł wreszcie.
Spieszcie do cieśli, spieszcie,
Nie odmówi posługi.
On kolebkę dlań zrobił,
Wielce sztucznéj roboty,
On mu cacka sposobił,
On go stroił w zaloty;

Dziś nagrodzą niebiosa,
Niech mu trumnę wyciosa.
Robię trumnę — jak caca,
Szeroka, kształtna, długa...
Oj cichaż moja praca!
Ale dobra zasługa!

„Te mnogie ulów kłody,
Co stoją wedle płota,
I te wioskowe wrota
Co strzegą pól od szkody,
Krzyże na mogił rzędzie,
Wszystko mój trud bez mała;
A teraz, Bogu chwała,
Ot i kapliczka będzie!
Niechaj wioska wychwala,
Niech nagradza kowala,
Niech młynarza opłaca,
Do mnie Anioł - Stróż mruga:
Że cicha moja praca,
Ale dobra zasługa!

„Jeszcze jedna myśl dumna
Dodaje mi ochoty:
Że będzie moja trumna
Nie partackiej roboty!
Bom wyuczył nie lada
Kilku z wioskowej młodzi,
Jak się z sznurem obchodzi,
Jak się toporem włada:
Więc starca w każdym domu
Będzie zastąpić komu!
Gdy mi życie Bóg skraca,
Żałość będzie niedługa;
Poczciwa była praca,
Dobra będzie zasługa!"

Zosia z Bogusławic.

Historya prawdziwa.

Przejeżdżałem niedawno temu przez Bogusławice, a com tam ładnego widział i słyszał, tem się też i z wami podzielić muszę na większą chwałę Boga i na pożytek ludzi.

Kiedym tak około południa przyjechał do Bogusławic, a minąłem już jedną, drugą i trzecią zagrodę, zdziwiło mię to mocno, że ani żywej duszy około zagród ujrzeć nie mogłem. Chaty i obejścia wszystkie pozamykane, jakby w jakie święto uroczyste, kiedy wszyscy wyjdą do kościoła na służbę Bożą. Wyjąłem kalendarzyk z torbeczki i patrzę, czy też niema dziś jakiego święta, lecz gdzie tam, dzień dzisiejszy powszedni, dzień pracy. Tak pomału przyjechałem do kościółka, co stał na pagórku w samym środku wioski i ujrzałem tam pomiędzy staremi lipami mnóstwo ludu, a wszyscy świątecznie poubierani. Ciekawy co też to za uroczystość obchodzą dziś w Bogusławicach, kazałem woźnicy memu, by zajechał do oberzy co stoi aż za wsią i tam na mnie zaczekał, a sam zlazłem z bryczki, wyprostowałem i otrzepałem suknie na sobie, boć nie należy się nieprzyzwoicie stanąć w przybytku Boga. Gdym się zbliżył do kościółka, już

było po nabożeństwie, a lud wychodził poważnie i zstępywał z górki ku wiosce. Ustąpiłem na bok i przypatrywałem się całemu temu pochodowi, boć śmiesznem by było spieszyć się teraz do kościółka, kiedy już świece pogasili. Na przedzie szły trzy dziewczęta a najstarsza z nich w środku, a wszystkie ubrane biało z wieńcami na głowie jakby od ślubu, a były to trzy rodzone siostry, jakem się później dowiedział. Za niemi szły dzieci całej wsi świątecznie ubrane a radość im patrzyła z oczu. Za temi postępywały matki i ojcowie wesoło gwarząc między sobą, a byli tam nietylko z Bogusławic ale i z okolicznych wiosek.

Gdy mię już wszyscy minęli, a witali jak dawnego znajomego, postąpiłem ku kościółku, a kościelny, stary dziadzina, już dzwonił u drzwi kluczami.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekłem.

— Na wieki wieków. Amen — odpowiedział kościelny.

— A co to za uroczystość obchodziliście dzisiaj u siebie? zapytałem.

— Toć to pan muszą być z daleka, kiedy nic o tem nie wiedzą, boć głośno to w całej okolicy, odpowiedział kościelny.

— Nie bardzo z daleka, nawet wasz sąsiad, ale tu długo nie byłem w tych stronach, a choć już za późno przybyłem toć mi może opowiecie, jeżli łaska wasza.

— Oj nie łaska to mój panie, to święta powinność, rozgłaszać wszystkim ludziom łaskę i miłosierdzie Boga, które nad nami ukazał.

— O to bardzo was proszę, opowiedźcie mi wszystko jeżli wam czas starczy, to i zaraz, boć i moją to powinnością rozgłaszać dalej łaskę Boga, na większą chwałę jego.

— Wielki Bóg i wielka łaska jego, odpowiedział mi kościelny i wprowadził mię do kościółka i wskazał na obraz nowy co wisiał na ścianie, a na nim Św. Józef z dziecięciem Jezus, a obok niżej stąpa dziewica w bieli nad przepaścią, a Jezus malutki prowadzi ją za rękę by snać nogą nie ugodziła o kamień ostry.

— Ładny obraz, powiedziałem kiedym się już dobrze mu przypatrzył, ale jakaż jest historja jego?

— Opowiem wam to panie z ochotą, ale musicie wejść ze

mną do izby mojej, a w co chata bogata w to rada i dowiecie się o cudownem zdarzeniu i co ten obraz przedstawia.

Zamknął kościółek i weszliśmy razem do szkółki tuż obok kościółka, a tam w małej osobnej izdebce mieszkał kościelny.

Kiedyśmy weszli do izdebki, rzekł kościelny:

— Szkoły dziś nie mają dzieci, darowano im, by lepiej sobie zapamiętały dzień ten radośny, a tem lepiej, bo nikt nam w opowiadaniu przeszkadzać nie będzie.

Podał mi stołek i prosił bym usiadł, a sam usiadłszy na tapczanie tak zaczął swe opowiadanie.

— Mieszka tu we wsi naszej od lat dawnych szanowany od wszystkich Józef Grzela ze swoją żoną Józefową, ludzie bardzo uczciwi i pobożni a Bóg ich pobłogosławił majątkiem i zdrowiem a najbardziej dziećmi dobremi. Te trzy dziewczęta co to szły dziś z wieńcami na głowie na przedzie to jego córki a najstarsza z nich zwie się Zosia, anioł dziewczyna. Nie szczędził Józef Grzela pieniędzy, aby Zosię, swoje dziecko dobre, czegoś dobrego nauczyć. Oddał ją do klasztoru panieńskiego niedaleko ot ztąd, by się tam czegoś pożytecznego nauczyła, boć wtedy u nas o szkole ani słychu nie było. Tam to przez kilka lat nauczyła się Zosia wiele dobrego. I na piśmie zna się jak jaki uczony, i religję umie, że się aż dusza raduje, kiedy wam zacznie o Bogu i św. pańskich rozprawiać, a jak wam zacznie opowiadać o królach polskich, i o sławie dawnej Polaków, to się jej nasłuchać nie można. Nie wzbijała ją w dumę i hardość ta jej nauka, boć serce w niej złote. Otóż to kiedy wróciła z klasztoru a ujrzała, że drugie dzieci niczego nie znają i nic nie umieją, zabolało ją to serce. Wzięła Boga na pomoc i nuż dalej zakładać szkółkę w chacie ojca swego dla dzieci. Nim ta szkoła tu stanęła, była już u nas szkoła w chacie Józefa. Tam to schodziła się dziatwa prawie wszystka a Zosia nuż ich uczyć i czytania i pisania i religji i szycia, a tak gorliwie a tak ochoczo że i staremu miło było się temu przysłuchiwać, to też i starzy wieczorami schodzili się do Józefa zagrody a zasiadłszy przyżby przed chatą przysłuchiwali się jak im wiele pięknych rzeczy przeczytywała i opowiadała Zosia. Gdy wieczór był pogodny, zabierała po nauce wszystkie dziatki

i nuż z nimi w pielgrzymkę pod figurę św. Józefa z małym Jezuskiem, co to stoi z kamienia wykuty na wzgórku przy drodze, kędyście panie jechali, a ustroiwszy pana Jezusa w kwiateczki, co z dziatwą po drodze uzbierały, uklękną wszyscy i mówią litanję do pana Jezusa i pieśń o Józefie zaśpiewają, a gdy się dzwónek wieczorny odezwał, to Anioł Pański tak miłym głosem płynie po rosie, że się aż anieli w niebie radują. Nie dziw więc że ją wszyscy we wsi kochają i za jej dobre serce Boga o pomyślność dla niej błagają.

Tak mijały lata, a Zosia w pracy nie ustawała i wiele już dobrego zrobiła, kiedy tu, tak przed rokiem przybył do wsi naszej jakiś wysłużony wojskowy a był z profesji kowalem. Wybudował mu dziedzic tam za wsią kuźnię i darował mu chatę. Odtąd miały Bogusławice kowala, a majster z niego był nielada, chłop sprytny i roboty się nie lenił. Dobrze mu się też działo i gospodarzom dobrze z nim było. Jedną tylko miał wadę że się rzadko w kościółku pokazywał a czasem nawet i dnia świętego nie uszanował, a lubiał żyć wesoło i rozrzutnie, to też choć mu grosz płynął jak woda, niczego się za rok nie dorobił. Nazywał ci się on Antoni Bretnal. Otóż to temu Bretnalowi wpadła w oko Zosia. Począł więc i jej nadskakiwać i staremu Józefowi schlebiać, to to mu zrobił, to owo, to wóz naładził, to konie podkuł, a nigdy grosza od niego nie przyjął, zawsze to zostawiał na późniejsze czasy. Nie wzbraniali mu też Józefowie przystępu do swojej chaty, bo był chłopak układny i grzeczny, a Zofia czem raz mu się lepiej podobała, choć bardzo od niego stroniła i nie mógł jej żadnym sposobem ku sobie nakłonić. Nie zrażał się tem Bretnal, ale nadrabiał z Józefami jak mógł, by sobie ich całkiem dla siebie pozyskać, aż oto niedawno temu tak rzekł do nich:

— Podobała mi się Zosia wasza i pragnę ją mieć za żonę, jeżli wola wasza. Chleba mi niebrak jak widzicie, a da Bóg zdrowia toć i jej ze mną nie będzie licha. A potrzeba mi gospodyni, boć to samemu nie utrzymać się w chacie i grosz zapracowany marnie idzie. Dajcie mi Zosię, bo bez niej życie mi nie miłe.

Nie namyślali się długo Józefowie, a że prostym nic nie bywa

krzywe, to też uwierzyli słowom Bretnala, sprosili sąsiadów i zrobili umowę, a nie baczyli na to, czy też Zosia na to przystanie, bo myśleli, dobre dziecko pójdzie za wolą rodziców, którzy tylko jej dobra pragną. Lecz inaczej się stało. Kiedy się już sąsiedzi rozeszli i Bretnal poszedł z nimi, rozszlochała się Zosia, rzuciła się do nóg rodzicom i nuż ich błagać i prosić.

— Jeżeli wam szczęście moje na sercu, odmieńcie wolę waszą. Rozum mi każe słuchać was, ale serca zmusić nie mogę, i jakaś trwoga mię bierze i mówi, że z nim nie będę miała doli. Jeżeli mi chleba swego żałujecie i jestem wam na zawadzie, pozwólcie mi, a pójdę do klasztoru i ludziom służyć i Boga za wami prosić będę. A jeżeli już taka wola wasza, rozrządzajcie ręką, lecz serce do mnie należy, a jeżeli go kochać nie będę, Bóg mi przebaczy, co widzi utrapienie serca mego.

Rozpłakali się Józefowie nad Zosią, a że to serce rodziców całego szczęścia dziecka swego pragnie, postanowili nie dać Zosię Bretnalowi, i jak postanowili tak zrobili.

Odgrażał ci się Bretnal, że aż strach słuchać było, i robotę porzucił a wódką się zalewał i mówił, że gdy mu Zosię nie dadzą, to ją i siebie zabije. Nie wiele na to zważali Józefowie bo myśleli, ot wódka z niego gada. Mijały dnie i tygodnie a Jozefowie strzegli Zosię jak oka w głowie. Pomału ucichały groźby Bretnala, ale stał się z niego wielki pijak i niezdara. Aż tu jednej nocy obudził wieś całą okropny hałas w chacie Józefów. Bretnal nabił sobie w kuźni strzelbę siekańcami z żelaza i zakradł się w nocy do chaty Józefów kiedy wszyscy już spali. Znał dobrze całe obejście Józefów a jako kowal umiał i zamki sprytnie otwierać. Wszedł po cichu do osobnej izdebki, gdzie spała Zosia między siostrami swemi na jednem łóżku, przytknął lufę od strzelby do piersi Zosi, a nim obudzona Zosia krzyknąć zdołała, wypalił do niej. Czem prędzej nabił raz drugi i wypalił w siebie, ale się nie trafił, bo mu ręce drżały, tylko się osmolił i odzienie się na nim zatliło. Nim się Józefowie dostali do izby swych dziatek, gdyż drzwi im ze dworu zatarasował, już Bretnal gonił polami ku swej kuźni ze strzelbą na ramieniu, a ludzie co się na ten hałas i huk obudzili widzieli go, jak na wietrze odzienie na nim płomieniem

buchnęło, a Bretnal poparzony wskoczył do stawu. Zabobonni myśleli że to jaki pokutujący latawiec i z trwogą się żegnali, a odważniejsi nim dobiegli do stawu, z którego wyskoczył już Bretnal, bo i wodą całego stawu złego sumienia nie ugasił, usłyszeli w kuźni Bretnala okropny huk. Nim zdążyli do kuźni, Bretnal już nie żył, a mózg jego roztrzaskany wisiał po ścianach.

Bóg czuwał nad Zosią i jej siostrami, i nim się ludzie zbiegli do chaty Józefów, zastali Zosię zdrową jak klęczała z siostrami przed Ukrzyżowanym i dziękowała za cudowne ocalenie. Ani kropli krwi nie widać na odzieży i pościeli, tylko podziurawione ściany siekańcami i śmierdzący dym prochu zapełnił całą izdebkę. Strach był wielki Józefów, ale radość jeszcze większa kiedy oglądali zdrowe swe dziatki i dziękowali Bogu.

Otóż to na pamiątkę i podziękę Bogu za ów cud wielki kazali Józefowie odmalować ten obraz, coście go Panie w kościele widzieli, a dziś właśnie było jego poświęcenie.

Gdy tak skończył stary kościelny swoje opowiadanie, zdjął z półki obrus z grubego płótna, przykrył stół i położył na nim bochenek chleba i garnuszek masła i rzekł:

— Jeżeli łaska wasza, to nie gardźcie, bo dziś u mnie nie ma nic więcej, gdyż i ja zaproszony na ucztę do Józefów, a jeżeli pan szanuje w chłopku człeka uczciwego, to proszę ze mną, a Józefowie radzi będą gościowi takiemu, a poznacie panie ładną Zosię o której wam tyle dobrego naopowiadałem, a warto to choćby i wielkiemu uczonemu pomówić z nią słów kilka.

Przyjąłem chętnie zaprosiny, a przetrąciwszy kawałek chleba z masłem podziękowałem staremu kościelnemu za wszystko i poszliśmy razem ku chacie Józefów.

Jeszcześmy byli spory kawał od chaty Józefów, kiedy to stary Józef prowadząc Zosię za rękę, wyszedł przeciw nam i prostym zwyczajem poprosił, bym nie mijał jego chaty. Trudno się wymówić i nie wstąpić tam, gdzie się serce ciągnie a czego dusza pragnie. Weszliśmy do chaty. Tam za długim stołem zastawionym jadłem siedziała sama starszyzna, a na pierwszem miejscu x. proboszcz. Wszyscy powstali i zapraszali serdecznie, a Józef prowadził mię za rękę, aż do proboszcza, gdzie Zosia już uprzątnęła i zrobiła dla mnie miejsce obok niego. Zabawiłem

się z tymi uczciwymi ludźmi jak z nikim w świecie, a kiedym tylko spojrzał na Zosię to mi serce rosło jak na drożdżach. A x. proboszcz poczciwy staruszek żartował wesoło z wszystkimi, jak z najlepszymi przyjaciołmi, a Zosię nachwalić się nie mógł. Pomyślałem, po co tu chwalby, kiedy to gdzie spojrzysz to widzisz jak to nauka przy dobrem sercu uzacnia i uszlachetnia człowieka. Prawdziwa rozkosz rozmawiać z takiem dziewczęciem jak Zosia, taka to mądra, a prosta i szczera, że aż miło. Gdy się już trochę ośmieliła, nuż mię się wypytywać o różne nowiny, a co jej powiesz to jej nie cudze, a gdy nakoniec otwarła szafkę, co tam za skarby, a wszystko książki dobre i pożyteczne, żem się wydziwić i nachwalić nie mógł, boć to jeszcze u nas rzadko coś podobnego natrafisz w chacie wieśniaka. Zapomniałem całkiem o odjeździe, aż tu kiedy x. proboszcz powstawszy pobłogosławił gospodarstwo i dziatki a Zosię w główkę pocałował i zabrał się do wyjścia, pożegnałem i ja Józefów i wszystkich obecnych a za serdeczną gościnę ofiarowałem Zosi kilka książeczek, którem wiózł ze sobą w torbeczce i obiecałem więcej przywieść jeszcze ładniejszych. Radości Zosi nie było końca, a zabawiwszy się z tymi poczciwymi ludźmi pożegnałem ich serdecznie i pojechałem swoją drogą.

Szczęsny z Żółkwi.

RÓŻNOŚCI.

Wyświęcenie biskupa. Tej niedzieli mamy tu we Lwowie wielką uroczystość, która się nie często przydarza. Oto wyświęcać się tu będzie pewien xiądz kanonik obrządku ruskiego na biskupa. Kanonik ten nazywa się Sembratowicz, a biskupem go zrobił Ojciec św. i to takim, który ma mieszkać w samym Rzymie i tam przy Ojcu św. mieć swój kościół i dyecezyę. W niedzielę więc dnia 11. b. m. odbędzie się uroczyste wyświęcenie xiędza Sembratowicza na biskupa. Wyświęcać go będzie arcybiskup ruski xiądz Litwinowicz wraz z arcybiskupem polskim x. Wierzchlejskim i arcybiskupem ormiańskim xiędzem Szymonowiczem. Zjadą zaś także na tę uroczystość obaj biskupi z Przemyśla z kanonikami i mnóstwo księży z bliska i z daleka.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

Tom XII. Nr. 18.

21. czerwca 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jakie życie, taka śmierć.

Niedaleko odemnie stoi wieś Łukowiska. Wieś jak wieś, co ją założył jakiś pan dawny polski Łukasz i od jego imienia przezwano ją na wieczne czasy Łukowiska — grunta tam dobre, boć każdy numer ma tam rolę dosyć dużą, ale co ludzie to znowu co innego! Jakto bywa na tym grzesznym świecie, są tu rozmaici ludzie: pijacy i trzeźwi, leniuchy i pracowici, spokojni, zgodliwi ale są także i kłótnicy i proceśniki ostatni. Toż nie można powiedzieć, aby w takiej wsi, gdzie jest większa połowa niedobrych ludzi, było i błogosławieństwo boże. Nie ma tam i szkoły dotąd, toż biedne dziecięta gromadzkie rosną jak płonki w lesie, a trudno z nich co wydobyć mądrego i dobrego, jak koły w płocie nie kwitną nigdy i nie dają owoców.

Otóż przejeżdżałem tam niedawno, jadąc na jarmark do bliskiego miasta. Jadę sobie drogą a tu na środku drogi siedziało dwoje dzieci, ale to omurzane i źle okryte aż strach było na to popatrzyć. Zlazłem z wozu, poszedłem do nich, pogłaskałem po główkach, dałem po nowym krajcarku do rączki i pytam się:

— A macie wy dziateczki biedne ojca i matkę?

Starsze mi powiada tak:

— Matusia umarli nam, a tatusia zabiło na śmierć w mieście.

Zrobiło się mi ckliwo koło serca na to gadanie, że takie drobiazgi były sierotami, podumałem sobie że te niebożęta mogą się zmarnować, a choćby im ludzie nie dali z głodu zginąć, to ich duszyczki mogą przepaść na wieki i pytam dalej:

— A u kogo wy jesteście teraz moje sierotki?

Starsze mi powiada:

— A u dziadka i babki.

Wziąłem za rączki te sierotki i powiadam im:

— No! zaprowadźcie mię też do waszego dziadka i do babki, bobym się wody napił u nich.

I zaprowadziły mię te mizerotki biedne do chałupiny bliskiej, gdzie były dwa małe okienka, drzwi kiepskie do sieni, a dach na chałupinie cały porosły mchem, aż był cały zielony nito trawa drobna. Włażę do sieni przez próg, idę do izby, a tu siedział dziadowina, stary jak grzyb, zerwał się gdy mię zobaczył, ja pochwaliłem Boga, on mi odpowiedział i przywitał mię jak xiędza, wtedy ja mu mówię: Dobrze robicie mój dziadusiu kochany że żywicie te sieroty, ale też wasza babina niedobra, że też nie ogarnie i nie omyje tych niebożąt, jeno im daje chodzić czarno, jak maziarzom albo cyganom. A może i paciorka z nimi nie odmawia, ani nie uczy przykazań boskich, a napewne nie zaprowadzi nigdy do kościoła bożego, a toby był za to wielki grzech.

A dziaduś poskrobał się po starej głowie i mówi:

— Do kościoła to poprawdzie nie idą, bo bardzo daleko, ale za to idą do ruskiego kościoła, a paciorek odmawia się z nimi co dzień, jak Bóg przykazał, a zaś na okrycie lepsze dla nich nię stać nas, bo to i my sami żyjemy w lecie na przednowku tak jak z jałmużny, a w zimie z zarobku, ale tam i zarobek nasz nie wiele wart.

Ja mu na to gadanie:

— To wszystko jedno, czy kościół polski, czy ruski, bo to jeden Bóg, jeden Pan Jezus, jedna Najświetsza Panna, jeden Ojciec św., jedna wiara św. jeno my Polacy mamy mszę św.

po łacinie, a pieśni pobożne i kazanie po polsku, a Rusini ododprawiają nabożeństwo takie same jeno po rusku. W kalendarzu są odmiany, my Polacy mamy nasze święta noprzód o 13 dni, a Rusini mają później, a czasem jak padnie, to mamy wszystkie święta razem. Toż my wszyscy jednakowi katolicy i jednakowi Polacy jeden w drugiego. Ale powiedźcie mi też, mój dziadusiu, jaką to śmiercią pomarli ojcowie tych sierot, bo mi coś bąkło to dziécię, że mamusia umarli pierwej, a tatusia zabiło w mieście.

Dziaduś odetchnął, westchnął i powiada:

— O! jegomość! straszna to i śmierć była tych ludzi, bo to ona umarła w godzinie jednej, niewiedzieć z czego, a on polazł do miasta rano i już nie wrócił, bo go jakieś konie dorazu na miejscu ubiły.

— O! dla Boga świętego, zawołałem, toć pewnie pomarli i bez spowiedzi św. a to jakaś kara boża!

— A jużci, że kara boża, mówił dziaduś, bo jakie było życie, taka i śmierć, a Pan Bóg nie podaruje nigdy upartym ludziom, jeno przypatrzy się, poczeka jak miłosierny ojciec dla głupiego człeka, a jak nie ma na upor lekarstwa, to dotknie palcem swym, a wtedy nie raz wyginą wsie i miasta całe, a człowiek marny zginie w chwili jak chrząszcz jaki.

— To prawdę gadacie, mówiłem ja na to, zawsze to głupi rozum u ludzi, jak oni robią na udry drugim i Bogu i jak nie ma posłuchu ani dobrej zwagi na to, co Bóg przykazuje i czego starsi nauczają.

— No! cóżto ci nieboszczyki porobili takiego za życia?

— A coby dobrego, rzecze dziaduś, ona to moja córka, wydałem ją 5 lat teraz za tego Jana, myślałem sobie, że to przecie będzie co z tego, że będą robić, ja pomogę wiele, mało, ale oboje jakoś się rozpuścili bardzo, wiano całe i krowy i korale zabrali żydzi, a tego Jaśka cała praca zginęła gdzieś jak w ogniu, a nie można było tam ani przystąpić, ani co powiedzieć, bo nie raz zrywali się do bitki na mnie starego i na moją babinę, toż ja tam ani zajrzał ani oka nie pokazał, i nie byłem tam już dobre dwa roki, a moja babina to pono oczy wypłakała, a co się namodliła i naprosiła Boga o rozum i upamiętanie jakie dla nich! ale to widać nie pomagało nic, bo oczywista, że jak Kuba

Bogu, tak Bóg Kubie! jak kto zaślepi rozum swój dobrowolnie, to mu pono dobry rozum nie wlezie sam do głowy gotowy, a jak kto chce iść za złym duchem, to go pono i anioł św. nie utrzyma, a jak sobie kopie jamę do piekła, toć mu pono sam Bóg nie wytrąci motyki z ręki, a ludzie dobrzy powiedzą mu:

— Jak sobie pościelesz nieboże, tak się wyspisz, jak sobie namielesz zboże, tak będziesz jadł potem!

A ja na to mądre gadanie dziadka mówię:

— To tak jest akurat mój dziadku! Kto się Boga i dobrych ludzi nie trzyma, tego się nie trzymają Bóg i ludzie! a taki musi na końcu pójść marnie i darmusieńko z tego świata. No! toć i wasza córka tak darmusieńko i niepotrzebnie umarła.

— A jeno, że tak! mówił dziadek, boć to przyszło na to, że ci głuptaki już po roku nie byli w kościele ani do spowiedzi św. a komużby się nie sprzykrzyło takie niedobre życie? toż i u Boga jest miara na wszystko! i ona wróciła w jednę niedzielę pono pijana do dom, legła pod oknem, a rano już więcej nie wstała. Pochowaliśmy ją z pokropienia, bo na inny pogrzeb nie było już sposobu żadnego, i otóż zostały sieroty a niepotrzebnie.

— No! a gdzież grunt po niej? zapytałem.

— O! jegomość! toż i zeszedłem na ostatnią biedę na stare lata przez tę niedobrą Zośkę, bo dałem grunt mój na wiano, a teraz zabrali to Żydzi za dług za jakiś miód i za słodką gorzałkę, bo to widzi jegomość! na końcu zabrali się ci pijaki aż do pańskich trunków, a może tam Żydzi pocyganili nie mało, ale kto tam dojdzie prawdy z Żydami arendarzami, co to boso przychodzą do arendy, a potem wozami wyjeżdżają ze wsi, ani sieją, ani orzą, ani zarabiają ciężko, a mają na tyle w końcu, że nie raz i dwór wypożycza od nich, a zkądże to wszystko się bierze? toć to krzywda ludzka oczywista.

Zadumałem się na to gadanie dziadka, pomyślałem sobie: czemu to tak nie myślą wszyscy gazdowie i wszystkie gazdynie, jak ten dziadek, i czemu tak nie robią jak on? ale robią jak ta głupia Zośka i ten głupi Jaśko, co mieli pracę po dwóch ojcach, były korale, chusty porządne na święto i na dzień powszedni, był grunt duży, coby wystarczyło na kilkoro dzieci, była chałupa drewniana na węgły składana, dał Bóg i dwoje dziatek, była

chudoba, było z początku błogosławieństwo boskie, a za 5 roczków wlazło to wszystko do kieszeni Żydów i do gęby pijaków i niestało nic a nic nawet na pogrzeb i jeszcze Bóg pokarał nagłą śmiercią a może i duszę biedną potępił, a dwie sierotki zostały zdrowe ale nagie bez sposobu do życia. I tak dumając sobie zapłakałem nad biedną duszą tej Zośki i temi sierotkami i pytam dalej:

— No! a cóż to się znowu takiego porobiło z Jaśkiem?

A dziaduś widząc moje łzy, aż się na głos rozpłakał, otarł oczy podartym rękawem kilka razy i powiada mi.

— Żal mi jegomość! mego jedynego dziecka, bo jeno tyle dał mi Bóg, ale cóż robić? kiedy na głupi rozum jedno jeno lekarstwo, aby posłuchać Boga i ludzi i poprawić się, a tego moja biedna Zośka nie chciała zrobić, toż ona umarła kiepsko, a ja za nią pokutuję na stare lata, bo mi tylko została ta chałupina a i to chcieli Żydzi zabrać, jeno nasz xiądz nie dał. Toż zaraz po jej śmierci zabrała moja babina te sieroty, bo tam przy Jaśku nie było co siedzieć, a dzieci bez matki idą na biedę zawsze, a potem pokrajała swoje stare łachy i poszyła po jednej koszuli dla tego biedactwa, a teraz nie ma już czem raz jeden okryć te sierotki, a babka polazła tam do dworu wyprosić co dla nich u pani i panienek i jakoś jej długo nie widać, może gdzie osłabła na drodze albo leży chora, a ja siedzę przy chałupie i pilnuję, aby gdzie bydło na drodze nie połamało temu rąk i nóg, i zaczął znowu dziadzina strasznie płakać, aż ja mu mówię tak:

— Was dziadku trzyma Bóg na to, abyście z babką wychowali te wnuki, jak jeno można najlepiej, mieliście dawniej jedno dziecko i to poszło marnie, a teraz macie aż dwoje, toż miarkujcie sobie dobrze, aby i one nie zmarniały, bo niech one znają Boga i robią dobrze, to im Bóg da więcej, niż wy dali Zośce. Bóg ma na tyle w niebie i na ziemi, że zbogaca ubogiego, jeżli wart tego. Ale gadajcie mi jeszcze o śmierci Jaśka, bo ja muszę odjeżdżać na jarmark.

Dziadek powiada mi:

— Ten Jaśko po śmierci Zośki, to już nie siedział w domu, jeno się włóczył jak głodna psina między płoty i chałupy.

Gdyby to miało dobry rozum, toby się było nawróciło do Boga po takim przytrafunku, jaki miała biedna Zośka — a był na to czas, bo mu Bóg pozwolił życia jeszcze rok cały, ale on na to nie zważał; bo to Jegomość! ludzie myślą, że Bóg daje im życie na durniczki albo na złe, a o dobrem ani pomyślą — i Jasiek był taki głuptak. A na cóż mu było się poniewierać między płoty, kiedy jabym go był z ochotą wziął do mojej chałupiny? boć to przecie nie trza gardzić i grzesznikami, jeno ich nawracać, tak robił i sam pan Jezus. Ale on już do reszty ogłupiał, i tak zalazła ta marnota aż do miasta, a wtedy był wielki targ, łaziło to po mieście i tam widać była mu godzina śmierci przeznaczona. Bo to spłoszyły się konie jakiegoś chłopa i leciały przez miasto z wozem — ludzie uciekali na wszystkie strony, nie jeden tam dostał guza, ale też nikogusienko nie ubiły, aż wpadły na tego Jaśka prosto dyszlem w plecy i dyszel wlazł krzyżami w środek piersi Jaśkowi, a ten nieboraczysko został tak wisieć, konie jeszcze leciały, aż ludzie przytrzymali i jego nieżywego zdjęli, do szpitalu zanieśli i tam pono w wiązce słomy bez trumny pochowali, nito żebraka ostatniego. Otożto koniec taki.

Ja zadumałem się znowu na taki straszny przytrafunek i powiadam:

— To oczywista kara Boża na Jaśka! bo jużci było na targu w mieście tyle tysięcy ludzi różnych, byli tam młodzi, starszy i dzieci, jak zwyczajnie na targu każdym, konie leciały z wozem przez całe miasto, niejednego skaleczyły, ale nikogo nie zabiły, aż za miastem przebiły dyszlem na wylot Jaśka jednego, który jakby umyślnie poszedł po śmierć na targ, boć on nie szedł tam kupować ani sprzedawać co, jeno tak Bóg chciał go ukarać na targu publicznie, aby wszyscy ludzie targowi to widzieli i zmiarkowali sobie dobrze, jaki to Bóg sprawiedliwy.

— A dziadek kiwając głową powtórzył:

— Oj tak! tak! jegomość — ja to sam wiem dobrze że go Bóg pokarał taką nagłą i straszną śmiercią i on też widać zasłużył na to, bo on przemarnował dużo chleba mego i po swoim ojcu, on moją Zośkę popsuł, bo ona przez niego z zgryzoty zo-

stała pijaczką, onby był i te sieroty popsuł albo umorzył — a tak sam się zagubił na wieki! Ale niech mu tam Bóg odpuści wszystko!

Ja pożegnałem dziadka, pobłogosławiłem te sierotki drobne, zostawiłem im jałmużnę, jak Bóg przykazuje, odjechałem dalej, a wam moi kochani, co Dzwonek czytacie, wypisuję to, abyście wiedzieli, jak żyć i robić macie, aby was tak Bóg nie pokarał, jak tego Jaška z Zośką w Łukowiskach, aby po was nie zostały takie biedne sierotki.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Spiewka o Tomaszu Ptaku,

kmieciu krakowskim z Wielebny, co podarował w roku 1809 wojsku polskiemu armatę.

Na krakowskiej ziemi huczno, ludno i radośnie,
Grzmią okrzyki, lud się roi, że aż serce rośnie!

Na krakowskiej ziemi drogi szerokie i bite,
A drogami ciągnie wojsko polskie rodowite!

Szumi Wisła, szumi głośno, krakowską doliną,
A wzdłuż Wisły nasze polskie chorągiewki płyną!

Płyną polskie chorągiewki, migają z oddali,
Połyskują w słońcu lancy ułańskie ze stali!

To ułani pędzą polscy z wojenną paradą,
Z szabelkami, z rabatami: Wiwat! nasi jadą!

Lud się tłumi, Wisła szumi, po polach się wije,
Jadą nasi i wołają: Niech ojczyzna żyje!

We Wielebnej, wsi krakowskiej, lud się zbiegł do koła,
„Hej witajcież nam ułani!“ każdy z duszy woła!

„Hej witajcie nam ułani, przybywajcie radzi,
„Hej ułani nasi polscy, zkąd was Bóg prowadzi?!“

„A zkąd by tam, jak nie z bitwy za pomocą Boga,
„A dokądby mili ludzie, jeśli nie na wroga?“

„Hej cieszże się ludu dziarski, ludu ty krakowski,
„Bo na przedzie z nami jedzie książę Poniatowski!

Hurra! krzyknął ludek wiejski, wysypał się rojno,
A niebawem mnóstwo chłopców już stanęło zbrojno!

Kto miał tylko zdrowe kości ujął lancę w rękę,
Przystał zaraz do ułanów jechać na wojenkę!

Gdy tak chłopcy się weselą, gwarzą z ułanami,
Wyszedł z chaty kmieć staruszek z białemi włosami.

I przywitał się serdecznie, zapłakał z radości,
I tak mówi drżącym głosem do wojackich gości:

„Hej jam także był wojakiem młodszemi latami,
„Gdy Kościuszko, pan naczelnik, przewodził nad nami!

„Teraz zdrowie nie statkuje, bolą stare rany,
„Gdyby nie to, biegłbym z wami panowie ułany!

„Żal staremu, że do lancy, już teraz nie składny,
„Ale za to da wam stary podarunek ładny!

I zawołał kmieć na sługi, aż tu Boże miły!
Dźwiga sześciu parobeczkow coś z całutkiej siły,

Oj dźwigają ciężar wielki, aż ich całych zgniata.
Mocny Boże! Czy być może? A dyć to armata!

A staruszek tak przemawia: „Oto działo macie,
Ja to działo długie lata chowałem w mej chacie!

„Gdy Kościuszko, nasz naczelnik, uległ w krwawym boju,
„Jam armatę zapomnianą wywlokł w wielkim znoju,

„I ukryłem ją u siebie aż na lepsze czasy,
„Gdy na nowo się rozpoczną wojenne zapasy!

„Oby strzały, jak grom grzmiały z spiżowej armaty,
„Wszemu lichu na pohybel a nam na wiwaty!“

A ułani zawołali: „Żyj Tomaszu Ptaku,
„Żyj nam kmieciu ty cnotliwy i dzielny Polaku!

„Będą strzały jak grom grzmiały, z tej twojej armaty,
Wszemu lichu na pohybel, Polsce na wiwaty!“

Wojtek ze Smolnicy.

Jak u nas być powinno?

(Dokończenie.)

Idąc w pole przez sad, zdziwiony byłem porządkiem sadu i obfitością drzew owocowych, z których jedne już stare pokryte były zawiązkami pięknych jabłek, gruszek i śliwek a inne świeżo szczepione, wystrzelały dopiero bujnemi latoroślami. Pomiędzy niemi były szerokie zagony doskonale uprawionej ziemi, na których rosły ziemniaki, buraki, biała marchew, kapusta, i jedna grządka ogórków. Przy domu zaś posadzono boże drzewko, lewandę, józefek, wrotycz, rzymski rumianek i chrzanu kilka krzaków. Cały ten sad był okopany a na wierzchu obsadzony głogiem i kolącemi krzewiami, pod któremi kryły się wśród upału kwoki z kurczętami. Zapytałem gospodarza, czyli sam swój ogród uprawia, na co mi odpowiedział:

— Nie wielkato sztuka około sadu chodzić i lada kto temu podoła, tylko trzeba pracy dokładać. Stare drzewa zastałem już po ojcu, i jeszcze rodzą, chociaż dużo mniej jak przed laty, bo i drzewo jest tylko do czasu, jak i człowiek, który pracuje dopóki może, a potem na starość siły go opuszczają, aż zmiera. Lecz te młode to ja już szczepiłem na dziczkach i jakoś mi się przyjęły, więc będzie czem nadsadzać. A te grzędy to mi największy niosą pożytek, bo z nich mam jadło i do domu i dla bydła. Marchew biała, to na pół łokcia i więcej wyrasta, a jedzą ją ludzie, konie, bydło i psy nawet, tak jest słodka i smaczna. Lecz onaby tak nie wyrosła, gdyby pod nią nie uprawić. Otóż w całym tym ogrodzie, to ziemia jest przeszło na łokieć głębokości skopana, to jest na dwa rydle. Potem się ją raz jeszcze z nawozem przeryje, aby się dobrze z nim pomieszała i skruszyła, a dopiero sieje się na niej, co kto chce. Potem się plewi i okopuje jak zazwyczaj i dzięki Bogu wszystko się udaje, jak jegomość widzi. Te zaś ziela pod domem, to same baby sadzą, od przypadku choroby albo na człowieka albo na bydło. Teraz skoro jegomość ciekawy, to możemy iść w pole, ale to kawałek drogi, bo ja mam polanki po różnych miejscach.

Szliśmy tedy ścieszkami i miedzami dość daleko, a poczciwy gospodarz pokazywał mi różne gospodarstwa, nazywając właści-

cieli po nazwiskach, razem też uwagę moją zwracał na rozmaitość i stopień uprawy różnych polanek, objawiając oburzenie na tych, którzy gospodarstwa swe zaniedbali. Jakoż zatrzymawszy się przy jednem polu, gdzie był lichy urodzaj, rzekł:

— Albożto ten kawałek nie powinien wydać dziesięciu ziarn, gdyby był dobrze uprawny, ale próżniak Sladek, wziąwszy najpiękniejszą rolę po swoim ojcu, tak ją zapustoszył, iż teraz najgorzej rodzi. Bydła nie ma, nawozu przeto nie urabia, przytem siał z początku żyto po życie i jęczmień po jęczmieniu, i tak rolę zubożył, że teraz owsa nawet lichego nie wydaje. W końcu będzie musiał własność swą sprzedać, i może będzie lepiej, bo się staranniejszemu gospodarzowi dostanie. Ziemia święta jest wdzięczną, ale tylko dla tych, którzy dla niej są hojni, a nie żałują pracy i nie szczędzą nakładów, a wreszcie ziemia ma różne w sobie kieszenie, i nigdy z jednej rok po rok nie sypie. Jeśli jednego roku sięgasz do jej kieszeni po ziemniaki, to drugiego szukaj w niej grochu albo jęczmienia, ale nigdy ziemniaków. Jak groch zbierzesz, to znowu na inne żniwo sięgaj po żyto, i tak zmieniaj, iżby strączek szedł przed ziarnem ozimem, a kiedy dwa razy ziarno weźmiesz, to nie zapędzaj się bez nawozu, bo tak jak kupiec nie da ci towaru bez pieniędzy, tak ziemia twardego ziarna bez nawozu!

Zbliżaliśmy się do gruntów należących do mego gościnnego gospodarza i trafiliśmy najprzód na pole zasadzone ziemniakami, pod pług sadzonemi. Zieloność i siła badeli świadczyła o zdrowiu tej rośliny, szeregi ziemniaków stały jak żołnierze, a kwitły blado żółto, bo to były ziemniaki cebulowe. Oborane, obkopane i wyplewione, gnieździły się tak w pulchnej ziemi, że aż ją rozpychały, a gdzieniegdzie z pomiędzy nich wystrzelił bób, który gospodynie koniecznie między krzaki ziemniaków wmieszać lubią. Potem poszliśmy do pszenicy na świeżym nawozie, a ta parę razy zrzynana, zdawała mi się mało obiecywać plonu, i tę moją wątpliwość oświadczyłem gospodarzowi, co też przyznał, twierdząc, iż przesadził nawozem, który dał na bujne konicznisko. „Byłoby się (rzekł on) bez nawozu obeszło, bo koniczyna była piękna i trzeci raz podskoczyła w łodygę, kiedy ją przeorałem, ale chciałem lepiej i zro-

biłem nadto, ale to nie szkodzi bo na przyszły rok inne ziarno na tem polu odda, co w pszenicy stracę.“ Na innem polu jęczmień był doskonałym, a owies to prawdziwie jak las i kiście szły od połowy ździebła. Dawno takiego owsa nie widziałem. Owies ten był na czteroletnim nawozie po grochu. W końcu poszliśmy na ostatnie pole pastewne, zasiane mięszanką; połowa była już skoszoną dla bydła, a połowa stała jeszcze jak mur, i tylko jej ścianami wiatr falował. Zapytałem gospodarza, wieleby posiadał gruntu, na co mi odrzekł, iż wszystkiego z łąkami posiada 24 morgów magdeburskich, to jest 12 morgów polskich, a gdy mi się zdawało, iż ten obszar jest niedostateczny do utrzymania tak porządnego domu i gospodarstwa, odrzekł:

— A na cóż mi więcej?... Kto posiada mało, a dobrze rolę obrobi i umie się rządzić, lepiej wychodzi od tego, który mając wiele, opuszcza i zaniedbuje swoje gospodarstwo. Ja dawniej (mówił gospodarz) trudniłem się furmanką i uzbierałem trochę grosza, otóż trafiała mi się teraz rola do nabycia za nader tanią cenę, a kupić jej nie chciałem, bobym się był obciążył ziemią, a potem nie dał jej rady. „Nie ten bogaty co dużo posiada, ale ten co nikomu nic nie winien, jeno duszę Bogu.“ Nieraz się dziwuję łakomstwu ludzi, którzy pragną mieć dużo roli, a przecież tej którą mają, obrobić nie mogą albo nie umieją.

— Zkądże, proszę was gospodarzu, przyszliście do takiej znajomości rolnictwa?

— Oto mój Jegomość — odpowie gospodarz — miałem ojca dobrego rolnika, i ten mnie wiele przećwiczył, jednak że ani czytać ani pisać nie umiał, przeto tyle wiedział, ile sam doświadczył. Ale teraz, to sam także doświadczam i uczę się z książek. Kupiłem sobie dzieło Nobisa o rolnictwie, które wydrukował jakiś Günther w Lesznie a dzieło to doskonałe już może ze dwadzieścia razy przeczytałem. Kupiłem też dzieło co się nazywa Gospodarz praktyczny, Katechizm rolniczy i dziełko Złotą dolinę, a wreszcie o ogrodnictwie książkę Jaś Sadowski. Z tego nabrałem nauki jak się rządzić, a co mogłem to u siebie dopełniłem, i jakoś dzięki Bogu idzie; a chociaż nie wiele już w tych ciężkich czasach przyrobię, to tego co mi Bóg dał

nie stracę. Ożeniłem syna, dałem mu 200 talarów; wydałem córkę, dałem za nią 100 talarów, a resztę mam dla młodszych.

Wracając z pola szliśmy razem a natrafiwszy na drogę boczną, owocowemi drzewami obsadzoną, pytałem się dokądby prowadziła?...

— Ta droga prowadzi w pola i na folwark przez pańskie grunta — rzecze gospodarz — a utrzymana jest kosztem wspólnym dworu i gminy.

— A jakże te drzewa owocowe mogą się tu utrzymać? zapytałem.

— Dlaczegóżby się nie miały utrzymać — odpowie zdziwiony gospodarz — przecież są wśród wsi i między ludźmi.

— Właśnie dla tego zdaje mi się to trudnem rzeknę. —

— Ale proszę jegomości, tuby się nikt nie ważył tego dotknąć. Mogą rosnąć sto lat, a ani gałązka i ani jedno jabłko nie zginie. Zbieramy owoce razem z dworem, lub wypuszczamy sadownikowi i dzielimy się pieniądzmi. U nas tu wszystkie drogi tak są poobsadzane, a nikt nic nie ruszy. Źleby to było, żeby we własnej wsi nie być pewnym swojej własności.

Pomyślałem sobie, że u nas aniby roku te drzewa nie były szanowane, bo zarazby je pasterze wyłamali, a nawetby ich i starszy gospodarz nie żałował, gdyby mu na prędce kołka lub wici było potrzeba! ale nic nie mówiłem o tem, aby wstydu przed ludźmi nie robić naszej okolicy. Idąc wsią napotkałem studnią z piękną malowaną pompą, świeżo zrobioną, pytałem więc gospodarza, ktoby tak piękną studnią sporządził?

— To gmina mój jegomość odpowie gospodarz tę studnią sprawiła ku wspólnej wygodzie, a kosztowała przeszło dwieście talarów.

Doszliśmy wreszcie do austeryi; konie moje były zaprzężone; pożegnawszy więc gospodarza, wyjechałem w dalszą podróż.

Tak to ludzie pracują i mądrze sobie radzą gdzieindziej, jeno u nas jeszcze zawsze lenistwo, niedbalstwo i głupota. To też gdzieindziej mają się rolnicy dobrze i zamożnie, a w naszym kraju między kmiotkami zawsze nędza i nędza. Czas już czas, kochani ludzie, garnąć się do nauki, bo tylko przy nauce nabędziesz rozumu, a tylko przy rozumie popłaca praca.

O wielkim ptaku strusiu.

Opowiemy wam po krótkości o dziwnym ptaku, o którym może wie z was dopiero lada dziesiąty, a który się zwie struś. Ten struś, to jest największy między ptakami, wysoki jest na ośm stóp czyli na cztery łokcie, a więc wyższy niż chłop najtęższy, a koń wygląda przy nim jak małe zwierzę. Szyja strusia jest długa na półtora łokcia, dziób ma nie bardzo duży, nogi wysokie, grube a takie silne, że jak niemi całą siłą kopnie, to nie tylko człowieka, ale i konia na śmierć ubije!

Struś nie umie latać po powietrzu jak inne ptaki, bo na to jest za ciężki, ale za to też biega tak szybko, że ani najszybszym koniem ani chartem go nie dogonisz. Żywi się struś owocami i ziołami, ale czasem jak go chętka napadnie, to połyka jakby gałki z ciasta kawałki szkła, żelaza, drzewa, kości, a ta przekąska nic a nic mu nie szkodzi, jeno jeszcze więcej apetytu mu dodaje. Dla tego też zwykli ludzie po miastach mówić o takich ludziach, co dużo i same grube potrawy jadają że mają strusi żołądek.

Struś niesie jaja, jak inne ptaki, ale jaja te są tak duże, jak głowy dziecka i ważą po kilka funtów. Jak takie jajo ludzie gdzie znajdą, to dwóch chłopów ma co jeść a nawet go nieraz całego nie zjedzą. Takich jaj niesie struś dwanaście. W krajach gdzie struś przebywa, takie jest gorąco, że tylko w nocy dla chłodu siedzi na jajach samica, a w dzień to je słonko samo wygrzewa.

Struś jest dla ludzi bardzo pożytecznym ptakiem. Ludzie jadają jego jaja i mięso, a zarabiają daleko jeszcze więcej na jego piórach. Bo ten struś, musicie wiedzieć, ma prześliczne czarne pióra, jakby z jedwabiu, a tak pięknie zakręcane, ze aż miło patrzeć. Otóż temi piórami prowadzą handel, bo ich panie używają do stroju, a możeście już nieraz przy kapeluszu jakiej pani widzieli strusie pióra.

Gdzież ten struś przebywa? Oto w Afryce, w innej części ziemi, co leży hen okrutnie daleko na południe od nas, a jest okrutnie gorąca, bo słońce pali tam przez calusieńki rok jak ogień. Część ta ziemi nazywa się Afryka. Teraz wam opo-

wiem, jak ci Afrykanie łapią strusia. Dobrze to mówią ludzie, że rozumu się na łokcie nie mierzy a najdłuższy chłop nieraz głupi jak dziecko, tak też ten ptak struś, choć wielki okrutnie a przecież dziesięć razy głupszy od naszego wróbla mizeraka. Wiedzą dobrze o tem Afrykanie i dla tego też łatwo go umieją ułowić. Zbiera się ich kilkunastu na koniach i rozstawiają się do koła. Struś ma to do siebie, że spłoszony pędzi bardzo szybko, ale zawsze obraca się w koło, tak, że w końcu wraca znowu na to samo miejsce, z którego wybiegł. Otóż jeźdzcy jeden po drugim ścigają strusia, a gdy struś się zmorduje, wtedy chowa głowę w trawę i myśli, że kiedy schował głowę to już go całego nie widać. Wtedy myśliwi przypadają do niego i zabijają go pałkami albo pikami, albo też żywcem go łapią.

Ale co najdziwniejszego wam powiem o tym strusiu, to to, że można na nim jeździć, jak na koniu, jeno że z kierowaniem trudna rada. Jak człowiek siędzie na strusia, to struś tak prędko goni, że ziemia tylko śmiga pod człowiekiem, tak jakby koleją żelazną jechał.

Przy tem zaś wszystkiem jest struś bardzo poczciwym ptakiem i małemu nawet robaczkowi nic złego nie zrobi. Nieraz objeżdżają po naszym kraju ludzie, co pokazują różne zwierzęta i ptaki, a między niemi i strusia, to go też może kto raz w jakiem wielkiem mieście już widział lub zobaczy. Tyle o strusiu, a na przyszły raz da Bóg doczekać, opowiadać wam będziemy o innych dziwnych zwierzętach, co żyją za dalekiemi morzami.

RÓŻNOŚCI.

Dziwny bardzo wypadek wydarzył się w Mielnicy obwodzie czortkowskim. Był tam staw wielki, na dwa sążnie głęboki — aż tu naraz pewnego dnia zeszłego miesiąca znikł cały i ani kropelki z niego nie zostało! Ludzie ogromnie się zdziwili i zachodzili w głowę, bo ze stawu zostało tylko łożysko suchuteńkie, a nawet ani rybki jednej ani żaby w niem nie było. Dopiero po długiem oglądaniu zobaczyli w środku łożyska dziurę na dwa sążnie szeroką a głęboką niezmiernie. Nic ta innego zajść nie

mogło, jeno woda ze stawu tą dziurą odpłynęła po pod ziemię do Dniestru, który tam jest nie daleko.

Zła wróżba. W obwodzie kołomyjskim i po innych miejscach pojawił się ptak nie swojski, który bodajby nam na złe nie wróżył. Ptak ten jest z Azyi i jest wielkim nieprzyjacielem szarańczy, a gdzie tylko szarańcza leci, tak zaraz i te ptaki przed nią i za nią spieszą, bo się nią żywią. Ptaka tego łatwo poznać. Jest czubaty, głowa, szyja, skrzydła i ogon są czarne i połyskują niebieskawo, cały spód i grzbiet ciemnoróżowe. Dziób ma z wierzchu żółty. Otóż boją się ludzie, aby nie przyleciała szarańcza do nas, kiedy się ten ptak pojawił, bo jak wam już powiedziałem, ptak ten tylko tam przylatuje, gdzie wie że już jest szarańcza albo będzie,

Pijany Jacek. Szedł Tomasz w południe przez wieś i spotkał Jacka, jak stoi na niepewnych nogach w środku wsi i przed siebie spoziera. „A wy czego tak stoicie?“ — pyta Tomasz. „A bo też cała wieś z wszystkiemi chałupami na około mnie biega“ — mówi Jacek. „A to idźcie powoli do domu“ — rzecze Tomasz. A Jacek na to: „Kiedy bo widzicie, ja czekam, aż moja chałupa koło mnie także nadbiegnie.

Dobra odpowiedź. Kiedy w Polsce była wojna w roku 1831 między Polakami a Moskalami, przyjechał raz oddział moskiewskiego wojska, co uciekał przed jenerałem Dwernickim, do pewnej wsi, a sam moskiewski jenerał zakwaterował się u proboszcza. Począł ten jenerał rozmawiać z księdzem i wygadywać okrutnie na Polaków a przechwalać Moskali. Aż nareście, gdy tak ksiądz i jenerał siedzieli koło dużego stołu, na którym stała maleńka szklanka z wodą, mówi Moskal tak:

— Co to księże wasza Polska! Co ona może przeciw Moskwie? Polska to do Moskwy jest tak, jak ta szklaneczka mała do tego stołu!

Xiądz zaś na to wstaje i wywraca szklankę z wodą na stół. Aż tu woda wyciekła i całusieńki stół zalała. Wtedy xiądz mówi:

Prawdę pan mówisz, ale patrz jeno, jak się szklaneczka wody rozleje, to cały stół zamoczy. Tak też i Polska, choć mniejsza i z wami może tak zrobić.

Rozgniewał się na to okrutnie Moskal, ale cóż miał poradzić? naklął, naklął, i wyszedł ze wstydem.

Chłopskie wesele. Jacy to włościanie po innych krajach bogaci! Wójt pewnej wsi w Wyższej Austryi, który ma być najbogatszym kmieciem w całym kraju, obchodził niedawno wesele swoje z takim przepychem, jakiego nie widziano jeszcze w tych okolicach. Oprócz krewnych państwa młodych uraczono obficie wszystkich mieszkańców gminy, przyczem spożyto 48 wołów, 46 sztuk nierogacizny i owiec i 67 cieląt, prócz tego inne jeszcze potrawy i kilkaset wiader wina i piwa. Gody weselne trwały trzy dni spełna.

Co kraj to obyczaj, mówi stare nasze przysłowie. I prawda: xięża katoliccy, którzy po rozmaitych częściach

świata roznoszą wiarę chrześciańską, opisują dziwne i śmieszne nieraz w oczach naszych obyczaje i zwyczaje różnych ludów. I tak: w kraju Tybecie chcąc kogo powitać, odkrywa się głowę, wywiesza się język i drapie się w prawe ucho a to wszystko odbywa się równocześnie. W Japonii prosty lud wita gościa upadając na twarz. Inni, aby okazać uszanowanie i uwielbienie, kłaniają się po swojemu to jest odwracają się tyłem. Japończycy chcą przez to dać poznać, że się czują niegodnymi patrzeć w oblicze gościa. Insze też jeszcze mają w wielu rzeczach zwyczaje, a całkiem odmienne od naszych: My na znak szacunku dla kogo zdejmujemy kapelusze lub czapki, Japończycy zaś zdejmują swoje trzewiki. My wstajemy, a oni siadają, bo to u nich wielka niegrzeczność, stojąc przyjmować gościa. My uważamy białe zęby za piękne, u Japończyków zaś najpiękniejsze i dla tego wszyscy a mianowicie kobiety farbują je olejkiem zwanym kania, który zęby czerni. Co do ochędóstwa, tośmy nie dościgli Japończyków. U nich drogi są zawsze czysto utrzymywane — szerokie i otoczone rowem do ścieku wody; są nawet umiecione i piaskiem wysypane dla podróżnych, bo też tam nie wolno jeździć wozem, gdyż mieszkańcy nie mogą znieść turkotu kół. Nie prawda? śmieszne to tam są rzeczy. Znowu onym narodom nasze zwyczaje i obyczaje się śmiesznemi wydają, bo co kraj, to obyczaj.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Otoż już sześć latek okrąglutkich minęło za łaską Bożą, jak z wami Dzwonek zabrał znajomość. Sześć latek to spory kawał czasu, więc też przy takiej długiej znajomości i przyjaźni Dzwonek się wam zachwalać nie potrzebuje, boście go już dobrze poznali, a może i tak pokochali, jak my was kochamy, kochani bracia rolnicy! Już was i upewniać nie potrzebujemy, że będziemy pracować i nadal ile sił stanie dla waszej nauki i zabawy, dałby jeno Bóg, abyście szczerem i ochotnem sercem słuchali słowa naszego! W tej to nadziei rozpoczynamy roczek siódmy i zapraszamy was po starej przyjaźni i życzliwości do czytania DZWONKA. Jesteśmy zaś tego pewni, że nietylko dla dawnych przyjaciół i nadal miłym będzie gościem w chacie nasz Dzwonek, ale że mu przyczynią i nowych znajomych między swoimi sąsiadami. Bo już to święty obowiązek każdego człowieka, aby wspomagał i rozszerzał dobrą sprawę.

Dzwonek kosztuje tyle co zawsze: ***1*** *złr.* ***na pół roku 2*** *złr.* ***na rok.*** *Posyłamy wam z tym numerem różową okładzinkę i spis rzeczy z XII tomu i oddajemy was łasce Bożej, kochani bracia od pługa!*

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.